fantastyka

William Gibson

GRAF ZERO

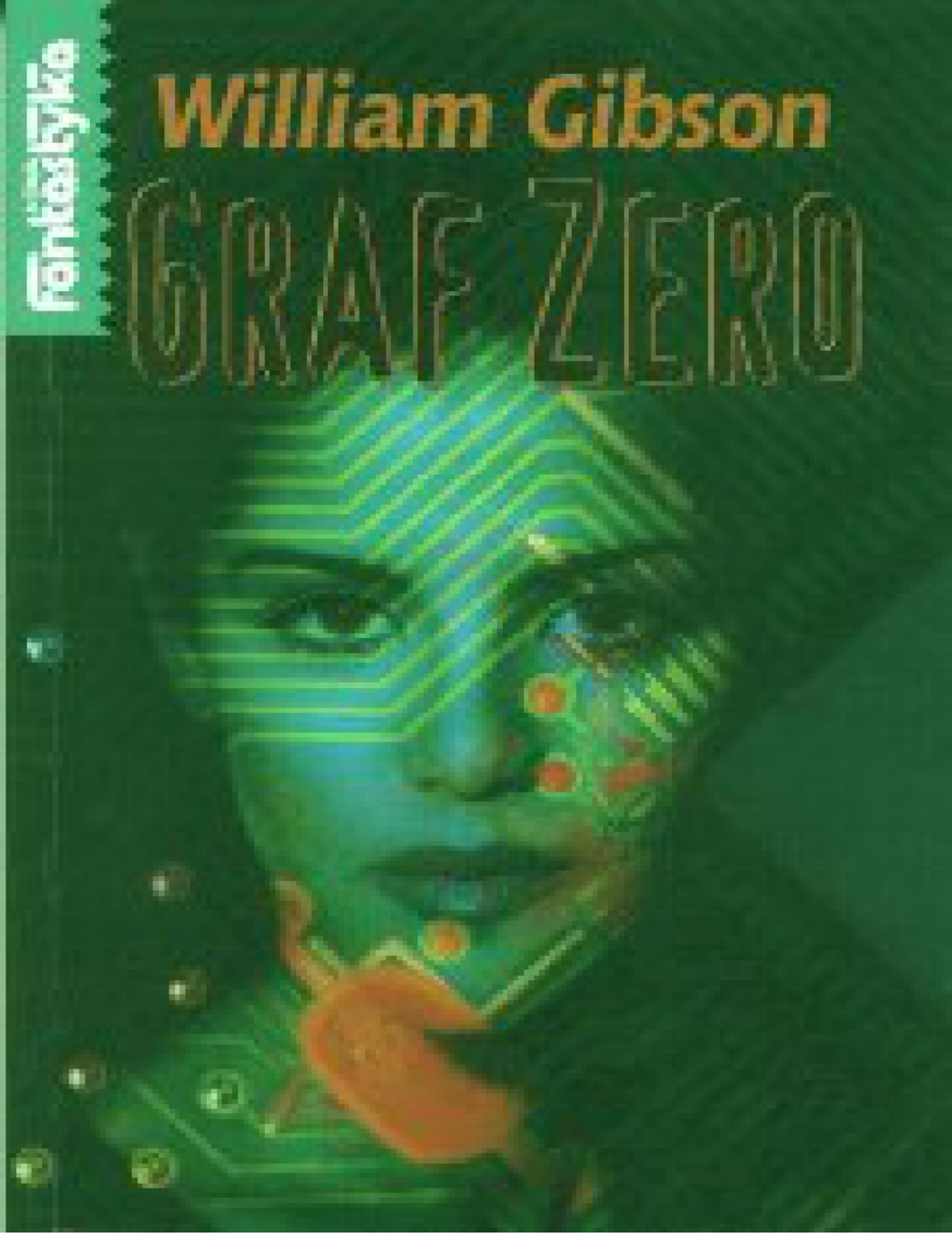

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Gibsonowska wizja przyszłości, nowoczesna i przerażająca prawdopodobna. Od czarnego rynku oprogramowania i zuchwałych kowbojów klawiatury, którzy planują wielkie skoki i rzucają się wgłąb systemów…

Przez snobistyczną kulturę świata sztuki, gdzie prawdziwy geniusz kryje się niczym ścigana zwierzyna… do elitarnego kręgu korporacyjnych technokratów.

- William Gibson
  -
  - ROZDZIAŁ 1
  - ROZDZIAŁ 2
  - ROZDZIAŁ 3
  - ROZDZIAŁ 4
  - ROZDZIAŁ 5
  - ROZDZIAŁ 6
  - ROZDZIAŁ 7
  - ROZDZIAŁ 8
  - ROZDZIAŁ 9
  - ROZDZIAŁ 10
  - ROZDZIAŁ 11
  - ROZDZIAŁ 12
  - ROZDZIAŁ 13
  - ROZDZIAŁ 14
  - ROZDZIAŁ 15
  - ROZDZIAŁ 16
  - ROZDZIAŁ 17
  - ROZDZIAŁ 18
  - ROZDZIAŁ 19
  - ROZDZIAŁ 20
  - ROZDZIAŁ 21
  - ROZDZIAŁ 22
  - ROZDZIAŁ 23
  - ROZDZIAŁ 24
  - ROZDZIAŁ 25
  - ROZDZIAŁ 26
  - ROZDZIAŁ 27
  - ROZDZIAŁ 28
  - ROZDZIAŁ 29
  - ROZDZIAŁ 30
  - ROZDZIAŁ 31

- ROZDZIAŁ 32
- ROZDZIAŁ 33
- ROZDZIAŁ 34
- ROZDZIAŁ 35
- ROZDZIAŁ 36

William Gibson
Graf Zero

Quiero hacer contigo
lo que la primavera
hace con los cerezos

— Neruda

Graf Zero — Schemat blokowy procedury pustej.

Dla D.

ROZDZIAŁ 1
SPRAWNA BROŃ

Na trop Turnera wypuścili w New Delhi psa-tarana. Nastroili go na feromony i kolor włosów. Dopadł Turnera na ulicy zwanej Chandni Chauk i przez las gołych brązowych nóg i opon rikszy ruszył biegiem do wynajętego BMW. W rdzeniu miał kilogram rekrystalizowanego heksogenu w powłoce TNT.

Turner nie zauważył, że pies się zbliża, jego ostatnim obrazem Indii była otynkowana na różowo fasada hotelu „Khush-Oil".

Miał dobrego agenta, więc miał też dobry kontrakt. A że miał dobry kontrakt, w godzinę po wybuchu znalazł się w Singapurze. Przynajmniej jego większa część. Holenderski chirurg lubił sobie żartować, jak to pewien nieokreślony procent Turnera nie wydostał się z Palam International tym pierwszym lotem i musiał spędzić noc w magazynie, w pojemniku biomedycznym.

Holender i jego zespół poświęcili trzy miesiące, żeby poskładać Turnera do kupy. Wyklonowali metr kwadratowy skóry: wyhodowali ją na blokach kolagenu i polisacharydach chrząstek rekina. Oczy i genitalia kupili na wolnym rynku. Oczy były zielone.

Większą część tych trzech miesięcy spędził w generowanym z ROM-u symstymowym konstrukcie wyidealizowanego dziecinstwa w zeszłowiecznej Nowej Anglii. Wizyty Holendra były snami szarego przedświtu, koszmarami znikającymi, gdy niebo rozjaśniało się za oknem jego sypialni na piętrze. Późno w noc pachniały lilie. Czytał Conan Doyle'a przy świetle sześćdziesięciowatowej żarówki ukrytej za pergaminowym abażurem w klipry. Masturbował się w zapachu czystej pościeli i myślał o dziewczynach ze szkoły. Holender otwierał tylne drzwiczki umysłu i wchodził, by zadawać pytania; ale rankiem matka wołała na śniadanie, na owsiankę, jajka na bekonie, słodką kawę z mlekiem.

Aż pewnego ranka obudził się w obcym łóżku; Holender stał przy oknie, z którego wlewała się do wnętrza tropikalna zieleń i raniący oczy blask słońca.

— Możesz już wracać do domu, Turner. Skończyliśmy z tobą. Jesteś jak nowy.

Był jak nowy… To znaczy jaki? Nie wiedział. Wziął wszystko, co przekazał mu Holender, i odleciał z Singapuru. Domem było następne lotnisko: Hyatt.

I następne. I jeszcze jedno.

Leciał dalej i dalej. Jego chip kredytowy był prostokątem

czarnego lustra ze złotą krawędzią. Gdy go pokazywał, ludzie za kontuarami uśmiechali się i kiwali głowami. Drzwi otwierały się i zamykały. Koła odrywały się od żelbetu, pojawiały się drinki, podawano obiad.

Na Heathrow z białej kopuły nieba nad lotniskiem oderwał się wielki kawał pamięci i runął prosto na niego. Nie zatrzymując się Turner zwymiotował do niebieskiego plastikowego pojemnika. Kiedy dotarł do lady na końcu korytarza, wymienił swój bilet.

Poleciał do Meksyku.

I przebudził się wśród brzęku blaszanych wiader na kafelkach, wilgotnego szelestu szczotek, obok ciepłego ciała przytulonej kobiety.

Pokój był wysoko sklepioną jaskinią. Nagi biały tynk nazbyt wyraźnie odbijał dźwięki; gdzieś poza hałasami pokojówek na porannym dziedzińcu rozbrzmiewały głuche uderzenia fal przyboju. Zgnieciona w dłoni pościel była szorstkim płótnem zmiękczonym niezliczonymi praniami.

Pamiętał słońce wpadające przez szeroką przestrzeń opalizującej szyby, lotniskowy bar, Puerto Vallarta. Musiał przejść z samolotu dwadzieścia metrów; mocno zaciskał powieki w obronie przed słońcem. Zapamiętał martwego nietoperza, rozprasowanego jak zeschły liść na betonie pasa.

Pamiętał jazdę autobusem, górską drogę, smród spalin, brzegi przedniej szyby zaklejone pocztówkowymi hologramami niebieskich i różowych świętych. Ignorował górską scenerię, poświęcając całą uwagę kuli różowego lucytu i nierównemu tańcowi rtęci w jej wnętrzu. Nieco większa od baseballowej piłki, gałka tkwiła na zgiętym stalowym pręcie dźwigni zmiany biegów. Została odlana wokół przyczajonego pająka wydmuchanego z czystego szkła i w połowie wypełnionego rtęcią. Rtęć chlapała i kołysała się, kiedy szofer pędził swym autobusem po serpentynach, drżała i falowała na prostych. Gałka była śmieszna, ręcznie robiona, złowieszcza: tkwiła tam, by powitać go znowu w Meksyku.

Jeden z kilkunastu mikrosoftów, jakie dostał od Holendra, dawał ograniczoną znajomość hiszpańskiego. Jednak w Vallarta sięgnął za lewe ucho i wsunął w gniazdo zatyczkę, kryjąc ją pod kwadratem cielistego mikroporowego plastra. Pasażer w tyle autobusu miał radio. Głos spikera od czasu do czasu przerywał rytmiczny pop, recytując jak litanię ciągi dziesięciocyfrowych liczb: wygrane w loterii państwowej.

Kobieta obok niego poruszyła się we śnie.

Podparł się na łokciu i przyjrzał się jej. Obca twarz, ale nie taka, jakiej życie w hotelach nauczyło go oczekiwać. Spodziewał się raczej rutynowej piękności, płodu taniej chirurgii plastycznej i nieustępliwego darwinizmu mody, archetypu wypieczonego z twarzy

gwiazd ostatnich pięciu lat.

W linii szczęki miała coś ze środkowego zachodu, archaicznego i amerykańskiego. Niebieska pościel zwijała się jej wokół bioder, padające przez drewniane okiennice promienie słońca pokrywały długie uda ukośnymi pasami złota. Twarze, przy których budził się w hotelach całego świata, przypominały ozdoby na masce wozu samego Boga… Śpiące twarze kobiet, identyczne i samotne, nagie, zwrócone wprost w pustkę. Ale ta była inna. Już teraz wiązało się z nią jakieś znaczenie. Znaczenie i imię.

Usiadł, zsuwając nogi z łóżka. Podeszwy stóp wyczuły na zimnych kafelkach szorstkość morskiego piasku. W powietrzu unosił się lekki, przenikliwy zapach środka owadobójczego. Wstał nagi, z pulsującą głową. Zmusił nogi do ruchu. Sprawdził pierwsze z dwojga drzwi, znalazł białe kafelki, biały tynk, pękate, chromowane sitko prysznica na poznaczonej rdzą żelaznej rurze. Oba krany uwalniały identyczny strumyczek letniej wody. Obok plastikowej szklanki leżał antyczny zegarek: mechaniczny rolex na pasku z jasnej skóry.

W zakrytych okiennicami oknach łazienki nie było szyb, jedynie napięta siateczka z zielonego nylonu. Popatrzył między drewnianymi listwami, mrużąc oczy przed gorącym, czystym słońcem. Zobaczył wyschniętą fontannę wyłożoną kwiecistymi kafelkami i rdzewiejące zwłoki volkswagena rabbit.

Allison. Tak miała na imię.

Włożyła wystrzępione oliwkowe szorty i jedną z jego białych koszulek; nakręcany rolex ze zmętniałą stalową kopertą trafił na lewy przegub. Poszli na spacer wzdłuż łuku plaży, w stronę Barre de Navidad. Trzymali się wąskiego pasa twardego mokrego piasku powyżej linii fal.

Mieli już wspólną historię: pamiętał ją rankiem przy straganie pod żelaznym dachem małego miasteczkowego *mercado*, jak oburącz trzymała wielki gliniany kubek wrzącej kawy. Wymazując tortillą jajka z salsą z popękanego białego talerza, obserwował muchy krążące w smugach światła docierających przez łaty palmowych liści i skorodowane płyty. Chwilę rozmowy o jej pracy w jakiejś firmie prawniczej w Los Angeles, gdzie mieszkała sama w którymś ze skleconych na pontonach miasteczek zacumowanych niedaleko Redondo. Powiedział jej, że jest specjalistą doboru personelu. W końcu naprawdę zajmował się personelem.

— A może szukam jakiejś innej pracy…

Ale rozmowa wydawała się wtórna wobec tego, co istniało między nimi. Fregata zawisła im nad głowami, przez chwilę walczyła z wiatrem, ześliznęła się w bok, zawróciła i odleciała. Oboje zadrżeli widząc cudowną swobodę ptaka, jego bezmyślne szybowanie. Ścisnął

jej dłoń.

Niebieska sylwetka wyrosła przed nimi, zbliżając się plażą: żandarm maszerował do miasta. Wyglansowane, czarne wysokie buty na miękkim białym piasku wydawały się nierzeczywiste. Kiedy ich mijał, z twarzą smagłą i nieruchomą za lustrzanymi okularami, Turner zauważył karabinowego formatu laser Steiner-Optic z celownikiem Fabrique Nationale. Niebieski kombinezon był idealnie czysty, nogawki z kantami jak noże.

Przez większą część swego dorosłego życia Turner sam był żołnierzem, chociaż nigdy nie nosił munduru. Był najemnikiem, angażowanym przez wielkie korporacje, prowadzące nieustanną sekretną wojnę o panowanie nad gospodarkami całych państw. Specjalizował się w wydostawaniu wyższych urzędników i naukowców. Ponadnarodowe koncerny, dla których pracował, nigdy by nie przyznały, że istnieją tacy ludzie jak Turner…

— Wczoraj wieczorem wypiłeś prawie całą butelkę herradury — zauważyła.

Kiwnął głową. Jej dłoń w jego dłoni była ciepła i sucha. Przy każdym kroku spoglądał na palce jej stóp, na paznokcie pomalowane spękaną różową emalią.

Fale toczyły się do brzegu, ich szczyty były przejrzyste jak zielone szkło.

Pył wodny skraplał się na jej opaleniźnie.

Po pierwszym dniu razem ich życie potoczyło się według prostego wzoru. Jedli śniadanie w *mercado,* budce z betonowym kontuarem, wytartym do gładzi polerowanego marmuru. Rankiem pływali, dopóki słońce nie zapędzało ich do ocienionego okiennicami chłodu hotelowego pokoju. Tam kochali się pod wolnymi, drewnianymi łopatkami sufitowego wentylatora. Potem spali. Po południu badali labirynt wąskich uliczek za Avenida albo ruszali na wycieczkę na wzgórza. Na kolację szli do którejś z małych restauracyjek nad plażą i pili drinki na patiach białych hoteli. Światło księżyca kłębiło się na szczytach fal.

Stopniowo, bez słów, nauczyła go nowego stylu namiętności. Był przyzwyczajony do obsługi, do kontaktów z wyszkolonymi profesjonalistkami. Teraz w białej grocie klękał na kafelkach i zlizywał z niej sól Pacyfiku zmieszaną z jej wilgocią, a chłodne uda gładziły mu policzki. Z dłońmi na jej biodrach unosił ją jak kielich, mocno przyciskając wargi, gdy język szukał centrum, ogniska, częstotliwości, która doprowadzi ją na szczyt. Potem z uśmiechem wspinał się na nią, wchodził i szukał własnej drogi.

Czasami potem opowiadał: długie spirale luźnych historii splatały się i łączyły z szumem morza. Ona sama mówiła niewiele, ale nauczył

się cenić te nieliczne słowa. I zawsze obejmowała go. I słuchała.

Minął tydzień, potem następny. W ostatni ich wspólny dzień przebudził się w tym samym chłodnym pokoju i znalazł ją obok siebie. Przy śniadaniu miał wrażenie, że dostrzega w niej jakąś zmianę, niepokój.

Opalali się i pływali, a w znajomym łóżku zapomniał o lekkim ukłuciu lęku.

Po południu zaproponowała spacer plażą w stronę Barre, tam gdzie poszli pierwszego ranka.

Turner z gniazda za uchem wyjął zatyczkę i wsunął drzazgę mikrosoftu. Struktura hiszpańskiego przeniknęła go jak szklana wieża, niewidoczne bramy wisiały na zawiasach czasu teraźniejszego i przyszłego, trybów warunkowych i czasowników dokonanych. Zostawił ją w pokoju, przeszedł przez Avenida i znalazł się na rynku. Kupił wiklinowy kosz, puszki zimnego piwa, kanapki i owoce. Wracając wziął jeszcze od handlarza na Avenida nową parę okularów.

Miał już równą, ciemną opaleniznę. Zniknęły kanciaste łaty pozostawione po wszczepach Holendra, a ona nauczyła go jedności własnego ciała. Rankiem, kiedy w lustrze patrzył w zielone oczy, były to jego oczy, a w snach Holender przestał go dręczyć swymi marnymi dowcipami i suchym kaszlem. Czasami widywał jeszcze we śnie odpryski Indii, kraju, którego prawie nie znał; jaskrawe odłamki: Chandni Chauk, zapach kurzu i pieczonego chleba…

Mury zrujnowanego hotelu wyrastały w jednej czwartej łuku zatoki. Przybój był tu silniejszy, każda fala jak wybuch.

Pociągnęła go w tamtą stronę. W kącikach jej oczu dostrzegł coś nowego: napięcie. Mewy wzleciaiy w górę, kiedy szli ręka w rękę po plaży, by zajrzeć za puste otwory drzwi. Piasek osiadł i fasada budynku zapadła się. Ściany runęły, pozostawiając stropy trzech kondygnacji, niczym olbrzymie dachówki zwisające z pogiętych, pordzewiałych ścięgien grubych jak palec stalowych prętów. Każde piętro pomalowano na inny kolor, wyłożono innym wzorem płytek.

HOTEL PLAYA DEL M głosił napis z dziecięcych liter, ułożonych z muszli nad betonowym łukiem.

— Mar — dokończył, chociaż wyjął już mikrosoft.

— To koniec — powiedziała, wchodząc w cień łuku.

— Czego koniec?

Podążył za nią. Kosz ocierał mu biodro, piasek pod stopami był chłodny, suchy i miałki.

— Koniec. Skończone. To miejsce. Nie ma tu czasu, nie ma przyszłości.

Spojrzał na nią, a potem dalej, na zardzewiałe sprężyny łóżka

wbite w kąt między rozkruszonymi ścianami.

— Śmierdzi moczem — stwierdził. — Chodźmy popływać.

Morze stłumiło poczucie chłodu, lecz jakoś oddalili się od siebie. Siedzieli na kocu z pokoju Turnera i jedli w milczeniu. Cień ruin wydłużał się. Wiatr rozwiewał jej jasne od słońca włosy.

— Kiedy na ciebie patrzę, myślę o koniach — odezwał się w końcu.

— Tak? — odpowiedziała, jak gdyby z głębin zmęczenia. — W końcu wymarły dopiero trzydzieści lat temu.

— Nie. O ich włosach. Tych włosach na szyi, kiedy biegną.

— Grzywy — mruknęła. Łzy błysnęły jej w oczach. — Pieprz to. — Ramiona jej zadrżały. Odetchnęła głęboko. Rzuciła na piasek pustą puszkę po carta blanca. — To wszystko… i ja… jakie to ma znaczenie? — Jej ręce znowu go objęły. — Och, Turner, chodź! Chodź…

A kiedy kładła się na plecach, ciągnąc go za sobą, zobaczył coś: łódź zredukowaną odległością do białego myślnika tam, gdzie woda spotyka się z niebem.

Usiadł i wciągnął obcięte dżinsy. Znowu zobaczył jacht. Był teraz o wiele bliżej: pełna gracji biała sylwetka sunąca nisko po wodzie. Głębokiej wodzie. Sądząc po sile przyboju, dno musiało tu opadać niemal pionowo. Pewnie dlatego szereg hoteli przy plaży kończył się tam, gdzie się kończył. I dlatego nie przetrwała ta ruina. Fale wypłukały jej fundamenty.

— Daj mi kosz.

Zapinała bluzkę. Kupił ją dla niej w którymś z tych smętnych małych sklepików przy Avenida. Jaskrawoniebieska meksykańska bawełna, marnie uszyta. Kupowane tu rzeczy rzadko wytrzymywały dłużej niż dzień czy dwa.

— Prosiłem, żebyś mi podała kosz.

Posłuchała. Przeszukał resztki ich popołudnia; pod plastikową torbą z plastrami ananasa zalanymi sokiem z limy i przyprószonymi cayenne znalazł swoją lornetkę, niewielkie wojskowe szkła 6x30. Otworzył integralne osłony obiektywów i poduszek okularów, po czym przestudiował zaokrąglone ideogramy logo Hosaki. Żółty ponton wypłynął zza rufy i skierował się w stronę plaży.

— Turner, ja…

— Wstawaj.

Zwinął koc i jej ręcznik, wsunął do kosza. Obok lornetki postawił ostatnią puszkę ciepłego carta blanca. Wstał, podniósł ją na nogi i wcisnął kosz do rąk.

— Może się mylę — powiedział. — Jeśli tak, uciekaj stąd. Biegnij do tej drugiej kępy palm. — Pokazał palcem. — Nie wracaj do hotelu.

Złap autobus do Manzanillo albo Vallara. Jedź do domu.

Słyszał już warkot przyczepnego silnika.

Łzy stanęły jej w oczach, ale nie powiedziała ani słowa. Odwróciła się i pobiegła, mijając ruiny, przyciskając do piersi kosz, potykając się na ławicach nawianego piasku. Nie oglądała się za siebie.

Spojrzał na jacht. Ponton podskakiwał na falach przyboju. Jacht nazywał się „Tsushima", a ostatnim razem Turner widział go w Zatoce Hiroshimy, z jego pokładu podziwiał wrota Shinto w Itsukushima.

Nie potrzebował lornetki, by zgadnąć, że pasażerem pontonu jest Conroy, a steruje któryś z ninjów Hosaki. Krzyżując nogi usiadł na chłodnym piasku i otworzył swoją ostatnią puszkę meksykańskiego piwa.

Opierając nieruchome dłonie o tekowy reling „Tsushimy", spojrzał na linię białych nadbrzeżnych hoteli. Za nimi lśniły trzy hologramy miasteczka: Banamex, Aeronaves i sześciometrowa Dziewica nad katedrą.

Conroy stał obok.

— Nagłe zlecenie — powiedział. — Wiesz, jak to jest.

Głos miał równy, bez żadnej intonacji, jakby próbował naśladować tani chip głosowy. Szeroka twarz była blada, trupio blada. Podkrążone oczy kryły się głęboko, tlenioną grzywę zaczesywał do tyłu, odsłaniając szerokie czoło. Nosił czarne polo i czarne spodnie.

— Wejdźmy do środka — zaproponował.

Turner poszedł za nim, schylając głowę w niskich drzwiach kabiny. Białe parawany, jasna sosna bez najmniejszej skazy — surowy, tokijski szyk korporacyjny.

Conroy usiadł na niskim, prostokątnym pufie z ciemnoszarego ultraskaju. Turner stanął nieruchomo z rękami zwisającymi bezwładnie po bokach. Conroy wziął z niskiego lakowego stolika ozdobny inhalator.

— Wzmacniacz choliny?

— Nie.

Conroy wsunął sobie inhalator do nozdrzy i pociągnął. — Może zjesz sushi? — zapytał. Odłożył inhalator na stół. — Przed godziną złapaliśmy parę lucjanów.

Turner stał bez ruchu i patrzył.

— Christopher Mitchell — oznajmił Conroy. — Maas Biolabs. Ich czołowy spec od układów hybrydowych. Przechodzi do Hosaki.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Bzdura. A co powiesz na drinka? Turner pokręcił głową.

— Krzem już się kończy, Turner. Mitchell to facet, który wymyślił biochipy, a Maas siedzi na głównych patentach. Wiesz o tym. To ten

gość od monoklonali. Chce odejść. Ty i ja, Turner, mamy go przerzucić.

— Chyba przeszedłem na emeryturę, Conroy. Dobrze mi tu było.

— To właśnie stwierdził zespół psycho w Tokio. Przecież już nie pierwszy raz wychodzisz z dołka. Ona jest psychologiem polowym. Pracuje dla Hosaki.

Mięsień w udzie Turnera zaczął drgać rytmicznie.

— Mówią, że jesteś gotów, Turner. Po New Delhi trochę się o ciebie martwili, dlatego woleli sprawdzić. Taka drobna terapia na boku. Nigdy nie zaszkodzi, nie?

ROZDZIAŁ 2
MARLY

Idąc na spotkanie włożyła swoje najlepsze rzeczy, ale w Brukseli padał deszcz, a ona nie miała pieniędzy na taksówkę. Szła piechotą od stacji Eurotrans.

Dłoń ukryta w kieszeni porządnego żakietu — od Sally Stanley, ale z poprzedniego sezonu — z całej siły ściskała pomięty faks. Nie był jej już potrzebny, adres znała na pamięć. Ale nie potrafiła puścić papieru, tak jak nie mogła przełamać niezwykłego transu. Stała przed wystawą drogiego sklepu z męską odzieżą, a jej wzrok ogniskował się na przemian na spokojnych, flanelowych koszulach i na odbiciu własnych ciemnych oczu.

Same oczy wystarczyłyby, żeby nie dostała tej pracy. Mokre włosy już nie zaszkodzą; teraz żałowała, że nie pozwoliła Andrei ich ściąć. W oczach malowało się cierpienie i apatia; każdy mógłby je dostrzec i z pewnością wkrótce odkryje je Herr Josef Virek, najmniej prawdopodobny z potencjalnych pracodawców.

Kiedy dostarczono jej faks, z uporem powtarzała, że to okrutny żart, kolejny po serii anonimowych telefonów. Głównie mediom zawdzięczała, że ludzie nie dawali jej spokoju. W końcu Andrea zamówiła specjalny program telefoniczny, który filtrował wszystkie wezwania nie wymienione w jej stałym katalogu. Ale to właśnie, tłumaczyła, wymusiło użycie faksu. W jaki sposób ktoś mógł się z nią skontaktować?

Ale Marly tylko pokręciła głową i mocniej owinęła się starym frotowym szlafrokiem Andrei. Dlaczego Virek, niewiarygodnie bogaty kolekcjoner i mecenas sztuki, chciałby zatrudnić skompromitowaną eks-właścicielkę maleńkiej paryskiej galerii?

Wtedy z kolei Andrea potrząsnęła głową, zniecierpliwiona tą nową, „skompromitowaną" Marly Krushkovą, która całe dnie spędzała w mieszkaniu, a czasem nie chciało się jej nawet ubierać. Nieudaną próbę sprzedaży w Paryżu jednego falsyfikatu trudno byłoby uznać za taką sensację, twierdziła Andrea. Gdyby prasie nie zależało tak bardzo, by z tego obrzydliwego Gnassa zrobić głupca, którym z całą pewnością jest, mówiła dalej, cała sprawa pewnie nawet nie trafiłaby do gazet. Gnass był dostatecznie bogaty i dostatecznie wulgarny, żeby wystarczyć na weekendowy skandal.

Andrea uśmiechnęła się.

— Gdybyś była mniej atrakcyjna, nikogo by to nie zainteresowało.

Marly pokręciła głową.

— A to Alain dokonał fałszerstwa. Ty o niczym nie wiedziałaś. Marly bez słowa wyszła do łazienki, wciąż otulona wytartym szlafrokiem.

Przyjaciółka chciała jej pomóc, ale nie potrafiła ukryć zniecierpliwienia, zmuszona dzielić bardzo małe mieszkanko z nieszczęśliwym i nie płacącym za siebie gościem.

W dodatku Marly musiała jeszcze pożyczyć od niej na bilet Eurotransu.

Z bolesnym wysiłkiem wyrwała się z kręgu swych myśli i włączyła w gęsty, ale spokojny strumień belgijskich kupujących.

Dziewczyna w jaskrawych rajstopach i za dużej lodenowej kurtce najwyraźniej zabranej chłopakowi przebiegła obok, czysta i uśmiechnięta. Przy następnym skrzyżowaniu Marly znalazła sklepik z ubraniami w stylu, jaki lubiła za swoich studenckich czasów. Rzeczy wydawały się niewiarygodnie młode.

W zbielałej, ukrytej pięści — faks.

Galerie Duperey, 14 Rue au Buerre, Bruksela.

Josef Virek.

Recepcjonistka w chłodnym szarym holu Galerie Duperey mogła równie dobrze tam wyrosnąć: piękna i zapewne trująca roślina zakorzeniona za płytą polerowanego marmuru z inkrustacją krytej emalią klawiatury. Uniosła lśniące oczy. Marly wyobraziła sobie, że słyszy stuk i szum migawki, a wizerunek jej zmokniętej postaci zostaje przekazany do jakiegoś odległego zakątka imperium Josefa Vireka.

— Marly Krushkova — przedstawiła się. Z trudem powstrzymała chęć, by wyjąć zgnieciony w kulkę faks i dumnie rozprostować go na zimnym, nieskazitelnym marmurze. — Do Herr Vireka.

— Fraulein Krushkova — powiedziała recepcjonistka. — Herr Virek nie mógł dziś przybyć do Brukseli.

Marly obserwowała doskonały kontur warg, świadoma jednocześnie bólu, jaki sprawiły jej te słowa, i ostrej rozkoszy, z jaką uczyła się przyjmować rozczarowania.

— Rozumiem.

— Jednakże postanowił przeprowadzić rozmowę z panią przez łącze sensoryczne. Zechce pani przejść do trzecich drzwi po lewej stronie…

Pokój był pusty i biały. Na dwóch ścianach wisiały bez ram arkusze czegoś, co wyglądało jak zmoczona deszczem tektura, przebijana raz po raz rozmaitymi narzędziami. *Katatonenkunst.* Konserwatywne. Takie prace sprzedawało się komitetom delegowanym przez rady nadzorcze holenderskich banków komercyjnych.

Usiadła na niskiej ławie obitej skórą i wreszcie zdecydowała się wypuścić z dłoni faks. Była tu sama, choć domyślała się, że jest obserwowana.

— Fraulein Krushkova… — Młody człowiek w zielonym fartuchu technika stanął w drzwiach naprzeciwko tych, którymi weszła. — Proszę, by za chwilę podeszła pani do tych drzwi, chwyciła gałkę powoli, ale stanowczo i w sposób, który zapewni maksymalny kontakt ze skórą dłoni. Proszę iść ostrożnie. Dezorientacja przestrzenna powinna być minimalna.

Spojrzała zdziwiona.

— Przepraszam…

— Łącze sensoryczne — odparł i zniknął. Drzwi zamknęły się za nim.

Wstała, spróbowała nadać jakiś kształt wilgotnym klapom żakietu, sięgnęła do włosów, zrezygnowała, odetchnęła głęboko i podeszła do drzwi. Informacja recepcjonistki przygotowała ją na jedyny znany jej rodzaj łącza: sygnał symstymowy przekazywany via Bell Europa. Zakładała, że założy hełm nabijany dermatrodami, a Virek wykorzysta pasywnego obserwatora jako ludzką kamerę.

Ale fortuna Vireka umieściła go na całkiem innej skali możliwości.

Kiedy jej palce objęły zimną, mosiężną gałkę, miała wrażenie, że metal się poruszył, w ciągu pierwszej sekundy kontaktu przesunął przez dotykowe widmo tekstur i temperatur. I znowu stał się metalem, zielono malowanym żelazem, antyczną balustradą, którą ściskała zdumiona.

Kilka kropel upadło jej na twarz.

Zapach deszczu i wilgotnej ziemi.

Chaos drobnych szczegółów, gdy jej wspomnienia z alkoholowej imprezy w akademii walczyły z perfekcją iluzji Vireka.

Poniżej rozpościerała się niemożliwa do pomylenia panorama Barcelony, mgiełka przesłaniała niezwykłe iglice kościoła Sagrada Familia. Walcząc z zawrotem głowy, chwyciła drugą ręką balustradę. Znała to miejsce. Znalazła się w Güell Park, wystrzępionej krainie czarów Antonio Gaudiego, na nagim zboczu za centrum miasta. Po lewej stronie wielki jaszczur z szaleńczo zdobionej ceramiki zamarł w ześlizgu na rampie z szorstkiego kamienia. Fontanna jego paszczy zraszała klomb zmęczonych kwiatów.

— Jesteś zdezorientowana. Wybacz mi, proszę.

Josef Virek siedział poniżej na jednej z wygiętych w serpentyny parkowych ławek. Szerokie ramiona przygarbił pod lekkim płaszczem. Miała wrażenie, że przez całe życie znała jego twarz. Teraz — nie wiedziała czemu — przypomniała sobie fotografię Vireka z królem Anglii. Uśmiechał się do niej. Głowę miał dużą i pięknie

ukształtowaną pod grzywą sztywnych, ciemnosiwych włosów. Nozdrza były nieustannie rozszerzone, jakby wychwytywał zapachy wiatrów sztuki i handlu. Oczy, bardzo duże za okrągłymi szkłami bez ramek — jego znakiem firmowym — były błękitne i dziwnie łagodne.

— Usiądź. — Poklepał przypadkową mozaikę rozbitych glinianych naczyń, zdobiącą siedzenie ławki. — Musisz mi wybaczyć tę zależność od techniki. Od ponad dekady uwięziony jestem w zbiorniku. Na jakimś ohydnym, przemysłowym przedmieściu Sztokholmu. A może piekła… Nie jestem zdrowy, Marly. Usiądź tu, koło mnie.

Odetchnęła głęboko, zeszła po kamiennych schodkach i przekroczyła alejkę.

— Herr Virek… — zaczęła. — Dwa lata temu byłam na pańskim wykładzie w Monachium. Krytyka Faesslera i jego *autistiches Theater*. Wyglądał pan wtedy zdrowo…

— Faessler? — Virek zmarszczył opalone czoło. — Widziałaś sobowtóra. A może hologram. Wiele rzeczy, Marly, dokonuje się w moim imieniu. Pewne aspekty mojej fortuny stopniowo zdobyły autonomię; czasami nawet walczą między sobą. Rebelia na fiskalnych rubieżach… Tym niemniej, z powodów tak złożonych, że niemal całkowicie okultystycznych, fakt mojej choroby nigdy nie przedostał się do publicznej wiadomości.

Siadła przy nim i spojrzała na brudny chodnik między zabłoconymi czubkami jej paryskich bucików. Zobaczyła odprysk jasnego żwiru, zardzewiały spinacz do papieru, zakurzone zwłoki pszczoły czy szerszenia…

— Zadziwiająco szczegółowa wizja…

— Tak — przyznał. — To nowe biochipy Maasa. Muszę wyznać — kontynuował — że moja wiedza o twoim życiu osobistym jest niemal równie szczegółowa. W pewnych kwestiach nawet pełniejsza od twojej własnej.

— Naprawdę?

Najłatwiej, jak stwierdziła, było obserwować miasto, wyszukiwać charakterystyczne punkty zapamiętane z kilku studenckich wycieczek. Tam, właśnie tam jest pewnie Ramblas, papugi i kwiaty, tawerny, gdzie podają ciemne piwo i małże…

— Tak. Wiem, że to twój kochanek przekonał cię, iż odnalazłaś zagubiony oryginał Cornella.

Marly zamknęła oczy.

— Zamówił falsyfikat. Wynajął dwóch utalentowanych studentów-rzemieślników i pewnego znanego historyka, który znalazł się w kłopotach natury osobistej… Zapłacił im pieniędzmi z konta twojej galerii, jak się już z pewnością domyśliłaś. Płaczesz…

Marly skinęła głową. Chłodny palec stuknął ją w nadgarstek.

— Przekupiłem Gnassa. Przekupiłem policję, żeby dała spokój tej sprawie. Prasa nie była warta przekupstwa, zresztą rzadko bywa. A teraz, być może, przyda ci się ten niewielki rozgłos.

— Herr Virek, ja…

— Jedną chwilę, jeśli pozwolisz. Paco! Chodź tu, moje dziecko. Marly otworzyła oczy. Zobaczyła chłopca mniej więcej sześcioletniego, w obcisłej czarnej marynarce i pumpach, jasnych pończochach i zapinanych czarnych butach. Trzymał coś w dłoniach… Jakieś pudełko…

— Gaudi rozpoczął budowę tego parku około 1900 roku — wyjaśnił Virek. — Paco nosi kostium z epoki. Podejdź, dziecko. Pokaż nam swoje cudo.

— Señor… — wyseplenił Paco, skłonił się i zaprezentował trzymany przedmiot.

Marly spojrzała. Pudełko z gładkiego drewna. Przeszklone od frontu. Obiekty…

— Cornell — szepnęła, zapominając o łzach. — Cornell? — zwróciła się do Vireka.

— Oczywiście że nie. Ten obiekt wbudowany w kość to biomonitor Brauna. Widzisz dzieło żyjącego artysty.

— Jest ich więcej? Takich pudełek?

— Ja odnalazłem siedem. Zajęło mi to trzy lata. Kolekcja Vireka, moja droga, to rodzaj czarnej dziury. Nadnaturalna gęstość mojego bogactwa niepowstrzymanie ściąga najrzadsze dzieła ludzkiego ducha. Proces autonomiczny, któremu zwykle nie poświęcam zbyt wiele uwagi…

Ale Marly zatonęła w pudełku, w sugestii niemożliwych dystansów, straty i pragnienia. Było poważne, łagodne i jakby dziecinne. Zawierało siedem obiektów.

Wąską, pustą kość, z pewnością uformowaną do lotu, z pewnością pochodzącą ze skrzydła jakiegoś dużego ptaka. Trzy archaiczne płytki zdobione labiryntami złota. Gładką białą kulę wypieczonej gliny. Poczerniały od wieku strzęp koronki. Odcinek długości palca z czegoś, co uznała za kość z ludzkiego nadgarstka, szarawobiałą, przebitą gładko krzemowym grotem małego instrumentu, który kiedyś musiał się znajdować na poziomie skóry… ale jego tarcza była spalona i poczerniała.

Pudełko było wszechświatem, poematem zamrożonym w granicach ludzkiego doświadczenia.

— *Gracias,* Paco.

Pudełko i chłopiec zniknęli. Otworzyła usta.

— Och… Wybacz, zapomniałem, że te zmiany są dla ciebie zbyt nagłe. Jednakże teraz musimy pomówić o twoich obowiązkach…

— Herr Virek — przerwała. — Czym jest Paco?

— Podprogramem.

— Rozumiem.

— Wynająłem cię, żebyś odnalazła twórcę pudełka.

— Ale Herr Virek, przy pańskich możliwościach…

— Teraz i ty do nich należysz, moje dziecko. Czy nie chcesz być zatrudniona? Kiedy moją uwagę zwróciła sprawa Gnassa, któremu podstawiono fałszywego Cornella, zrozumiałem, że możesz być użyteczna przy tym zadaniu. — Wzruszył ramionami. — Musisz przyznać, że posiadam pewien talent doprowadzania do pożądanych rezultatów.

— Naturalnie, Herr Virek! I tak, chcę pracować!

— Doskonale. Będziesz otrzymywać pensję. Uzyskasz dostęp do pewnych linii kredytowych, chociaż gdybyś zamierzała nabyć, powiedzmy, znacznych rozmiarów nieruchomości…

— Nieruchomości?

— Albo korporację czy statek kosmiczny. W takim przypadku wymagana będzie moja autoryzacja. Którą prawie na pewno otrzymasz. Poza tym masz wolną rękę. Sugeruję jednak, byś działała w skali, w jakiej czujesz się najlepiej. W przeciwnym razie grozi ci utrata kontaktu z własną intuicją. Intuicja zaś w takich przypadkach jest rzeczą kluczowej wagi. — Słynny uśmiech błysnął dla niej raz jeszcze.

Nabrała tchu.

— Herr Virek, a jeśli mi się nie uda? Ile mam czasu na odszukanie tego artysty?

— Resztę swego życia — odparł.

— Proszę wybaczyć — usłyszała przerażona własny głos. — Ale, jak zrozumiałam, powiedział pan, że żyje… w zbiorniku?

— Tak, Marly. I z tej dość krańcowej perspektywy mogę ci doradzić, żebyś starała się każdą godzinę przeżywać we własnym ciele. Nie w przeszłości, jeśli mnie rozumiesz. Mówię jako ktoś, kto nie potrafi już tolerować tego prostego stanu, jako że komórki mojego ciała wybrały błędne dążenie do indywidualnej kariery. Wyobrażam sobie, że człowiek, któremu bardziej sprzyja szczęście, albo uboższy, mógłby w końcu umrzeć czy zostać zakodowany w rdzeniu jakiegoś hardware'u. Mnie jednak ogranicza bizantyjska sieć okoliczności, pochłaniająca, jak rozumiem, około dziesiątej części mojego rocznego dochodu. Co czyni mnie, jak sądzę, najkosztowniejszym inwalidą na świecie. Wzruszyły mnie, Marly, twoje sercowe przeżycia. Zazdroszczę ci uporządkowanego ciała, z którego biorą początek.

Przez jedną chwilę patrzyła w te błękitne oczy i z instynktowną pewnością ssaka wiedziała, że nadmiernie bogaci nie są nawet w przybliżeniu ludźmi.

Skrzydło nocy przemknęło po niebie nad Barceloną niczym ogromna, powolna migawka. Virek i Güell zniknęli, a ona znalazła się

znowu na niskiej skórzanej ławie, wpatrzona w wystrzępione arkusze poplamionej tektury.

ROZDZIAŁ 3
BOBBY TRAFIA WILSONA

To taka zwykła rzecz: śmierć. Teraz to rozumiał: po prostu się zdarza. Człowiek spieprzył odrobinę i już była: coś zimnego i bez zapachu, co wydymało się z czterech głupich kątów saloniku matki w Barrytown.

Szlag, pomyślał. Dwadziennie będzie boki zrywał ze śmiechu. Za pierwszym razem trafiłem wilsona.

Jedynym dźwiękiem w pokoju był słaby, jednostajny brzęk jego wibrujących zębów, naddźwiękowa epilepsja, gdy sprzężenie zwrotne wgryzało się w system nerwowy. Widział swoją znieruchomiałą dłoń drżącą delikatnie o centymetry od czerwonego plastikowego klawisza, który mógłby przerwać mordercze połączenie.

Szlag…

Wrócił do domu i od razu wziął się do roboty. Wcisnął kasetę z wynajętym od Dwadziennie lodołamaczem, włączył się i wystukał adres bazy, którą wybrał jako swój pierwszy prawdziwy cel. Uznał, że tak właśnie powinno się to załatwiać: chcesz coś zrobić, więc robisz. Dopiero od miesiąca miał swój mały dek Ono-Sendai, ale już wiedział, że chce być czymś więcej niż szpanerem w Barrytown. Bobby Newmark, znany jako Graf Zero… Ale to już historia. Filmy nigdy się tak nie kończyły, nie na samym początku. Na filmie dziewczyna kowboja, głównego bohatera, a może jego partner, wbiegłby, zerwał mu trody, wcisnął ten mały czerwony guzik z napisem OFF. I człowiek jakoś by z tego wyszedł.

Ale Bobby był teraz sam; jego autonomiczny system nerwowy został pokonany przez obronę bazy danych działającej trzy tysiące kilometrów od Barrytown. Wiedział o tym. W złowieszczym mroku zachodziły jakieś magiczne reakcje, coś, co pozwalało mu dostrzec nieskończoną atrakcyjność pokoju z jego dywanem w kolorze dywanu i zasłonobarwnych zasłon, przybrudzoną piankową kanapą i kanciastą chromową ramą podtrzymującą sześcioletni moduł rozrywkowy Hitachi.

Przygotowując się do wejścia, starannie zaciągnął te zasłony. Lecz teraz zdawało mu się, że jakoś spogląda przez nie na bloki Barrytown wzbierające betonową falą, łamiącą się na ciemniejszych wieżach Projektów. Fala bloków jeżyła się owadzimi czułkami anten i siatkowych talerzy satelitarnych, powiązanych sznurami schnącej bielizny. Matka zawsze się na to skarżyła — miała suszarkę. Pamiętał pobielałe kostki jej dłoni ściskającej balustradę z imitacji brązu, pamiętał suche zmarszczki w miejscu, gdzie zginała przegub. Pamiętał

martwego chłopca wynoszonego z Wielkiego Lunaparku na duralowych noszach, owiniętego w plastikową folię tego samego koloru co policyjny radiowóz. Upadł i rozbił sobie głowę. Upadł. Głowa. Wilson.

Serce zatrzymało się. Miał uczucie, że pada na bok, kopiąc nogami jak zwierzak w kreskówce.

Szesnasta sekunda śmierci Bobby'ego Newmarka. Śmierci szpanera.

I wtedy coś pochyliło się… Niewysłowiony ogrom spoza najdalszej granicy wszystkiego, co znał i co sobie wyobrażał. I dotknęło go.

::: CO TYROBISZ? DLACZEGO ONI CI TO ROBIĄ?

Dziewczęcy głos, kasztanowe włosy, ciemne oczy…

: ZABIJAJĄ MNIE ZABIJAJĄ MNIE PRZERWIJ TO PRZERWIJ…

Ciemne oczy, pustynna gwiazda, beżowa koszulka, dziewczęce włosy…

::: ALE TO TYLKO TAKA SZTUCZKA, WIDZISZ? TYLKO CI SIĘ WYDAJE, ŻE TO CIĘ DOSTAŁO. PATRZ. ZARAZ TU POPRAWIĘ… I JUŻ NIE ZACIĄGASZ PĘTLI.

Jego serce przekoziołkowało na plecy i wykopało obiad czerwonymi nogami z kreskówki, galwanicznym spazmem żabiej nóżki, który zwalił go z krzesła i zerwał z czoła trody. Pęcherz puścił, gdy głowa trafiła w róg Hitachi, a ktoś powtarzał szlag szlag szlag w zapach kurzu na dywanie. Dziewczęcy głos umilkł, zniknęła gwiazda pustyni, mgnienie wrażenia chłodnego wiatru i wygładzonego wodą kamienia…

I wtedy głowa mu eksplodowała. Widział to całkiem wyraźnie gdzieś z bardzo daleka. Jak granat fosforowy.

Biel.

Światło.

ROZDZIAŁ 4
ODLICZANIE

Czarna honda zawisła dwadzieścia metrów nad ośmiokątnym pokładem opuszczonej platformy wiertniczej. Zbliżał się świt i Turner dostrzegł wymalowany na płycie lądowiska wyblakły kontur koniczynki zagrożenia biologicznego.

— Macie tam biohazard, Conroy?

— Nie taki, do jakiego nie byłbyś przyzwyczajony.

Postać w czerwonym kombinezonie machała rękami, dając znaki pilotowi. Kiedy lądowali, podmuch wymiatał do morza strzępy opakowań. Conroy uderzył w płytkę zwalniającą uprząż i ponad Turnerem sięgnął do zamka włazu. Klapa odsunęła się i natychmiast uderzył w nich huk silników. Conroy stuknął go w ramię i kilka razy machnął z dołu do góry otwartą dłonią. Wskazał palcem pilota.

Turner wydostał się na zewnątrz i zeskoczył; śmigło wirowało jak plama gromu. Potem obok przykucnął Conroy. Zbiegli z wyblakłej koniczynki pochyleni, na ugiętych nogach, krokiem typowym dla lądowisk śmigłowców. Podmuch hondy owijał im nogawki wokół kostek. Turner miał gładką szarą walizkę wytłoczoną z balistycznego ABS, swój jedyny bagaż. Ktoś zapakował ją dla niego w hotelu i czekała już na „Tsushimie". Nagła zmiana wysokości dźwięku poinformowała go, że honda się wznosi. Z wyciem wirnika odleciała ku brzegowi. Nie zapalała świateł. Kiedy hałas ucichł, Turner usłyszał krzyk mew, plusk i szum fal Pacyfiku.

— Ktoś kiedyś próbował tu założyć bank danych — wyjaśnił Conroy. — Wody międzynarodowe. Nikt jeszcze wtedy nie mieszkał stale na orbicie, więc przez kilka lat miało to sens. — Ruszył w stronę pordzewiałego lasu wsporników podtrzymujących nadbudówkę platformy. — Jeden ze scenariuszy Hosaki przewidywał, że ściągniemy Mitchella tutaj, prześwietlimy go, wpakujemy na „Tsushimę" i pełną parą ruszymy do starej Japonii. Powiedziałem, żeby nawet nie myśleli o tym gównie. Maas wykryje co trzeba, a potem mogą walnąć w nas czym tylko zechcą. Powiedziałem, że kluczem jest ten kompleks, który mają w Distrito Federal. Mam rację? Tam na wiele numerów Maas się nie odważy, nie w środku pieprzonego Mexico City…

Z cienia wynurzył się jakiś człowiek z twarzą zniekształconą przez pękate gogle systemu amplifikacji obrazu. Machnął na nich tępymi, zblokowanymi wylotami strzałkowca Lansinga.

— Biohazard — mruknął Conroy, kiedy mijali strażnika. — Schyl głowę. I uważaj, schody są śliskie.

Platforma cuchnęła korozją, zaniedbaniem i słoną wodą. Nie było okien. Rosnące liszaje rdzy pokrywały wyblakłe kremowe ściany. Co kilka metrów ze wsporników stropu zwisały bateryjne lampy fluorescencyjne, rzucając upiorny zielonkawy blask, równocześnie jaskrawy i denerwująco nierówny. W głównej hali pracowało kilkunastu ludzi; poruszali się ze spokojną precyzją dobrych techników. Zawodowcy, pomyślał Turner. Rzadko na siebie spoglądali i prawie się nie odzywali. Było zimno, strasznie zimno. Conroy podał mu wielką parkę z mnóstwem rzepów i zamków.

Klęczący brodaty mężczyzna w futrzanej lotniczej kurtce srebrną taśmą mocował do powyginanej wręgi zwoje światłowodu. Conroy szeptem toczył dyskusję z czarną kobietą ubraną w kurtkę podobną do parki Turnera. Brodaty technik podniósł głowę i zauważył go.

— O cholera! — zawołał, wciąż na kolanach. — Domyślałem się, że to wielki numer, ale widzę, że będzie też gorąco.

Wstał, odruchowo wycierając ręce o nogawki dżinsów. Jak wszyscy tutaj, nosił mikroporowe rękawiczki chirurgiczne.

— Ty jesteś Turner. — Uśmiechnął się, zerknął w stronę Conroya i wyjął z kieszeni kurtki czarną plastikową butelkę. — Rozgrzej się trochę. Pamiętasz mnie? Byłem z tobą przy tej robocie w Marrakech, kiedy chłopak z IBM przechodził do Mitsu-G. Mocowałem ładunki do autobusu, coście nim razem z Francuzem wjechali do holu tego hotelu…

Turner wziął butelkę, zrzucił nakrywkę i przechylił. Bourbon. Zapiekł mocno i ostro, ciepło rozlało się z okolic mostka.

— Dzięki.

Oddał butelkę, a brodacz schował ją do kieszeni.

— Oakey — powiedział. — Tak się nazywam: Oakey. Pamiętasz?
— Jasne — skłamał Turner. — Marrakech.

— Wild Turkey — poinformował Oakey. — Leciałem tu przez Schiphol i zajrzałem do bezcłowego. Twój partner… — jeszcze jeden rzut oka na Conroya — …jest trochę spięty. Znaczy się, nie tak jak w Marrakech. Mam rację?

Turner kiwnął głową.

— Jakbyś czegoś potrzebował, daj znać.

— Na przykład czego?

— Jeszcze drinka. Mam też peruwiański śnieg, taki całkiem żółty.
— Oakey znów się uśmiechnął.

— Dzięki — powtórzył Turner.

Zauważył, że Conroy odwraca się od czarnej kobiety. Oakey też to dostrzegł, przyklęknął szybko i oderwał świeży kawałek srebrnej taśmy.

— Kto to był? — zapytał Conroy, kiedy wprowadził Turnera za

wąskie drzwi z gnijącymi czarnymi uszczelkami na krawędziach. Zakręcił kołem przesuwającym zapadki; niedawno ktoś je naoliwił.

— Nazywa się Oakey.

Turner rozejrzał się po kajucie. Mniejsza. Dwie lampy, składane stoły i krzesła, wszystko nowe. Na stołach jakieś instrumenty pod czarnymi plastikowymi pokrowcami.

— Twój przyjaciel?

— Nie. Kiedyś dla mnie pracował. Podszedł do stołu i odrzucił pokrowiec.

— Co to jest?

Konsola miała prosty, surowy wygląd fabrycznego prototypu.

— Dek cyberprzestrzeni. Maas-Neotek. Turner uniósł brwi.

— Twój?

— Mamy dwa. Jeden tu, jeden na pozycji. Od Hosaki. Podobno najszybsza zabawka w matrycy, a Hosaka nie potrafi nawet skopiować konstrukcji chipów. Całkiem nowa technologia.

— Dostali je od Mitchella?

— Nie mówią. Ale wypuścili je z rąk tylko po to, żeby dać naszym dżokejom przewagę. A to świadczy, że bardzo chcą dostać faceta.

— Kto siedzi przy konsoli, Conroy?

— Jaylene Slide. Przed chwilą z nią rozmawiałem. — Ruchem głowy wskazał drzwi. — Na placówce facet z L.A. Taki dzieciak, nazywa się Ramirez.

— Są dobrzy? — Turner założył pokrowiec z powrotem.

— Lepiej, żeby byli, biorąc pod uwagę, ile im płacimy. Przez ostatnie dwa lata Jaylene zyskała niezłą reputację, a Ramirez to jej uczeń. Szlag by ich… — Conroy wzruszył ramionami. — Przecież znasz tych kowbojów, nie? Wszyscy zdrowo szurnięci.

— Skąd ich wytrzasnąłeś? A skoro już o tym mowa, skąd wziąłeś Oakeya?

Conroy uśmiechnął się.

— Od twojego agenta, Turner.

Turner przyjrzał mu się uważnie, po czym skinął głową. Odwrócił się i podniósł następny pokrowiec: plastikowe i styropianowe pudełka ułożone równo jedno na drugim na zimnym metalu stołu. Dotknął niebieskiego prostokąta plastiku z wybitym srebrnym monogramem: S W.

— Twój agent — wyjaśnił Conroy, gdy Turner odchylił pokrywkę. W łożu z jasnoniebieskiej pianki leżała broń: masywny rewolwer z brzydką narośla pod krótką lufą. — S W Tactical.408 z ksenonowym projektorem. Powiedział, że tego zażądasz.

Turner wyjął rewolwer i wcisnął kciukiem przycisk testu baterii projektora. Dwa razy błysnęła czerwona LEDa na orzechowej rękojeści. Wypchnął na bok bębenek.

— Amunicja?

— Na stole. Ręcznie ładowane, z wybuchowymi pociskami. Turner znalazł przezroczystą kostkę bursztynowego plastiku, otworzył ją lewą ręką i wyjął nabój.

— Dlaczego mnie do tego wybrali, Conroy? — Obejrzał nabój i wsunął go do jednej z sześciu komór bębenkowego magazynka.

— Nie wiem. Wygląda na to, że mieli cię w planach, kiedy dostali wiadomość od Mitchella…

Turner zakręcił bębenkiem i zatrzasnął go.

— Pytałem, dlaczego mnie do tego wybrali. — Oburącz podniósł rewolwer i wyprostował ramiona, mierząc w twarz Conroya. — Przy takiej spluwie czasami możesz spojrzeć w głąb lufy… Zobaczyć, czy jest tam kula.

Conroy pokręcił głową, ledwie widocznie.

— A może widzisz ją w którejś z pozostałych komór…

— Nie — odparł Conroy, bardzo cicho. — Nic z tego.

— Może psychiatrzy spieprzyli robotę, Conroy. Co ty na to?

— Nie. — Twarz Conroya nie drgnęła. — Nie spieprzyli i ty nie spieprzysz.

Turner nacisnął spust. Kurek szczęknął o pustą komorę. Conroy mrugnął, otworzył usta, zamknął. Patrzył, jak Turner opuszcza Smith Wessona. Samotna kropla potu wytoczyła się z włosów i zniknęła w brwi.

— No więc? — spytał Turner. Ręka z bronią wisiała mu u boku.

Conroy wzruszył ramionami.

— Nie rób takich numerów.

— Tak bardzo im na mnie zależy?

Conroy kiwnął głową.

— To twoje przedstawienie, Turner.

— Gdzie jest Mitchell? — Znowu wysunął magazynek i zaczął ładować pięć pozostałych komór.

— W Arizonie. Jakieś pięćdziesiąt kilometrów od linii Sonory, w ośrodku badawczym na płaskowyżu. Maas Biolabs, Ameryka Północna. Wszystko tam należy do nich, aż do samej granicy, a płaskowyż leży w samym środku pól obserwacji czterech satelitów zwiadowczych. *Mucho* szczelny system.

— A jak my mamy się tam dostać?

— Nie musimy. Mitchell sam wyjdzie. Zaczekamy na niego, przejmiemy i dostarczymy Hosace jego dupę w jednym kawałku. — Conroy sięgnął zgiętym palcem za rozpięty kołnierzyk czarnej koszuli i wyciągnął czarną nylonową linkę, a potem zapięty na rzepa nylonowy futerał. Otworzył go ostrożnie, wyjął jakiś przedmiot i na otwartej dłoni wręczył Turnerowi. — Masz. To nam przysłał.

Turner odłożył rewolwer na stolik i wziął niezwykły obiekt.

Przypominał nabrzmiały szary mikrosoft: z jednej strony standardowe neurozłącze, z drugiej dziwaczna zaokrąglona narośl, niepodobna do niczego, co w życiu widział.

— Co to jest?

— Biosoft. Jaylene go włączyła; myślała, mówi, że chodzi o zrzut danych z SI. To coś w rodzaju *dossier* Mitchella z doklejoną na końcu wiadomością do Hosaki. Lepiej sam się włącz; chcesz się szybko zorientować w sytuacji…

Turner podniósł głowę.

— Jak to wzięło Jaylene?

— Powiedziała, że lepiej to robić na leżąco. Chyba się jej nie spodobało.

Maszynowe sny powodowały szczególny zawrót głowy. Turner położył się na dziewiczym płacie zielonej gąbki w zaimprowizowanej sypialni i włączył *dossier* Mitchella. Uruchamiało się powoli — dość czasu, żeby zamknąć oczy.

Dziesięć sekund później miał je otwarte. Zacisnął palce na gąbce i zwalczył atak mdłości. Jeszcze raz zamknął oczy… Zaskoczyło znowu, stopniowo: migotliwy, nieliniowy potok faktów i odczuć zmysłowych, rodzaj opowieści przekazywanej w surrealistycznych przeskokach i cięciach. Mgliście przypominało jazdę rollercoasterem, który przefazowywał z istnienia w niebyt i z powrotem w przypadkowych, niewiarygodnie szybkich interwałach, po każdym pulsie nicości zmieniając wysokość, kąt i kierunek. Tyle że te zmiany nie miały nic wspólnego z fizyczną orientacją, a raczej z błyskawicznymi przekształceniami systemu paradygmatów i symboli. Te dane nigdy nie były przeznaczone dla ludzkiego odbiornika.

Otwierając oczy wyrwał obiekt z gniazda i podniósł na śliskiej od potu dłoni. Czuł się jak przebudzony z koszmaru. Nie horroru, gdzie podświadome lęki przyjmują proste i straszne kształty. Był to inny sen, nieskończenie bardziej niepokojący, gdzie wszystko jest doskonale normalne, a jednak całkowicie błędne…

Intymność przeżycia budziła w nim obrzydzenie. Walczył z falami przekazu czystych emocji, całą siłą woli powstrzymując miażdżące uczucie pokrewne chyba miłości: obsesyjną czułość, jaka opanowuje patrzącego wobec obiektu długiej obserwacji. Wiedział, że miną godziny i dni, a wciąż na powierzchnię świadomości będą się wydobywać najdrobniejsze szczegóły naukowych dokonań Mitchella albo imię jego kochanki i zapach jej gęstych rudych włosów w promieniach słońca sączących się przez…

Usiadł gwałtownie. Plastikowe podeszwy butów uderzyły o rdzewiejący pokład. Wciąż miał na sobie parkę, a Smith Wesson w bocznej kieszeni boleśnie uderzył o biodro.

To minie. Psychiczny odór Mitchella rozwieje się, podobnie jak parowały po każdym użyciu hiszpańska gramatyka i słownictwo. To, czego doświadczył, było *dossier* z ochrony Maasa, skompilowanym przez świadomy komputer. Nic więcej. Schował biosoft do czarnego futerału Conroya, kciukiem wygładził rzep na zapięciu i założył na szyję nylonową linkę.

Uświadomił sobie dobiegający z zewnątrz szum fal oblewających podpory platformy.

— Hej, szefie! — zawołał ktoś zza brunatnego wojskowego koca, służącego jako drzwi przy wejściu do wspólnej sypialni. — Conroy powiedział, że czas już zlustrować żołnierzy, a potem lecieć z nim w inne miejsca. — Brodata twarz Oakeya wsunęła się za koc. — Inaczej bym pana nie budził.

— Nie spałem — mruknął Turner, odruchowo masując palcami skórę wokół wszczepionego za uchem gniazda.

— To szkoda — stwierdził Oakey. — Mam dermy, które uśpią człowieka na cacy, głęboko, godzina na sztukę. A potem dowalają jakiś ostry pobudzacz, człowiek przytomnieje i może się brać za robotę. Nie bujam…

Turner pokręcił głową.

— Zaprowadź mnie do Conroya.

ROZDZIAŁ 5
PRACA

Marly zameldowała się w niedużym hotelu z zielonymi palmami w ciężkich mosiężnych donicach i wytartą szachownicą kafelków na korytarzach. Winda była pozłacaną klatką z różanymi płytami boazerii, pachnącą olejkiem cytrynowym i cygarami.

Dostała pokój na piątym piętrze. Pojedyncze wysokie okno wychodziło na pustą alejkę — okno, które mogła naprawdę otworzyć. Kiedy wyszedł uśmiechnięty boy, opadła na fotel, którego pluszowe pokrycie przyjemnie kontrastowało z przyćmionymi barwami belgijskiego dywanu. Po raz ostatni rozpięła swoje stare paryskie buty, zrzuciła je i spojrzała na kilkanaście lśniących plastikowych reklamówek, które boy starannie ułożył na łóżku. Jutro, obiecała sobie, kupię walizkę. I szczoteczkę do zębów.

— Jestem w szoku — zwróciła się do toreb z zakupami. — Muszę uważać. Wszystko wydaje się nierzeczywiste.

Zerknęła w dół. Rajstopy przetarły się na palcach obu stóp. Potrząsnęła głową. Nowa torebka leżała na białym marmurowym stoliku przy łóżku; była czarna, z wołowej skóry wyprawionej grubo i miękko jak holenderskie masło. Zapłaciła za nią więcej niż była winna Andrei za mieszkanie. A za noc w hotelu zapłaci też niemało. W torebce miała paszport i chip kredytowy wydany w Galerie Duperey. Rachunek na jej nazwisko został otwarty w orbitalnym oddziale Nederlands Algemeen Bank.

Przeszła do łazienki i pokręciła gładkimi mosiężnymi kranami nad wielką białą wanną. Z japońskiego filtra trysnęła z sykiem gorąca woda z bąbelkami powietrza. Hotel zaopatrzył łazienkę w paczki soli kąpielowych, tubki kremów i pachnących olejków. Wylała do wody olejek i zaczęła się rozbierać. Poczuła ukłucie żalu, kiedy rzucała za siebie Sally Stanley. Jeszcze przed godziną był to jej ulubiony żakiet i chyba najdroższy element skromnego majątku. Teraz stał się czymś, co zostawi w pralni; może trafi na jeden z pchlich targów, gdzie jako studentka sama chodziła na zakupy.

Lustra zaszły mgłą, przesłaniającą odbicie jej nagości. Łazienka wypełniła się pachnącą parą. Czy to naprawdę takie łatwe? Czy płaski chip kredytowy Vireka przeniósł ją z nędzy do tego hotelu z białymi, grubymi, szorstkimi ręcznikami? Odczuwała rodzaj psychicznego zawrotu głowy, jak gdyby stanęła na krawędzi przepaści. Zastanawiała się, ile mogą znaczyć pieniądze, jeśli tylko ma się ich dużo, naprawdę dużo. Podejrzewała, że tylko Virekowie tego świata mogą dysponować taką wiedzą, a bardzo prawdopodobne, że funkcjonalnie nie są zdolni

do jej przyjęcia. Zwracanie się z tym do Vireka byłoby jak wypytywanie ryby o wodę. Tak, moja droga, jest mokra; tak, moje dziecko, rzeczywiście jest ciepła, pachnąca, a ręczniki szorstkie.

Weszła do wanny i ułożyła się wygodnie.

Jutro pójdzie do fryzjera. W Paryżu.

Telefon Andrei zadzwonił szesnaście razy, zanim Marly przypomniała sobie o specjalnym programie. Z pewnością ciągle działa, a na liście nie ma tego niedużego, ale drogiego hotelu w Brukseli. Pochyliła się, by odłożyć słuchawkę na marmurowy blat stolika. Natychmiast zabrzęczała cicho, tylko raz.

— Kurier dostarczył przesyłkę z Galerie Duperey.

Kiedy wyszedł boy — tym razem młodszy i smagły, pewnie Hiszpan — przeniosła paczkę do okna i obejrzała ze wszystkich stron. Była opakowana w pojedynczy arkusz ręcznie czerpanego papieru, ciemnoszary, poskładany i założony w ten niezwykły japoński wzór, który nie wymaga kleju ani sznurka, choć wiedziała, że kiedy raz go rozwinie, nigdy nie zdoła złożyć z powrotem. Nazwę i adres galerii wytłoczono w rogu, a jej nazwisko i nazwę hotelu wypisano ręcznie pośrodku, perfekcyjną kursywą.

Rozwinęła papier. Ujrzała nowy holoprojektor Brauna i płaską pochewkę z przezroczystej folii. W pochewce tkwiło siedem ponumerowanych płytek holofisz. Za żelazną balustradą miniaturowego balkonu zachodzące słońce malowało złotem Stare Miasto. Słyszała klaksony i krzyki dzieci. Zamknęła okno i podeszła do biurka. Braun był gładkim czarnym prostopadłościanem, zasilanym z baterii słonecznych. Sprawdziła poziom ładowania i wsunęła do szczeliny pierwszą holofiszę.

Nad Braunem rozkwitło pudełko, które widziała w Virekowej symulacji Güell Park. Jaśniało z krystaliczną ostrością najlepszych muzealnych hologramów. Kość i złoto obwodów, zwietrzała koronka i matowa kulka wytoczona z gliny. Marly pokręciła głową. Jak ktoś zdołał ułożyć te elementy, te śmieci, w taki sposób, że chwytały za serce, nabijały duszę jak na haczyk? Ale przecież wiedziała, że to możliwe. Wiele lat temu dokonał tego człowiek nazwiskiem Cornell, który również tworzył pudełka.

Zerknęła w lewo, na rzucony na biurko elegancki szary papier. Trafiła do tego hotelu przypadkiem, kiedy zmęczyła się zakupami. Nikomu nie mówiła, że tu mieszka. A już z pewnością nikomu z Galerie Duperey.

ROZDZIAŁ 6
BARRYTOWN

Był nieprzytomny przez jakieś osiem godzin, sądząc po zegarze na Hitachi matki. Wrócił do siebie patrząc w jego zakurzoną tarczę. Coś twardego uwierało go w udo. Ono-Sendai. Przetoczył się na bok.

Stęchły odór wymiocin.

Potem był pod prysznicem, nie bardzo wiedząc, jak się tam znalazł. Nie zdejmując ubrania kręcił kurkami. Drapał, szczypał i ugniatał twarz. Sprawiała wrażenie gumowej maski.

Coś się stało. Coś niedobrego, wielkiego… Nie był pewien co.

Mokre ubranie stopniowo opadało w stosik na kafelkach podłogi. W końcu wyszedł, stanął nad umywalką, odgarnął z czoła mokre włosy i spojrzał na twarz w lustrze. Bobby Newmark, nie ma sprawy.

— Nie, Bobby, jest sprawa. Mamy problem…

Narzuciwszy ręcznik na ramiona, ociekający wodą poszedł wąskim korytarzykiem do sypialni, małego trójkątnego pokoiku na samym końcu mieszkania. Kiedy stanął w drzwiach, włączył się zestaw holopornu: szóstka dziewcząt, uśmiechniętych, spoglądających na niego z wyraźnym podziwem. Zdawało się, że stoją poza ścianami, w mglistych otchłaniach niebieskiej przestrzeni; ich białe uśmiechy i jędrne młode ciała jaśniały niczym neony. Dwie wysunęły się do przodu i zaczęły się dotykać.

— Stop — rzucił.

Projektor wyłączył się na jego rozkaz. Dziewczyny zniknęły. Zestaw należał kiedyś do starszego brata Linga Warrena; ubrania i fryzury dziewczyn były staromodne i trochę zabawne. Mógł z nimi rozmawiać, kazać im robić różne rzeczy samym albo ze sobą nawzajem. Pamiętał, że kiedy miał trzynaście lat, kochał się w Brandi, tej w niebieskich błyszczących spodniach. Teraz cenił holoprojekcje głównie z powodu iluzji przestrzeni, jakiej brakowało w ciasnej sypialni.

— Coś się stało — powiedział, wciągając czarne dżinsy i prawie czystą koszulę. Pokręcił głową. — Ale co? No co, do diabła?

Jakiś skok napięcia na linii? Przypadkowe działanie Agencji Energii? Może w bazie, gdzie próbował się włamać, nastąpiła awaria albo ktoś ją zaatakował z innej strony? Ale wciąż silne było wspomnienie spotkania… spotkania kogoś, kto… Nieświadomie wyciągnął do przodu prawą rękę, proszącym gestem rozkładając palce.

— Niech to szlag!

Palce zacisnęły się w pięść. I wtedy wszystko wróciło. Najpierw wrażenie czegoś wielkiego, naprawdę wielkiego, sięgającego ku niemu

przez cyberprzestrzeń… A potem impresja dziewczyny. Ktoś smagły, szczupły, skulony gdzieś w niezwykłej, jaskrawej ciemności pełnej gwiazd i wiatru. Ale wrażenie wyśliznęło mu się, gdy tylko umysł za nim podążył.

Nagle zgłodniały, wsunął sandały i ruszył do kuchni, po drodze wycierając włosy wilgotnym ręcznikiem. Przechodząc przez salonik zauważył jarzący się na dywanie wskaźnik ON na Ono-Sendai.

— Niech to szlag!

Znieruchomiał, ssąc wargę. Dek był włączony. Czy to możliwe, że wciąż podtrzymywał połączenie z tą bazą, którą chciał obrobić? Czy mogli wykryć, że nie zginął? Nie miał pojęcia. Wiedział za to z całą pewnością, że znają, i to dobrze znają jego numer. Nie pamiętał o blokadach i trikach, które uniemożliwiłyby im śledzenie.

Mają jego adres.

Zapominając o głodzie pognał do łazienki. Przekopywał zmoczone rzeczy na podłodze, aż znalazł chip kredytowy.

Miał dwieście dziesięć nowych jenów schowane w pustej rękojeści wielofunkcyjnego śrubokręta. Razem z chipem kredytowym wsunął go do kieszeni dżinsów, wciągnął najstarsze i najcięższe buty, po czym wykopał spod łóżka brudne ubrania. Trafił na czarną płócienną kurtkę z przynajmniej dziesięcioma kieszeniami. Jedna z nich była dużą komorą na plecach, czymś w rodzaju integralnego plecaka. Pod poduszką leżał japoński nóż grawitacyjny z pomarańczową rękojeścią; trafił do wąskiej kieszonki w lewym rękawie kurtki, tuż nad mankietem.

Dziewczyny włączyły się znowu, gdy wychodził.

— Bobby, Bob-by, wróć i pobaw się z nami…

W pokoju wyrwał z płyty Hitachi złącze deka Ono-Sendai, zwinął i wcisnął do kieszeni światłowodowy kabel. To samo zrobił z zestawem trod, w końcu wsunął Ono-Sendai do komory na plecach.

Zasłony wciąż były zaciągnięte. Poczuł falę podniecenia: odchodził stąd. Musiał odejść. Zapomniał już o płaczliwej sympatii do tego mieszkania, sympatii wzbudzonej otarciem się o śmierć. Ostrożnie rozsunął kotary na szerokość palca. Wyjrzał.

Było późne popołudnie. Za parę godzin w ciemnych bryłach Projektów zamigotają pierwsze światła. Wielki Lunapark rozpościerał się pod nim jak betonowe morze; na dalekim brzegu wyrastały Projekty: ogromne kanciaste struktury, których surowe kształty łagodziły dobudowane później cieplarnie na balkonach, zbiorniki hodowlane skorupiaków, słoneczne systemy ogrzewania i wszechobecne siatkowe dyski anten.

Gdzieś tam mieszka Dwadziennie i śpi teraz w świecie, którego Bobby nigdy nie poznał — świecie klasy średniej. Dwadziennie

zjeżdżał na dół, by robić interesy — przede wszystkim ze szpanerami w Barrytown — po czym wspinał się z powrotem. Bobby'emu zawsze się wydawało, że tam, wysoko, musi być wspaniale. Tyle rzeczy działo się nocą na balkonach, wśród czerwonego żaru węgla drzewnego; dzieciaki w samej bieliźnie roiły się jak małpy, tak małe, że trudne do zauważenia. Czasami zmieniał się wiatr i nad Wielki Lunapark płynęły kuchenne zapachy; czasami motolotnia wylatywała z jakiejś tajemnej krainy na wysokim dachu. I zawsze zmieszany rytm z miliona głośników, fale muzyki pulsującej i cichnącej wśród podmuchów wiatru.

Dwadziennie nigdy nie mówił o swoim życiu, o tym, gdzie mieszka. Dwadziennie mówił o interesach albo — żeby być bardziej towarzyski — o kobietach. To, co Dwadziennie opowiadał o kobietach, sprawiało, że Bobby bardziej niż kiedykolwiek pragnął wydostać się z Barrytown. I wiedział, że biznes to jedyny dostępny mu bilet. Teraz jednak handlarz był mu potrzebny z innych powodów. Był potrzebny, gdyż Bobby zupełnie nie wiedział, co robić.

Może Dwadziennie wytłumaczy mu, co się stało. Wokół tej bazy nie powinno być żadnych zabójczych systemów. Dwadziennie sam mu ją wybrał, a potem wypożyczył program potrzebny, żeby się tam dostać. I Dwadziennie gotów był sprzedać wszystko, co Bobby stamtąd wydobędzie. Dlatego Dwadziennie musi wiedzieć. Coś przecież musi wiedzieć.

— Nie znam nawet twojego numeru, chłopie — zwrócił się do Projektów, puszczając zasłony, by zakryły szczelinę. Czy powinien zostawić coś matce? Jakiś list? — Mój tyłek — powiedział do pokoju za plecami. — Zabieram go stąd.

Wielki Lunapark wydawał się bezpieczny i pusty, jeśli nie liczyć samotnego ćpuna pogrążonego we wściekłej dyskusji z Bogiem. Bobby ominął go szerokim łukiem — tamten krzyczał, podskakiwał i ciosami karate rąbał powietrze. Miał ślady krwi na bosych stopach i czymś, co było chyba pozostałością po fryzurze Lobów.

Wielki Lunapark uchodził za terytorium neutralne, przynajmniej w teorii, a Lobowie byli luźno skonfederowani z Gothikami. Bobby miał niezłe kontakty z Gothikami, chociaż zachowywał status nieza. W Barrytown bycie niezem wiązało się z pewnym ryzykiem. Gangi wprowadzały przynajmniej jakiś porządek, myślał, gdy za jego plecami cichł bełkot ćpuna. Jeśli człowiek był Gothikiem, a pocięli go Kasuale, miało to pewien sens. Może zasadnicze powody wydawały się szalone, ale obowiązywały jakieś reguły. Ale niezów cięli naćpani na prochach rdzeniowych albo wędrowne czubki czasem nawet z Nowego Jorku. Jak choćby ten Kolekcjoner Penisów zeszłego lata; trzymał wszystko w kieszeni, w plastikowej torbie…

Od dnia swych urodzin Bobby usiłował wytyczyć trasę swego

życia jak najdalej od tego miejsca. Przynajmniej takie miał wrażenie. A teraz dek cyberprzestrzeni rytmicznie uderzał go w plecy, jakby też ponaglał do ucieczki.

— No już, Dwadziennie — powiedział Bobby do wyrastających w mroku Projektów. — Rusz tyłek i bądź u Leona, kiedy tam dojdę. Dobra?

Dwadziennie nie było u Leona.

Zresztą nikogo nie było, jeśli nie liczyć samego Leona, który zgiętym spinaczem sondował wewnętrzne tajemnice ściennego projektora telewizyjnego.

— Dlaczego zwyczajnie nie weźmiesz młotka i nie zaczniesz tłuc drania, aż zadziała? — zapytał Bobby. — Efekt będzie taki sam.

Leon podniósł głowę. Miał pewnie koło czterdziestki, chociaż trudno było to ocenić. Zdawało się, że nie należy do żadnej konkretnej rasy, albo też — w pewnym oświetleniu — że należy do rasy, do jakiej nie należy nikt inny. Masa przerośniętych kości twarzowych i grzywa kędzierzawych, matowych czarnych włosów. Jego piracki klub w piwnicy od dwóch lat był stałym fragmentem życia Bobby'ego.

Leon przyjrzał mu się swymi nieruchomymi oczami: perłowoszare źrenice z oliwkowym odcieniem. Oczy Leona przywodziły Bobby'emu na myśl ostrygi i lakier do paznokci, dwie rzeczy, które nie najlepiej kojarzyły mu się z oczami. Kolor przypominał to, czego używają do tapicerki na barowych stołkach.

— Chciałem tylko powiedzieć, że nie naprawisz tego draństwa dłubiąc czymś w środku — dodał niepewnie Bobby.

Leon wolno pokręcił głową i wrócił do swego zajęcia. Ludzie płacili mu za wejście, ponieważ Leon piracko kopiował z kabla kino i symstym. Udostępniał to, na co mieszkańców Barrytown normalnie nie byłoby stać. Na tyłach mieścił się bar i można było złożyć „dotację" na drinki, zwykle czysty bimber z Ohio rozcieńczony jakimś pomarańczowym napojem, który Leon zdobywał w ilościach przemysłowych.

— Powiedz mi, Leon… — zaczął znowu Bobby. — Nie widziałeś tu ostatnio Dwadziennie?

Straszne oczy znów skierowały się na Bobby'ego i przyglądały mu się przez chwilę. Zdecydowanie za długą.

— Nie.

— Może wczoraj?

— Nie.

— Przedwczoraj?

— Nie.

— Aha. Dobra, dzięki.

Nie warto było przyciskać Leona. A istniało wiele powodów, żeby

tego nie robić. Bobby rozejrzał się po rozległej sali, po zestawach symstymowych i martwych kinowych ekranach. Klub składał się z ciągu niemal identycznych sal w piwnicy częściowo zamieszkanego bloku, przeznaczonego dla samotnych i małego biznesu. Dobra izolacja dźwiękowa: prawie nie było słychać muzyki. Nie z zewnątrz. Wiele razy wychodził od Leona z głową pełną szumu i prochów, w coś, co wydawało się magiczną pustką ciszy. W uszach dzwoniło mu przez całą drogę powrotną przez Wielki Lunapark.

Została mu jeszcze mniej więcej godzina, nim zjawią się pierwsi Gothicy. Handlarze, zwykle czarni chłopcy z Projektów albo biali z innego przedmieścia lub z miasta, nie przyjdą, dopóki nie będą mieli garstki Gothików, żeby z nimi pracować. Handlarz robiłby fatalne wrażenie, gdyby po prostu siedział tam i czekał. To by znaczyło, że nic nie robi, nie działa. A żaden ostry handlarz nie przyszedłby tu dla przyjemności. U Leona zjawiali się tylko szpanujący szmaciarze, niedzielni kowboje z tanimi dekami, oglądający wyrwane z lodu japońskie kina.

Ale Dwadziennie jest inny, tłumaczył sobie Bobby, wspinając się betonowymi schodami. Dwadziennie szedł w górę; kiedyś opuści Projekty, opuści Barrytown i Leona. Odejdzie do Miasta. Może do Paryża albo do Chiby. Ono-Sendai obijało mu grzbiet. Przypomniał sobie, że wciąż tkwi w nim kaseta z lodołamaczem Dwadziennie. Wolałby nie tłumaczyć się z tego. Minął kiosk z gazetami. Żółty faks nowojorskiej edycji „Asahi Shimbun” przewijał się za plastikowym wizjerem w lustrzanych ramkach: upadek jakiegoś rządu w Afryce, rosyjskie meldunki z Marsa…

Trwała ta pora dnia, kiedy człowiek widzi wszystko wyraźnie: każdy szczegół daleko na ulicy, świeżą zieleń pączkującą dopiero z czarnych gałęzi drzew w dziurach w betonie, błysk stali na obcasie dziewczyny o kilka przecznic dalej… Jakby patrzył przez jakiś szczególny rodzaj wody, który ułatwia widzenie, mimo zapadającego zmroku. Bobby odwrócił się i spojrzał na Projekty. Całe piętra pozostawały wiecznie nie oświetlone, opuszczone albo z zaciemnionymi oknami. Co ludzie tam robią? Może kiedyś zapyta o to Dwadziennie.

Sprawdził czas na zegarze Coca-Coli w kiosku. Matka pewnie wróciła już z Bostonu. Musiała wrócić, inaczej straciłaby jeden ze swoich ulubionych seriali. Kolejna dziura w głowie. I tak była obłąkana; nic nie dolegało temu gniazdku, które miała za uchem, zanim się urodził. Ale przez lata jęczała i skarżyła się na szumy, rozdzielczość, przenikanie sensoryczne. W końcu wybrała kredyt i pojechała do Bostonu załatwić sobie tanią wymianę. W takim miejscu, gdzie człowiek nie umawia się nawet na operację, po prostu wchodzi i pakują mu to do głowy… Znał ją dobrze; wyobrażał sobie, jak staje w

progu mieszkania, ściskając pod pachą owiniętą papierem butelkę, jak nawet nie zdejmuje płaszcza, tylko od razu podchodzi, włącza się do Hitachi i przez bite sześć godzin rozmydla sobie mózg. Wpatruje się tępo w pustkę, a czasem, przy wyjątkowo udanym odcinku, trochę się ślini. Mniej więcej co dwadzieścia minut przypomina sobie, żeby elegancko, jak dama, pociągnąć z butelki.

Zawsze taka była: stopniowo zsuwała się coraz głębiej w te kilka syntetycznych żywotów, ciąg symstymowych fantazji, o których Bobby musiał słuchać przez całe życie. Wciąż jeszcze dręczył go lęk, że kilka postaci, o których opowiadała, było jego krewnymi: bogatymi i pięknymi wujami i ciotkami. Mogliby zjawić się któregoś dnia, gdyby tylko on nie był takim wrednym bachorem. Może nawet, myślał, była to prawda — w pewnym sensie. Włączała się w te śmiecie przez całą ciążę. Sama mu o tym mówiła. A zatem on, zwinięty w kłębek embrion Newmark, przeżył jakieś tysiąc godzin „Ludzi na świeczniku" i „Atlanty". Co prawda nie lubił myśleć o sobie zwiniętym w brzuchu Marshy Newmark. Robiło mu się od tego niedobrze i krople zimnego potu występowały mu na czoło.

Mama Marsha… Dopiero jakiś rok temu Bobby zaczął pojmować świat w dostatecznym stopniu — jak to teraz oceniał — by zdziwić się, w jaki sposób wciąż potrafiła znaleźć w tym świecie swoją — boczną co prawda i wąską, ale jednak swoją — ścieżkę, z butelką i duchami z łącza do towarzystwa. Czasem, gdy osiągnęła odpowiedni nastrój, po odpowiedniej liczbie łyczków, nadal usiłowała mu opowiadać o ojcu. Odkąd skończył cztery lata wiedział, że to bzdury, ponieważ co jakiś czas zmieniały się szczegóły. Ale przez wiele lat te historie sprawiały mu dziwną przyjemność.

Kilka przecznic od Leona znalazł rampę załadunkową, zasłoniętą od ulicy pomalowanym na niebiesko wielkim pojemnikiem na śmieci. Świeża farba błyszczała na pogiętej, nierównej stali. Nad rampą płonęła samotna halogenowa lampa. Wyszukał sobie wygodną betonową płytę i usiadł ostrożnie, by nie uszkodzić Ono-Sendai. Czasami po prostu trzeba poczekać. To jedna z rzeczy, których nauczył go Dwadziennie.

Pojemnik wypełniała dziwaczna mieszanka przemysłowych odpadków. Barrytown miało swoich półlegalnych producentów, część „szarej strefy gospodarki", o której tak często krzyczały tytuły wiadomości. Ale Bobby nigdy nie poświęcał im szczególnej uwagi. Jak zwykle chodziło o interesy.

Ćmy migały stroboskopowo po krętych orbitach wokół latarni. Bobby przyglądał się tępo, jak trójka dzieciaków — najstarszy miał może z dziesięć lat — wspina się na niebieską ścianę pojemnika, używając kawałka brudnobiałej nylonowej liny i zaimprowizowanej kotwiczki, która kiedyś mogła być częścią wieszaka. Kiedy ostatni z

nich przeczołgał się przez krawędź w stosy plastikowego śmiecia, szybko wciągnęli za sobą linę. Śmieci zaczęły trzeszczeć i szeleścić.

Całkiem jak ja, pomyślał Bobby. Kiedyś też to robiłem. Zastawiałem cały pokój dziwacznym świństwem, które znajdowałem w śmieciach. Kiedyś siostra Linga Warrena trafiła na większą część czyjegoś ramienia, zapakowaną w ściągniętą gumkami zieloną folię.

Mama Marsha dostawała czasem tych swoich dwugodzinnych ataków religijności. Przychodziła wtedy do pokoju Bobby'ego, wymiatała najlepsze śmieci i mocowała mu nad łóżkiem jakiś potworny samoprzylepny hologram. Może Jezusa, może Hubbarda, może Maryję Dziewicę — kiedy już wpadła w odpowiedni nastrój, nie miało to dla niej znaczenia. Doprowadzało to Bobby'ego do szału; aż pewnego dnia był już dość duży, żeby wejść do salonu z młotkiem i unieść go nad Hitachi: jeśli jeszcze raz ruszysz moje rzeczy, mamo, zabiję twoich przyjaciół… wszystkich. Nigdy więcej nie spróbowała. Ale te samoprzylepne hologramy w pewien sposób wpłynęły na Bobby'ego: religię uważał teraz za coś, co rozważył i z czego zrezygnował. Doszedł do wniosku, że istnieją po prostu ludzie, którym ten chłam jest potrzebny. Pewnie zawsze istnieli. Ale on nie był jednym z nich i on tego nie potrzebował.

Jeden z chłopców wysunął głowę z pojemnika i mrużąc oczy rozejrzał się szybko po okolicy. Potem zniknął. Rozległ się brzęk, zgrzyt, i małe białe dłonie przepchnęły przez krawędź duralowy kanister. Zjechał w dół na nylonowej linie. Niezły wynik, uznał Bobby. Można to zataszczyć do handlarza złomem i dostać trochę forsy. Chłopcy opuścili kanister na chodnik, mniej więcej metr od podeszew butów Bobby'ego; kiedy lądował, przekręcił się przypadkiem, odsłaniając sześciokątny symbol oznaczający biohazard.

— Niech to… — mruknął odruchowo podciągając nogi. Jeden z chłopców zjechał po linie i przytrzymał kanister. Dwaj pozostali zeszli za nim. Okazali się młodsi, niż myślał.

— Hej, wy! — zawołał. — Wiecie, że tam może być jakieś paskudne gówno? Dostaniecie raka albo co…

— Idź lizać psią dupę. Do krwi — rzucił mu najstarszy.

Uwolnili kotwiczkę, zwinęli linę, przeciągnęli kanister za róg pojemnika i zniknęli.

Odczekał półtorej godziny. Wystarczy: Leon zaczynał już działać.

Co najmniej dwudziestu Gothików siedziało w głównej sali niczym stado młodych dinozaurów; kołysały się i falowały ich grzebienie polakierowanych włosów. Większość była bliska ideału Gothika: wysocy, szczupli, muskularni, ale zdradzający swego rodzaju niepokój, jakby byli na głodzie — młodzi atleci we wczesnym stadium gruźlicy. Włosy Gothika były z definicji czarne, a cmentarna bladość

obowiązkowa. Bobby wiedział, że lepiej unikać tych nielicznych, którzy nie potrafili dopasować swych ciał do subkulturowego wzorca. Niski Gothik oznaczał kłopoty, gruby Gothik to śmierć.

Obserwował, jak przeciągają się i prężą u Leona, niby złożony organizm, narośl o powierzchni wykładanej skórą i stalowymi kolcami. Większość miała niemal identyczne twarze, rysy przebudowane zgodnie z dawnymi archetypami pobranymi z kinowych banków. Wybrał szczególnie udanego Deana z włosami kołyszącymi się niczym w godowym pokazie nocnej jaszczurki.

— Bracie… — zaczął Bobby, niepewny, czy poznał go już przedtem.

— Chłopie… — odpowiedział leniwie Dean. Lewy policzek wypychała mu grudka gumy. — To jest Graf, dziecinko — rzucił do swojej dziewczyny. — Graf zero procedury. — Długa, wąska dłoń ze świeżą szramą na grzbiecie chwyciła dziewczynę za pośladek opięty skórzaną spódniczką. — Graf, to moja paniena.

Dziewczyna Gothika przyglądała się Bobby'emu z lekkim zaciekawieniem, ale obojętnie, jakby oglądała reklamę produktu, o którym słyszała, ale którego nie miała zamiaru kupować.

Bobby zbadał wzrokiem tłumek. Kilka obojętnych twarzy, ale nikogo znajomego. Ani Dwadziennie.

— Wiesz jak jest — oświadczył. — Szukam kumpla, kumpla od interesów… — Słysząc to Gothik ze zrozumieniem zakołysał czubem. — Mówią na niego Dwadziennie… — Urwał. Gothik patrzył tępo, żując swoją gumę. Dziewczyna wydawała się znudzona i niespokojna. — Handluje softwarem. — Bobby uniósł brwi. — Czarny handlarz.

— Dwadziennie — powtórzył Gothik. — Jasne. Dwadziennie. Prawda, dziecinko?

Dziewczyna przytaknęła i odwróciła wzrok.

— Znasz go?

— Pewno.

— Jest tu dzisiaj?

— Nie — odparł Gothik i uśmiechnął się obojętnie.

Bobby otworzył usta, zamknął je, zmusił się do pokiwania głową.

— Dzięki, bracie.

— Dla kumpla wszystko — zapewnił Gothik.

Kolejna godzina i to samo. Za wielu białych, kredowobladych Gothików. Puste błyszczące oczy ich dziewczyn, obcasy butów jak ebonitowe igły. Usiłował trzymać się z daleka od sali symstymu, gdzie Leon puszczał jakąś niesamowitą taśmę z pieprzeniem w dżungli; fazowała człowieka tam i z powrotem do tych dziwacznych zwierzaków; masa dzikiej akcji na drzewach. Bobby czuł się nieco zdezorientowany. Był dostatecznie głodny, żeby trochę kręciło mu się

w głowie, zresztą może były to spóźnione efekty tego, co zdarzyło się wcześniej. W każdym razie trudno mu było się skoncentrować, a myśli dryfowały w dziwnych kierunkach. Na przykład, kto wlazł na to drzewo pełne węży i podłączył te dwa niby-szczury do symstymu?

Gothicy za to byli zachwyceni. Rzucali się, tupali i identyfikowali z tymi drzewnymi szczurami. Nowy hit Leona, uznał Bobby.

Po lewej stronie, daleko poza zasięgiem stymu, stały dwie dziewczyny z Projektów; ich barokowe kostiumy ostro kontrastowały z monochromem Gothików. Długie, czarne rozpięte płaszcze odsłaniały czerwone kamizelki z brokatu, a poły ogromnych białych koszul zwisały poniżej kolan. Twarze ocieniały ronda kapeluszy, przypiętych i ozdobionych prawdziwym złotem: szpilkami, amuletami, zębami, mechanicznymi zegarkami. Bobby obserwował dziewczyny ukradkiem. Ciuchy świadczyły, że mają pieniądze, ale gdyby ktoś spróbował się do nich dobrać, z pewnością by tego pożałował. Dwadziennie przyszedł kiedyś z Projektów w takim lodowobłękitnym garniturze z klamrami u kolan, jakby nie miał czasu się przebrać, ale Bobby zachowywał się tak, jakby handlarz nosił swoją zwykłą skórę. Uznał, że kosmopolityczna postawa jest w interesach sprawą kluczową.

Spróbował sobie wyobrazić, że podchodzi do nich spokojnie i rzuca: Hej, dziewczyny, na pewno znacie mojego dobrego kumpla, pana Dwadziennie? Ale obie były starsze od niego i poruszały się z godnością, która budziła zakłopotanie. Prawdopodobnie tylko by się roześmiały, a to mu nie pasowało.

Miał za to ochotę, i to coraz większą, coś zjeść. Przez materiał dżinsów dotknął chipa kredytowego… Przejdzie na drugą stronę ulicy i kupi kanapkę… I nagle przypomniał sobie, dlaczego tu jest i użycie chipa nie wydało się już takim dobrym pomysłem. Jeśli go namierzyli po tym nieudanym włamaniu, to na pewno już mają jego numer. Dla każdego, kto śledzi Bobby'ego w cyberprzestrzeni, użycie chipa wyłuska go z siatki Barrytown jak flara na ciemnym stadionie. Miał wprawdzie gotówkę, ale za nią nie można kupić jedzenia. Posiadanie pieniędzy nie było co prawda nielegalne, ale nikt nie robił z nimi nic uczciwego. Musiałby znaleźć Gothika z chipem, kupić po zabójczej cenie nowego jena kredytu, potem namówić go, żeby zapłacił za kanapkę. A niby jak miałby przyjąć resztę?

Może zwyczajnie wariujesz, powiedział sobie. Przecież nie miał pewności, czy go namierzyli. Ostatecznie baza, którą usiłował złamać, miała być legalna… A przynajmniej uchodziła za legalną. Dlatego przecież Dwadziennie zapewnił, że nie musi się martwić czarnym lodem. Kto by zakładał mordercze sprzężenia w firmie, która wypożyczała miękkie porno? Według planu miał ściągnąć parę godzin digitalizowanego kina, nowe numery, które nie dotarły jeszcze na

piracki rynek. Przecież dla takiego czegoś nikt nie próbowałby człowieka zabijać…

Ktoś jednak spróbował. A potem zdarzyło się jeszcze coś. Coś zupełnie innego.

Wspiął się na schody i wyszedł od Leona. Zdawał sobie sprawę, że wielu rzeczy o matrycy jeszcze nie wie, ale nigdy nie słyszał o czymś tak niezwykłym. Pewnie, krążyły historie o duchach, a szpanerzy przysięgali, że widzieli coś w cyberprzestrzeni. Bobby uważał ich jednak za wilsonów, którzy włączyli się na prochach; w matrycy halucynacje są równie łatwe jak gdzie indziej…

Może to właśnie to, pomyślał. Głos był elementem umierania, wypłaszczenia, jakimś zwariowanym śmieciem rzucanym przez mózg, żeby człowiek poczuł się lepiej. A wtedy coś wydarzyło się u źródła, może wyciemnienie ich części sieci, i lód rozluźnił uchwyt na jego systemie nerwowym…

Możliwe. Ale nie wiedział tego. Nie miał pojęcia, na czym stoi. Ta ignorancja zaczynała mu przeszkadzać, ponieważ powstrzymywała go przed posunięciami, jakie powinien wykonać. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale właściwie o niczym nie wiedział zbyt wiele. Dopóki nie zaczął szpanować, wydawało mu się, że wie tyle, ile potrzeba. Na przykład jacy są Gothicy, dlaczego będą tu tkwić i wypalą się na prochach albo potną ich Kasuale, a w procesie erozji pozostanie pewien ułamek, który w jakiś sposób zmieni ich w płodzących dzieci i kupujących mieszkanią obywateli Barrytown, aby wszystko mogło się zacząć od początku.

Był niczym dziecko, które dorasta na brzegu oceanu i uznaje go za rzecz naturalną, jak niebo. Nic jednak nie wie o prądach, trasach statków, zawiłościach pogody. Już w szkole posługiwał się dekiem, zabawką przenoszącą w bezkres przestrzeni, która nie była przestrzenią, a niewyobrażalnie złożoną konsensualną halucynacją całej ludzkości: do matrycy, cyberprzestrzeni. Jak neonowe gwiazdy płonęły tam wielkie rdzenie korporacji, dane tak gęste, że człowiek ryzykował przeciążenie sensoryczne, gdy próbował zobaczyć coś więcej niż najogólniejszy zarys.

Odkąd jednak zaczął szpanować, domyślał się już, jak mało wie, nie tylko zresztą o matrycy. A teraz coś się przelało i zaczął się zastanawiać. Zastanawiać i pytać. Jak funkcjonuje Barrytown, co trzyma przy życiu jego matkę, dlaczego Gothicy i Kasuale poświęcają tyle energii na próby wybicia się do nogi. Albo czemu Dwadziennie jest czarny i mieszka w Projektach i czy robi to jakąś różnicę.

Spacerując rozglądał się za handlarzem. Białe twarze, więcej białych twarzy. Żołądek zaczął mu trochę hałasować; Bobby pomyślał o świeżej paczce pszennych kotletów w domowej lodówce… Podsmażyłby je z dodatkiem soi, otworzył porcję krylowych

chrupek…

Mijając kiosk raz jeszcze sprawdził czas na zegarze Coca-Coli. Marsha z pewnością była już w domu, pogrążona w labiryntach zależności „Ludzi na świeczniku” — w życiu ich bohaterki uczestniczyła przez gniazdko złącza od prawie dwudziestu lat. Faks ‚Asahi Shimbun” wciąż przewijał się za szybką. Podszedł bliżej i zdążył zobaczyć pierwszy raport z wybuchu bomby na poziomie 3 bloku A przy Covina Concourse Courts, Barrytown, New… A potem tekst zniknął, przeminął, zastąpiony reportażem z oficjalnego pogrzebu szefa Yakuzy z Cleveland. Ściśle według tradycji. Wszyscy nosili czarne parasole.

Całe swoje życie przemieszkał pod numerem 503, w bloku A.

To coś ogromnego pochyliło się i zgniotło Marshę Newmark i jej mieszkanie z Hitachi. Oczywiście, mierzyło w niego.

— Ktoś tam nie żartuje — usłyszał własny głos.

— Hej! Chłopie! Graf! Jesteś naćpany, bracie? Hej! Gdzie lecisz?

Oczy dwóch Deanów podążały za nim po drodze paniki.

ROZDZIAŁ 7
CENTRUM HANDLOWE

Conroy zsunął niebieskiego fokkera ze zniszczonej erozją wstążki przedwojennej autostrady i zwolnił. Długi koguci ogon jasnego pyłu, jaki ciągnął się za nimi od Needles, opadał powoli. Zatrzymali się i poduszkowiec stanął na wydętym fartuchu.

— Jesteśmy na miejscu, Turner.

— Co zniszczyło tę okolicę?

Prostokątna powierzchnia betonu sięgała nierównych ścian z cementowych pustaków…

— Ekonomia — wyjaśnił Conroy. — Jeszcze przed wojną. Nigdy tego nie skończyli. Dziesięć kilometrów na zachód są całe dzielnice z samymi chodnikami. Żadnych domów, nic.

— Ilu ludzi mam na miejscu?

— Dziewięciu, wliczając ciebie. I medyków.

— Jakich medyków?

— Z Hosaki. Maas pracuje w układach biologicznych, zgadza się? Trudno przewidzieć, co wpakowali naszemu chłopcu. W Hosace zbudowali regularny gabinet neurochirurgiczny i wsadzili tam trójkę ryzykantów. Dwóch to ludzie firmy, trzeci z Korei, zna czarną medycynę w tę i we w tę. Kapsuła medyczna jest w tym podłużnym, o tam… — Wskazał ręką. — Mają tam częściowe zadaszenie.

— Jak ją tu ściągnęli?

— Przewieźli z Tucson w cysternie. Udali, że była awaria. Wyprowadzili, przetoczyli na miejsce. Wszyscy pomagali. Zajęło to jakieś trzy minuty.

— Maas… — mruknął Turner.

— Pewno. — Conroy wyłączył silniki. — Czasem trzeba ryzykować — stwierdził w nagłej ciszy. — Może ich przeoczyli. Nasz kierowca tej cysterny siedział i rozmawiał przez GB z dyspozytorem w Tucson. Klął na gówniany wymiennik ciepła i jak długo zajmie naprawa. Powinni to złapać. Wpadłbyś na coś lepszego?

— Nie. Zakładając, że klient chce to mieć na miejscu. Ale siedzimy teraz w samym środku obszaru krytego przez ich satelity.

— Skarbie… — Conroy parsknął. — Może stanęliśmy na jakieś małe pieprzenie. Albo rozprostować nogi w trasie do Tucson, nie? To takie miejsce. Ludzie zatrzymują się tu, żeby się odlać, wiesz? — Spojrzał na swój czarny zegarek porsche. — Muszę tam być za godzinę, mam kopter na wybrzeże.

— Platforma?

— Nie. Twój pieprzony myśliwiec. Pomyślałem, że sam to

załatwię.

— Dobrze.

— Na twoim miejscu wziąłbym turbinowego dorniera. Czekałby dalej, na drodze, aż zobaczymy, że zbliża się Mitchell. Byłby tu, zanim medycy zdążyliby zrobić swoje. Potem wrzucamy chłopaka do środka i lecimy do granicy Sonory.

— Z prędkością poddźwiękową — odparł Turner. — Nic z tego. Jedziesz do Kalifornii kupić mi tego harriera. Nasz chłopak odleci stąd w wielozadaniowym samolocie bojowym, który nawet nie jest specjalnie przestarzały.

— Masz jakiegoś pilota?

— Siebie. — Turner postukał się w gniazdo za uchem. — Maszyna ma w pełni zintegrowany system interaktywny. Sprzedadzą ci software złącza i od razu złapię, o co chodzi.

— Nie wiedziałem, że umiesz latać.

— Nie umiem. Ale nie musisz ręcznie sterować, żeby przewieźć tyłek stąd do Mexico City.

— Wciąż jesteś tak samo zwariowany? Wiesz, słyszałem, że w New Delhi urwało ci fiuta.

Odwrócił się do Turnera i patrzył na niego z zimnym jasnym uśmiechem.

Turner wyciągnął zza siedzenia parkę, wyjął z kieszeni rewolwer i pudełko naboi. Wpychał kurtkę z powrotem, kiedy Conroy powiedział:

— Zatrzymaj ją. Nocą robi się tutaj piekielnie zimno. Turner sięgnął do zamka kabiny, a Conroy uruchomił silnik.

Poduszkowiec wzniósł się na kilka centymetrów i zakołysał lekko, gdy Turner odsunął owiewkę i wyszedł na burtę. Oślepiająco białe słońce i powietrze jak gorący aksamit. Włożył meksykańskie ciemne okulary, wyjęte z kieszeni niebieskiej, roboczej koszuli. Miał na nogach białe tenisówki i wojskowe spodnie w tropikalnym kamuflażu. Pudełko wybuchowych naboi wsunął do kieszeni na udzie. Rewolwer trzymał w prawej dłoni, pod lewą pachę wcisnął zwiniętą parkę.

— Idź do tego długiego budynku — rzucił jeszcze Conroy. — Czekają na ciebie.

Turner zeskoczył w żar paleniska pustynnego dnia. Conroy zwiększył obroty i wolno przesunął fokkera z powrotem na autostradę. Turner obserwował, jak maszyna oddala się na wschód: malejąca sylwetka rozmyta w falach gorąca.

Kiedy zniknęła, zapanowała absolutna cisza. Nic się nie poruszało. Odwrócił się w stronę ruin. Coś małego i szarego jak skała przemknęło między dwoma kamieniami.

Jakieś osiemdziesiąt metrów od drogi wyrastały zębate mury. Teren między nimi a poboczem był kiedyś placem parkingowym.

Zatrzymał się po pięciu krokach. Słyszał morze, huk przyboju,

głuche eksplozje łamiących się fal. Rewolwer w dłoni był zbyt wielki, zbyt realny… Metal rozgrzewał się w słońcu.

Nie ma morza, powtarzał sobie, nie ma żadnego morza. Ruszył dalej, tenisówki ślizgały się na wzgórkach starych szyb doprawionych brązowym i zielonym szkłem potłuczonych butelek. Leżały tam pordzewiałe kółka, które kiedyś były kapslami, i spłaszczone prostokąty, niegdyś aluminiowe puszki. Owady brzęczały nad niskimi kępkami suchych krzaków.

Skończone. Nie ma już tamtego miejsca poza czasem.

Przystanął znowu. Spoglądał przed siebie, jakby szukał czegoś, co pomoże mu nazwać wzbierające w nim uczucie… pustkę…

Centrum handlowe było podwójnie martwe. Hotel przy plaży w Meksyku żył kiedyś, przynajmniej przez jeden sezon.

Za parkingiem zalane słońcem pustaki, tanie i bezduszne. Czekały…

Znalazł ich przykucniętych w wąskim pasie cienia szarej ściany. Trójka; zanim ich zobaczył, poczuł zapach kawy; osmalony ogniem blaszany dzbanek ustawiony chwiejnie na maleńkim prymusie. Oczywiście, miał ją poczuć — czekali na niego. W przeciwnym razie zastałby ruiny puste, a potem by zginął — bardzo cicho i niemal naturalnie.

Dwóch mężczyzn i kobieta: spękane, zakurzone kowbojskie buty, dżins tak lśniący od brudu, że pewnie już wodoodporny. Mężczyźni nosili brody i długie włosy, ściągnięte rzemieniami w spłowiałe węzły na czubku głowy, kobieta czesała się z przedziałkiem, do tyłu, odsłaniając surową, ogorzałą twarz. Pod ścianą stał starożytny motocykl BMW; odpryskujący chrom i łuszczącą się farbę ktoś zamalował sprajem w plamy brązu i szarości pustynnego kamuflażu.

Turner puścił rękojeść Smith Wessona. Broń zakołysała się na palcu wskazującym, mierząc w górę i do tyłu.

— Turner — powitał go jeden z mężczyzn. Wstał; tani metal błyskał mu z zębów. — Jestem Sutcliffe.

Ślad akcentu… prawdopodobnie Australijczyk.

— Grupa wstępna? Spojrzał na pozostałą dwójkę.

— Tak. — Sutcliffe wsunął do ust opalony kciuk i palec wskazujący, by wyjąć pożółkłą, wykończoną stalą protezę. Własne zęby miał białe i idealnie równe. — Wyjąłeś Chauveta z IBM dla Mitsu — powiedział. — I podobno wyciągnąłeś z Tomska Semenowa.

— Czy to pytanie?

— Byłem w ochronie IBM w Marrakech, kiedy rozwaliłeś tam hotel.

Turner spojrzał mu w oczy. Były niebieskie, spokojne, bardzo jasne.

— Czy to jakiś problem?

— Nie ma obawy — zapewnił Sutcliffe. — Chcę tylko powiedzieć, że widziałem, jak pracujesz. — Wcisnął na miejsce protezę. — Lynch. — Skinął głową w stronę drugiego z mężczyzn. — I Webber. — Wskazał kobietę.

— Dajcie raport — rzucił Turner i przykucnął w skrawku cienia. Przysiadł na piętach, wciąż trzymając rewolwer.

— Przyjechaliśmy trzy dni temu — zaczęła Webber. — Na dwóch motorach. Postaraliśmy się, żeby w jednym pękł wał korbowy, na wypadek, gdybyśmy musieli tłumaczyć, dlaczego tu obozujemy. Pustynia ma trochę wędrownych mieszkańców, cygańskich motocyklistów i różnych sekciarzy. Lynch podciągnął światłowód i sześć kilometrów stąd na wschód podłączył do telefonu.

— Do prywatnego?

— Nie, do automatu — odpowiedział Lynch.

— Przesialiśmy impuls testowy — podjęła kobieta. — Gdyby coś nie wyszło, wiedziałbyś o tym.

Turner kiwnął głową.

— Coś odbieracie?

— Nic. Czekamy na wielki numer, cokolwiek by to miało być. — Jej brwi podjechały w górę.

— To ucieczka.

— Dość oczywiste — mruknął Sutcliffe. Usiadł obok Webber, oparty plecami o mur. — Chociaż styl operacji sugeruje, że my, najemnicy, nie dowiemy się nawet, kogo wyrywamy. Mam rację, panie Turner? A może będziemy mogli przyczytać o tym w faksie?

Turner zignorował pytanie.

— Mów dalej, Webber.

— Kiedy przeciągnęliśmy kabel, reszta grupy przenikała tu pojedynczo albo parami. Ostatni uprzedził nas o tym pojemniku z żółtkami.

— To było ryzykowne — stwierdził Sutcliffe. — Zbyt widoczne.

— Myślisz, że mogło nas spalić? — spytał Turner.

— Może. — Sutcliffe wzruszył ramionami. — Może nie. Przerzuciliśmy to dość szybko. Cholerne szczęście, że mieliśmy kawałek dachu, żeby to pod nim schować.

— Co z pasażerami?

— Wychodzą tylko nocą — wyjaśniła Webber. — I wiedzą, że zginą, jeśli odejdą dalej niż na pięć metrów od kapsuły.

Turner zerknął na Sutcliffe'a.

— Rozkaz Conroya — poinformował mężczyzna.

— Rozkazy Conroya już się nie liczą — oświadczył Turner. — Ale ten pozostaje w mocy. Jacy są ci ludzie?

— Medycy — stwierdził Lynch. — Szurnięci medycy.

— Jasne. Co z resztą zespołu?

— Zawiesiliśmy parę płacht mimetycznego brezentu, więc jest trochę cienia. Śpią na zmianę. Nie mamy dość wody i nie możemy za bardzo ryzykować z gotowaniem. — Sutcliffe sięgnął po dzbanek. — Rozstawiliśmy straże i okresowo sprawdzamy kabel. — Chlusnął kawy do plastikowego kubka, który wyglądał jak pogryziony przez psa. — Więc kiedy zaczyna się taniec, panie Turner?

— Chcę obejrzeć wasz pojemnik z medykami. Chcę obejrzeć stanowisko dowodzenia. Nie wspomnieliście o stanowisku dowodzenia.

— Wszystko przygotowane — zapewnił Lynch.

— Dobrze. Trzymaj. — Podał Webber rewolwer. — Spróbuj dorobić mi do tego jakąś kaburę. A teraz Lynch pokaże mi tych medyków.

— Miał nadzieję, że to będziesz ty — oświadczył Lynch, bez wysiłku wspinając się na niskie wysypisko gruzu. — Jesteś dość znany. — Odwrócił głowę i spojrzał spod grzywy brudnych, wypłowiałych w słońcu włosów.

Turner szedł za nim.

— Za bardzo. Nawet trochę to już za bardzo. Pracowałeś z nim wcześniej? Marrakech?

Lynch skręcił w szczelinę między pustakami, Turner za nim. Pustynne krzewy pachniały smołą; kłuły i chwytały każdego, kto się o nie otarł. Przez pusty, prostokątny otwór, który miał być oknem, Turner dostrzegł różowe szczyty gór. Lynch zbiegał już po wysypisku gruzu.

— Pewnie, że z nim pracowałem. — Zatrzymał się u stóp zbocza. Nisko na biodrach nosił bardzo stary z wyglądu, skórzany pas; ciężką klamrę ze zmatowiałego srebra zdobiła trupia główka z grzebieniem tępych, czworościennych kolców. — Marrakech… To było jeszcze przede mną.

— Dla Conniego też, Lynch?

— To znaczy?

— Conroy. Pracowałeś kiedyś dla niego? A co ważniejsze: czy teraz dla niego pracujesz? — Turner schodził powoli, ostrożnie.

Gruz chrzęścił i zsuwał się spod tenisówek. Niepewna nawierzchnia. Pod dżinsową kamizelką Lyncha widział kształt delikatnego, małego strzałkowca.

Lynch oblizał suche wargi. Nie zamierzał się poddać.

— To kontakt Suta. Ja go nie spotkałem.

— Conroy ma pewien problem: musi sam wszystkiego dopilnować. Lubi mieć w grupie swojego człowieka, od samego początku. Kogoś, kto pilnuje strażników. Zawsze. Ty nim jesteś,

Lynch?

Lynch pokręcił głową: absolutne minimum ruchu wyrażającego przeczenie. Turner był już dość blisko, by czuć odór jego potu, silniejszy od zapachu smoły pustynnych krzewów.

— Widziałem już, jak Conroy zawalił w ten sposób dwie ekstrakcje — rzekł Turner. — Jaszczurki i rozbite szkło, Lynch. Jakbyś się czuł, umierając w takim miejscu? — Podniósł pięść do twarzy Lyncha i powoli wyprostował palec wskazujący, skierowany prosto w górę. — Jesteśmy w ich polu obserwacji. Jeśli wtyczka Conroya nada najmniejszy pieprzony impuls, namierzą nas od razu.

— Jeśli już nie namierzyli.

— Zgadza się.

— Sut jest twoją wtyczką — oznajmił Lynch. — Nie ja, a nie mogę sobie wyobrazić, żeby to była Webber. — Brudne, połamane paznokcie odruchowo poskrobały brodę. — A teraz: sprowadziłeś mnie tu specjalnie na te towarzyskie rozmówki, czy dalej chcesz zobaczyć naszą puszkę żółtków?

— Zobaczmy ją.

Lynch. To z pewnością Lynch.

Kiedyś w Meksyku, lata temu, Turner wynajął ruchomy francuski moduł wakacyjny, zasilany z baterii słonecznych. Siedmiometrowy korpus przypominał pozbawioną skrzydeł domową muchę wyrzeźbioną w lśniącym metalu, z oczami — bliźniaczymi półkulami opalizującego, fotoczułego plastiku. Siedział za nimi, a wiekowy, dwuwirnikowy rosyjski śmigłowiec transportowy sunął wzdłuż wybrzeża z modułem w szczękach, ledwie mijając czubki najwyższych palm. Odstawiony na samotną plażę pokrytą czarnym piaskiem, Turner spędził trzy dni w luksusowej samotni wąskiej, wykładanej drewnem kabiny. Na kuchence mikrofalowej podgrzewał jedzenie z lodówki i oszczędnie, choć regularnie brał prysznic w chłodnej świeżej wodzie. Prostokątne zespoły baterii modułu obracały się za słońcem i nauczył się z ich pozycji określać czas.

Ruchomy gabinet neurochirurgiczny Hosaki przypominał bezoką wersję francuskiego modułu. Był może ze dwa metry dłuższy i pomalowany na matowy brąz. Dolną część kadłuba wspierały ustawione niedawno perforowane stalowe kątowniki, wspomagające proste, sprężynowe zawieszenie dziesięciu grubych, głęboko bieżnikowanych rowerowych opon z czerwonego kauczuku.

— Śpią — stwierdził Lynch. — Kołysze się, gdy chodzą w środku, więc widać. Kiedy nadejdzie pora, zdejmiemy koła, ale na razie wolimy ich mieć na oku.

Turner wolno obszedł brązową kapsułę. Zwrócił uwagę na błyszczącą czarną rurę kanalizacji, biegnącą do niewielkiego

prostokątnego pojemnika.

— Wczoraj w nocy musieliśmy to opróżniać. Jezu! — Lynch pokręcił głową. — Mają żywność i dość wody.

Turner przyłożył ucho do burty.

— Jest dźwiękoszczelna — uprzedził Lynch.

Turner spojrzał na stalowy dach nad głową. Kapsułę osłaniało od góry dobre dziesięć metrów rdzewiejącego stropu. Arkusze blachy tak rozgrzanej, że można by usmażyć na niej jajko. Pokiwał głową. Ten gorący prostokąt jest stałym elementem na monitorach podczerwieni Maasa.

— Nietoperze — mruknęła Webber, wręczając mu Smith Wessona w czarnej, nylonowej kaburze.

Wieczór pełen był odgłosów, które robiły wrażenie, jakby pochodziły z przestrzeni wewnętrznej: metalicznych pisków, brzęku owadów, wrzasków niewidocznych ptaków. Turner wcisnął rewolwer z kaburą do kieszeni kurtki.

— Jakbyś chciał się wysikać, stań przy tamtym mesquite. Ale uważaj na kolce.

— Skąd jesteś?

— Z Nowego Meksyku — odparła kobieta.

W gasnącym świetle jej twarz wyglądała jak wyrzeźbiona z drewna. Odwróciła się i odeszła w stronę zakątka między dwiema ścianami, osłoniętego od góry brezentem. Dostrzegł tam Sutcliffe'a i młodego Murzyna. Jedli z ciemnych plastikowych torebek. Ramirez, dżokej konsoli, partner Jaylene Slide. Z Los Angeles.

Turner podniósł głowę. Widział bezgraniczną misę nieba, mapę gwiazd. To dziwne, że teraz wydaje się większe, pomyślał. Z orbity jest tylko bezkształtną otchłanią; skala traci znaczenie. Wiedział, że dziś w nocy nie zaśnie, a Wielki Wóz okrąży go i zanurkuje do horyzontu, ciągnąc za sobą dyszel.

Fala mdłości i dezorientacji ogarnęła go gwałtownie, gdy w umyśle wezbrały nieproszone obrazy z biosoftowego *dossier*.

ROZDZIAŁ 8
PARYŻ

Andrea mieszkała w Quartier des Ternes, w zabytkowym domu, który — podobnie jak inne na tej ulicy — oczekiwał na czyszczenie przez pracowitych renowatorów. Za ciemnym wejściem biofluorescencyjny pas Fuji Electric lśnił słabo nad rzędami odrapanych drewnianych skrzynek. W niektórych przetrwały jeszcze w całości wąskie drzwiczki ze szczeliną. Marly wiedziała, że listonosze kiedyś codziennie wsuwali przez te szczeliny pocztę; było w tym coś romantycznego, choć skrzynki z pożółkłymi wizytówkami informującymi o zawodach dawno zmarłych lokatorów zawsze wpędzały ją w depresję. Na ścianach korytarza przypięto grube pętle kabli i światłowodów; każde pasmo było potencjalnym koszmarem dla jakiegoś nieszczęsnego technika. Na drugim końcu korytarza, za otwartymi drzwiami z matową szybą, leżało nie używane podwórze z lśniącymi od wilgoci kamieniami bruku.

Kiedy Marly wróciła, *consierge* siedział na podwórzu na białej skrzynce, która kiedyś mieściła butelki wody Evian. Cierpliwie oliwił kolejne ogniwa starego czarnego łańcucha rowerowego. Podniósł głowę, kiedy wchodziła na schody, ale nie okazał szczególnego zainteresowania.

Stopnie były z marmuru, matowe i wklęsłe, wytarte stopami pokoleń lokatorów. Mieszkanie Andrei mieściło się na trzecim piętrze: dwa pokoje, kuchnia i łazienka. Marly zjawiła się tutaj, kiedy po raz ostatni zamknęła drzwi swojej galerii i nie mogła już dłużej spać w małym pokoiku za magazynem — zaimprowizowanej sypialni, którą dzieliła z Alainem. Budynek obudził dawną depresję, jednak dotyk nowego kostiumu i równy stuk obcasów na marmurze utrzymał zły nastrój na dystans. Miała na sobie obszerny skórzany płaszcz, o kilka odcieni jaśniejszy od torebki, wełnianą spódnicę i jedwabną bluzkę z Paris Isetan. Dziś rano dała się ostrzyc birmańskiej dziewczynie niemieckim ołówkiem laserowym — kosztowna fryzura, subtelna, ale nie przesadnie konserwatywna.

Dotknęła okrągłej płyty przykręconej pośrodku drzwi Andrei. Czujnik zadźwięczał cicho, odczytując pętle i grzbiety jej odcisków palców.

— To ja, Andreo — powiedziała do maleńkiego mikrofonu. Seria szczęknięć i stuków, gdy przyjaciółka otwierała zamki. Andrea stanęła w progu ociekając wodą, w starym frotowym szlafroku. Oceniła wygląd Marly i uśmiechnęła się.

— Dostałaś tę swoją pracę, czy obrabowałaś bank? Marly weszła i

pocałowała ją w mokry policzek.

— Mam uczucie, że jedno i drugie — oświadczyła ze śmiechem.

— Kawa — zdecydowała Andrea. — Zrób nam kawy. *Grandes crèmes.* Muszę wypłukać włosy. A ty masz wspaniałe…

Zniknęła w łazience i Marly usłyszała plusk wody o porcelanę.

— Przyniosłam ci prezent — zawołała, ale Andrea nie mogła jej słyszeć.

Weszła do kuchni, napełniła czajnik, staromodną zapalniczką zapaliła gaz i zaczęła przeszukiwać zapchane półki w poszukiwaniu kawy.

— Tak — przyznała Andrea. — Teraz rozumiem. — Spoglądała w hologram pudełka, które Marly pierwszy raz zobaczyła w holokonstrukcie parku Gaudiego. — To do ciebie podobne.

Dotknęła przycisku i iluzja nad Braunem zniknęła. Za pojedynczym oknem pokoju kilka strzępków cirrusów ozdabiało niebo.

— Dla mnie to zbyt posępne, zbyt poważne. Jak to wszystko, co wystawiałaś u siebie w galerii. Ale to może jedynie oznaczać, że Herr Virek mądrze wybrał: wyjaśnisz dla niego tajemnicę. Biorąc pod uwagę pobory, na twoim miejscu nie spieszyłabym się za bardzo.

Andrea włożyła prezent od Marly: drogą, pięknie i w najdrobniejszych szczegółach wykończoną męską koszulę z szarej flamandzkiej flaneli. Takie właśnie rzeczy lubiła najbardziej i wyraźnie się ucieszyła. Na tle koszuli wspaniale wyglądały jej jasne włosy, a oczy były prawie tego samego koloru co materiał.

— On jest okropny, ten Virek… — Marly zawahała się.

— Całkiem możliwe. — Andrea łyknęła kawy. — Spodziewałaś się, że ktoś tak bogaty okaże się miłą, całkiem normalną osobą?

— W pewnym momencie miałam wrażenie, że on nie jest do końca człowiekiem. Odczułam to bardzo silnie.

— Bo nie jest, Marly. Rozmawiałaś z projekcją, z efektem specjalnym…

— Mimo to… — Bezradnie machnęła ręką, i ta bezradność natychmiast wzbudziła w niej irytację.

— Mimo to jest bardzo, bardzo bogaty i dużo ci płaci za zrobienie czegoś, do czego być może wyjątkowo się nadajesz. — Andrea uśmiechnęła się i poprawiła wywinięty czarny mankiet. — Nie masz specjalnego wyboru, prawda?

— Wiem. I podejrzewam, że to mnie właśnie niepokoi.

— No cóż… — westchnęła Andrea. — Myślałam, że powiem ci o tym trochę później. Zdarzyło się jeszcze coś, co może cię zaniepokoić. Jeśli niepokój jest tu właściwym słowem.

— Tak?

— Zastanawiałam się nawet, czy w ogóle o tym wspominać, ale jestem pewna, że w końcu i tak do ciebie dotrze. Wyczuwa pieniądze na odległość.

Marly ostrożnie odstawiła pustą filiżankę na trzcinowy stoliczek.

— Jest na nie bardzo wyczulony — dodała Andrea.

— Kiedy?

— Wczoraj. Zaczęło się, o ile mogę ocenić, mniej więcej godzinę po twojej rozmowie z Virekiem. Zatelefonował do mnie do pracy. Zostawił wiadomość u dozorcy. Gdybym wyłączyła program ekranujący… — skinęła w stronę telefonu — pewnie zadzwoniłby w ciągu najbliższych trzydziestu minut.

Wspomnienie oczu *consierge'a,* stukanie rowerowego łańcucha.

— Twierdzi, że chce porozmawiać. Tylko porozmawiać. Czy chcesz z nim rozmawiać, Marly?

— Nie — odparła głosem małej dziewczynki, piskliwym i zabawnym. A potem: — Czy zostawił numer?

Andrea westchnęła, wolno pokręciła głową i powiedziała:

— Tak, oczywiście, że zostawił.

ROZDZIAŁ 9
W PROJEKTACH

W ciemności pływały sześcioboczne mozaiki o barwie krwi. Wszystko było ciepłe. I miękkie, na ogół miękkie.

— Ależ miazga — powiedział jeden z aniołów. Głos dochodził z daleka, ale brzmiał nisko, głęboko i bardzo wyraźnie.

— Powinnyśmy go wyciągnąć od Leona — stwierdził drugi anioł. — Tym na górze się to nie spodoba.

— Musiał coś mieć w tej wielkiej kieszeni tutaj. Widzisz? Rozcięli mu ją, żeby to wydostać.

— Ale nie wszystko rozcięli, siostro. Jezu! Tutaj!

Mozaiki zafalowały i poszybowały, gdy coś poruszyło jego głową. Chłodna dłoń na policzku.

— Nie ubrudź sobie koszuli — ostrzegł pierwszy anioł.

— Dwadziennie nie będzie zadowolony. Jak myślisz, dlaczego mu tak nagle odbiło i zaczął uciekać?

Wkurzało go to, bo chciał spać. Chociaż… Spał, z całą pewnością, ale wizyjne sny Marshy przesączały mu się jakoś do mózgu, tak że przelatywał przez porwane sekwencje „Ludzi na świeczniku". Serial nadawali bez przerwy od czasów, kiedy jeszcze nie było go na świecie, z intrygą niby wielogłowy tasiemiec, który zwijał się i co kilka miesięcy pochłaniał sam siebie, by wypuścić nowe głowy, zgłodniałe napięcia i akcji. Widział — czego Marsha nigdy nie widziała — jak wije się w swej totalności wydłużona spirala DNA Sense/Netu, tania krucha ektoplazma, emanacja pragnień niezliczonych śniących. Marsha obserwowała to z punktu widzenia Michele Morgan Magnum, głównej postaci kobiecej, dziedzicznej władczyni korporacji Magnum AG. Ale dzisiejszy odcinek dziwacznie zbaczał z tematu obłąkańczo złożonych romansów Michele, których zresztą Bobby'emu nigdy nie chciało się śledzić. Akcja przeskakiwała do szczegółowych, socjoarchitektonicznych opisów osiedli klasy średniej w stylu Soleri. Niektóre detale nawet Bobby'emu wydawały się podejrzane; wątpił na przykład, by rzeczywiście całe kondygnacje poświęcono tylko na sprzedaż lodowato błękitnych garniturów z gładkiego zamszu z diamentowymi klamrami przy kolanach. Albo żeby istniały inne poziomy, pogrążone w wiecznym mroku i zamieszkiwane wyłącznie przez głodujące dzieci. W te ostatnie, jak sobie niejasno przypominał, święcie wierzyła Marsha, która traktowała Projekty z zabobonnym lękiem, niby grożące wszystkim pionowe piekło, gdzie pewnego dnia będzie może zmuszona wstąpić. Inne elementy wizyjnego snu

przypominały mu kanał Wiedzy, wciskany za darmo z każdym abonamentem symstymu. Puszczali tam skomplikowane, animowane diagramy wewnętrznej struktury Projektów, a w tle monotonny głos opowiadał o stylach życia rozmaitych kategorii mieszkańców. Ci, kiedy zdołał skoncentrować uwagę, wydawali się jeszcze mniej prawdopodobni, niż te migawki zimnoniebieskiego zamszu i drapieżne dzieci skradające się w ciemności. Obserwował, jak w kuchennej wnęce idealnie czystego pokoju młoda matka tnie pizzę ciężkim, przemysłowym nożem wodnym. Cała ściana otwierała się na wąski balkon i prostokąt nienaturalnie błękitnego nieba. Bobby miał wrażenie, że kobieta jest czarna nie będąc czarną, niby bardzo, bardzo ciemnoskóra i młodzieńczo macierzyńska wersja porno-lalki z zestawu w jego sypialni. I miała — tak to wyglądało — identyczne piersi — małe, ale nienaturalnie doskonałe.

W tym momencie, zwiększając tylko jego dezorientację, odezwał się straszliwie głośny i całkiem nie Netowy głos:

— Moim zdaniem to wyraźna oznaka życia, Jackie. Co prawda prognozy nie są na razie zachwycające, ale to już coś.

I wtedy zawirował, wciągany do lśniącego universum Michele Morgan Magnum, która rozpaczliwie starała się nie dopuścić do przejęcia Magnum AG przez złowrogi, pochodzący z Shikoku klan Nakamura. W tym przypadku (intryga komplikowała się) reprezentował ich tegoroczny główny chłoptaś Michele: bogaty — ale z jakichś powodów niezbędnie potrzebujący kilku dodatkowych miliardów — młody nowosowiecki polityk Wasilij Susłow, który wyglądał i ubierał się dziwnie podobnie do Gothików u Leona.

Akcja odcinka docierała do czegoś w rodzaju punktu zwrotnego: na ulicy poniżej Covina Concourse Courts miniaturowe niemieckie śmigłowce atakowały antycznego BMW na baterie paliwowe, Michele Morgan Magnum okładała niklowanym pistoletem Nambu swoją zdradziecką sekretarkę, a Susłow, z którym Bobby coraz bardziej się identyfikował, spokojnie szykował się do zniknięcia z miasta w towarzystwie świetnie zbudowanej ochroniarki, Japonki, ale bardzo podobnej do innej dziewczyny z zestawu holopornu. I wtedy ktoś krzyknął.

Bobby nigdy jeszcze nie słyszał, żeby ktoś tak wrzeszczał. Ale głos wydawał mu się znajomy. Zanim zdążył się nad tym zastanowić, znowu powróciły te wirujące, krwawe plastry miodu. Stracił przez nie końcówkę „Ludzi na świeczniku”. Nie szkodzi, pomyślała jakaś część mózgu; zawsze może zapytać Marshę, co z tego wynikło.

— Otwórz oczy, chłopie. O tak. Światło jest za ostre? Było, ale nie zmieniało się. Biel, biel; pamiętał, jak dawno temu eksplodowała mu głowa, granat czystej bieli w zimnej, wietrznej, pustynnej ciemności.

Oczy miał otwarte, ale nic nie widział. Tylko biel.

— Dałbym ci spokój, mały. W twoim stanie… Ale ludzie, którzy mi płacą, kazali się spieszyć. No więc budzę cię, zanim skończyłem. Zastanawiasz się pewno, czemu nic nie widzisz, prawda? Otóż mamy tu blokadę neuralną. Tak między nami mówiąc, zabawka pochodzi z sex shopu, ale dlaczego nie mielibyśmy jej wykorzystać w celach medycznych, skoro taką mamy ochotę? A mamy ochotę, bo ciągle bardzo cię boli. Zresztą dzięki niej leżysz nieruchomo, kiedy nad tobą pracuję. — Głos był spokojny i równy. — Twój podstawowy kłopot, czyli plecy, rozwiązałem za pomocą zszywacza i prawie metra szponu. Nie zajmuję się tu chirurgią plastyczną, rozumiesz, ale dla dziewczynek te blizny będą naprawdę interesujące. W tej chwili oczyszczam ranę na piersi, potem założę tu mały szpon i po wszystkim. Przez parę dni lepiej unikaj gwałtownych ruchów, bo wyciągniesz klamrę. Przykleiłem ci kilka derm i zaraz przykleję więcej. A teraz przełączę ci zmysły na audio i pełną wizję, żebyś oswoił się z tym, gdzie jesteś. Nie przejmuj się krwią. Jest twoja, ale więcej już nie będzie.

Biel skłębiła się w szarą chmurę, obiekty nabierały kształtów w powolnym tempie wizji w obłoku pyłu. Leżał na obitym miękko suficie i patrzył prosto w dół na pokrwawioną białą lalkę, która zamiast głowy miała zielonkawobłękitną chirurgiczną lampę wyrastającą jakby bezpośrednio z ramion. Czarny mężczyzna w pochlapanym zielonym fartuchu rozpylał coś żółtego na płytkie cięcie biegnące ukośnie od miejsca tuż nad kością łonową lalki do lewego sutka. Wiedział, że mężczyzna jest czarny, ponieważ miał gołą głowę — gołą i wygoloną, błyszczącą od potu. Dłonie skrywały mu obcisłe zielone rękawiczki, tak że poza lśniącą koroną łysiny Bobby nie widział ani kawałka jego skóry. Różowe i niebieskie dermadyski przylegały do skóry po obu stronach szyi lalki. Brzegi rany pomalowane były czymś, co wyglądało jak syrop czekoladowy, a żółty aerozol syczał u wylotu małej srebrnej rurki.

Po chwili do Bobby'ego dotarł sens obrazu i wszechświat przekręcił się nagle, budząc mdłości. Lampa wisiała u sufitu, sufit pokrywało lustro, a lalką był on sam. Miał uczucie, że coś jakby długa, elastyczna lina ciągnie go z powrotem: przez czerwone plastry miodu do pokoju, gdzie czarna dziewczyna kroiła pizzę dla swoich dzieci. Wodny nóż nie wydawał żadnego dźwięku: mikroskopijne drobiny ścierne zawieszone w wąskim jak igła, wysokociśnieniowym strumieniu wody. Bobby wiedział, że urządzenie służy do cięcia szkła i stopów, nie do krojenia pizzy z kuchenki mikrofalowej. Chciał do niej zawołać, bo bał się, że nawet tego nie czując odetnie sobie kciuk.

Ale nie mógł krzyczeć, nie mógł się ruszyć ani nawet jęknąć. Z czułością odkroiła ostatni kawałek, przycisnęła stopą pedał wyłącznika

noża, ułożyła pizzę na gładkiej ceramicznej tacy i spojrzała na kwadrat błękitu za balkonowymi drzwiami, gdzie były jej dzieci… Nie, powiedział Bobby gdzieś w głębi własnego umysłu. Niemożliwe… Ponieważ stwory, które wtoczyły się do wnętrza i skoczyły ku niej, nie były podrostkami na lotniach. Były dziećmi, monstrualnymi dziećmi ze snu Marshy, ciałami o skrzydłach z różowych kości połączonych z metalem, napiętymi błonami plastiku… Zobaczył ich zęby…

— O rany — mruknął czarny mężczyzna. — Na chwilę cię straciłem. Nie na długo, rozumiesz, może nowojorską minutę…

Dłoń w lustrze nad głową podniosła z zakrwawionej ścierki obok żeber Bobby'ego płaską szpulę z przejrzystego niebieskiego plastiku. Delikatnie, dwoma palcami, mężczyzna odwinął rodzaj brunatnego przewodu podobnego do sznura paciorków. Maleńkie punkciki światła błyskały po bokach koralików, zdawały się poruszać i wibrować.

— Szpon — wyjaśnił mężczyzna.

Kciukiem drugiej ręki wcisnął jakiś wewnętrzny nóż w niebieskiej szpuli. Odcinek przewodu z paciorkami zakolysał się swobodnie i zaczął wić jak wąż.

— Dobra rzecz — stwierdził mężczyzna. — Nowość. Teraz używają takich w Chibie.

Brązowy wąż nie miał głowy, każdy paciorek był segmentem ciała, każdy segment wyposażony w parę jasnych, lśniących nóżek. Nagle, z godnym iluzjonisty gestem dłoni w zielonych rękawiczkach, ułożył węża, czy może raczej stonogę wzdłuż otwartej rany i ścisnął delikatnie ostatni segment, najbliższy twarzy Bobby'ego. Segment oderwał się, ciągnąc za sobą czarną nić. Służyła za system nerwowy stwora, bo w miarę, jak się przesuwała, kolejne pary szponów zatrzaskiwały się, mocno spinając brzegi rany, jak zamek w nowej kurtce.

— No widzisz — rzekł czarny mężczyzna, białym tamponem ścierając resztki brązowego syropu. — Nie było tak źle, prawda?

Wkroczył do apartamentu Dwadziennie zupełnie inaczej, niż to sobie tak często wyobrażał. Przede wszystkim nigdy się nie spodziewał, że wjedzie na wózku inwalidzkim, który ktoś sobie przywłaszczył z Domu Opieki Marii Panny — tę nazwę i numer seryjny wypalono laserem na matowym chromie lewej poręczy. Kobieta, która go popychała, doskonale by pasowała do którejś z jego fantazji; miała na imię Jackie i była jedną z dwóch dziewczyn z Projektów, które widział u Leona. I — jak rozumiał — jednym z jego aniołów. Wózek bezszelestnie sunął po szorstkiej szarej wykładzinie w wąskim korytarzu prowadzącym do apartamentu. Za to przy każdym kroku podzwaniały wesoło złote bransoletki przy kapeluszu Jackie.

I nigdy sobie nie wyobrażał, że mieszkanie Dwadziennie będzie

takie duże. I pełne drzew.

Pye, lekarz, który z naciskiem podkreślał, że wcale nie jest lekarzem, tylko kimś, kto „czasami pomaga", usiadł na wytartym barowym stołku w swojej improwizowanej sali operacyjnej i ściągnął pokrwawione zielone rękawiczki. Zapalił mentolowego papierosa i z poważną miną zalecił Bobby'emu, żeby przez najbliższy tydzień czy dwa unikał wysiłku. Po kilku minutach Jackie i Rhea, drugi anioł, wcisnęły go w pogniecioną czarną piżamę, która wyglądała jak rekwizyt z taniego filmu o ninjach. Usadziły go w fotelu na kółkach i popchały do centralnego ciągu wind wokół głównego filaru budynku. Bobby był przytomny, nie odczuwał bólu dzięki trzem dodatkowym dermom z zapasu Pye'a; jedna z nich zawierała dobre dwa tysiące mikro analogu endorfiny.

— A moje rzeczy? — protestował, kiedy wyjechali na korytarz, niebezpiecznie wąski po dziesięcioleciach montowania dodatkowych kabli i rur. — Gdzie moje ciuchy, mój dek i wszystko?

— Twoje ciuchy, skarbie, są w plastikowym worku i czekają, aż Pye je wyniesie. Musiał je rozcinać i zdzierać z ciebie na stole. Zostały z nich pokrwawione szmaty. Jeżeli dek miałeś w kurtce na plecach, to moim zdaniem wyjęli ci go chłopcy, którzy cię załatwili. Niewiele brakowało, a załatwiliby cię na dobre. W dodatku, wredny draniu, poplamiłeś moją koszulę od Sally Stanley.

Anioł Rhea nie zachowywała się zbyt przyjaźnie.

— Aha… — mruknął Bobby, kiedy skręcili za róg. — Dobra. A czy przypadkiem nie znalazłyście mojego śrubokręta? I chipa kredytowego?

— Żadnych chipów, dziecinko. A jeśli chodzi ci o ten śrubokręt z dwoma setkami nowych w uchwycie, to taka właśnie jest cena nowej koszuli…

Dwadziennie nie wyglądał, jakby był szczególnie zachwycony widokiem Bobby'ego. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie, jakby go wcale nie widział. Spoglądał ponad nim na Jackie i Rheę, pokazując zęby w uśmiechu, który wyraźnie dowodził zdenerwowania i braku snu. Podleczyły go tak blisko, że zobaczył żółtawe zwykle białka oczu Dwadziennie — niemal pomarańczowe w fioletowym świetle biorurek, zwisających z sufitu na pozór zupełnie przypadkowo.

— Czemu tak długo, suki? — zapytał handlarz.

W jego głosie nie było gniewu, tylko potworne znużenie i jeszcze coś, czego Bobby z początku nie rozpoznał.

— Przez Pye'a — odparła Jackie. Wyminęła wózek i wzięła paczkę chińskich papierosów z wielkiej drewnianej płyty, służącej Dwadziennie za stolik. — Stary Pye jest perfekcjonistą.

— Nauczył się tego na weterynarii — dodała Rhea tak, żeby

Bobby usłyszał. — Tyle że zwykle jest tak naćpany, że nikt by mu nie dał psa do leczenia.

— No tak… — Dwadziennie przeniósł wreszcie wzrok na Bobby'ego. — Wyliżesz się.

Spojrzenie miał zimne. Zimne, zmęczone i klinicznie obojętne, całkowicie różne od zwykłego spojrzenia nerwowego pasera i gaduły, za jakiego Bobby go uważał. Pod tym wzrokiem Bobby mógł tylko spuścić głowę. Nie odrywał oczu od blatu stołu, czując na policzkach gorący rumieniec.

Blat, prawie na trzy metry długi i ponad metr szeroki, był zbity z klocków grubszych niż udo Bobby'ego. Musiały kiedyś leżeć w wodzie, pomyślał. Niektóre fragmenty wciąż zachowały srebrzystą patynę drewna wyrzuconego przez fale, jak ten pień, przy którym bawił się dawno temu w Atlantic City. Jednak kloce od dawna już nie widziały wody. Powierzchnię pokrywała mozaika kropli wosku ze świec, plamy wina, ślady po czarnej matowej emalii nakładanej sprajem na jakieś przedmioty o dziwacznych kształtach, a także ciemne piętna wypalone setkami papierosów. Stół był tak zawalony jedzeniem, odpadkami i gadżetami, że wyglądał, jakby jakiś uliczny handlarz zaczął rozkładać na nim swój towar, ale zrobił sobie przerwę obiadową. Leżały tam nie dojedzone pizze z krylowymi pulpetami w czerwonym sosie.

— Bobby poczuł ssanie w żołądku — a obok nierówne stosy programów, brudne kieliszki z niedopałkami papierosów utopionymi w resztkach wina, różowa plastikowa taca z równymi rzędami wyschniętych kanapek, otwarte i zamknięte puszki piwa, antyczny wojskowy nóż Gerbera bez pochwy, leżący na płaskim bloku gładkiego marmuru, co najmniej trzy pistolety i dwadzieścia parę tajemniczych elementów wyposażenia konsoli — kowbojski ekwipunek, na widok którego w normalnych warunkach Bobby zacząłby się ślinić.

Teraz ślina napływała mu do ust na myśl o kawałku zimnej pizzy z krylem. Ale głód był drobiazgiem wobec nieoczekiwanego uczucia poniżenia, kiedy przekonał się, że Dwadziennie wcale się nim nie przejmuje. To nie znaczy, że Bobby uważał handlarza za przyjaciela, jednak wierzył głęboko, że Dwadziennie widzi w nim kogoś szczególnego, utalentowanego, aktywnego, kto ma szansę wydostać się z Barrytown. Jednak spojrzenie przekrwionych oczu świadczyło wyraźnie, że nie jest nikim specjalnym, i jeszcze wilsonem na dodatek…

— Posłuchaj, chłopie… — powiedział ktoś.

Nie był to Dwadziennie, więc Bobby podniósł głowę. Dwóch mężczyzn siedziało obok handlarza na ciężkiej skórzanej sofie. Obaj czarni. Ten, który się odezwał, nosił jakąś szarą szatę i staromodne okulary w plastikowych oprawach. Oprawki były kwadratowe, duże i wyglądały, jakby brakowało w nich szkieł. Drugi miał ramiona dwa

razy szersze od handlarza i był ubrany w prosty dwuczęściowy czarny garnitur, jaki widuje się w kinie u japońskich biznesmenów. Nieskazitelnie białe mankiety spinały dwa jasne prostokąty złotych mikroobwodów.

— Szkoda, że nie możemy ci dać czasu na powrót do zdrowia — rzekł pierwszy. — Ale mamy tu ciężki problem. — Przerwał, zdjął okulary i rozmasował grzbiet nosa. — Potrzebujemy twojej pomocy.

— Niech to diabli… — mruknął Dwadziennie.

Pochylił się, z paczki na stole wyjął chińskiego papierosa, odpalił od metalowej czaszki wielkości dużej cytryny i sięgnął po kieliszek wina. Mężczyzna w okularach wysunął smukły brązowy palec i dotknął jego przegubu. Dwadziennie puścił kieliszek i wyprostował się ze sztucznie obojętną twarzą. Mężczyzna uśmiechnął się do Bobby'ego.

— Graf Zero — rzekł. — Podobno takie masz pseudo.

— Zgadza się — wykrztusił Bobby. Zabrzmiało to jak krakanie.

— Musisz nam opowiedzieć o Dziewicy, Graf. Bobby zamrugał zdziwiony.

— *Vyèj Mirak*… — Okulary wróciły na miejsce. — Pani Nasza, Dziewica Cudów. My znamy ją… — zrobił znak lewą ręką — jako Ezili Freda.

Bobby uświadomił sobie, że ma otwarte usta. Zamknął je. Trzy pary oczu na trzech ciemnych twarzach wpatrywały się w niego wyczekująco. Jackie i Rhea zniknęły, choć nie zauważył, kiedy wyszły. Ogarnęło go uczucie zbliżone do paniki. Gorączkowo rozglądał się po rosnącym dookoła dziwnym lesie karłowatych drzew. Rurki bioświatła sterczały pod wszystkimi możliwymi kątami i we wszystkie strony, niczym różowofioletowe bierki zawieszone w zielonej przestrzeni liści. Żadnych ścian. W ogóle nie widział ścian. Sofa i zawalony blat stały na czymś w rodzaju polany o podłożu z nagiego betonu.

— Wiemy, że przyszła do ciebie — oświadczył potężny mężczyzna, spokojnie zakładając nogę na nogę. Poprawił idealny kant na nogawce, a na Bobby'ego mrugnęła złota spinka do mankietu. — Wiemy o tym, rozumiesz?

— Dwadziennie mówił mi, że to było twoje pierwsze wejście — dodał drugi z obcych. — To prawda?

Bobby przytaknął.

— Jesteś więc wybrańcem Legby. — Mężczyzna znowu zdjął puste oprawki. — Skoro spotkałeś *Vyèj Mirak*.

Uśmiechnął się.

Bobby znowu otworzył usta.

— Legba — wyjaśnił mężczyzna. — Pan dróg i ścieżek. Loa komunikacji…

Dwadziennie zgasił papierosa na poplamionym drewnie. Bobby zauważył, że drżą mu palce.

ROZDZIAŁ 10
ALAIN

Umówili się w piwiarni na piątym podpoziomie kompleksu Dworu Napoleona, pod szklaną piramidą Luwru. Było to miejsce, które znali oboje, chociaż nie miało dla nich żadnego szczególnego znaczenia. To Alain je zaproponował i podejrzewała, że wybrał bardzo starannie. Było gruntem emocjonalnie neutralnym; znajomym otoczeniem, wolnym jednak od ciężaru wspomnień. Wystrój pochodził z przełomu wieku: granitowe blaty, czarne belki od podłogi po sufit, lustro na całą ścianę i meble w stylu włoskich restauracji: z ciemnego kutego żelaza; mogły pochodzić z dowolnej dekady zeszłego stulecia. Na stołach leżały serwety z szarego lnu w wąskie czarne paski. Ten sam deseń występował na okładkach menu, na firmowych zapałkach i na fartuchach kelnerów.

Miała na sobie skórzany płaszcz kupiony w Brukseli, czerwoną płócienną bluzkę i nowe czarne dżinsy. Andrea najpierw udawała, że nie widzi, jak starannie ubiera się na to spotkanie, po czym pożyczyła jej prosty pojedynczy sznur pereł, który idealnie pasował do bluzki.

Przyszedł wcześniej. Zobaczyła go, jak tylko weszła. Już teraz stolik zastawiony był jego rzeczami. Założył swój ulubiony szal, który rok temu razem kupili na pchlim targu. Jak zawsze sprawiał wrażenie niedbałego i całkowicie swobodnego. Wytarty skórzany neseser wypluł zawartość na niewielki kwadrat gładkiego granitu: kołonotatniki, nie czytany egzemplarz kontrowersyjnej powieści miesiąca, gauloise'y bez filtra, pudełko drewnianych zapałek i terminarz w skórzanych okładkach, który kupiła mu u Browna.

— Bałem się, że nie przyjdziesz — powitał ją z uśmiechem.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — spytała.

Przypadkowa odpowiedź. Żałosna, pomyślała. Maskująca grozę, jaką odczuwała w tej chwili… jaką w końcu pozwoliła sobie odczuwać: lęk przed utratą części siebie, woli i kierunku, lęk przed miłością, która jeszcze nie wygasła. Przysunęła sobie krzesło i usiadła. Zjawił się młody kelner, hiszpański chłopak w pasiastym fartuchu. Poprosiła o wodę Vichy.

— Nic więcej? — zdziwił się Alain. Kelner czekał.

— Nie, dziękuję.

— Od tygodni usiłuję cię złapać — powiedział Alain.

Wiedziała, że kłamie. A jednak, jak tyle razy przedtem, zastanawiała się, czy jest w pełni świadom swojego kłamstwa. Andrea twierdziła, że ludzie tacy jak Alain kłamią bezustannie i namiętnie, aż wreszcie zatracają wyczucie różnicy. Są swego rodzaju artystami,

mówiła, próbującymi zmienić strukturę rzeczywistości. A Nowe Jeruzalem to piękne miejsce, wolne od debetów w banku, natrętnych gospodarzy i konieczności znalezienia kogoś, kto wieczorem zapłaci rachunek.

— Nie zauważyłam, żebyś usiłował mnie łapać, kiedy Gnass zjawił się z policją — rzekła z nadzieją, że przynajmniej się skrzywi. Jednak chłopięca twarz jak zawsze pozostała spokojna pod grzywą kasztanowych włosów, które odruchowo przeczesał palcami.

— Przykro mi — oświadczył i zdusił niedopałek gauloise'a.

Nauczyła się kojarzyć z nim aromat ciemnego francuskiego tytoniu i teraz cały Paryż wydawał się pełen jego zapachu, jego ducha, jego tropów.

— Byłem przekonany, że nigdy nie wykryje, hm… natury dzieła. Musisz zrozumieć: kiedy uświadomiłem sobie w pełni, jak bardzo potrzebujemy pieniędzy, wiedziałem, że muszę coś zrobić. Ty jesteś zbyt wielką idealistką. Galeria i tak by nie przetrwała. Gdyby u Gnassa wszystko poszło zgodnie z planem, siedzielibyśmy tam teraz, a ty byłabyś szczęśliwa. Szczęśliwa — powtórzył i wyjął z paczki kolejnego papierosa.

Potrafiła tylko patrzeć na niego, czując jakby zdumienie i mdlące obrzydzenie dla swego pragnienia, by mu uwierzyć.

— Wiesz… — Z żółto-czerwonego pudełka wyjął zapałkę. — Już wcześniej miałem kłopoty z policją. Kiedy byłem na studiach. Polityka, oczywiście.

Zapalił zapałkę, rzucił pudełko i przypalił papierosa.

— Polityka — mruknęła i nagle zachciało jej się śmiać. — Nie miałam pojęcia, że istnieje partia dla takich ludzi jak ty. Nie wyobrażam sobie, jak mogłaby się nazywać.

— Marly — rzekł zniżając głos, co zawsze czynił, kiedy chciał zaznaczyć głębię uczucia. — Wiesz przecież… Musisz wiedzieć, że zrobiłem to dla ciebie. Dla nas, jeśli wolisz. I z pewnością wiesz, czujesz, że nigdy świadomie bym cię nie zranił, nie naraził.

Na stoliku nie było już miejsca na jej torebkę, więc trzymała ją na kolanach. Nagle zdała sobie sprawę, że głęboko wbija paznokcie w miękką skórę.

— Nigdy byś mnie nie zranił…

Głos należał do niej: zagubiony i pełen zdumienia głos dziecka… I nagle była wolna, wolna od pragnienia, od pożądania, wolna od lęku. Wobec tej przystojnej twarzy naprzeciwko odczuwała teraz zwykłe obrzydzenie. Mogła po prostu patrzeć na niego, na obcego, obok którego sypiała przez rok w malutkim pokoiku na tyłach bardzo małej galerii przy Rue de Mauconseil. Kelner postawił przed nią szklankę Vichy.

Alain musiał uznać jej milczenie za początek akceptacji, obojętny

wyraz za otwartość.

— Nie rozumiesz… — był to, jak pamiętała, jego ulubiony wstęp — …że tacy ludzie jak Gnass istnieją, w pewnym sensie, aby wspierać sztukę. Aby nas wspierać, Marly. — Uśmiechnął się nagle, jakby śmiał się z siebie: przelotny, konspiracyjny uśmiech, który teraz zmroził jej krew w żyłach. — Przypuszczam jednak, że powinienem go pochwalić: miał dość rozsądku, żeby wynająć własnego eksperta od Cornella. Co prawda mój ekspert, muszę cię zapewnić, był

o wiele większym erudytą…

Jak może stąd wyjść? Wstań, nakazała sobie. Odwróć się. Przejdź spokojnie do drzwi. Przestąp próg. Wyjdź na przytłumiony blask Dworu Napoleona, gdzie marmur zakrywa Rue du Champ Fleuri, czternastowieczną uliczkę podobno zarezerwowaną wyłącznie dla prostytucji. Wszystko, cokolwiek, tylko idź, natychmiast, jak najdalej od niego… By zgubić się w tym Paryżu z turystycznych przewodników, jakiego nauczyła się, kiedy przyjechała tu po raz pierwszy.

— Ale teraz — mówił dalej — sama widzisz, że wszystko to wyszło nam na dobre. Często tak bywa, prawda? — Znowu uśmiech, ale tym razem chłopięcy, nieco rozmarzony i jakoś potwornie intymny. — Straciliśmy galerię, ale znalazłaś pracę, Marly. Masz zadanie do wykonania, a ja mam kontakty, których potrzebujesz. Znam ludzi, z którymi będziesz musiała porozmawiać, żeby odszukać swojego artystę.

— Mojego artystę?

Łykiem Vichy zamaskowała nagłe zakłopotanie. Otworzył wytarty neseser i wyjął coś płaskiego: zwykły refleksyjny hologram. Wzięła go, zadowolona, że ma co zrobić z rękami. I zobaczyła, że to amatorskie zdjęcie pudełka, jakie widziała w Virekowym konstrukcie Barcelony. Ktoś trzymał je w rękach. Czyjeś dłonie — nie Alaina; na palcu jednej tkwił sygnet z jakiegoś ciemnego metalu. Tło niknęło; widziała tylko pudełko i dłonie.

— Alain… — wykrztusiła. — Skąd to wziąłeś?

Podniosła głowę, by w jego oczach dostrzec przerażający, dziecięcy tryumf.

— To odkrycie będzie kogoś sporo kosztować. — Zdusił niedopałek i wstał. — Przepraszam na chwilę.

Odszedł w kierunku toalet. A kiedy zniknął za czarnymi wspornikami i lustrem, upuściła hologram, wyciągnęła rękę i podniosła pokrywę jego nesesera. Był pusty: tylko niebieska gumka i okruchy tytoniu.

— Życzy sobie pani coś jeszcze? Może drugą szklankę Vichy? Kelner stał obok. Spojrzała na niego, porażona nagle wrażeniem znajomości. Ta szczupła, smagła twarz…

— Ma przy sobie nadajnik — oznajmił kelner. — Jest też uzbrojony. Pracowałem na bramce w Brukseli. Proszę mu dać, czego żąda. Proszę pamiętać, że pieniądze nic dla pani nie znaczą. — Wziął pustą szklankę i starannie ustawił na tacy. — A bardzo prawdopodobne, że jego zniszczą.

Wrócił Alain, uśmiechając się szeroko.

— A teraz, kochanie — powiedział sięgając po papierosy — możemy pomówić o interesach.

Marly odpowiedziała uśmiechem i kiwnęła głową.

ROZDZIAŁ 11
NA POZYCJI

W końcu pozwolił sobie na trzy godziny snu w bezokiennym bunkrze, w którym grupa rozpoznawcza założyła stanowisko dowodzenia. Poznał resztę zespołu. Ramirez był drobny, nerwowy, bez przerwy myślał o swojej pracy dżokeja konsoli. Wiele od niego zależało: od niego i od Jaylene Slide na platformie wiertniczej. Mieli monitorować cyberprzestrzeń wokół sektora sieci, gdzie mieściły się ciężko oblodzone banki danych Maas Biolabs. Jeśli Maas w ostatniej chwili ich wykryje, ta dwójka zdoła może przekazać ostrzeżenie. Zadaniem Ramireza było także przesyłanie danych z modułu medycznego na platformę — trudna sprawa, jeśli mieli to utrzymać w tajemnicy przed Maasem. Linia biegła do budki telefonicznej stojącej na całkowitym pustkowiu. Dalej, w matrycy, on i Jaylene musieli radzić sobie sami. Jeśli zawalą, Maas wyśledzi sygnał i zlokalizuje stanowisko.

Był też Nathan, mechanik. Zajmował się sprzętem w bunkrze. Jeśli sypnie się jakiś element systemu, istniała szansa, że potrafi usunąć awarię. Nathan należał do gatunku, który wydał też Oakeya i tysiące innych, z którymi Turner pracował przez lata: niezależni technicy, lubili zarabiać duże pieniądze za ryzyko i udowodnili, że potrafią trzymać język za zębami. Pozostali: Compton, Teddy, Costa i Davis, byli kosztownymi mięśniakami, najemnikami wynajmowanymi właśnie do takich zadań. Specjalnie dla nich starannie wypytał Sutcliffe'a o plany ewakuacji. Wyjaśnił, gdzie wylądują śmigłowce, w jakiej kolejności będą się zwijać oraz jak i kiedy otrzymają wypłatę.

Potem polecił, żeby zostawili go w bunkrze samego, i kazał Webber obudzić się za trzy godziny.

Konstrukcja była kiedyś stacją pomp albo jakąś rozdzielnią elektryczną. Sterczące ze ścian kikuty plastikowych rur mogły osłaniać kable albo przetaczać ścieki; w pomieszczeniu nie pozostał żaden ślad świadczący, że któraś z nich była kiedykolwiek do czegoś podłączona. Strop, lity blok betonu, znajdował się zbyt nisko, by Turner mógł się wyprostować; w powietrzu unosił się nie całkiem nieprzyjemny zapach suchego kurzu. Zanim wnieśli stoły i sprzęt, ludzie z grupy zamietli podłogę, ale tu i tam pozostały jeszcze żółte strzępy gazetowego papieru. Rozsypywały się, kiedy ich dotykał; odczytywał pojedyncze litery, czasem całe słowo.

Dwa składane metalowe stoły campingowe ustawiono wzdłuż ścian w literę L. Na nich rozłożono zestawy niesamowicie skomplikowanego sprzętu komunikacyjnego. Najlepsze, pomyślał,

jakie Hosaka mógł znaleźć.

Przeszedł schylony wzdłuż obu stołów, po drodze opukując każdą konsolę, dotykając każdej czarnej skrzynki. Znalazł mocno zmodyfikowany wojskowy nadbiornik wstęgi bocznej, przystosowany do transmisji impulsowej. To będzie ich łącze, gdyby Ramirez i Jaylene nie udał się transfer danych. Impulsy zostały nagrane wcześniej: starannie opracowana techniczna fikcja, zakodowana przez kryptografów Hosaki. Same impulsy były nieistotne, to w kolejności ich nadawania kryły się proste informacje. Sekwencja B/C/A zawiadomi Hosakę o przybyciu Mitchella; F/D oznaczać będzie, że opuścił pozycję, a F/G to wiadomość o jego śmierci i przerwaniu operacji. Turner popukał palcem w przekaźnik i zmarszczył czoło. Nie był zadowolony z przygotowań Sutcliffe'a. Jeśli ekstrakcja się sypnie, mało prawdopodobne, by się stąd wydostali, a co dopiero wydostali się bez strat. Webber poinformowała go dyskretnie, że na wypadek kłopotów ma rozkaz zniszczyć z ręcznej wyrzutni przeciwpancernej moduł medyczny i jego pasażerów.

— Oni wiedzą — powiedziała. — Mogę się założyć, że za to też im płacą.

Reszta zespołu musiała polegać na śmigłowcach czekających niedaleko Tucson. Turner uznał, że zaalarmowany Maas bez trudu zdejmie je, kiedy będą się zbliżać. Kiedy rozmawiał o tym z Sutcliffem, Australijczyk tylko wzruszył ramionami.

— W sprzyjającej sytuacji nie tak bym to ustawił. Ale przecież nas wszystkich ściągnęli tu bez przygotowania.

Obok przekaźnika stał skomplikowany biomonitor Sony, połączony bezpośrednio z modułem chirurgicznym i załadowany danymi medycznymi z biosoftowego *dossier* Mitchella. Kiedy nadejdzie czas, medycy uzyskają dostęp do danych uciekiniera. Równocześnie wszelkie ich działania zostaną przekazane do Sony i zintegrowane. Wtedy Ramirez oblodzi je i przerzuci do cyberprzestrzeni, gdzie Jaylene Slide będzie już czekać na platformie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wyniki badań Mitchella trafią do kompleksu Hosaki w Mexico City, zanim Turner dostarczy go tam myśliwcem. Turner nigdy nie widział czegoś podobnego do tego Sony, przypuszczał jednak, że w swojej singapurskiej klinice Holender miał pewnie jakiś podobny sprzęt. Na tę myśl sięgnął ręką do nagiej piersi; palce odruchowo prześledziły niewidoczną linię blizny wszczepu.

Na drugim stole rozmieszczono zestaw cyberprzestrzeni. Dek był taki sam jak tamten, który oglądał na platformie wiertniczej: prototyp z Maas-Neotek. Konfiguracja standardowa, ale Conroy twierdził, że jest zbudowany na nowych biochipach. Do konsoli przylepiono bryłę bladoróżowego plastiku wielkości pięści; ktoś, pewnie Ramirez, wyrył palcem dwa dołki jako oczy i nierówny łuk idiotycznego uśmiechu.

Dwa przewody, niebieski i żółty, wybiegały z różowego czoła do jednej z czarnych, pustych rur sterczących ze ściany nad konsolą. Kolejne zadanie Webber, gdyby uznała, że stanowisko zagrożone jest przejęciem. Turner przyjrzał się przewodom. Wielkość ładunku w małej zamkniętej przestrzeni gwarantowała śmierć wszystkich, którzy znajdą się w bunkrze.

Bolał go grzbiet, czubek głowy ocierał się o szorstki beton stropu, jednak kontynuował inspekcję. Pozostałą część blatu zajmowały peryferia deku: ustawione z obsesyjną precyzją szeregi czarnych skrzynek. Podejrzewał, że każdy układ znajdował się w pewnej zadanej odległości od sąsiednich. Były idealnie wyrównane. Ramirez sam je ustawiał i Turner był przekonany, że gdyby przesunął którąś choćby o milimetr, dżokej by zauważył. Widywał już taką neurotyczną pedanterię u innych speców od konsoli; nie świadczyła o niczym. Poznał też dżokejów, którzy zdradzali odwrotne skłonności, świadomie wtykali swój sprzęt w plątaninę przewodów i kabli, bali się porządku i oblepiali konsole rysunkami kostek do gry albo trupich czaszek. Trudno cokolwiek stwierdzić… Albo Ramirez jest dobry, albo wszyscy mogą wkrótce zginąć.

Na brzegu blatu leżało pięć słuchawek Telefunkena z przylepnymi laryngofonami, jeszcze w foliowych opakowaniach. Podczas krytycznej fazy ekstrakcji, którą Turner oceniał na dwadzieścia minut przed i dwadzieścia po przybyciu Mitchella, on sam, Ramirez, Sutcliffe, Webber i Lynch będą mogli się łączyć, chociaż z nadajników trzeba będzie korzystać jak najrzadziej.

Za Telefunkenami leżało nie oznakowane plastikowe pudło. Zawierało dwadzieścia szwedzkich katalitycznych grzałek do rąk, gładkich płaskich owali ze lśniącej stali, każdy w woreczku z jaskrawoczerwonej flaneli.

— Chytry drań z ciebie — zwrócił się Turner do pudła. — Sam mogłem na to wpaść.

Spał na murszejącej piance, na podłodze stanowiska dowodzenia. Przykrył się parką. Conroy miał rację co do nocy na pustyni, ale beton zdawał się przechowywać ciepło dnia. Został w spodniach i butach; Webber poradziła mu, żeby przy każdym ubieraniu wytrzepywał wszystkie swoje rzeczy.

— Skorpiony — wyjaśniła. — Lubią pot, zresztą każdą wilgoć.

Zanim się położył, wyjął Smith Wessona z nylonowej kabury i ułożył go obok pianki. Potem, nie gasząc dwóch bateryjnych lamp, zamknął oczy.

I zsunął się w płytkie morze snu. Przesuwały się obrazy: fragmenty *dossier* Mitchella zmieszane ze strzępami jego własnego życia. On i Mitchell jechali autobusem przez wodospad szklanych płyt

do lobby hotelu w Marrakech. Naukowcy wrzasnęli, kiedy zdetonował umocowane do burt pojazdu dwadzieścia kanistrów chloroacetofenonu. Oakey też tam był, proponował mu whisky i żółtą peruwiańską kokainę na okrągłym lusterku w plastikowej oprawce, które ostatnim razem widział w torebce Allison. Miał wrażenie, że za oknem autobusu dostrzega Allison, jak krztusi się w chmurze gazu. Próbował powiedzieć coś Oakeyowi, próbował mu ją pokazać, ale szyby były oblepione meksykańskimi hologramami świętych i pocztówkami z Dziewicą, a Oakey trzymał w ręku coś gładkiego i okrągłego: kulę różowego kryształu. Zobaczył pająka przyczajonego w jej wnętrzu, pająka z rtęci, ale Mitchell śmiał się ustami pełnymi krwi i wyciągał otwartą dłoń, podając Turnerowi szary biosoft. Turner zobaczył nagle, że *dossier* to mózg, szaroróżowy i żywy pod wilgotną, przezroczystą błoną, pulsujący lekko w dłoni Mitchella. A potem zwalił się z jakiejś podwodnej półki snu i opadł łagodnie w noc bez żadnych gwiazd.

Obudziła go Webber: kanciasta sylwetka w kwadratowej ramie wejścia, z zasłaniającym otwór ciężkim wojskowym kocem na ramionach.

— Twoje trzy godziny minęły, Turner. Medycy wstali, jeśli masz ochotę z nimi pogadać.

Wycofała się; jej ciężkie buty zachrzęściły po żwirze.

Medycy Hosaki czekali obok modułu neurochirurgicznego. W świetle wschodzącego nad pustynią słońca wyglądali, jakby w swoich modnie pogniecionych dresach Ginzy wyszli właśnie z jakiegoś teleportu. Jeden z mężczyzn owinął się w za duży, ręcznie robiony meksykański sweter z paskiem, jakie w Mexico City Turner często widywał u turystów. Pozostałą dwójkę chroniły przed chłodem kosztowne z wyglądu, narciarskie kurtki. Mężczyźni byli o głowę niżsi od Koreanki, smukłej, o wyraźnie archaicznych rysach i z czubem rudawych włosów, które Turnerowi przywodziły na myśl drapieżnego ptaka. Conroy uprzedził, że dwóch mężczyzn pracuje dla firmy i Turner od razu się o tym przekonał: jedynie kobieta zdradzała charakter, postawę należącą do świata Turnera. Była wyrzutkiem, czarnym chirurgiem. Pasowałaby do Holendra.

— Jestem Turner — przedstawił się. — Dowodzę tutaj.

— Nie musi pan znać naszych nazwisk — odparła kobieta, a dwaj ludzie Hosaki skłonili się odruchowo. Porozumieli się wzrokiem, spojrzeli na Turnera, potem na Koreankę.

— Nie — przyznał Turner. — Istotnie nie muszę.

— Dlaczego wciąż nie mamy dostępu do danych medycznych pacjenta? — spytała Koreanka.

— Dla bezpieczeństwa — powiedział Turner.

Odpowiedź była niemal odruchowa. Tak naprawdę nie widział

powodów, dla których nie powinni studiować danych Mitchella.

Kobieta wzruszyła ramionami i odwróciła się, kryjąc twarz za podniesionym kołnierzem kurtki.

— Chce pan obejrzeć gabinet? — zapytał mężczyzna w grubym swetrze.

Twarz miał uprzejmą i czujną, jak perfekcyjna korporacyjna maska.

— Nie — mruknął Turner. — Dwadzieścia minut przed jego przybyciem przetoczymy was na parking. Tam odkręcimy koła i opuścimy na ziemię. Rura ściekowa zostanie odłączona. Chcę, żebyście byli w pełnej gotowości w pięć minut po ustawieniu na nowym miejscu.

— To żaden problem — odparł z uśmiechem drugi z mężczyzn.

— A teraz proszę mi wytłumaczyć, co będziecie tam robić, co z nim zrobicie i jak to może na niego podziałać.

— Nie wie pan? — spytała ostro kobieta, zwracając ku niemu twarz.

— Powiedziałem, żebyście mi wytłumaczyli.

— Przeprowadzimy szybki skan w poszukiwaniu zabójczych wszczepów — powiedział mężczyzna w swetrze.

— Ładunki w rdzeniu kręgowym i temu podobne?

— Wątpię — wtrącił drugi — żebyśmy trafili na coś tak prymitywnego. Ale owszem, przeskanujemy na pełny zakres zabójczych urządzeń. Równocześnie przeprowadzimy pełne badanie krwi. Jak rozumiemy, jego obecni pracodawcy zajmują się złożonymi systemami biochemicznymi. Możliwe zatem, że z tego kierunku zagraża największe niebezpieczeństwo.

— Panuje obecnie moda, by najlepszych pracowników wyposażać w zmodyfikowane podskórne pompy insulinowe — dodał jego partner. — Organizm obiektu zostaje oszukany i zaczyna polegać na pewnych syntetycznych analogach enzymatycznych. Układ podskórny musi być doładowywany w regularnych odstępach czasu, więc izolacja od źródła… czyli pracodawcy… prowadzi do wstrząsu.

— Na to także jesteśmy przygotowani.

— Podejrzewam, że żaden z was nie jest nawet w najmniejszym stopniu przygotowany na to, co znajdziemy — rzuciła kobieta tonem zimnym jak wiatr, który dmuchał teraz od wschodu.

Turner słyszał szelest piasku na płycie zardzewiałej blachy nad nimi.

— Proszę ze mną — zwrócił się do Koreanki.

Odszedł nie patrząc. Istniała możliwość, że nie wykona polecenia. W takim przypadku straciłby twarz u dwóch pozostałych. Uznał jednak, że to właściwe posunięcie. Zatrzymał się dziesięć metrów od modułu i usłyszał jej kroki na żwirze.

— Co pani wie? — spytał, nie oglądając się za siebie.

— Może nie więcej od pana — odparła. — A może więcej.

— Więcej niż pani koledzy, jak rozumiem.

— To niezwykle utalentowani ludzie. Ale również… słudzy.

— A pani nie?

— Pan też nie, najemniku. Wynajęli mnie do tej roboty z najlepszej nielicencjonowanej kliniki w Chibie. Przygotowując się na spotkanie z tym oświeconym pacjentem, mogłam przestudiować imponujący zbiór materiałów. Czarne kliniki w Chibie to sam szczyt medycyny; nawet Hosaka nie mógł wiedzieć, że moja pozycja w czarnej medycynie pozwoli odgadnąć, co nosi w głowie wasz uciekinier. Ulica próbuje na swój sposób wykorzystać rozmaite elementy, panie Turner. Do tej pory już kilkakrotnie wynajmowano mnie do usunięcia tych nowych implantów. Na rynek trafiła pewna ilość zaawansowanych obwodów Maasa. Próby ich wszczepiania to kolejny krok. Podejrzewam, że Maas umyślnie dopuszcza do przecieków.

— W takim razie proszę mi o tym opowiedzieć.

— To chyba niemożliwe — westchnęła z rezygnacją. — Powiedziałam, że zetknęłam się z nimi. Nie powiedziałam, że rozumiem, jak działają. — Czubkami palców musnęła nagle skórę przy jego gnieździe czaszkowym. — To, w porównaniu do implantów na biochipach, jest jak drewniana laska przy mioelektrycznej protezie.

— Ale czy w tym przypadku może to stanowić zagrożenie?

— Och, nie… — Cofnęła rękę. — Nie dla niego. Usłyszał, jak wolno oddala się w stronę modułu.

Conroy przysłał gońca z programem, który miał pozwolić Turnerowi na pilotowanie myśliwca, przewożącego Mitchella do kompleksu Hosaki w Mexico City. Gońcem okazał się spalony słońcem mężczyzna o dzikim spojrzeniu, z mięśniami jak postronki. Lynch nazywał go Harrym. Przyjechał od strony Tucson na odrapanym rowerze z łysymi terenowymi oponami i kierownicą owiniętą pożółkłym rzemieniem. Lynch przeprowadził go przez parking. Harry śpiewał coś pod nosem — dziwny odgłos w wymuszonej ciszy na placówce. Piosenka, jeśli to właściwe określenie, brzmiała jakby ktoś losowo jeździł tam i z powrotem po skali popsutego radia, ściągając krzyki gospels i urywki dwudziestu lat światowego popu. Harry niósł swój rower przerzucony przez opalone, chude ramię.

— Harry przywiózł coś dla ciebie z Tucson — oznajmił Lynch.

— Znacie się? — Turner spojrzał na niego badawczo. — Może macie wspólnego przyjaciela?

— Co chcesz przez to powiedzieć? Turner nie odwracał wzroku.

— Wiesz, jak ma na imię.

— Powiedział mi, jak ma na to pieprzone imię, Turner.

— Na imię mi Harry — oświadczył opalony.

Rzucił rower na kępę krzaków. Uśmiechnął się obojętnie, odsłaniając nierówne, popsute zęby. Nagą pierś pokrywał mu pot i kurz, z szyi zwisały pętle stalowego łańcucha, rzemienie, kawałki zwierzęcego futra i rogów, mosiężne łuski, miedziane monety wytarte do gładkości od długiego używania, oraz mała sakiewka z miękkiej brązowej skóry.

Turner przyjrzał się kolekcji dziwnych przedmiotów wiszących na chudej piersi. Wyciągnął rękę i dotknął zgiętego kawałka chrząstki zawieszonej na splecionym sznurku.

— Harry, co to jest, do diabła?

— To fiut szopa — wyjaśnił Harry. — Szopy mają w fiucie kość i staw. Mało kto o tym wie.

— Spotkałeś już kiedyś mojego przyjaciela Lyncha, Harry? Harry zamrugał.

— Znał hasła — wtrącił Lynch. — Istnieje hierarchia ważności. Znał te z najwyższego poziomu. Powiedział, jak ma na imię. Jestem tu jeszcze potrzebny, czy mogę wracać do roboty?

— Idź — rzucił Turner.

Kiedy Lynch oddalił się poza zasięg głosu, Harry zaczął rozwiązywać rzemień przy skórzanej sakiewce.

— Nie powinieneś być dla chłopaka taki surowy — powiedział. — Naprawdę jest dobry. Wcale go nie widziałem, dopóki nie przystawił mi do szyi tego strzałkowca.

Otworzył sakiewkę i delikatnie sięgnął palcami do wnętrza.

— Powtórz Conroyowi, że go wykryłem.

— Przepraszam… — Harry wyciągnął złożoną żółtą kartkę papieru. — Kogo wykryłeś? — Wręczył ją Turnerowi. Coś było wewnątrz.

— Lyncha. Jest wtyką Conroya na pozycji. Powtórz mu.

Rozłożył papier i znalazł gruby wojskowy mikrosoft. Była też notka, niebieskimi drukowanymi literami: ZŁAM KARK, CZUBKU. ZOBACZYMY SIĘ W MIEŚCIE.

— Naprawdę mam mu to powiedzieć?

— Tak.

— Ty tu jesteś szefem.

— I lepiej, żebyś o tym pamiętał. — Turner zgniótł papier i wsunął Harry'emu pod lewą pachę.

Harry uśmiechnął się słodko i niebiańsko. Inteligencja, która zbudziła się w nim na chwilę, opadła znowu niczym jakieś wodne stworzenie, bez wysiłku tonące w gładkim morzu zakłócanej tylko słońcem apatii. Ręka — jakby pozbawiona stawów — z roztargnieniem podrapała tygodniowy zarost.

— Już — mruknął Turner.

Harry odwrócił się, z plątaniny gałęzi wyrwał rower, stęknąwszy zarzucił go sobie na ramię i ruszył z powrotem przez zrujnowany parking. Za luźne wystrzępione szorty w kolorze khaki łopotały na wietrze, a kolekcja naszyjników podzwaniała cicho.

Sutcliffe gwizdnął. Stał na wzniesieniu o dwadzieścia metrów dalej i trzymał w ręku rolkę pomarańczowej taśmy mierniczej. Pora wyznaczyć pas lądowiska dla Mitchella. Muszą pracować szybko, zanim słońce wzniesie się wyżej. I tak będzie gorąco.

— Czyli — powiedziała Webber — przyleci do nas. Splunęła brunatną śliną na pożółkły kaktus. Policzek miała wypchany kopenhaskim tytoniem.

— Trafiłaś — potwierdził Turner.

Siedział obok na brązowym bloku piaskowca. Przyglądali się, jak Lynch i Nathan oczyszczają pas, który wcześniej on i Sutcliffe zaznaczyli pomarańczową taśmą — prostokąt szerokości czterech i długości dwudziestu metrów. Lynch przeniósł do taśmy kawałek zardzewiałej szyny i przerzucił ją na zewnątrz. Coś uciekło z szelestem, gdy szyna zadzwoniła o beton.

— Zobaczą taśmę. Wystarczy, że się zainteresują. — Webber otarła wargi grzbietem dłoni. — Jeśli zechcą, mogą przeczytać nagłówki porannego faksa.

— Wiem — zgodził się Turner. — Ale jeżeli jeszcze nie wiedzą, że tu jesteśmy, to chyba nas nie wykryją. A z drogi niczego nie widać. — Poprawił czarną nylonową czapeczkę, którą dostał od Ramireza. Ściągał daszek w dół, aż dotknął okularów. — Zresztą usuwamy tylko ciężki gruz. Coś, co mogłoby urwać nogę. Niczego się nie domyślą, nie z orbity.

— Nie — przyznała Webber.

Ogorzała twarz za okularami była zupełnie spokojna. Ze swojego miejsca czuł ostry, zwierzęcy zapach jej potu.

— Do diabła, Webber, co właściwie robisz, kiedy nie robisz tego? — Spojrzał w jej stronę.

— Pewnie dużo więcej niż ty — odparła. — Czasem hoduję psy. — Zza cholewy wyjęła nóż i zaczęła go ostrzyć o podeszwę, płynnie obracając po każdym pociągnięciu. Jak meksykański fryzjer ostrzący brzytwę. — I łowię ryby. Pstrągi.

— Masz kogoś w Nowym Meksyku?

— Pewnie więcej niż ty masz — mruknęła obojętnie. — Myślę, że tacy jak ty i Sutcliffe pochodzą znikąd. To tutaj mieszkasz, Turner, prawda? Na pozycji, dzisiaj, kiedy wychodzi twój chłopczyk. Zgadza się?

Sprawdziła kciukiem ostrze i z powrotem wsunęła nóż do

pochwy.

— Ale ty chyba masz kogoś? Jakiegoś faceta, do którego wracasz?

— Kobietę, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Znasz się na hodowli psów?

— Nie.

— Tak myślałam. — Zerknęła na niego z ukosa. — Mamy też dziecko. Nasze. Ona je donosiła.

— Kombinacja DNA?

Kiwnęła głową.

— To kosztowne — zauważył.

— Wiadomo; nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie musiała tego spłacać. Ale jest piękna.

— Twoja kobieta?

— Nasze dziecko.

ROZDZIAŁ 12
CAFE BLANC

Kiedy wychodziła z Luwru, miała uczucie, że jakaś gigantyczna struktura przemieszcza się i dostosowuje do jej drogi przez miasto. Kelner byłby zaledwie cząstką maszyny, kończyną, delikatnym czułkiem czy macką. Jak mogła sobie wyobrażać, że można żyć i poruszać się w nienaturalnym polu bogactwa Vireka, nie doznając przy tym odkształceń? Virek zawładnął nią w jej nieszczęściu, poddał działaniu monstrualnych, niewidocznych naprężeń swoich pieniędzy… I zmieniła się. Oczywiście, myślała, oczywiście: bez przerwy otacza mnie czujny i niewidoczny, potężny i subtelny mechanizm nadzoru Herr Vireka.

Po chwili znalazła się na chodniku pod tarasem „Blanc". Wydawał się miejscem nie gorszym od innych. Jeszcze miesiąc temu by go unikała; zbyt wiele wieczorów spędziła tu z Alainem. Teraz, wyzwolona, postanowiła od wizyty w „Blanc" rozpocząć proces ponownego odkrywania Paryża. Wybrała stolik przy bocznej ścianie, poprosiła kelnera o koniak i zadrżała patrząc na ruch uliczny, nie znającą spoczynku rzekę stali i szkła. Przepływała obok, a wokół Marly, przy innych stolikach, obcy ludzie jedli i uśmiechali się, pili i kłócili się, wypowiadali gorzkie słowa pożegnania albo w popołudniowym nastroju składali osobiste przyrzeczenia.

Ale — uśmiechnęła się — i ona była częścią tego wszystkiego. Coś w niej budziło się z długiego, dusznego snu, poruszone światłem w chwili, gdy wreszcie otworzyła oczy na niegodziwość Alaina, na własną rozpaczliwą potrzebę miłości. A ta zanikała przy stoliku w „Blanc". Niezręczność jego kłamstw zerwała w jakiś sposób łańcuchy depresji. Marly nie pojmowała tego, bo przecież już dawno, zanim wyniknęła sprawa z Gnassem, jakąś częścią umysłu wiedziała, że Alain właśnie tak poczyna sobie ze światem. I nie zmniejszyło to jej miłości. Ale wobec nowych uczuć wolała zapomnieć o logice. Wystarczyło, że była tutaj, żyła, siedziała przy stoliku w „Blanc" i wyobrażała sobie wokół siebie skomplikowaną maszynerię, którą uruchomił Virek.

Jak na ironię… pomyślała, widząc wchodzącego na taras młodego kelnera z Dworu Napoleona. Miał na sobie ciemne spodnie, w których pracował, ale fartuch zastąpiła niebieska wiatrówka. Ciemne włosy gładką falą opadały mu na czoło. Podszedł do niej z uśmiechem, spokojny, pewny, że nie będzie próbowała ucieczki. Coś w niej straszliwie pragnęło uciekać, wiedziała jednak, że tego nie zrobi. Jak na ironię, powtórzyła w myślach; kiedy cieszę się odkryciem, że nie jestem pochłaniaczem zgryzot, równocześnie dostrzegam, że

znalazłam się w centrum jakiejś ogromnej machiny napędzanej niejasnymi pragnieniami.

— Na imię mi Paco — oświadczył, odsuwając białe żelazne krzesło naprzeciw niej.

— Byłeś dzieckiem… Tym chłopcem w parku…

— Dawno temu, tak. — Usiadł. — Señor zachował obraz mojego dzieciństwa.

— Zastanawiałam się nad tym twoim señorem… — Nie patrzyła na niego, ale na przejeżdżające samochody, kojące wzrok ruchem, barwami polikarbonu i lakierowanej stali. — Taki człowiek jak Virek nie jest zdolny oderwać się od swojego bogactwa. Jego pieniądze żyją własnym życiem. Może nawet zgodnie z własną wolą. W czasie naszej rozmowy sugerował coś podobnego.

— Jest pani filozofem.

— Jestem narzędziem, Paco. Najnowszą końcówką bardzo starego urządzenia w ręku bardzo starego człowieka, który pragnie do czegoś przeniknąć i jak dotąd mu się to nie udało. Twój pracodawca przebiera w ogromnym stosie narzędzi i z jakichś powodów wybiera mnie…

— Jest pani także poetką!

Roześmiała się. Odwróciła głowę, porzucając obserwację ulicy. Paco uśmiechał się; głębokie pionowe bruzdy ujmowały klamrą jego usta.

— Kiedy tu szłam, wyobrażałam sobie strukturę, maszynerię tak ogromną, że nie potrafię jej dostrzec. Maszynerię, która mnie otacza, przewiduje każdy mój krok.

— Czyżby była pani również egotystką?

— A jestem?

— Może nie. Z pewnością jest pani obserwowana. Przyglądamy się i dobrze, że to robimy. Pani przyjaciela z piwiarni również obserwujemy. Niestety, nie zdołaliśmy ustalić, skąd wziął hologram, który pani pokazał. Prawdopodobnie miał go już, kiedy dzwonił pod numer pani przyjaciółki. Ktoś do niego dotarł, rozumie pani? Ktoś postawił go na pani drodze. Nie sądzi pani, że to bardzo intrygujące? Czy nie pobudza to ukrytego w pani filozofa?

— Tak, chyba rzeczywiście. Przyjęłam radę, Paco, której udzieliłeś mi w piwiarni: zgodziłam się na jego cenę.

— Zatem ją podwoi. — Paco uśmiechnął się.

— Co, jak sam zauważyłeś, nie ma dla mnie znaczenia. Obiecał skontaktować się jutro. Zakładam, że możesz zorganizować pieniądze. Prosił o gotówkę.

— Gotówka… — Wzniósł oczy w górę. — Jakże *risqué*. Ale owszem, mogę to załatwić. I znam szczegóły. Monitorowaliśmy tę rozmowę. To nietrudne, tym bardziej że okazał się bardzo pomocny i

sam ją nadawał przez ukryty mikrofon. Chcieliśmy wykryć, dla kogo przeznaczony jest przekaz, ale wątpię, czy on sam to wiedział.

— To do niego niepodobne… — Zmarszczyła czoło. — Przeprosić i wyjść tak nagle, zanim przedstawił swoje żądania… Zawsze uważał, że ma wyczucie dramatyzmu.

— Nie miał wyboru — wyjaśnił Paco. — Zorganizowaliśmy drobną usterkę, którą uznał za awarię źródła zasilania. Musiał zatem wybrać się do *hommes*. W kabinie mówił o pani bardzo brzydkie rzeczy.

Przeszedł kelner. Marly wskazała mu swój pusty kieliszek. — Wciąż trudno mi zrozumieć, na czym polega moja rola w tym wszystkim. Moja wartość. To znaczy: dla Vireka.

— Mnie proszę nie pytać. To pani jest filozofem. Ja tylko najlepiej jak potrafię wykonuję instrukcje señora.

— Napijesz się brandy, Paco? A może kawy?

— Francuzi — rzekł pogardliwym tonem — nie mają pojęcia o kawie.

ROZDZIAŁ 13
OBURĄCZ

— Mógłbyś to wszystko powtórzyć? — zapytał Bobby z ustami pełnymi ryżu i jajek. — Mówiliście, zdaje się, że to nie jest religia.

Beauvoir zdjął swoje oprawki okularów i przyjrzał im się z uwagą.

— Tego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że nie musisz się martwić, czy to religia czy nie. To po prostu struktura. Pozwala tobie i mnie rozmawiać o rzeczach, które się dzieją. W przeciwnym razie nie mielibyśmy odpowiednich słów, terminów…

— Ale tłumaczysz to tak, jakby te… jak im tam… louy były…

— Loa — poprawił Beauvoir, rzucając okulary na stół. Westchnął, z paczki Dwadziennie wyciągnął chińskiego papierosa i zapalił od srebrzystej czaszki. — Liczba mnoga jest taka sama jak pojedyncza. — Zaciągnął się głęboko i z wydatnych nozdrzy wydmuchał podwójną strużkę dymu. — Kiedy mówisz „religia", to co właściwie masz na myśli?

— No… Siostra mojej matki jest scjentologiem. Takim ortodoksyjnym. A ta kobieta z drugiego końca korytarza to katoliczka. Moja staruszka… — Urwał. Jedzenie w ustach nagle straciło smak. — Czasem wieszała mi na ścianach różne hologramy, Jezusa albo Hubbarda czy inne śmiecie. Wydaje mi się, że to właśnie mam na myśli.

— Voodoo jest inne — oświadczył Beauyoir. — Nie zajmuje się koncepcjami zbawienia i transcendencji. Chodzi o to, żeby załatwiać sprawy. Rozumiesz? W naszym systemie jest wielu bogów, czy raczej duchów. Należą do jednej wielkiej rodziny, ze wszystkimi zaletami i wadami takiego systemu. Istnieje tradycyjny rytuał wspólnej manifestacji. Łapiesz? Voodoo mówi: pewno, istnieje Bóg, Gran Met. Ale jest wielki i jest zbyt daleko, by się przejmować, że nie masz forsy albo w łóżku ci nie wychodzi. Przecież sam wiesz, jak to działa. To religia ulicy, narodziła się milion lat temu na jakiejś nędznej wysepce. Voodoo jest jak ulica. Kiedy jakiś ćpun potnie ci siostrę, nie obozujesz na progu Yakuzy, prawda? Nie tędy droga. Ale idziesz do kogoś, kto może sprawę załatwić. Zgadza się?

Bobby przytaknął. Przeżuwał starannie. Jeszcze jedna derma i dwie szklanki wina trochę mu pomogły. Potężny mężczyzna zabrał Dwadziennie na spacer między drzewa i fluorescencyjne słomki, pozostawiając Bobby'ego z Beauvoirem. Potem zjawiła się Jackie, miła i uprzejma, z miską tego ryżu z jajkami, całkiem niezłego. A kiedy stawiała ją przed nim na stole, przycisnęła pierś do jego ramienia.

— A zatem — ciągnął Beauvoir — interesuje nas załatwianie spraw. Jeśli wolisz, zajmujemy się systemami. I ty też, a przynajmniej chciałbyś; inaczej nie byłbyś kowbojem i nie miałbyś pseuda. Zgadza się? — Wrzucił to, co zostało z papierosa, w poznaczoną odciskami palców szklankę, do połowy wypełnioną czerwonym winem. — Wygląda na to, że Dwadziennie szykował niezłą imprezę, kiedy sprawa się sypnęła.

— Jaka to sprawa? — zapytał Bobby. Otarł usta grzbietem dłoni.

— Ty. — Beauvoir zmarszczył czoło. — To nie znaczy, że coś zawiniłeś. Chociaż Dwadziennie starał się nas przekonać, że tak Właśnie było.

— Starał się? Jest chyba trochę przestraszony. I wściekły.

— Trafiłeś. Przestraszony. Robi w portki ze strachu… to chyba właściwsze określenie.

— Jak to się stało?

— Widzisz, przy nim nie wszystko jest takie, jakim się wydaje. Owszem, naprawdę zajmuje się tym chłamem, o którym wiesz… Wpycha frajerom gorący soft… Przepraszam… — Uśmiechnął się. — Sprzedaje w Barrytown. Ale jego główna robota, jego zasadnicze plany, rozumiesz, to coś zupełnie innego. — Beauvoir wziął zaschniętą kanapkę, przyjrzał się jej z wyraźną podejrzliwością i odrzucił nad stołem, między drzewa. — Jego numer, pojmujesz, to robota dla dwóch dużych ounganów z Ciągu.

Bobby tępo kiwnął głową.

— Facetów, którzy służą oburącz.

— Nie bardzo rozumiem.

— Mowa o zawodowych kapłanach, jeśli tak zechcesz ich nazwać. Inaczej: wyobraź sobie dwóch ważnych facetów, między innymi kowbojów konsoli, którzy zajmują się załatwianiem spraw dla innych. „Służyć oburącz" to takie nasze określenie. Znaczy mniej więcej tyle, że pracują dla obu końców. Białego i czarnego, łapiesz?

Bobby przełknął i pokręcił głową.

— Czarownicy — rzekł Beauvoir. — Zresztą nieważne. Źli faceci, duży szmal. To ci wystarczy. Dwadziennie pracuje dla nich jako taki pajac blisko żłobu. Czasem trafi na coś, co może ich zainteresować, więc zrzuca im to i w zamian oni czasem wyświadczą mu taką czy inną przysługę. A kiedy nazbiera tych przysług trochę za dużo, wtedy oni coś mu podrzucają. To niezupełnie ta sama sytuacja, rozumiesz. Powiedzmy, że znajdą coś, co uważają za potencjalnie cenne, ale ich to przeraża. Ci dwaj mają skłonność do pewnego konserwatyzmu. Rozumiesz? Nie? Nie szkodzi, nauczysz się.

Bobby pokiwał głową.

— Taki soft, jaki tobie podobni wypożyczają u Dwadziennie, to śmiecie. Znaczy owszem, działa, ale nikt ważny nie będzie się tym

zajmował. Oglądałeś pewnie filmy o kowbojach? No więc to, co oni tam wymyślają to drobnostka wobec produkcji, którą może pchnąć naprawdę mocny operator. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzą lodołamacze. Ciężkie lodołamacze są dość zabawne, nawet dla ważniaków. Wiesz czemu? Ponieważ lód, ten naprawdę twardy, mury wokół wszystkich ważniejszych banków danych, zawsze jest produktem SI, sztucznej inteligencji. Nic innego nie jest dość szybkie, żeby spleść dobry lód, bez przerwy go zmieniać i poprawiać. Więc kiedy jakiś bardzo potężny lodołamacz trafia na czarny rynek, trzeba uwzględnić kilka niejasnych czynników. Na początek, skąd pochodzi dany produkt? W dziewięciu przypadkach na dziesięć pochodzi od SI, a SI są pod ciągłą obserwacją, głównie ludzi Turinga. Pilnują, żeby nie stały się za sprytne. Może się okazać, że jakaś SI chce zwiększyć dopływ szmalu, a tobie od razu wejdzie na tyłek cala machina Turinga. Niektóre SI mają obywatelstwo, prawda? Inna sprawa, na którą musisz uważać: może to lodołamacz wojskowy, a to gorący układ, albo może wymaszerował sobie z wydziału szpiegostwa przemysłowego jakiegoś zaibatsu, a tego też byś nie chciał. Łapiesz, o co chodzi, Bobby?

Bobby przytaknął. Miał uczucie, że przez całe życie czekał, aż Beauvoir wytłumaczy mu mechanizm działania świata, którego istnienie tylko podejrzewał.

— Mimo to lodołamacz, który rzeczywiście rozcina lód, wart jest megę, to znaczy *beaucoup*. I powiedzmy, że jesteś panem Ważniakiem, a ktoś proponuje ci taką zabawkę. Nie chcesz mu zwyczajnie powiedzieć, żeby się zmywał. Więc kupujesz. Kupujesz dyskretnie, ale nie włączasz. O nie. Co z tym robisz? Bierzesz do domu, każesz technikowi trochę to przerobić, żeby wyglądało całkiem zwyczajnie. Powiedzmy, pakujesz to w taki format… — Postukał palcem w stos softu przed sobą. — I zabierasz do swojego pajaca, który jest ci winien jedną czy drugą przysługę, jak zwykle…

— Moment — przerwał mu Bobby. — Coś mi się tu nie podoba…

— To dobrze. To znaczy, że jesteś sprytny, a w każdym razie sprytniejszy. Ponieważ oni to właśnie zrobili. Przynieśli to tutaj, do twojego znajomego handlarza, pana Dwadziennie, i opowiedzieli o swoim kłopocie. „Chłopie”, mówią, „chcemy sprawdzić to draństwo, zrobić próbny przejazd, ale w życiu nie wejdziemy w to osobiście”. A co wtedy zrobi Dwadziennie? Sam to włączy? Nigdy w życiu. Zrobi dokładnie to, co z nim zrobili ci ważni faceci. Tyle że nawet się nie trudzi, żeby cokolwiek tłumaczyć chłopaczkowi, którego sobie wybrał. A więc wyznacza bazę na środkowym zachodzie, pełną programów kantów podatkowych i schematów prania jenów dla jakiegoś burdelu w Kansas City. Każdy, kto nie spadł przed chwilą z drzewa, po prostu wie, że to świństwo po uszy tkwi w lodzie, czarnym lodzie, absolutnie

śmiertelnych programach sprzężeń zwrotnych. Żaden kowboj w Ciągu albo poza nie pchałby się do tej bazy. Po pierwsze, bo jest najeżona obroną i po drugie, to co zawiera nie ma wartości dla nikogo oprócz Biura Podatkowego, a oni i tak są pewno na liście płac właściciela.

— Chwila! — zawołał Bobby. — Chyba nie rozumiem…

— Właśnie ci tłumaczę, białasie! Wybrał tę bazę, przeleciał swoją listę szpanerów, ambitnych szczeniaków z Barrytown, wilsonów. Dostatecznie głupich, żeby uruchomić program, którego w życiu nie widzieli, przeciwko bazie, którą jakiś dowcipniś, jak Dwadziennie, pokazał im palcem i powiedział, że to łatwy numer. I kogo sobie wybrał? Kogoś nowego w tej grze. Więcej, kogoś, kto nie wie nawet, gdzie on mieszka, kto nie zna jego numeru. I mówi: masz, mój chłopcze, weź to do domu i zarób trochę forsy. Jak trafisz coś sensownego, pchnę to. — Beauvoir szeroko otworzył oczy. Nie uśmiechał się. — I co, człowieku, brzmi to znajomo? A może nie znasz żadnych takich frajerów?

— To znaczy on wiedział, że zginę, jeżeli podłączę się do tej bazy?

— Nie, Bobby. Ale wiedział, że jeśli soft nie zadziała, taka możliwość istnieje. Przede wszystkim jednak chciał obserwować, jak próbujesz. Czego zresztą też nie chciało mu się załatwiać samemu; zlecił robotę dwójce kowbojów. Rzecz mogła się rozwinąć w kilku kierunkach. Po pierwsze, gdyby lodołamacz wykonał swój numer na czarnym lodzie, dostałbyś się do środka, znalazł kupę liczb, które nic by dla ciebie nie znaczyły, potem byś się wycofał, może nawet bez śladu. Wróciłbyś do Leona i powiedział Dwadziennie, że wskazał ci złą bazę. Przeprosiłby, oczywiście. Dostałbyś nowy cel i nowy lodołamacz, a ten pierwszy on zabrałby do Ciągu i powiedział, że wygląda w porządku. Poza tym nie spuszczałby cię z oka: obserwowałby, czy jesteś zdrowy, czy nikt nie próbuje o ten lodołamacz wypytywać… bo przecież mogli usłyszeć, że go używałeś. Inny kierunek, w jakim sprawy mogły się potoczyć i niemal się potoczyły, to że coś w lodołamaczu było nie tak, lód wysmażyłby cię na śmierć, a jeden z tych kowbojów włamałby się do lokalu twojej mamusi i zabrał soft, zanim ktokolwiek znalazłby ciało.

— Nie wiem, Beauvoir. To trochę za mocne…

— Trzeba mieć mocny tyłek. Życie nie jest dla mięczaków. Znaczy, mówimy tu o interesach, łapiesz? — Beauyoir przyglądał mu się z powagą. Plastikowe ramki zsunęły mu się na sam czubek nosa. Miał skórę jaśniejszą niż jego potężny towarzysz czy Dwadziennie, koloru kawy z odrobiną tylko śmietanki, a czoło wysokie i gładkie pod krótko przystrzyżonymi czarnymi włosami. W jasnoszarej szacie wydawał się szczupły i wcale niegroźny. — Ale nasz problem i powód, dla którego tu jesteśmy, to ustalić, co się właściwie zdarzyło. A

zdarzyło się coś innego.

— Ale to znaczy, że mnie wystawił! Dwadziennie wystawił mnie, żeby mi przypalili tyłek! — Bobby wciąż siedział w fotelu z Domu Opieki Marii Panny, chociaż chyba go już nie potrzebował. — I wpadł w bagno po uszy z tymi facetami, tymi ważniakami z Ciągu?

— Zgadłeś.

— I dlatego tak się zachowuje, jakby guzik go obchodziło, albo jakby chciał mnie zarżnąć? Zgadza się? A naprawdę jest przerażony?

Beauvoir pokiwał głową.

— No jasne! — Bobby nagle zrozumiał, dlaczego Dwadziennie jest taki wściekły i dlaczego się boi. — Przecież obrobili mnie w Wielkim Lunaparku, a ci pieprzeni Lobowie wyrwali mój dek. A soft był cały czas w moim deku! — Pochylił się, podniecony tym, że udało mu się zestawić fakty. — A ci faceci zabiją go albo co, jeżeli nie znajdzie dla nich tego softu. Tak?

— Widzę, że często oglądasz filmy — stwierdził Beauvoir. — Ale mniej więcej o to właśnie chodzi.

— No tak… — Bobby usiadł wygodnie i oparł bose stopy o krawędź blatu. — Powiedz mi, Beauvoir, kim są ci faceci? Jak ich nazwałeś? Hunganami? Czarownicy, mówiłeś? Co to niby ma znaczyć?

— Widzisz, Bobby — odparł Beauvoir. — Ja jestem jednym z nich, a ten potężny gość… możesz nazywać go Lucasem… to drugi.

— Pewnie widziałeś już coś takiego — powiedział Beauvoir, kiedy mężczyzna zwany Lucasem ustawił na stole zbiornik projekcyjny, uprzednio metodycznie odsunąwszy na bok wszystkie odpadki.

— W szkole — mruknął Bobby.

— Chodziłeś do szkoły, człowieku? — warknął Dwadziennie. — To dlaczego do diabła w niej nie zostałeś?

Odkąd wrócili z Lucasem, palił jednego papierosa po drugim, bez przerwy. Wydawało się, że jest w gorszym stanie niż poprzednio.

— Zamknij się, Dwadziennie — rzucił Beauvoir. — Tobie też by się przydało trochę wykształcenia.

— Uczyli nas, jak się poruszać w matrycy, jak korzystać ze zbiorów biblioteki druków… Takie rzeczy.

— No dobrze… — Lucas wyprostował się i strzepnął nie istniejący pył z dużych różowych dłoni. — Czy kiedyś używałeś tego, żeby dotrzeć do drukowanych książek?

Zdjął nieskazitelnie czarną marynarkę; idealnie białą koszulę przecinała para brązowych szelek. Rozluźnił gładki, czarny krawat.

— Nie czytam za dobrze — wyznał Bobby. — To znaczy potrafię, chociaż to trudne. Ale tak, używałem. Obejrzałem parę naprawdę starych książek o matrycy i tak dalej…

— Tak podejrzewałem. — Do konsoli tworzącej podstawę

zbiornika Lucas podłączył jakiś mały dek. — Graf Zero. Graf zero procedury. Dawny żargon programistów.

Przysunął dek Beauvoirowi, który zaczął wystukiwać rozkazy.

Złożone geometryczne formy wskakiwały na miejsca wewnątrz zbiornika, wyrównane do prawie niewidocznych płaszczyzn trójwymiarowej kratownicy. Bobby zauważył, że Beauvoir wpisuje cyberprzestrzenne współrzędne Barrytown.

— Określimy cię jako tę niebieską piramidę, Bobby. O, tutaj jesteś. — W samym środku zbiornika zaczęła delikatnie pulsować niebieska piramida. — Teraz pokażemy ci, co widzieli kowboje Dwadziennie. Ci, którzy cię pilnowali. Od tej chwili oglądasz zapis.

Z piramidy wysunął się przerywany promień błękitnego światła i podążył wzdłuż linii kraty. Bobby patrzył, widząc siebie samego w saloniku matki, z Ono-Sendai na kolanach, przy zaciągniętych zasłonach, przebiegającego palcami po deku.

— Lodołamacz w drodze — wyjaśnił Beauvoir.

Linia niebieskich kropek dotarła do ściany zbiornika. Beauvoir stuknął w dek i współrzędne uległy zmianie. Poprzednie nastawienie zastąpił nowy układ geometryczny. Bobby rozpoznał kiść wycentrowanych na kracie pomarańczowych prostokątów.

— To jest to — powiedział.

Niebieski promień sięgnął od brzegu zbiornika w stronę pomarańczowej bazy. Mgliste płaszczyzny pomarańczowego cienia zatańczyły wokół prostokątów, przesuwały się i migały stroboskopowo. Linia zbliżała się.

— Sam widzisz, że coś tu jest nie w porządku — stwierdził Lucas. — To jest ich lód i już się do ciebie dostraja. Reaguje, zanim jeszcze nastąpił kontakt.

Kiedy linia niebieskich kropek dotknęła pomarańczowej płaszczyzny, otoczyła ją półprzejrzysta pomarańczowa rurka odrobinę większej średnicy. Zaczęła się wydłużać, przesuwając wzdłuż linii, aż dotknęła ściany zbiornika.

— A tymczasem — rzucił Beauvoir — w domu w Barrytown…

Znów coś wystukał i na środek wróciła niebieska piramida Bobby'ego. Chłopak patrzył, jak pomarańczowa rurka wysuwa się ze ściany zbiornika projekcyjnego. Nadal podążała wzdłuż niebieskiej linii i gładko zbliżała się do piramidy.

— Mniej więcej w tej chwili, kowboju, powinieneś na poważnie zająć się umieraniem.

Rurka dotarła do środka; zaskoczyły pomarańczowe trójkąty, zamykając we wnętrzu piramidę. Beauvoir zatrzymał projekcję.

— A teraz, mój chłopcze… — odezwał się Lucas. — Kiedy wynajęci pomocnicy Dwadziennie, którzy są, najogólniej mówiąc, parą twardych i doświadczonych dżokejów, zobaczyli to, co ty za chwilę

zobaczysz, uznali, że ich dek dojrzał do generalnego remontu w niebie. Jako zawodowcy mieli dek rezerwowy. Podłączyli go i nadal widzieli to samo. Wtedy właśnie postanowili zadzwonić do swojego pracodawcy, pana Dwadziennie. Który, jak poznajemy po tym bałaganie, zamierzał właśnie urządzić imprezę.

— Człowieku… — W głosie Dwadziennie zabrzmiała nuta histerii. — Przecież tłumaczyłem. Miałem tu paru klientów, których musiałem jakoś zająć. Zapłaciłem tym chłopcom, żeby obserwowali. I obserwowali, a potem zadzwonili do mnie. Czego wy chcecie, do diabła?

— Naszej własności — odparł spokojnie Beauvoir. — A teraz przyjrzyj się bardzo uważnie. To draństwo można spokojnie nazwać anomalią, fenomenem nadprzyrodzonym.

Stuknął w dek, uruchamiając odtwarzanie.

Na dnie zbiornika rozkwitły płynnie kwiaty mlecznej bieli. Wyciągając szyję, Bobby zobaczył, że składają się z tysięcy maleńkich kulek czy bąbelków. Nagle wyrównały się perfekcyjnie wzdłuż linii kratownicy i zagęściły, tworząc asymetryczną, szerszą od góry strukturę, coś w rodzaju prostokątnego grzyba. Powierzchnie, a raczej ścianki, były białe i idealnie czyste. Nie większy niż otwarta dłoń Bobby'ego obraz w zbiorniku komuś włączonemu w dek musiał wydawać się ogromny. Bryła wysunęła parę rogów; wydłużyły się, zakrzywiły, zmieniły w szczypce i sięgnęły do piramidy. Zobaczył, jak czubki bez wysiłku przebijają migotliwe pomarańczowe płaszczyzny wrogiego lodu.

— Powiedziała „Co ty robisz?" — usłyszał własny głos. — A potem spytała, dlaczego mi to robią, dlaczego mnie zabijają…

— No… — stwierdził cicho Beauvoir. — Wreszcie do czegoś dochodzimy.

Nie wiedział, dokąd idą, ale był zadowolony, że mógł w końcu wstać z tego wózka. Beauvoir schylił się, by ominąć ukośne bioświatło zwisające z podwójnego spiralnego kabla. Bobby poszedł za jego przykładem i niemal się pośliznął na kałuży wody pokrytej jakąś zieloną błoną. Dalej od polanki Dwadziennie powietrze wydawało się gęściejsze. Unosił się cieplarniany zapach wilgotnych roślin.

— Więc tak to było — odezwał się Beauvoir. — Dwadziennie wysłał jakichś kumpli na Covina Concourse Courts, ale ty zdążyłeś już zniknąć. Twój dek też.

— W takim razie nie rozumiem, dlaczego to ma być jego wina — stwierdził Bobby. — Przecież gdybym nie wyrwał do Leona… a przecież szukałem tam Dwadziennie, chciałem nawet dostać się tutaj… wtedy by mnie znalazł, prawda?

Beauvoir przystanął, by podziwiać wielkolistną kępę kwitnących

konopi. Brązowym palcem dotknął bladych, bezbarwnych kwiatów.

— Prawda — zgodził się. — Ale tu chodzi o interesy. Na czas wejścia powinien wyznaczyć kogoś, żeby pilnował twojego mieszkania. Powinien upewnić się, że ani ty, ani soft, nie wyjdziecie na żaden nie planowany spacer.

— Na pewno wysłał do Leona Rheę i Jackie. Przecież je tam widziałem.

Bobby sięgnął pod kołnierzyk swojej czarnej piżamy i podrapał zaszytą ranę, przecinającą plecy i brzuch. A potem przypomniał sobie tę stonogę, której Pye użył zamiast szwów, i szybko cofnął rękę. Swędziało go — prosta linia swędzenia — ale nie chciał tego dotykać.

— Nie. Jackie i Rhea są nasze. Jackie to mambo, kapłanka, wierzchowiec Danbali.

Beauvoir szedł dalej. Bobby zakładał, że podąża przez dżunglę hydroponicznych upraw jakąś istniejącą ścieżką czy szlakiem… chociaż miał wrażenie, że nie zmierzają w żadnym określonym kierunku. Niektóre większe krzaki tkwiły w wypełnionych ciemnym humusem pękatych zielonych workach na śmieci. Wiele z nich popękało, a białe korzenie szukały świeżego pożywienia w cieniach między biolampami, gdzie czas i powolne opadanie liści stworzyły cienką warstwę kompostu. Bobby miał na nogach parę czarnych nylonowych japońskich sandałów, które znalazła mu Jackie; już teraz czuł między palcami wilgotną ziemię.

— Wierzchowcem? — zdziwił się.

Wyminął ciernistą roślinę, która przywodziła na myśl palmę wywróconą na lewą stronę.

— Danbala jej dosiada. Danbala Wedo, wąż. Czasami bywa wierzchowcem Aidy Wedo, jego żony.

Bobby postanowił nie pytać dalej. Spróbował zmienić temat.

— Jak to jest, że Dwadziennie ma taki wielki lokal? Po co tu te wszystkie drzewa i reszta?

Wiedział, że Jackie i Rhea wtoczyły go na wózku przez drzwi, ale od tego czasu nie zauważył żadnej ściany. Wiedział też, że kompleks zajmuje masę hektarów, więc całkiem możliwe, że mieszkanie Dwadziennie jest bardzo duże. Trudno jednak uwierzyć, żeby handlarz, nawet sprytny handlarz, mógł sobie pozwolić na taki luksus. Na to nie stać nikogo, a poza tym kto chciałby mieszkać w przeciekającym hydroponicznym lesie?

Ostatnia derma przestawała działać; plecy i pierś zaczynały już piec i szczypać.

— Fikusy, mapou… Cały ten poziom Projektów jest *lieu saint,* świętym miejscem. — Beauvoir stuknął Bobby'ego w ramię i wskazał skręcone dwukolorowe nitki zwisające z gałęzi pobliskiego drzewa. — Drzewa są poświęcone rozmaitym loa. To należy do Ougou, Ougou

Feray, boga wojny. Rośnie tu jeszcze wiele innych rzeczy, choćby zioła potrzebne leczącym liśćmi. Niektóre rośliny są po prostu dla urozmaicenia. Ale to nie jest lokal Dwadziennie. Jest komunalny.

— To znaczy, że obejmuje całe Projekty? Voodoo i w ogóle? To było gorsze niż najstraszniejsze wyobrażenia Marshy.

— Nie… — Beauvoir zaśmiał się. — Na górze stoi meczet, jest parę tysięcy… może i dziesięć… rozrzuconych dookoła wściekłych baptystów, trochę kościoła sci… Jak zwykle. A jednak… — wyszczerzył zęby — to my mamy tradycję robienia tego, co należy. Ale jak się wszystko zaczęło na tym poziomie, to dłuższa historia. Jakieś osiemdziesiąt, sto lat temu ludzie, którzy projektowali te budowle, mieli ideę stworzenia czegoś możliwie samowystarczalnego. Chcieli hodować żywność. Ogrzewać się, wytwarzać energię itd. Ten budynek, jeśli zaczniesz wiercić dostatecznie głęboko, stoi na całej masie wód geotermicznych. Na dole jest naprawdę gorąco, chociaż nie dość, żeby uruchomić turbinę, więc nie można z tego produkować energii. Próbowali ją podciągnąć: na dachu jest setka rotorów Darieusa; nazywają je trzepaczkami. Zrobili sobie pompy wiatrowe, łapiesz? Jak na farmie. Dzisiaj i tak większość watów biorą z Agencji Energii Atomowej, jak wszyscy. A te wody geotermiczne pompują do góry, do wymiennika ciepła. Są zbyt zasolone, żeby je pić, więc wymienniki tylko podgrzewają waszą zwykłą jerseyską kranówe. Zresztą mnóstwo ludzi uważa, że i tak nie nadaje się do picia.

W końcu zbliżyli się do jakiejś ściany. Bobby obejrzał się. Płytkie kałuże na zabłoconym betonie podłogi odbijały gałęzie karłowatych drzew i nagie białe korzenie sięgające do tych naturalnych zbiorników hydroponicznych.

— Podgrzaną wodę przepompowują do zbiorników i hodują mnóstwo krewetek. Krewetki bardzo szybko rosną w ciepłej wodzie. A potem rurami w betonie pompują ją dalej, aż tutaj, żeby utrzymać temperaturę. Do tego miał służyć ten poziom: do hodowli hydroponicznego amarantu, sałaty i tak dalej. Potem pchają tę wodę do zbiorników hodowlanych sumów. Tam algi zżerają gówno krewetek, sumy zżerają algi i tak w kółko. A w każdym razie takie było założenie. Pewnie nie wpadli na to, że ktoś wlezie na dach i wykopie rotory, żeby zrobić miejsce na meczet. Innych zmian też nie przewidzieli. Ale wciąż można w Projektach dostać cholernie dobre krewetki. Suma też.

Dotarli do ściany. Była ze szkła, pokrytego kropelkami skondensowanej wilgoci. Kilka centymetrów za nią tkwiła kolejna ściana zrobiona z czegoś, co wyglądało jak arkusze zardzewiałej blachy. Z kieszeni szarej szaty Beauvoir wyłowił klucz i wsunął go w otwór w nagim duralowym wsporniku dzielącym dwie płaszczyzny okna. Gdzieś niedaleko z wyciem zbudził się do życia silnik. Szeroka

stalowa okiennica szarpnięciami odsunęła się w górę i na boki, odsłaniając widok, jaki Bobby często sobie wyobrażał.

Musieli być pod dachem, wysoko, ponieważ mógłby cały Wielki Lunapark zakryć złożonymi dłońmi. Bloki Barrytown wyglądały jak szarobiałe grzyby sięgające aż po horyzont. Było już prawie ciemno i za ostatnim rzędem budynków dostrzegał różowy blask.

— Tam daleko widać Ciąg, prawda? To różowe?

— Zgadza się. Ale im bliżej się znajdziesz, tym mniej pięknie wygląda. Chciałbyś tam pojechać, Bobby? Graf Zero gotów wkroczyć do Ciągu?

— Jasne — przyznał Bobby, opierając dłonie o zapocone szkło. — Nie masz pojęcia…

Derma zużyła się już całkiem; plecy i pierś bolały jak diabli.

ROZDZIAŁ 14
NOCNY LOT

Kiedy nadeszła noc, Turner znów znalazł się na krawędzi.

Zdawało mu się, że już dawno tam nie był, ale kiedy zaskoczył, miał wrażenie, jakby nigdy nie odchodził. Krawędź była nadludzkim synchronicznym przepływem bodźców, jaki stymulanty naśladowały tylko w przybliżeniu. Mógł liczyć na coś takiego jedynie na pozycji, przed jakąś ważną ekstrakcją, tylko gdy sam dowodził, a i wtedy wyłącznie w ostatnich godzinach przed akcją.

Ale minęło już sporo czasu. W New Delhi sprawdzał zaledwie potencjalne trasy ucieczki dla kogoś z administracji, kto jeszcze sam nie był pewien, czy zmiana miejsca jest właśnie tym, na czym mu zależy. Gdyby wtedy Turner był na krawędzi, tamtej nocy na Chandni Chauk, może zdołałby odskoczyć przed taranem. Prawdopodobnie nie, ale na krawędzi przynajmniej by próbował.

A teraz na krawędzi zestawiał czynniki, które odgrywały rolę na pozycji, porównywał grupy drobnych problemów z pojedynczymi poważnymi. Jak dotąd tych drobnych mieli sporo, ale żadnych większych przeszkód. Lynch i Webber zaczynali skakać sobie do oczu, więc przydzielił zadania tak, żeby trzymać ich z dala od siebie. Przekonanie, że Lynch jest wtyczką Conroya, z początku instynktowne, teraz stawało się silniejsze. Na krawędzi instynkt wyostrzał się, nabierał cech magicznych. Nathan miał problemy z prymitywnymi szwedzkimi grzałkami do rąk: cokolwiek prostszego od obwodu elektronicznego sprawiało mu kłopoty. Turner polecił Lynchowi naładować je i uruchomić, a Nathan przenosił parami i zakopywał płytko co metr wzdłuż dwóch długich linii pomarańczowej taśmy.

Mikrosoft przysłany przez Conroya wypełnił mu umysł własnym uniyersum nieustannie zmieniających się czynników: prędkość powietrzna, wysokość, wychylenie, kąt podejścia, przeciążenia, kursy. Informacja stanu uzbrojenia samolotu była ciągłą, podświadomą litanią oznaczeń celów, linii spadku bomb, promieni przeszukiwania, zasięgu i sygnałów zwolnienia, stanu pocisków. Conroy dołączył do mikrosoftu prostą wiadomość: określenie czasu przybycia samolotu i potwierdzenie, że przewidziano miejsce dla dodatkowego pasażera.

Turner zastanawiał się, co teraz robi, co czuje Mitchell. Północnoamerykański kompleks Maas Biolabs został wyryty w sercu skalnej płyty wypchniętej z podłoża pustyni. Biosoftowe *dossier* ukazywało powierzchnię skały obramowaną oknami wieczoru. Budynek niczym mostek ogromnego statku płynął ponad

wzniesionymi ramionami morza saguaros. Dla Mitchella było to więzienie i forteca, dom przez ostatnie dziewięć lat. Gdzieś w jego wnętrzu doskonalił metody hybrydowe, które od niemal stulecia wymykały się innym badaczom. Pracując z ludzkimi komórkami rakowymi i zarzuconym, niemal zapomnianym modelem syntezy DNA, stworzył nieśmiertelne komórki hybrydowe będące podstawowym narzędziem produkcyjnym nowej technologii, maleńkie fabryki biochemiczne bez końca formujące zaprojektowane molekuły, które potem, połączone, wbudowywano w nowe biochipy. Gdzieś w kompleksie Maasa Mitchell przeżywa teraz swoje ostatnie godziny w roli największej gwiazdy ich programu badawczego.

Turner spróbował sobie wyobrazić Mitchella, po przejściu do Hosaki prowadzącego całkiem inne życie. Nie było to łatwe. Czy kompleks badawczy w Arizonie tak bardzo się różnił od kompleksu na Honshu?

Podczas tego długiego dnia zdarzały się chwile, kiedy zakodowane wspomnienia Mitchella wzbierały w Turnerze i budziły dziwny lęk, który zdawał się nie mieć żadnego związku z bliską już operacją.

Wciąż go niepokoiło wrażenie intymnego kontaktu wywoływane przez biosoft; może stąd brało się uczucie lęku. Pewne fragmenty niosły ładunek emocjonalny zupełnie nieproporcjonalny do ich zawartości. Dlaczego wspomnienie ponurej sypialni studentów w Cambridge wzbudzało w Mitchellu poczucie winy i odrazy do samego siebie? Innym obrazom, które — logicznie rzecz biorąc — powinny nieść pewną dawkę uczucia, dziwnie brakowało wszelkiej afektacji: Mitchell bawiący się z córeczką na szerokim, jasnym wełnianym dywanie w wynajętym domku w Genewie; dziecko śmieje się, ciągnie go za rękę. I nic. Z punktu widzenia Turnera, życie tego człowieka zostało naznaczone pewną nieuchronnością. Był wybitnie uzdolniony, co wykryto bardzo wcześnie, miał silną motywację i talent do tej uprzejmej i bezlitosnej wewnętrznej manipulacji, niezbędnej u kogoś, kto zamierza zostać uznanym naukowcem. Jeśli komukolwiek było przeznaczone, by wspiąć się na szczyt hierarchii korporacyjnych laboratoriów, to właśnie Mitchellowi.

Sam Turner nie potrafiłby włączyć się w agresywnie plemienną strukturę świata ludzi zaibatsu, związanych na całe życie z firmami. Był wiecznym wyrzutkiem, wolnym strzelcem dryfującym po tajemnych morzach polityki międzykorporacyjnej. Żaden człowiek firmy nie podjąłby działań i decyzji, jakie musiał podejmować Turner podczas ekstrakcji. Żaden człowiek firmy nie posiadał profesjonalnej zdolności Turnera do obojętnego przeniesienia lojalności przy zmianie pracodawcy. Czy całkowitego poświęcenia, kiedy kontrakt został już

zawarty. Trafił do służb ochrony przed dwudziestką, kiedy smętna stagnacja powojennej gospodarki ustępowała przed impetem nowej technologii. Radził sobie dobrze, biorąc pod uwagę niemal całkowity brak ambicji. Miał muskularną sylwetkę, która robiła wrażenie na klientach jego pracodawcy, i był inteligentny. Bardzo inteligentny. Dobrze wyglądał w garniturze. Znał się na technice.

Conroy znalazł go w Meksyku, gdzie szef Turnera podpisał kontrakt na ochronę zespołu symstymowego Sense/Netu, który nagrywał kilka trzydziestominutowych odcinków serialu o przygodach w dżungli. Kiedy przybył Conroy, Turner załatwiał już ostatnie sprawy. Ustalił zasady kontaktów Sense/Netu z lokalnym rządem, przekupił szefa policji w miasteczku, przeanalizował system bezpieczeństwa hotelu, poznał i sprawdził życiorysy miejscowych kierowców i przewodników, wprowadził do nadajników zespołu cyfrowy system rozpoznania głosu, wyznaczył zespół kryzysowy i umieścił czujniki sejsmiczne wokół pokojów ekipy.

Wieczorem zajrzał do imitującego dżunglę hotelowego baru, przedłużenia lobby, i znalazł miejsce przy pustym stoliku ze szklanym blatem. Wysoki mężczyzna z grzywą wypłowiałych włosów przeszedł przez salę, niosąc dwa drinki. Blada skóra ciasno opinała kanciaste rysy twarzy i wysokie czoło; miał na sobie wypuszczoną na dżinsy gładko wyprasowaną wojskową koszulę i skórzane sandały.

— Ty robisz ochronę tym dzieciakom od symstymu — powiedział i postawił drinka na stoliku Turnera. — Alfredo mi mówił.

Alfredo był jednym z hotelowych barmanów.

Turner zmierzył natręta wzrokiem. Mężczyzna był najwyraźniej trzeźwy i bardzo pewny siebie.

— Chyba nie byliśmy sobie przedstawieni — rzucił, nie próbując nawet sięgnąć po szklankę.

— To bez znaczenia — odparł Conroy i usiadł. — Obaj działamy w tym samym fachu.

Turner przyjrzał mu się. Wiedział, że wygląda na ochroniarza, że czujność i gotowość wpisana jest w linie jego ciała. Niewielu obcych tak swobodnie przerywało jego osamotnienie.

— A wiesz — powiedział mężczyzna, jak ktoś mógłby mówić o drużynie, która w tym sezonie nie radzi sobie najlepiej — te sejsmiki, których używasz, nie są wiele warte. Poznałem ludzi, którzy mogliby tam wejść, zjeść twoje dzieciaki na śniadanie, upchnąć kości pod prysznicem i wyjść spacerkiem, pogwizdując. A sejsmiki wykazałyby, że nic takiego się nie zdarzyło. — Napił się. — Ale dostajesz piątkę za staranność. Znasz się na robocie.

Zdanie „upchnąć kości pod prysznicem” wystarczyło. Turner postanowił zająć się tym człowiekiem.

— Patrz, Turner, idzie twoja główna dama. — Mężczyzna

uśmiechnął się do Jane Hamilton, która odpowiedziała uśmiechem. Jej duże niebieskie oczy były czyste i doskonałe, obie tęczówki otoczone maleńkimi złotymi literkami logo Zeiss Ikon. Turner zamarł w trwającym ułamek sekundy niezdecydowaniu. Gwiazda zbliżała się, a obcy wstawał…

— Miło cię było poznać, Turner — powiedział. — Spotkamy się jeszcze, prędzej czy później. Zapamiętaj moją radę co do sejsmików; zdubluj je brzęczykami na perymetrze.

Po czym odwrócił się i odszedł; mięśnie grały miękko pod oliwkową koszulą.

— To miłe, Turner — stwierdziła Hamilton, zajmując jego miejsce.

— Tak?

Turner przyglądał się, jak obcy znika w chaosie zatłoczonego lobby, między turystami o różowej skórze.

— Ty chyba nigdy nie rozmawiasz z ludźmi. Zawsze wyglądasz, jakbyś ich przesłuchiwał albo pisał raport. Miło zobaczyć, że dla odmiany z kimś się zaprzyjaźniasz.

Turner przyjrzał się jej. Miała dwadzieścia lat — o cztery mniej od niego — i tygodniowo zarabiała około dziewięciu razy więcej niż on w ciągu roku. Blondynka, do roli w serialu ścięta na krótko, mocno opalona. Wyglądała jak rozświetlona od wewnątrz lampami kwarcowymi. Niebieskie oczy były nieludzko doskonałymi przyrządami optycznymi, wyhodowanymi w Japonii. Pracowała równocześnie jako aktorka i kamera, miała oczy warte parę milionów nowych jenów, a jednak w hierarchii gwiazd Sense/Netu prawie się nie liczyła.

Posiedział z nią w barze, aż skończyła dwa drinki, potem odprowadził do apartamentu.

— Pewnie nie masz ochoty zajrzeć do mnie na jeszcze jednego? Co, Turner?

— Nie — odparł. Po raz drugi składała mu taką propozycję i wyczuwał, że już ostatni. — Muszę sprawdzić czujniki sejsmiczne.

Jeszcze tej nocy zatelefonował do Nowego Jorku po numer firmy z Mexico City, która dostarczyła mu brzęczyki do obstawienia perymetru kwater ekipy.

Jednak tydzień później Jane i troje innych, połowa obsady serialu, byli martwi.

— Jesteśmy gotowi do przetoczenia medyków — oznajmiła Webber. Turner zauważył, że włożyła brązowe skórzane rękawiczki bez palców. Okulary słoneczne zastąpiła strzeleckimi z czystego szkła, na biodrze przypięła pistolet. — Sutcliffe zdalnie nadzoruje perymetr. Potrzebujemy wszystkich, żeby pomogli przeciągnąć to draństwo

przez krzaki.

— Mnie też?

— Ramirez twierdzi, że tak krótko przed włączeniem nie może robić nic ciężkiego. Moim zdaniem to zwykły leniwy gówniarz z L.A.

— Nie. — Turner wstał. — Ma rację. Jeśli zwichnie sobie nadgarstek, jesteśmy załatwieni. Każdy drobny uraz, którego nawet nie poczuje, może wpłynąć na szybkość…

Webber wzruszyła ramionami.

— Niech będzie. W każdym razie siedzi teraz w bunkrze, moczy ręce w resztkach naszej wody i podśpiewuje. Czyli nic nam nie grozi.

Kiedy dotarli do modułu chirurgicznego, Turner odruchowo przeliczył ludzi. Siódemka. Ramirez w bunkrze, Sutcliffe gdzieś w labiryncie ruin obserwuje zdalne czujniki. Lynch nosił przerzucony przez prawe ramię laser Steiner-Optics: model miniaturowy ze składaną duralową kolbą i integralnymi bateriami tworzącymi gruby uchwyt pod szarą tytanową obudową, która służyła broni jako lufa. Nathan miał na sobie czarny kombinezon i czarne spadochroniarskie buty pokryte warstwą kurzu. Pod brodą dyndały mu wypukłe, podobne do owadzich oczu gogle zestawu wzmacniania obrazu. Turner zdjął meksykańskie słoneczne okulary, wsunął je do kieszeni niebieskiej koszuli i zapiął guzik.

— Jak leci, Teddy? — zapytał zwalistego dwumetrowca o krótko ściętych kasztanowych włosach.

— Świetnie. — Teddy wyszczerzył zęby.

Turner przyjrzał się trzem pozostałym: Compton, Costa, Davis. Skinął głową każdemu z nich.

— Ostatnie chwile, co? — spytał Costa. Miał okrągłą, spoconą twarz i wąską, starannie przystrzyżoną bródkę. Ubrał się na czarno, jak Nathan i pozostali.

— Prawie — potwierdził Turner. — Jak dotąd wszystko idzie gładko.

Costa przytaknął.

— Mamy około trzydziestu minut do przybycia — oznajmił Turner.

— Nathan, Davis — poleciła Webber. — Odłączcie rurę ściekową. Podała Turnerowi wyjęte już z folii słuchawkę i laryngofon Telefunkena. Drugi zestaw założyła sama: zdarła plastikową osłonę z samoprzylepnej taśmy laryngofonu i wygładziła ją na swojej opalonej szyi.

Nathan i Davis jak cienie przesuwali się za modułem. Turner usłyszał, że Davis zaklął cicho.

— Niech to szlag! — mruknął Nathan. — Nie ma zakrętki do tej rury.

Pozostali zaśmiali się.

— Zostaw ją — rzuciła Webber. — Bierz się do roboty przy kołach. Lynch i Compton, przygotujcie wsporniki.

Lynch odpiął od pasa pistoletowy elektryczny śrubokręt i wczołgał się pod moduł. Pojazd kołysał się lekko, zawieszenie skrzypiało cicho; medycy poruszali się wewnątrz. Turner usłyszał krótkie, wysokie wycie jakiegoś urządzenia, potem stukanie śrubokręta, gdy Lynch zajął się wspornikami.

Wsunął do ucha słuchawkę i przykleił mikrofon do krtani.

— Sutcliffe? Słyszysz mnie?

— Doskonale — potwierdził Australijczyk cichym głosem, który zdawał się dobiegać z podstawy czaszki.

— Ramirez?

— Głośno i wyraźnie…

Osiem minut. Przetaczali moduł na dziesięciu grubych oponach. Turner i Nathan szli w pierwszej parze; sterowali. Nathan włożył swoje gogle. Mitchell zbliżał się w bezksiężycowej nocy. Moduł był ciężki, absurdalnie ciężki i prawie niesterowalny.

— To jak przewozić ciężarówkę na dwóch wózkach sklepowych — mruknął do siebie Nathan.

Turnera znowu bolał krzyż. Dolegał mu ciągle, od New Delhi.

— Stójcie — zawołała Webber od trzeciego koła po lewej. — Trafiłam na jakiś pieprzony kamień.

Turner wypuścił swoje koło i wyprostował się. Nietoperze tej nocy wyleciały w pełnej sile: czarne kształty migające na tle gwiezdnej czaszy pustynnego nieba. W Meksyku też były nietoperze, w dżungli: nadrzewne gacki śpiące na gałęziach drzew nad apartamentami zespołu Sense/Netu. Turner wspiął się na te drzewa, powiązał gałęzie naciągniętym monomolekularnym włóknem, metrami niewidzialnych brzytew czekających na nieuważnego intruza. Ale Jane i inni zginęli mimo wszystko, wysadzeni w powietrze na zboczu góry w pobliżu Acapulco. Spór ze związkami zawodowymi, tłumaczył ktoś później, ale tak naprawdę nigdy niczego nie wykryto. Jedynie fakt, że była to prymitywna mina przeciwpiechotna, gdzie ją umieszczono i skąd została zdetonowana. Turner sam wszedł na zbocze w ubraniu zachlapanym krwią. W miejscu, gdzie czekali zabójcy, znalazł wydeptaną trawę, nożowy przełącznik i zardzewiały samochodowy akumulator. Znalazł też niedopałki ręcznie skręcanych papierosów i kapsel od piwa, nowy i błyszczący.

Przerwano emisję serialu, a grupa kryzysowa zajęła się formalnościami związanymi z transportem zwłok i powrotem ocalałych członków zespołu. Turner odleciał ostatnim samolotem. Po ośmiu whisky w barze na lotnisku w Acapulco zawędrował do głównego holu i spotkał człowieka nazwiskiem Buschel, technika

Sense/Netu z oddziału w Los Angeles. Buschel był blady mimo kalifornijskiej opalenizny, a sztruksowy garnitur miał wilgotny od potu. Trzymał w ręku prostą aluminiową walizeczkę z czerwono — białymi nalepkami ostrzegawczymi i długimi instrukcjami wyliczającymi konieczne środki ostrożności wymagane przy transporcie przedmiotów w pojemnikach kriogenicznych.

— Chryste… — zawołał, gdy go zauważył. — Turner… Przykro mi, chłopie. Przyleciałem dziś rano. Pieprzona robota. — Z kieszeni marynarki wyjął przemoczoną chusteczkę i otarł pot z twarzy. — Paskudna sprawa. Nigdy jeszcze nie musiałem robić czegoś takiego…

— Co jest w tej walizce, Buschel?

Stał teraz o wiele bliżej, choć nie pamiętał, kiedy podszedł. Dostrzegał już pory skóry na opalonej twarzy.

— Dobrze się czujesz, chłopie? — Buschel cofnął się o krok. — Marnie wyglądasz.

— Co jest w walizce?

Sztruks zmiął się w jego pięści, w pobielałych i drżących palcach.

— Niech cię diabli, Turner! — Buschel wyrwał się. Oburącz złapał uchwyt walizeczki. — Nie były uszkodzone. Tylko drobne zadrapania na jednej rogówce. One należą do Netu! Tak stało w jej kontrakcie, Turner!

Odwrócił się wtedy z żołądkiem zaciśniętym wokół ośmiu szklaneczek szkockiej. Stłumił mdłości. I tłumił je ciągle przez następne dziewięć lat, aż po wyjściu od Holendra wspomnienie powróciło nagle, runęło na niego w Londynie, na Heathrow. A on pochylił się i nie zwalniając kroku w kolejnym korytarzu zwymiotował do niebieskiego plastikowego kosza na śmieci.

— Do roboty, Turner — odezwała się Webber. — Przyłóż się trochę. Pokaż nam, jak się to robi.

Moduł znowu ruszył naprzód poprzez smolisty zapach pustynnych roślin.

— Tutaj wszystko gotowe — oznajmił Ramirez spokojnym, dalekim głosem.

Turner dotknął laryngofonu.

— Posyłam ci towarzystwo. — Zdjął palec. — Nathan, już czas. Ty i Davis wracacie do bunkra.

Davis odpowiadał za nadajnik impulsowy, poza matrycą ich jedyny kontakt z Hosaką. Nathan był złotą rączką. Lynch chował w krzakach za parkingiem ostatnie szprychowe koła. Webber i Compton klęczeli przy module, mocując przewód łączący chirurgów Hosaki z biomonitorem Sony na stanowisku dowodzenia. Po usunięciu kół, opuszczeniu i ustawieniu na czterech wspornikach, ruchoma sala neurochirurgiczna jeszcze bardziej przypominała Turnerowi francuski

moduł wakacyjny. To była o wiele późniejsza wyprawa, cztery lata po tym, jak Conroy zwerbował go w Los Angeles.

— Jak leci? — zapytał Sutcliffe przez radio.

— Dobrze — odparł Turner, przyciskając mikrofon.

— Trochę tu samotnie.

— Compton — rzucił Turner. — Pomożesz Sutcliffowi w nadzorowaniu perymetru. Ty też, Lynch.

— Szkoda — odpowiedział z ciemności Lynch. — Miałem nadzieję, że zobaczę jakąś akcję.

Pod odchyloną połą parki Turner zacisnął palce na rękojeści Smith Wessona.

— Już, Lynch.

Jeśli Lynch jest wtyczką Conroya, zechce być tutaj. Albo w bunkrze.

— Odwal się — burknął Lynch. — Dobrze wiesz, że w okolicy nie ma nikogo. Jak chcesz się mnie stąd pozbyć, to lepiej pójdę popatrzeć na Ramireza…

— Jak chcesz…

Turner wyrwał rewolwer i wcisnął klawisz uruchamiający ksenonowy reflektor. Pierwszy wąski promień znalazł skręcony kaktus; w bezlitosnym świetle igły przypominały kępki szarego futra. Drugi rozjaśnił kolczastą czaszkę na pasku Lyncha, obwiódł ją wyraźnym kręgiem. Strzał i dźwięk detonującego pocisku zlały się w jedno, fale wstrząsu jak grom rozlewały się po ciemnej równinie w niewidzialnych, coraz szerszych kręgach.

Przez kilka sekund po strzale panowała cisza. Nawet nietoperze i owady zamilkły w oczekiwaniu. Webber padła płasko za krzakiem. Turner wyczuł ją tam w jakiś sposób, wiedział, że wyjęła pistolet i trzyma go nieruchomo w tych brązowych, pewnych dłoniach. Nie miał pojęcia, gdzie się podział Compton.

W słuchawce, szarpiąc mózg, zabrzmiał głos Sutcliffe'a:

— Turner! Co to było?

Gwiazdy świeciły dość jasno i w ich blasku dostrzegł Webber. Siedziała z pistoletem w rękach, opierając łokcie o kolana.

— Był wtyczką Conroya — oświadczył, opuszczając Smith Wessona.

— Jezu Chryste! — zawołała. — To ja jestem wtyczką Conroya.

— Miał linię na zewnątrz. Widziałem to już wcześniej.

Musiała powtórzyć dwa razy.

Głos Sutcliffe'a w głowie, potem Ramireza:

— Nadchodzi twój transport. Osiemdziesiąt kilometrów. Wszystko wygląda czysto. Mam echo dwadzieścia kilometrów na południowy południowy zachód. Jaylene mówi, że to bezzałogowy ładunek i leci dokładnie według planu. Nic więcej. O czym tak wrzeszczy Sut?

Nathan mówi, że słyszał strzał. — Ramirez był włączony, większą część zmysłów przejęły dane z deku Maas-Neotek. — Nathan jest gotów z pierwszym impulsem.

Turner słyszał już zbliżający się samolot, hamujący przed lądowaniem na autostradzie. Webber wstała i szła ku niemu z pistoletem w dłoni. Sutcliffe wciąż zadawał to samo pytanie, raz po raz.

Podniósł rękę i dotknął mikrofonu.

— Lynch. Nie żyje. Samolot jest na miejscu. To wszystko.

I wtedy myśliwiec znalazł się nad nimi: lecący niewiarygodnie nisko czarny cień. Podchodził bez świateł. Na chwilę rozbłysła dysza hamująca. Takie lądowanie zabiłoby pilota. Potem usłyszeli dziwne trzaski naprężeń kadłuba z włókien węglowych. Turner dostrzegł zielone lśnienie instrumentów odbite w krzywiźnie owiewki kabiny.

— Spieprzyłeś — oświadczyła Webber.

Za jej plecami odskoczył właz modułu medycznego. W otworze stanęła zamaskowana postać w zielonym papierowym kombinezonie ochronnym. Światło wewnątrz było niebieskobiałe i jaskrawe; cień człowieka padał poprzez rzadki obłok pyłu wzniesionego przez lądujący myśliwiec.

— Zamknij! — krzyknęła Webber. — Jeszcze nie!

Klapa zaskoczyła, przesłaniając ostre światło. Wtedy oboje usłyszeli silnik motolotni. Po ryku odrzutowca wydawał się brzęczeniem ważki, szelestem cichnącym co chwilę, by wreszcie zamilknąć.

— Nie ma paliwa — stwierdziła Webber. — Ale jest już blisko. — Już jest — poinformował Turner, przyciskając laryngofon.

— Pierwszy impuls.

Maleńki samolocik przemknął szepcząc nad nimi: czarny trójkąt na tle gwiazd. Usłyszeli, że coś trzepocze w podmuchu cichego przelotu: może nogawki spodni Mitchella. Jesteś tam, pomyślał Turner. Zupełnie sam, w swoim najgrubszym ubraniu, z podczerwonymi goglami, które sam sobie zrobiłeś. Szukasz dwóch kropkowanych linii wyznaczonych dla ciebie grzałkami do rąk.

— Ty cholerny czubku — mruknął czując, że ogarnia go niezwykłe uczucie podziwu. — Naprawdę chciałeś się stamtąd wyrwać.

Wtedy właśnie wystrzeliła pierwsza flara, błysnęła z wesołym trzaskiem i magnezjowy płomień na białym spadochroniku zaczął powoli opadać ku pustyni. Niemal natychmiast pojawiły się dwa następne, a od zachodniego końca zabudowań zagrzechotały serie broni automatycznej. Kątem oka dostrzegł, jak Webber potykając się brnie przez krzaki w kierunku bunkra, ale wzrok skupiał na opadającej motolotni, jej jaskrawych pomarańczowo-niebieskich

nylonowych skrzydłach i figurce w goglach skulonej wewnątrz otwartej kratownicy metalowych rurek, ponad kruchym trójkątem podwozia.

Mitchell.

Pod dryfującymi flarami teren był oświetlony jak boisko podczas meczu. Motolotnia przechyliła się i skręciła z leniwą gracją. Turner miał ochotę krzyczeć. Linia pocisków smugowych wytrysnęła białym łukiem spoza perymetru. Chybiła.

Posadź ją. Ląduj.

Biegł, przeskakując kępy krzaków, które chwytały go za kostki, za brzeg parki.

Flary. Światło. Teraz Mitchell nie może użyć gogli, nie widzi podczerwonego lśnienia grzałek. Zniżał się daleko od pasa. Przednie kółko zaczepiło o coś; motolotnia przekoziołkowała: zmięty, porwany motyl. I opadła w chmurze białego pyłu.

Na mgnienie oka przed hukiem dotarł do niego błysk eksplozji; ostry cień padł na jasne krzewy. Wstrząs poderwał Turnera i cisnął w dół. Padając zobaczył rozbity moduł chirurgiczny w kuli żółtych płomieni; wiedział, że to Webber użyła swojej rusznicy. Poderwał się natychmiast i ruszył biegiem, ściskając w dłoni rewolwer.

Do szczątków motolotni Mitchella dotarł w chwili, gdy zgasła pierwsza flara. Następna wystrzeliła łukiem znikąd i rozkwitła mu nad głową. Odgłosy strzałów nie cichły ani na chwilę. Przeczołgał się przez pogięty arkusz zardzewiałej blachy i znalazł leżącego pilota z twarzą ukrytą pod zaimprowizowanym hełmem i niezgrabnymi goglami. Gogle były umocowane do hełmu matowymi pasami taśmy montażowej. Rozrzucone ręce i nogi grubą warstwą okrywała ciemna odzież. Turner patrzył, jak jego własne palce zdrapują taśmę; dłonie były obcymi istotami, białymi podwodnymi stworami żyjącymi własnym życiem w niewyobrażalnej głębi jakiegoś pacyficznego rowu. Przyglądał się, jak gorączkowo zdzierają taśmę, gogle, hełm… Aż wszystko odleciało na bok i wilgotne od potu, długie kasztanowe włosy opadły na bladą twarz dziewczyny, rozmazując cieknącą z nozdrza strużkę krwi. Uniósł powieki, odsłaniając ślepe białka. A potem ciągnął ją, przerzucał w strażackim uchwycie i zataczał się w stronę, gdzie miał nadzieję znaleźć samolot.

Drugi wybuch wyczuł przez podeszwy tenisówek. I zobaczył idiotyczny uśmiech bryły plastiku na cyberprzestrzennym deku Ramireza. Tym razem nie było błysku, jedynie huk i ukłucie wstrząsu przez beton parkingu.

Nagle znalazł się w kabinie, wdychając zapach nowego samochodu, zapach długich łańcuchów monomerów — znajomy aromat nowoczesnej techniki. Dziewczyna była za nim: bezwładna lalka w objęciach siatki przeciwprzeciążeniowej, którą Conroy kupił w

San Diego i kazał handlarzowi bronią zamontować za siatką pilota. Samolot drżał jak żywe stworzenie. Turner wsunął się głębiej w uprząż, namacał kabel, wyrwał z gniazda mikrosoft i wcisnął na miejsca złącze kabla.

Wiedza rozświetliła go niczym w grze zręcznościowej. Popłynął naprzód w samolotowej świadomości myśliwca. Czuł, jak elastyczna powłoka przekształca się przed ostrym startem. Owiewka kabiny zawyła cicho, zasuwając się na własnych serwomotorach. Uprząż anty-g nadęła się, unieruchamiając ręce i nogi. I rewolwer wciąż ściśnięty w dłoni.

— Startuj, sukinsynu.

Ale samolot już wiedział i przeciążenie uderzyło w niego, wbijając w ciemność.

— Straciłeś przytomność — powiedział samolot. Głos z chipa dźwiękowego przypominał nieco głos Conroya.

— Jak długo?

— Trzydzieści osiem sekund.

— Gdzie jesteśmy?

— Nad Nagos.

Zapłonął wyświetlacz HUD: kilkanaście zmieniających się ciągle liczb pod uproszczoną mapą granicy Sonora-Arizona. Niebo zajaśniało.

— Co to było?

Milczenie.

— Co to było?

— Czujniki wykazują eksplozję — odparł samolot. — Jej wielkość sugeruje taktyczną głowicę atomową, ale nie było impulsu elektromagnetycznego. Ośrodkiem zniszczenia był nasz punkt startowy.

Białe światło ściemniało i zgasło.

— Skasuj kurs — polecił.

— Skasowany. Proszę o nowe współrzędne.

— To rozsądne pytanie — mruknął Turner. Nie mógł odwrócić głowy, by spojrzeć na dziewczynę za sobą. Zastanawiał się, czy jeszcze żyje.

ROZDZIAŁ 15
PUDEŁKO

Marly śniła o Alainie: zmierzchało na kwietnej łące, a on objął dłońmi jej twarz, potem pieścił i skręcił jej kark. Leżała martwa, ale wiedziała, co robi. Całował ją całą. Zabrał pieniądze i klucze do jej pokoju. Błyszczały gwiazdy: ogromne, umocowane nad jasnymi polami, a ona ciągle czuła jego dłonie na szyi…

Obudziła się rankiem pachnącym kawą i zobaczyła kwadraty słonecznego światła padające na książki na biurku Andrei. Usłyszała uspokajająco znajomy poranny kaszel, gdy Andrea od palnika kuchenki zapaliła pierwszego papierosa. Otrząsnęła się z posępnych kolorów snu i usiadła na sofie, otulając kolana ciemnoczerwoną kołdrą. Po Gnassie, policji i reporterach, nigdy o nim nie śniła. A jeśli nawet, to przypuszczała, że jakoś cenzuruje te sny, wymazuje przed obudzeniem. Zadrżała, chociaż było już ciepło. Wyszła do łazienki. Nie życzyła sobie więcej snów o Alainie.

— Paco mówił, że podczas naszego spotkania Alain był uzbrojony — oznajmiła, gdy przyjaciółka podała jej niebieski emaliowany kubek z kawą.

— Alain uzbrojony? — Andrea rozcięła omlet i zsunęła połowę na talerz Marly. — Cóż za dziwaczny pomysł. To byłoby jak… jakby uzbroić pingwina. — Roześmiały się obie. — Alain to nie ten typ. Odstrzeliłby sobie stopę podczas jakiejś pełnej pasji tyrady na temat stanu dzisiejszej sztuki albo wysokości rachunku w restauracji. Alain to gówniarz, ale to przecież żadna nowość. Na twoim miejscu martwiłabym się raczej tym Paco. Skąd masz pewność, że pracuje dla Vireka?

Zjadła kawałek omletu i sięgnęła po sól.

— Widziałam go. Był tam: w konstrukcie Vireka.

— Widziałaś… Widziałaś tylko obraz, wizerunek dziecka, które jedynie przypominało tego człowieka.

Marly przyglądała się, jak Andrea zjada swoją połówkę omletu. Jej porcja stygła na talerzu. Jak mogła opowiedzieć o tym uczuciu, jakie ją ogarnęło, kiedy wyszła z Luwru? Przekonaniu, że coś ją teraz otacza, obserwuje ze swobodą i precyzją; że stała się ośrodkiem zainteresowania przynajmniej części imperium Vireka? — On jest bardzo bogaty — zaczęła.

— Virek? — Andrea odłożyła na talerz nóż i widelec. Sięgnęła po kawę. — Rzeczywiście. Jeśli wierzyć dziennikarzom, to najbogatszy człowiek na świecie, kropka. Bogaty jak niektóre zaibatsu. Ale tu właśnie tkwi problem: czy naprawdę jest człowiekiem? W takim sensie

jak ty i ja? Nie. Masz zamiar to zjeść?

Marly zaczęła mechanicznie kroić i wkładać do ust kawałki stygnącego omletu. Andrea mówiła dalej:

— Powinnaś przeczytać maszynopis, nad którym pracujemy w tym miesiącu.

Marly przełknęła i pytająco uniosła brwi.

— To historia orbitalnych klanów przemysłowych. Napisał ją człowiek z Uniwersytetu w Nicei. Nawet twój Virek tam występuje, o ile sobie przypominam; jest cytowany jako kontrprzykład, czy raczej typ ewolucji równoległej. Ten stypendysta z Nicei zainteresował się paradoksem wielkiego indywidualnego bogactwa w wieku korporacji. I dlaczego w ogóle może zaistnieć. Znaczy: to bogactwo. Uważa klany orbitalne, takie jak Tessier-Ashpool, za bardzo późny wariant tradycyjnych wzorców arystokracji. — Odstawiła swój kubek na talerz, a talerz odniosła do zlewu. — Szczerze mówiąc, kiedy opowiadam, nie wydaje mi się to już takie ciekawe. Jest tam sporo nudnych wywodów o naturze Szarego Człowieka. Z dużych liter: Szary Człowiek. Często używa dużych liter. Nie jest nadzwyczajnym stylistą.

Odkręciła kurki i woda zasyczała u wylotu filtru.

— Ale co mówi o Vireku?

— Mówi, jeżeli dobrze zapamiętałam… a wcale nie jestem tego pewna… że Virek to jeszcze dziwniejszy przypadek niż klany orbitalne. Klany są transpokoleniowe i zwykle wykorzystują pewne gałęzie medycyny: kriogenikę, manipulacje genetyczne, rozmaite sposoby walki ze starością. Śmierć danego przedstawiciela klanu, nawet założyciela, zwykle nie doprowadza do kryzysu klanu jako firmy. Zawsze jest ktoś, kto zajmie miejsce zmarłego; ktoś, kto czeka. Różnica między klanem a korporacją polega na tym, że nie musisz wżenić się w korporację.

— Ale podpisują kontrakty… Andrea wzruszyła ramionami.

— To jak wynajem. Wcale nie to samo. Właściwie chodzi o zabezpieczenie pracy. Ale kiedy ten twój Herr Virek wreszcie umrze, kiedy zabraknie im miejsca na ciągłe powiększanie jego zbiornika, jego interesy stracą logiczny sens. W takiej chwili, twierdzi nasz człowiek z Nicei, zobaczymy, że Virek i Spółka rozpada się albo mutuje. To drugie daje nam w efekcie Spółkę Jakąś tam, prawdziwy ponadnarodowy koncern, kolejny dom dla Szarego Człowieka przez duże S. — Wymyła talerz, spłukała, wytarła i ustawiła na różowym stojaku obok zlewu. — Twierdzi, że to niedobrze… w pewnym sensie. Niewielu mamy dzisiaj ludzi, którzy mogą zobaczyć granicę.

— Granicę?

— Granicę tłumu. My jesteśmy zagubione w środku. Ty i ja.

A przynajmniej ja ciągle jestem. — Podeszła i położyła dłonie na ramionach Marly. — Uważaj na siebie. Część ciebie jest już

szczęśliwsza. Ale widzę, że sama mogłam to osiągnąć, organizując mały lunch dla ciebie i tej świni, twojego byłego kochanka. Co do reszty, nie jestem pewna… Sądzę, że nasza akademicka teoria przestaje obowiązywać, ponieważ Virekowi i jemu podobnym coraz więcej brakuje do człowieczeństwa. Bądź ostrożna…

Pocałowała Marly w policzek i wyszła do pracy — była asystentem wydawcy w firmie zajmującej się modnie archaicznym drukowaniem książek.

Ten ranek spędziła w mieszkaniu Andrei, przy Braunie, oglądając hologramy siedmiu prac. Każde dzieło było na swój sposób niezwykłe, wciąż jednak powracała do pudełka, które Virek pokazał jej jako pierwsze. Gdybym miała tu oryginał, myślała, gdybym usunęła szkło i jeden po drugim wyjmowała z wnętrza kolejne obiekty, co by pozostało? Bezużyteczne przedmioty, obramowana przestrzeń, może zapach kurzu.

Z Braunem na brzuchu położyła się na sofie i wpatrywała w pudełko. Bolało. Miała wrażenie, że konstrukcja w sposób doskonały wywołuje pewne uczucie, jednak nie miało ono nazwy. Przesunęła dłoń przez świetlną iluzję, wodząc palcem wzdłuż wąskiej ptasiej kości. Była pewna, że Virek zlecił już ornitologowi identyfikację ptaka, z którego skrzydła pochodziła ta kość. Najprawdopodobniej da się określić wiek każdego z obiektów. Holofisze zawierały także szczegółowe raporty o pochodzeniu każdego przedmiotu. Świadomie jednak nie zaglądała do nich. Do tajemnic sztuki czasem lepiej podchodzić jak dziecko. Dziecko dostrzega to, co niedostrzegalne, bo zbyt oczywiste dla wyćwiczonego oka.

Odstawiła Brauna na niski stolik obok sofy i podeszła do telefonu, by sprawdzić czas. O pierwszej miała się spotkać z Paco i omówić sposób przekazania pieniędzy dla Alaina, który powiedział, że zadzwoni do Andrei o trzeciej. Kiedy wybrała numer zegarynki, przez ekran przewinęły się wiadomości satelitarne: prom JAL uległ katastrofie podczas wejścia w atmosferę nad Oceanem Indyjskim, grupa śledcza z Osi Metropolitalnej Boston-Atlanta bada miejsce brutalnego i najwyraźniej bezcelowego zamachu bombowego w nędznym przedmieściu New Jersey, formacje samoobrony nadzorują ewakuację południowej części Nowego Bonn, zarządzoną po odkryciu dwóch niewypałów rakiet z okresu wojny, prawdopodobnie uzbrojonych w głowice z bronią biologiczną, czynniki oficjalne w Arizonie zaprzeczają oskarżeniom Meksyku o detonację ładunku atomowego lub termojądrowego niewielkiej mocy w pobliżu granicy Sonory… Skrót dobiegł końca i znowu zobaczyła ginącą w płomieniach symulację promu. Potrząsnęła głową i wcisnęła klawisz. Było południe.

Nadeszło lato, niebo nad Paryżem było niebieskie i gorące, a ona uśmiechała się czując zapach świeżego chleba i ciemnego tytoniu. Uczucie, że jest obserwowana, osłabło, kiedy szła z metra pod adres, jaki jej podał. Faubourg St. Honoré. Wydawał się znajomy… Galeria, pomyślała.

Tak. Roberts. Własność Amerykanina, który prowadził trzy inne galerie w Nowym Jorku. Drogie, ale już nie tak modne. Paco czekał pod ogromnym panelem, na którym, pod nierównym bezbarwnym lakierem, leżały w warstwach setki małych prostokątnych fotografii — takich, jakie wydają niektóre bardzo stare automaty na stacjach i przystankach autobusowych. Wszystkie przedstawiały młode dziewczyny. Odruchowo przeczytała nazwisko autora i tytuł pracy: Przeczytaj nam Księgę Imion Umarłych.

— Przypuszczam, że rozumie pani takie rzeczy — odezwał się posępnie Hiszpan.

Dzisiaj włożył z pewnością kosztowny niebieski garnitur skrojony w paryskim stylu ludzi interesu, białą jedwabną koszulę i bardzo angielski krawat, prawdopodobnie od Charveta. Teraz kelnera wcale nie przypominał. Na ramieniu trzymał włoską torbę z czarnej żebrowanej gumy.

— O co ci chodzi? — spytała.

— Imiona umarłych. — Ruchem głowy wskazał panel. — Sprzedawała pani takie rzeczy.

— Czego nie rozumiesz?

— Czasami mam wrażenie, że to wszystko, ta… kultura… jest tylko sztuczką. Pozorem. Przez całe życie w takim czy innym przebraniu służyłem señorowi… I ta praca miała swoje chwile satysfakcji, momenty tryumfu. Ale kiedy zlecał mi działanie na polu sztuki, nigdy nie odczuwałem satysfakcji. On to uosobienie bogactwa. Świat pełen jest przedmiotów pięknych. A mimo to señor poszukuje…

Wzruszył ramionami.

— Zatem wiesz, co ci się podoba. — Uśmiechnęła się do niego. — Dlaczego wybrałeś na miejsce spotkania tę galerię?

— Agent señora kupił tutaj jedno z pudełek. Nie czytała pani informacji, które przekazaliśmy w Brukseli?

— Nie — przyznała. — To mogłoby źle wpłynąć na moją intuicję. A Herr Virek płaci mi właśnie za intuicję.

Uniósł brwi.

— Przedstawię panią Picardowi. To menedżer. Może zdoła jakoś pomóc tej pani intuicji.

Przeprowadził ją przez pokój w stronę drzwi. Solidnie zbudowany Francuz w pogniecionym sztruksowym garniturze rozmawiał właśnie przez telefon. Na ekranie zauważyła kolumny liter i liczb: dzisiejsze

notowania nowojorskiego rynku.

— Witam — powiedział mężczyzna. — Przepraszam, Estevez, to potrwa tylko chwilę.

Uśmiechnął się przepraszająco i wrócił do rozmowy. Marly przestudiowała notowania. Pollock znowu spadł. Tego aspektu sztuki nie potrafiła zrozumieć. Picard, jeśli tak nazywał się mężczyzna, rozmawiał z brokerem w Nowym Jorku, zlecając mu nabycie pewnej ilości „punktów" prac jakiegoś konkretnego artysty. „Punkt" mógł być zdefiniowany na wiele sposobów, zależnie od środka przekazu, jednak Picard prawie na pewno nie zobaczy dzieł, które kupuje. Jeśli twórca osiągnął odpowiedni status, oryginały prawdopodobnie przeleżą zapakowane w jakimś skarbcu i nikt nie będzie ich oglądał. Gdy minie jakiś czas, Picard sięgnie może po ten sam telefon i każe brokerowi sprzedawać.

W swojej galerii Marly sprzedawała oryginały. Zarabiała stosunkowo nieduże pieniądze, ale taka działalność miała w sobie jakieś emocjonalnie pozytywne zabarwienie. I oczywiście zawsze istniała szansa, że uśmiechnie się do niej szczęście. Uwierzyła, iż ta chwila nadeszła, kiedy Alain przedstawił fałszywego Cornella jako wspaniałe przypadkowe znalezisko. Cornell miał swoje miejsce na tablicach brokerów i jego „punkty" stały bardzo wysoko.

— Picard — rzucił Paco, jakby zwracał się do lokaja. — To jest Marly Krushkova. Señor zlecił jej sprawę tych anonimowych pudełek. Pewnie zechce ci zadać kilka pytań.

— *Enchantez.* — Picard uśmiechnął się ciepło, ale miała wrażenie, że dostrzega zimny błysk w jego oczach. Prawdopodobnie usiłował powiązać jej nazwisko z jakimś stosunkowo świeżym skandalem.

— Jak rozumiem, pańska galeria dokonała tej transakcji.

— Tak — potwierdził. — Wystawiliśmy dzieło w naszych salach w Nowym Jorku. Otrzymaliśmy kilka propozycji. Postanowiliśmy jednak dać mu dzień w Paryżu… — Rozpromienił się. — A pani pracodawca sprawił, że decyzja okazała się bardzo owocna. Jak się miewa Herr Virek, Estevez? Nie widzieliśmy go od kilku tygodni.

Marly zerknęła na Paco, ale twarz miał spokojną, całkowicie opanowaną.

— Señor czuje się dobrze, jak przypuszczam — oświadczył.

— To doskonale — odparł Picard z nieco przesadnym entuzjazmem. Zwrócił się do Marly. — Wspaniały człowiek. Legenda. Wielki mecenas. Wielki uczony.

Marly zdawało się, że słyszy westchnienie Paco.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie wasz nowojorski oddział zdobył dzieło, o którym mowa?

Picard wyraźnie się zmartwił. Spojrzał na Paco, potem znowu na Marly.

— Nie wie pani? Nie powiedzieli pani?

— Proszę, żeby pan mi powiedział.

— Nie — rzekł Picard. — Przykro mi, ale nie mogę. Widzi pani, my sami nie wiemy.

Marly przyjrzała mu się zdumiona.

— Przepraszam bardzo, ale nie całkiem rozumiem, jak to możliwe…

— Ona nie czytała raportu, Picard. Opowiedz jej. Dobrze wpłynie na jej intuicję, jeśli usłyszy to od ciebie.

Picard spojrzał na Paco niespokojnie, ale zaraz się opanował.

— Oczywiście — zapewnił. — Z przyjemnością…

— Myślisz, że to prawda? — spytała, kiedy wyszli z powrotem na Foubourg St. Honoré i światło słońca. W tłumie kłębili się japońscy turyści.

— Sam byłem w Ciągu — odparł Paco. — Rozmawiałem z każdym, kto miał do czynienia z tą sprawą. Roberts nie zostawił żadnych zapisków z tej transakcji, chociaż normalnie nie był bardziej tajemniczy niż każdy inny handlarz sztuką.

— A jego śmierć była przypadkowa?

Włożył parę okularów porsche'a.

— Tak przypadkowa, jak zwykle bywa taka śmierć. Nie możemy odkryć, gdzie znalazł to dzieło. Trafiliśmy na nie tutaj. Wszystkie próby pójścia jego śladem kończą się na Robertsie, a Roberts nie żył wtedy już od roku. Picard zapomniał pani powiedzieć, że niewiele brakowało, a stracilibyśmy pudełko. Roberts trzymał je w swoim wiejskim domu, razem z innymi przedmiotami, które jego spadkobiercy uznali za zwykłe ciekawostki. Chcieli już sprzedać całość na publicznej aukcji. Czasem żałuję, że do tego nie doszło.

— Te inne przedmioty — wtrąciła, równając z nim krok. — Co to było?

Uśmiechnął się.

— Sądzi pani, że nie odnaleźliśmy ich co do jednego? Odnaleźliśmy. Były to… — Zmarszczył brwi, z przesadą demonstrując wysiłek pamięci — …niezbyt interesujące przykłady współczesnej sztuki ludowej.

— Czy Roberts wcześniej interesował się takimi rzeczami?

— Nie. Ale mniej więcej rok przed śmiercią wystąpił o przyjęcie do Institut de l'Art Brut. Tutaj, w Paryżu. Został też opiekunem kolekcji Aeschmanna w Hamburgu.

Marly skinęła głową. Kolekcja Aeschmanna była zbiorem dzieł psychopatów.

— Jesteśmy prawie pewni — mówił dalej Paco, chwytając ją za łokieć i kierując za róg, w boczną uliczkę — że nie próbował

wykorzystać środków żadnej z tych instytucji. Chyba że zatrudnił pośrednika, ale uważamy to za mało prawdopodobne. Señor, oczywiście, wynajął kilkudziesięciu specjalistów, by przebadali ich rejestry. Bezskutecznie.

— Powiedz mi — poprosiła — dlaczego Picard sądzi, że niedawno widział Herr Vireka? Jak to możliwe?

— Señor jest bogaty. Señor dysponuje wieloma środkami manifestacji.

Przez drzwi w chromowej ramie weszli do wielkiej sali lśniącej lustrami, butelkami i automatami do gier. Lustra zmieniały rozmiary pomieszczenia; na tyłach widziała odbicie chodnika, nogi przechodniów, błysk słońca na feldze samochodu. Paco skinął głową sennemu, jakby pogrążonemu w letargu mężczyźnie za barem i wziął ją za rękę, prowadząc między gęsto rozstawionymi plastikowymi stolikami.

— Może pani tutaj odebrać telefon od Alaina — powiedział. — Udało nam się przełączyć linię z mieszkania pani przyjaciółki.

Przysunął jej krzesło — odruch zawodowej uprzejmości, który sprawił, że zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę nie był kiedyś kelnerem. Postawił swoją torbę na stoliku.

— Przecież zobaczy, że jestem gdzie indziej — zaprotestowała. — A jeśli wygaszę ekran, zacznie coś podejrzewać.

— Nie zobaczy. Wygenerowaliśmy cyfrowy obraz pani twarzy z odpowiednim tłem. Prześlemy to na ekran jego telefonu.

Wyjął z torby i rozstawił na blacie elegancki przenośny aparat. Cienki jak papier polikarbonowy ekran wysunął się bezgłośnie z górnej części i natychmiast zesztywniał. Kiedyś widziała, jak motyl wychodzi na świat i podziwiała transformację jego schnących skrzydełek.

— Jak to jest zrobione? — spytała, ostrożnie dotykając ekranu. Przypominał cienką stalową blachę.

— To jedna z nowych odmian polikarbonu — wyjaśnił. — Produkt Maasa…

Telefon zamruczał dyskretnie. Paco poprawił go nieco i sam przeszedł na drugą stronę stołu.

— Pani telefon — powiedział. — Proszę pamiętać, jest pani w domu!

Wyciągnął rękę i musnął kryty tytanem przycisk.

Mały ekran wypełniły twarz i ramiona Alaina. Ciemne pasy i marne oświetlenie obrazu świadczyło, że rozmowa toczy się z budki telefonicznej.

— Dzień dobry, moja droga — zaczął.

— Dzień dobry, Alain.

— Jak się miewasz, Marly? Mam nadzieję, że zdobyłaś te

pieniądze, o których rozmawialiśmy. — Widziała, że ma na sobie jakąś kurtkę, ciemną, ale nie rozpoznała jej. — Twojej współlokatorce przydałby się kurs sprzątania — dodał, zerkając ponad jej ramieniem.

— Nigdy w życiu nie posprzątałeś pokoju — przypomniała. Z uśmiechem wzruszył ramionami.

— Każde z nas ma swoje talenty. Zdobyłaś dla mnie pieniądze, Marly?

Zerknęła na Paco, który przytaknął.

— Tak — powiedziała. — Oczywiście.

— To wspaniale, Marly. Po prostu cudownie. Jest tylko jeden mały kłopot.

Wciąż się uśmiechał.

— Jakiż to?

— Moi informatorzy podwoili cenę. W konsekwencji ja także muszę podwoić.

Paco kiwnął głową. On także się uśmiechał.

— Trudno. Oczywiście, będę musiała zapytać…

Mdliło ją na jego widok. Chciała jak najszybciej się rozłączyć.

— A oni, oczywiście, wyrażą zgodę.

— Gdzie się spotkamy?

— Zadzwonię jeszcze raz, o piątej — obiecał. Wizerunek skurczył się do pojedynczej plamki zieleni, po czym i ta zniknęła.

— Wygląda pani na zmęczoną — zauważył Paco, kiedy złożył ekran i schował telefon do torby. — Po rozmowie z nim wydaje się pani starsza.

— Naprawdę?

Nie wiedziała dlaczego, ale nagle zobaczyła ten panel u Robertsa, te wszystkie twarze. *Przeczytaj nam Księgę Imion Umarłych.* Wszystkie Marly, pomyślała, wszystkie dziewczęta, którymi byłam przez długi okres młodości.

ROZDZIAŁ 16
LEGBA

— Hej, dupku! — Rhea niezbyt delikatnie dźgnęła go palcem w żebra. — Rusz tyłek.

Wracał do siebie walcząc z szydełkową narzutą, z na wpół uformowanymi sylwetkami nieznanych wrogów. Z mordercami swojej matki. Był w pomieszczeniu, którego nie znał; w pokoju, który mógł się znajdować wszędzie. Mnóstwo luster w plastikowych złoconych ramach. Aksamitne szkarłatne tapety. Wiedział, że w ten sposób dekorują swoje pokoje Gothicy, jeśli ich na to stać, ale widział też, że ich rodzice urządzają w tym stylu całe mieszkania. Rhea rzuciła na materac kłąb ubrań i wcisnęła ręce w kieszenie czarnej skórzanej kurtki.

Różowe i czarne kwadraty narzuty opinały jego pierś. Spuścił wzrok i zobaczył segmentowy kadłub stonogi zanurzonej w szerokiej na palec różowej bliźnie. Beauvoir mówił, że to paskudztwo przyspiesza gojenie… Ostrożnie dotknął świeżej tkanki; była czuła, ale do wytrzymania. Spojrzał na Rheę.

— Sama rusz tyłkiem na tym — mruknął, wystawiając palec. Przez kilka sekund patrzeli na siebie wrogo ponad sterczącym środkowym palcem Bobby'ego. Potem roześmiała się.

— No dobra — powiedziała. — Masz rację. Nie będę się ciebie czepiać. Ale przejrzyj te rzeczy i załóż coś. Niedługo przyjedzie po ciebie Lucas, a on nie lubi czekać.

— Tak? Na mnie zrobił wrażenie spokojnego gościa.

Zaczął przeglądać ubrania. Odłożył czarną koszulę w drobny wzorek nadrukowany wyblakłym złotem, kurtkę z czerwonej satyny z imitującymi skórę białymi frędzlami wzdłuż rękawów, czarny obcisły kostium z płytkami jakiegoś przejrzystego materiału…

— Zaraz! — zawołał. — Skąd wzięłaś te ciuchy? Nie mogę czegoś takiego włożyć…

— To mojego młodszego brata — wyjaśniła Rhea. — Z zeszłego roku. I lepiej wciągnij coś na swój biały tyłek, zanim zjawi się Lucas. Chwila… To moje! — Wyrwała mu kostium, jakby się bała, że zechce go ukraść.

Wciągnął czarno-złotą koszulę i zaczął zapinać wypukłe zatrzaski z imitacji masy perłowej. Znalazł parę czarnych dżinsów, ale okazały się workowate, z wymyślnymi naszywkami i chyba całkiem bez kieszeni.

— Nie masz innych spodni?

— Jezu… — jęknęła. — Widziałam ciuchy, które obrał z ciebie

Pye. Nie jesteś z żurnala mody, chłopie. Ubierz się, co? Nie chcę kłopotów z Lucasem. Dla ciebie może być spokojny, ale to tylko znaczy, że masz coś, na czym mu zależy. I to bardzo, bo się stara. Ja na pewno nic nie mam, więc ze mną nie będzie się pieścił.

Stanął niepewnie obok materaca i spróbował zapiąć czarne dżinsy.

— Nie ma zamka… — Obejrzał się na nią.

— Guziki. Gdzieś tam je znajdziesz. To się nazywa: styl.

Bobby odszukał guziki. Była to wymyślna konstrukcja i zastanowił się, co by zrobił, gdyby szybko musiał się wysikać. Obok materaca zauważył czarne nylonowe sandały i wsunął je na stopy.

— Co z Jackie? — zapytał. Poczłapał do miejsca, gdzie mógł się przejrzeć w lustrze ze złotą ramą. — Czy z nią Lucas się pieści?

Obserwował jej odbicie. Coś przemknęło po jej twarzy.

— O co ci chodzi?

— Beauvoir mówił, że ona jest koniem…

— Zamknij się — przerwała mu cicho i z naciskiem. — To sprawa Beauvoira, że opowiada ci takie rzeczy. Ale poza tym nie ma tu o czym gadać. Rozumiesz? To rzeczy tak paskudne, że wolałbyś wrócić na tę ulicę, gdzie pocięli ci tyłek.

Patrzył w jej szeroko otwarte, ciemne oczy, ukryte pod szerokim rondem kapelusza.

— Dobra — mruknął po chwili. — Dzięki.

Bawił się kołnierzykiem koszuli. Postawił go, potem ułożył z powrotem, układał na różne sposoby.

— A wiesz… — Rhea przechyliła głowę w bok. — Jak już wciągniesz na siebie trochę ciuchów, to nie wyglądasz źle… Tyle że oczy masz jak dwie dziury wysikane w śnieżnej zaspie…

— Lucas — zapytał Bobby, kiedy weszli do windy — czy wiesz, kto właściwie skasował moją staruszkę?

Nie to pytanie zamierzał zadać. Samo wypłynęło na powierzchnię, niby bąbel bagiennego gazu.

Lucas przyglądał mu się dobrotliwie. Pociągłą twarz miał gładką i czarną. Czarny, świetnie skrojony garnitur wyglądał jak świeżo wyprasowany. W ręku trzymał grubą laskę ze lśniącego drewna; czarno-czerwone słoje układały się w fale, a u góry tkwiła duża, mosiężna gałka. Wybiegały z niej długie na palec pasy mosiądzu, gładko wpasowane w powierzchnię drewna.

— Nie, tego nie wiemy. — Szerokie wargi ułożyły się w prostą, bardzo poważną linię. — A bardzo chcielibyśmy wiedzieć…

Bobby poruszył się niespokojnie. Winda wprawiała go w zakłopotanie. Miała wielkość małego autobusu i choć nie była zatłoczona, on był w niej jedynym Białym. Czarni, jak zauważył

rozglądając się niespokojnie, w świetle jarzeniówek nie przypominają trupów, tak jak Biali.

Trzykrotnie w czasie jazdy winda zatrzymywała się na jakimś piętrze i tkwiła tam, raz prawie piętnaście minut. Za pierwszym razem Bobby zerknął pytająco na Lucasa.

— Coś w szybie — wyjaśnił Lucas.

— Co?

— Inna winda.

Windy umieszczono w rdzeniu kompleksu, ich szybami biegły wodociągi, ścieki, grube kable energetyczne i jakieś izolowane rury; Bobby uznał, że należą do tego systemu geotermicznego, o którym opowiadał mu Beauvoir. Kiedy tylko otwierały się drzwi, patrzył na to wszystko odsłonięte, nagie, jakby ci, którzy budowali kompleks, chcieli dokładnie widzieć, jak pracuje każdy element i co dokąd prowadzi. I wszystko, każdą widoczną powierzchnię, pokrywała siatka graffiti tak gęsta i wielowarstwowa, że odczytanie jakiegokolwiek symbolu czy przekazu było prawie niemożliwe.

— Nigdy jeszcze tu nie byłeś, prawda, Bobby? — zapytał Lucas, kiedy drzwi się zamknęły i znowu ruszyli w dół.

Bobby pokręcił głową.

— Szkoda — stwierdził Lucas. — Zrozumiałe, ale szkoda. Dwadziennie mówił mi, że nie bardzo podobało ci się Barrytown. To prawda?

— Pewno — przyznał Bobby.

— Sądzę, że to również jest zrozumiałe. Zrobiłeś na mnie wrażenie młodego człowieka obdarzonego wyobraźnią i inicjatywą. Zgodzisz się chyba?

Uderzył jasną, mosiężną gałką laski o swą różową dłoń i spojrzał na Bobby'ego badawczo.

— Chyba tak. Nie znoszę tego miejsca. Ostatnio tak jakbym zauważał, że… no… nic się tam nie dzieje. Rozumiesz? To znaczy owszem, coś się wydarza, ale ciągle to samo. Ciągle wściekle to samo, jakby same powtórki, każde lato podobne do poprzedniego…

Ucichł niepewny, co Lucas o nim pomyśli.

— Tak — westchnął Lucas. — Znam to uczucie. Może w Barrytown jest bardziej realne niż gdzie indziej, ale równie dobrze może cię dopaść w Nowym Jorku albo w Tokio.

To niemożliwe, pomyślał Bobby, ale kiwnął głową, pamiętając o słowach Rhei. Lucas nie wydawał się groźniejszy niż Beauvoir, ale sam jego wygląd był ostrzeżeniem. Bobby pracował właśnie nad nową teorią ludzkich zachowań; brakowało jeszcze kilku szczegółów, ale stwierdzała ona między innymi, że ludzie naprawdę niebezpieczni wcale nie muszą tego demonstrować. A umiejętność ukrycia groźby czyni ich jeszcze niebezpieczniejszymi. Całkiem wbrew regułom

Wielkiego Lunaparku, gdzie dzieciaki bez żadnego haka dokładają wielu starań, by podkreślić swą nabijaną chromem porywczość. Co zresztą dawało im pewne korzyści, przynajmniej lokalnie. Ale Lucas najwyraźniej nie miał nic wspólnego ze sprawami lokalnymi.

— Widzę, że trudno ci uwierzyć. No cóż, prawdopodobnie wkrótce sam się przekonasz… Ale jeszcze nie teraz. Twoje życie układa się obecnie tak, że przez pewien czas wszystko będzie ci się wydawać nowe i ekscytujące.

Drzwi windy rozsunęły się i Lucas ruszył, popychając Bobby'ego przed sobą jak dziecko. Wyszli na pokryte kafelkami, ciągnące się w nieskończoność foyer, pełne kiosków, straganów i ludzi przykucniętych obok koców z rozłożonymi towarami.

— Ale to nie powinno cię zatrzymywać — dodał Lucas i delikatnie pchnął Bobby'ego szeroką dłonią, gdy chłopak przystanął przed stosami używanego oprogramowania. — Wyruszasz do Ciągu, mój drogi. I dotrzesz tam w sposób godny grafa.

— To znaczy jak?

— Limuzyną.

Samochód Lucasa okazał się zadziwiającym potworem o długiej, nakrapianej złotem czarnej karoserii obwieszonej lśniącym jak lustro mosiądzem i zestawem barokowych gadżetów, których przeznaczenia Bobby mógł się tylko domyślać. Miał wrażenie, że rozpoznaje talerz anteny, choć przypominał raczej jedno z tych kół na płaskorzeźbach Azteków. Potem byli już w środku, a Lucas pozwolił, by drzwi zamknęły się za nimi z cichym trzaśnięciem. Okna były tak przyciemnione, że zewnętrzny świat wydawał się pogrążony w nocnej ciemności: burzliwa noc, w której tłumy z Projektów załatwiały swoje dzienne sprawy. Wnętrze pojazdu składało się z pojedynczego dużego pomieszczenia wyłożonego jaskrawymi dywanami i poduszkami z jasnej skóry. Bobby nie zauważył żadnych siedzeń. Nie było też kierownicy; deskę rozdzielczą pokrywała miękka skóra, bez jakiegokolwiek instrumentu. Zerknął na Lucasa, który rozluźniał czarny krawat.

— Jak się to prowadzi?

— Usiądź gdzieś. Prowadzi się tak: Ahmed, zabierz nasze tyłki do Nowego Jorku, od wschodniej strony.

Samochód ruszył gładko od krawężnika, a Bobby opadł na kolana na miękki stos dywanów.

— Lunch za trzydzieści minut, chyba że ma pan ochotę zjeść coś wcześniej — zabrzmiał miękki, melodyjny głos, który nie dochodził z żadnego określonego punktu.

Lucas zaśmiał się.

— Naprawdę umieli je robić w Damaszku.

— Gdzie?

— W Damaszku. — Lucas rozpiął marynarkę i usadowił się na poduszkach. — To rolls. Bardzo stary. Ci Arabowie robili dobre wozy, póki jeszcze mieli pieniądze.

— Lucas — odezwał się Bobby, przeżuwając zimnego kurczaka. — Jak to jest, że potrzebujemy półtorej godziny, żeby się dostać do Nowego Jorku? Nie czołgamy się przecież…

— Ponieważ… — Lucas wypił łyk schłodzonego białego wina — tyle właśnie potrzebujemy. Ahmed ma pełne wyposażenie dodatkowe, w tym pierwszej klasy system przeciwpodsłuchowy. Na drodze, w ruchu, gwarantuje niezwykły poziom zabezpieczenia, o wiele wyższy, niż zwykle mam chęć opłacać w Nowym Jorku. Ahmedzie, nie masz uczucia, że ktoś próbuje nas namierzyć, podsłuchać czy coś w tym rodzaju?

— Nie, proszę pana — odparł głos. — Osiem minut temu nasze tablice identyfikacyjne były infraskanowane przez śmigłowiec Sił Taktycznych. Numer śmigłowca MH-kreska-3-kreska-848, pilotowany przez kaprala Roberto…

— Wystarczy — przerwał Lucas. — Doskonale. Ale to nieważne. Widzisz? — zwrócił się do Bobby'ego. — Ahmed więcej wie o tych Taktycznych niż oni o nas.

Wytarł ręce w grubą lnianą serwetkę i z kieszeni marynarki wyjął złotą wykałaczkę.

— Lucas… — zaczął Bobby, gdy ten delikatnie sondował szczeliny między dużymi, kwadratowymi zębami. — Co by się stało, gdybym… powiedzmy… poprosił, żebyś mnie odwiózł na Times Square i tam wysadził?

— Ach… — Lucas opuścił wykałaczkę. — Najbardziej tętniący życiem obszar miasta. O co chodzi, Bobby, jesteś na głodzie?

— No nie, ale byłem ciekawy…

— Ciekawy czego? Chcesz jechać na Times Sąuare?

— Nie, to tylko pierwsze miejsce, jakie mi przyszło do głowy. Byłem ciekawy, czy byś mnie wypuścił.

— Nie — stwierdził Lucas. — I może nie wchodźmy w szczegóły. Ale nie powinieneś uważać się za więźnia. Raczej gościa. Bardzo cennego gościa.

Bobby uśmiechnął się niepewnie.

— Aha. Rozumiem. Coś, co nazywają aresztem ochronnym.

— Zgadza się. — Lucas znowu uruchomił złotą wykałaczkę. — A póki jesteśmy tutaj, bezpiecznie ekranowani przez wiernego Ahmeda, pora nam porozmawiać. Brat Beauvoir opowiedział ci już co nieco o nas, jak sądzę. A co ty sądzisz, Bobby, o tym, o czym mówił?

— No więc… To naprawdę ciekawe, ale chyba nie wszystko rozumiem.

— Czego nie rozumiesz?

— Nie bardzo wiem, o co chodzi z tym voodoo…

Lucas uniósł brwi.

— Właściwie to wasza sprawa, co chcecie kupić… znaczy, w co wierzyć. Prawda? Ale najpierw Beauvoir mówi o robocie, o technice, o jakiej w życiu nie słyszałem, a potem nagle zaczyna o abrakadabrach, duchach, wężach i… i…

— I o czym?

— Koniach — dokończył Bobby przez zaciśnięte gardło.

— Bobby, czy wiesz, co to są metafory?

— Części? Jak kondensatory?

— Nie. Mniejsza więc o metafory. Kiedy Beawoir i ja mówimy o loa i ich wierzchowcach, jak nazywamy tych nielicznych, których loa zechcą dosiadać, powinieneś wiedzieć, że mówimy w dwóch językach jednocześnie. Jeden z nich już znasz. To język techniki… roboty, jak to nazwałeś. Używamy może innych słów, ale mówimy o technice. Może nazywamy Ougou Feray coś, co ty nazwałbyś łodołamaczem. Rozumiesz? Ale równocześnie, tymi samymi słowami, mówimy o innych sprawach. I tych nie rozumiesz. Nie musisz.

Odłożył wykałaczkę. Bobby zaczerpnął powietrza.

— Beauvoir powiedział, że jackie jest wierzchowcem węża. Węża zwanego Danbala. Przetłumaczysz mi to na technikę?

— Oczywiście. Wyobraź sobie Jackie jako dek, Bobby. Dek cyberprzestrzeni, bardzo ładny, z pięknymi łydkami… — Lucas uśmiechnął się, a Bobby zarumienił. — Wyobraź sobie Danbalę, którego niektórzy nazywają wężem, jako program. Powiedzmy: jako lodołamacz. Danbala wtyka się w dek Jackie. Jackie tnie lód. To wszystko.

— No dobra. — Bobby'emu zaczynało się to klarować. — A czym jest matryca? Jeśli ona jest dekiem, a Danbala programem, to czym jest cyberprzestrzeń?

— Światem — wyjaśnił Lucas.

— Stąd lepiej pójdziemy pieszo — stwierdził Lucas.

Rolls zahamował bezgłośnie i jedwabiście gładko. Lucas wstał, zapinając marynarkę.

— Ahmed zwraca uwagę — dodał.

Chwycił laskę. Drzwi brzęknęły cicho, zwalniając zamek.

Bobby wysiadł za nim, prosto w charakterystyczny zapach Ciągu, bogaty amalgamat stęchłych wyziewów metra, starożytnej sadzy i rakotwórczego aromatu świeżych plastików, a wszystko podszyte węglowodorowym posmakiem bezprawnych paliw kopalnych. Wysoko w górze, w odbitym świetle lamp łukowych, dwie trzecie różowego wieczornego nieba przesłaniała nie dokończona kopuła Fullera; jej

ostra krawędź była niczym złamany, szary plaster miodu. Układanka kopuł Ciągu generowała własne, przez nikogo nie planowane mikroklimaty; były obszary kilku przecznic, gdzie z poczerniałych od sadzy geodezyjnych kopuł bez przerwy opadała mżawka kondensacji; były fragmenty wielkiej kopuły słynne z nieustannych wyładowań elektrostatycznych — tej szczególnej, miejskiej odmiany błyskawic. Dmuchał silny wiatr, ciepły i niosący tumany pyłu, mający pewnie jakiś związek ze zmianami ciśnienia w systemie metra obejmującym całą długość Ciągu.

— Pamiętaj, co ci mówiłem — odezwał się Lucas, mrużąc oczy przed pyłem. — Ten człowiek jest czymś więcej niż się wydaje. A nawet gdyby był jedynie tym, kim się wydaje, i tak winien mu jesteś szacunek. Jeśli chcesz zostać kowbojem, to za chwilę poznasz legendę tego fachu.

— Dobra… — Odskoczył, by wyminąć poszarzałą wstęgę wydruku, która próbowała owinąć mu się wokół kostek. — To ten, od którego ty i Beauvoir kupiliście…

— Nie! Nie zapominaj, o czym rozmawialiśmy. Jeśli mówisz otwarcie na ulicy, równie dobrze możesz wydrukować te słowa na plakatach…

Bobby skrzywił się, ale kiwnął głową. Niech to diabli! Bez przerwy nawalał. Szedł w towarzystwie potężnego operatora, tkwiącego po szyję w jakichś dziwnych interesach, a cały czas zachowywał się jak wilson. Operator. To odpowiednie określenie dla Lucasa, i dla Beauvoira też. Cała ta gadka o voodoo, uznał, to taka zagrywka, której próbują na ludziach. W rollsie Lucas zaczął jakąś długą historię o Legbie, który — jak stwierdził — jest loa komunikacji, „panem dróg i ścieżek", a ulubieńcem Legby jest człowiek, do którego się z Bobbym wybierają. Kiedy Bobby spytał, czy to oungan, Lucas zaprzeczył. Wyjaśnił, że ten człowiek szedł z Legbą przez całe życie, tak blisko, że nawet nie wiedział o loa obok siebie, jakby był jego częścią, jego cieniem. I ten człowiek, poinformował Lucas, sprzedał im soft, który Dwadziennie wypożyczył Bobby'emu…

Lucas skręcił za róg i zatrzymał się. Bobby stanął tuż za nim. Byli przed frontem poczerniałego budynku z oknami od dziesięcioleci zabitymi arkuszami pordzewiałej blachy. Część parteru służyła kiedyś jako sklep; brud oblepiał popękane szyby wystawowe. Drzwi między martwymi wystawami zostały wzmocnione taką samą blachą, jaka zasłaniała okna na wyższych piętrach. Bobby'emu zdawało się, że dostrzega w mroku za szybą po lewej stronie jakiś znak, stary neon pochylony na ukos. Lucas stał nieruchomo przed drzwiami; jego twarz była bez wyrazu, czubek laski opierał się o chodnik, obie dłonie wsparł o mosiężną gałkę.

— Pierwsze, czego musisz się nauczyć — powiedział tonem

człowieka, który cytuje przysłowie — to, że zawsze trzeba czekać.

Bobby'emu zdawało się, że coś skrobie za drzwiami. Potem zadzwonił łańcuch.

— Zadziwiające — mruknął Lucas. — Całkiem jakby się nas spodziewał.

Drzwi uchyliły się o dziesięć centymetrów na dobrze nasmarowanych zawiasach, a potem zatrzymały nagle. Spojrzało na nich oko, nie mrugające, zawieszone w szczelinie ciemności i kurzu. Bobby'emu wydało się z początku, że to oko jakiegoś dużego zwierzęcia: tęczówka miała dziwny, brunatnożółty odcień, poplamione i przekrwione białko i jeszcze bardziej zaczerwienioną dolną powiekę.

— Człowiek hoodoo — zabrzmiał głos z niewidocznej twarzy, do którego należało oko. — Człowiek hoodoo i jakiś mały gówniarz… — Rozległ się okropny bulgot, jakby ktoś z ukrytych zakątków odsysał antyczną flegmę. Potem człowiek splunął. — No dobra, Lucas, wchodź. — Coś zgrzytnęło i drzwi uchyliły się do wewnątrz. — Jestem bardzo zajęty…

Ostatnie słowa zabrzmiały z odległości metra, jakby właściciel oka cofał się przed światłem padającym przez otwarte drzwi.

Lucas przestąpił próg. Bobby niemal następował mu na pięty. Poczuł, że drzwi za nim zamknęły się gładko. Nagła ciemność zjeżyła mu włoski na przedramionach: wydawała się żywa, zapełniona i gęsta, jakby świadoma.

Potem zapłonęła zapałka, zasyczała i zaskwierczała jakaś lampa gazowa. Bobby wpatrywał się w twarz za latarnią, gdzie czekało przekrwione żółte oko wraz ze swoim bliźniakiem. Ta twarz chyba nie była maską, choć bardzo chciałby w to uwierzyć.

— Nie sądzę, żebyś się nas spodziewał, Finn — zaczął Lucas.

— Jeśli musisz wiedzieć… — Na twarzy pojawiły się duże, równe, żółte zęby. — Wychodziłem właśnie poszukać czegoś do jedzenia.

Gospodarz wyglądał, jakby potrafił przeżyć na diecie z zetlałej wykładziny albo ryjąc cierpliwie w brunatnej pulpie drzewnej napęczniałych od wilgoci książek, leżących w stosach do wysokości ramienia po obu stronach tunelu.

— Kim jest tej gówniarz, Lucas?

— Wiesz, Finn, Beauvoir i ja mamy kłopoty z czymś, co w dobrej wierze nabyliśmy od ciebie.

Lucas podniósł laskę i ostrożnie dotknął groźnej z wyglądu przewieszki rozsypujących się paperbacków.

— Coś podobnego… — Finn z udawaną troską ściągnął szare wargi. — Nie baw się tymi pierwszymi wydaniami, Lucas. Jeśli je zrzucisz, zapłacisz za nie.

Lucas cofnął laskę. W świetle lampy błysnęło jej wypolerowane okucie.

— A więc macie kłopoty — podjął Finn. — To zabawne, Lucas, diabelnie zabawne. — Policzki miał zszarzałe, pocięte głębokimi ukośnymi zmarszczkami. — Ja też mam kłopoty i to trzy naraz. Rano jeszcze ich nie miałem. Co robić, takie jest życie…

Odstawił syczącą lampę na opróżnioną metalową szafkę, a z kieszeni czegoś, co mogło kiedyś być tweedową marynarką, wyłowił pomiętego papierosa bez filtra.

— Moje trzy kłopoty są na górze. Może chcecie je sobie obejrzeć?

O podstawę lampy zapalił drewnianą zapałkę, a od niej papierosa. W powietrzu rozszedł się ostry zapach czarnego kubańskiego tytoniu.

— Sam wiesz… — Finn przekroczył pierwsze zwłoki. — Już od bardzo dawna prowadzę tu interesy. Zawsze w tym samym miejscu. Wszyscy mnie znają. Wiedzą, że tu jestem. Kupujesz od Finna, to znaczy wiesz, od kogo kupujesz. Zawsze udzielam gwarancji na swój towar…

Bobby przyglądał się zwróconej ku górze twarzy martwego mężczyzny, patrzył w zmętniałe oczy. Coś się nie zgadzało w kształcie torsu, w sposobie ułożenia ciała pod czarnym ubraniem. Japońska twarz bez wyrazu, martwe oczy…

— I przez cały ten czas — mówił dalej Finn — wiesz, ilu było takich durniów, co próbowali się tu dostać i mnie załatwić? Ani jednego. Aż do dzisiaj rano. A teraz mam już trzech… To znaczy… — rzucił Bobby'emu wrogie spojrzenie. — Znaczy, nie licząc tego gówniarza, chociaż…

Wzruszył ramionami.

— Trochę jest pokręcony — zauważył Bobby, nie spuszczając wzroku z pierwszego trupa.

— To dlatego, że w środku jest jak karma dla psów. — Finn uśmiechnął się złośliwie. — Sama miazga.

— Finn kolekcjonuje egzotyczną broń — wyjaśnił Lucas. Czubkiem laski trącił nadgarstek drugich zwłok. — Przeskanowałeś ich, czy nie mają implantów?

— Tak. Piekielna robota. Musiałem ich zanieść na zaplecze. Nic, poza tym, czego można by oczekiwać. To tylko grupa uderzeniowa. — Hałaśliwie zassał powietrze przez zęby. — Ale dlaczego ktoś chciałby mnie zdjąć?

— Może sprzedałeś im bardzo kosztowny produkt, który nie spełnił oczekiwań — podpowiedział Lucas.

— Lucas, nie sugerujesz, mam nadzieję, że to ty ich przysłałeś — odparł spokojnie Finn. — Chyba że chcesz zobaczyć, jak robię tę sztuczkę z psią karmą.

— Czy powiedziałem, że sprzedałeś nam coś, co nie działa?

— „Napotkaliśmy trudności". Tak powiedziałeś. A co takiego ostatnio ode mnie kupowaliście?

— Przykro mi, Finn, ale nie są od nas. Przecież wiesz.

— Tak, chyba wiem. No to co cię do mnie sprowadza, Lucas? Wiesz, że ostatni towar nie był objęty zwykłą gwarancją…

— A wiesz — mruknął Finn, kiedy wysłuchał opowieści o przerwanej akcji Bobby'ego w cyberprzestrzeni — jest w tym coś diabelnie dziwnego. — Wolno pokręcił swą wąską, niezwykle wydłużoną głową. — Kiedyś tak nie było. — Zerknął na Lucasa. — Widzicie to chyba, co?

Siedzieli przy kwadratowym białym stole w białym pokoju, tuż za zagraconym wejściem. Podłogę pokrywały białe szpitalne antypoślizgowe kafelki, a ściany — szerokie płyty zmatowiałego plastiku, wypełnione gęstymi warstwami obwodów przeciwpodsłuchowych. W porównaniu z tunelem wejścia, pokój wydawał się szpitalnie czysty. Wokół stołu, niczym abstrakcyjne rzeźby, stało kilka duralowych trójnogów najeżonych czujnikami i układami skanującymi.

— Co widzimy? — zapytał Bobby.

Za każdym powtórzeniem swojej historii coraz mniej czuł się jak wilson. Czuł się ważny.

— Nie ty, dupku — odparł znużonym głosem Finn. — On. Ważniak z hoodoo. On wie. Widzi, że nie jest już tak samo. Siedzę w tym fachu od zawsze. Zaczynałem dawno temu. Jeszcze zanim istniała matryca, a przynajmniej zanim ludzie wiedzieli, że istnieje. — Popatrzył na Bobby'ego. — Mam parę butów starszych od ciebie, więc dlaczego do diabła miałbym się spodziewać, że coś widzisz? Kowboje istnieją od kiedy istnieją komputery. Pierwsze komputery zbudowali, żeby łamać niemiecki lód, zgadza się? Łamacze szyfrów. Czyli, gdyby spojrzeć na to w ten sposób, lód był jeszcze zanim powstały komputery.

Zapalił piętnastego tego wieczoru papierosa; dym zaczął wypełniać niewielki pokój.

— Lucas wie, na pewno. Od siedmiu czy ośmiu lat dziwne rzeczy dzieją się na obwodach kowbojskich konsoli. Nowi dżokeje zawierają układy z czymś… Prawda, Lucas? Tak, pewno że wiem; ciągle potrzebny im hard i soft, ciągle muszą być szybsi niż wąż na lodzie. Ale wszyscy mają sprzymierzeńców. A w każdym razie wszyscy, którzy mają pojęcie o cięciu lodu. Zgadza się, Lucas?

Lucas wyjął z kieszeni swoją złotą wykałaczkę i zajął się tylnym trzonowcem. Twarz miał mroczną i poważną.

— Trony i dominia… — westchnął niezbyt zrozumiale Finn. — Tak, są tam dziwne rzeczy. Duchy, głosy. Dlaczego nie? W oceanach żyły syreny i cały ten chłam, w my tu mamy morze krzemowe, nie? Pewno, to tylko projektowana halucynacja, której wszyscy zgodziliśmy

się doznawać. Ale każdy, kto się włączy, wie, wie jak cholera, że to cały wszechświat. I co roku jest bardziej zatłoczony, podobny do…

— Dla nas — wtrącił Lucas — świat zawsze działał w ten sposób.

— Tak — zgodził się Finn. — I mogliście od razu się do niego włączyć, mówić ludziom, że to, z czym zawieracie układy, to te same wasze bóstwa z buszu…

— Boscy Jeźdźcy.

— Jasne. Może nawet w to wierzysz. Ale ja jestem już stary i pamiętam czasy, kiedy było inaczej. Gdybyś dziesięć lat temu w Eleganckiej Porażce próbował opowiedzieć któremuś z lepszych dżokejów, że gadasz w matrycy z duchami, wzięliby cię za wariata.

— Wilsona — wtrącił Bobby. Czuł się pozostawiony na uboczu i już wcale nie tak ważny.

Finn spojrzał na niego nie rozumiejąc.

— Kogo?

— Wilsona. Frajera. To takie powiedzenie szpanerów.

Znowu to zrobił. A niech to…

Finn przyjrzał mu się z dziwną miną.

— Jezu… Tak to nazywacie? Chryste, znałem tego faceta…

— Kogo?

— Bodine'a Wilsona. Pierwszy mój znajomy człowiek, który skończył jako przenośnia.

— Był głupi? — zapytał Bobby i natychmiast tego pożałował.

— Głupi? Nie, cholera. Był sprytny jak diabli. — Finn zgasił papierosa w popękanej, ceramicznej popielniczce Campari. — Po prostu pechowiec i tyle. Pracował kiedyś z Dixie Płaszczakiem…

Żółte przekrwione oczy zapatrzyły się w przestrzeń.

— Finn — odezwał się Lucas. — Skąd wziąłeś ten lodołamacz, który nam sprzedałeś?

Finn spojrzał na niego chłodno.

— Czterdzieści lat w tym interesie, Lucas. Wiesz, ile razy zadawali mi to pytanie? Wiesz, ile razy byłbym już trupem, gdybym odpowiedział?

Lucas kiwnął głową.

— Uznaję twój argument. Ale pozwól, że przedstawię ci swój. — Niczym miniaturowy sztylet wymierzył w Finna wykałaczkę. — Siedzisz tu z nami i nawijasz, ponieważ sądzisz, że ci trzej sztywni na górze mają jakiś związek z lodołamaczem, który nam sprzedałeś. I bardzo byłeś zainteresowany, kiedy Bobby opowiadał, jak ktoś skasował mieszkanie jego matki. Prawda?

— Może… — Finn odsłonił zęby.

— Ktoś ma cię na swojej liście, Finn. Ci trzej martwi ninje na górze kosztowali kogoś masę forsy. Kiedy nie wrócą, ktoś spróbuje znowu, tym razem bardziej na serio.

Przekrwione żółte oczy mrugnęły.

— Byli napakowani sprzętem. Gotowi do zamachu, ale jeden miał też inne rzeczy. Do zadawania pytań. — Poplamione nikotyną palce o kolorze zbliżonym do barwy skrzydeł karalucha potarły krótką górną wargę. — Dostałem go od Wigana Ludgate'a — rzekł. — Wiga.

— Nigdy o nim nie słyszałem — wyznał Lucas.

— Pieprznięty facet — wyjaśnił Finn. — Kiedyś był kowbojem.

Było tak, opowiadał Finn, a dla Bobby'ego było to nieskończenie ciekawe, nawet lepsze niż słuchanie Beauvoira i Lucasa… Wigan Ludgate przez pięć lat działał jako dżokej, co nie jest złym wynikiem jak na kowboja cyberprzestrzeni. Po pięciu latach kowboje albo są bogaci, albo odmóżdżeni i martwi. Albo utrzymują stajnię młodszych krakerów i zajmują się tylko organizacją. Wig w pierwszych, gorących latach młodości i chwały, uderzył szturmem w niezbyt zatłoczone sektory matrycy, reprezentujące obszary geograficzne znane niegdyś jako Trzeci Świat.

Krzem się nie zużywa; mikrochipy są praktycznie nieśmiertelne. Wig wziął to pod uwagę. Jak każde dziecko w jego wieku wiedział jednak, że krzem się starzeje, a to jeszcze gorsze niż zużycie. Fakt ten był dla Wiga ponurą, ale akceptowaną zasadą. Zresztą bardziej się martwił, że jego sprzęt zostanie w tyle za najnowszymi osiągnięciami sztuki, niż śmiercią (miał dwadzieścia dwa lata) czy podatkami (nie wypełniał zeznań, ale singapurskiej pralni pieniędzy wypłacał roczny procent, mniej więcej równy temu, ile musiałby zapłacić, gdyby zadeklarował swoje dochody). Wig pomyślał jednak, że cały ten przestarzały krzem musi przecież gdzieś trafiać. Trafiał, jak się dowiedział, w liczne bardzo ubogie miejsca, gdzie z wolna rozwijała się baza przemysłowa. Do krajów tak zacofanych, że wciąż poważnie traktowały koncepcję narodu. Wig przestukał się przez parę afrykańskich dziur i poczuł się jak rekin krążący w basenie z wodą gęstą od kawioru. Żadne ze smakowitych jajeczek nie było wiele warte, ale mógł otworzyć szeroko paszczę i zbierać… Łatwe, sycące i sumuje się. Wig pracował w Afryce przez tydzień, mimochodem doprowadzając do upadku co najmniej trzy rządy i wywołując niewypowiedziane ludzkie cierpienia. Pod koniec tygodnia wycofał się, tłusty od śmietanki z miliona śmiesznie małych kont bankowych. A kiedy odchodził, nadlatywała już szarańcza: pomysł z Afryką spodobał się innym.

Przez dwa lata Wig siedział na plaży w Cannes, brał tylko najdroższe, specjalnie komponowane prochy, a od czasu do czasu włączał malutki telewizorek Hosaki i z niezwykłym, dziwnie niewinnym skupieniem oglądał napuchnięte ciała martwych Afrykanów. W pewnym momencie — nikt nie potrafiłby stwierdzić,

gdzie, kiedy i dlaczego — zaczęto dostrzegać, że Wig traci rozum. W szczególności, jak wyjaśnił Finn, nabrał przekonania, że Bóg mieszka w cyberprzestrzeni, a może to cyberprzestrzeń jest Bogiem albo jakąś jego manifestacją. Jego wycieczki w teologię odznaczały się gwałtownymi przesunięciami paradygmatów, prawdziwymi przeskokami wiary. Finn domyślał się, co w tych dniach interesowało Wiga; wkrótce po nawróceniu na nową i niespotykaną wiarę, Wigan Ludgate powrócił do Ciągu i wyruszył na epicką, choć nieco przypadkową wyprawę ku cybernetycznym odkryciom. Jako były dżokej konsoli wiedział, gdzie powinien się udać po najlepszy, jak to nazwał Finn, soft i hard. Finn dostarczył mu jednego i drugiego, gdyż Wig wciąż był bogatym człowiekiem. Wig wyjaśnił Finnowi swoją metodę mistycznej eksploracji. Polegała na tym, że rzutował świadomość w puste, pozbawione struktury sektory matrycy i czekał. Trzeba przyznać: nigdy nie twierdził, że spotkał Boga, choć utrzymywał, że przy kilku okazjach wyczuł Jego obecność, sunącego po powierzchni sieci. Po pewnym czasie Wigowi skończyły się pieniądze. A że duchowe poszukiwania doprowadziły do zerwania tych nielicznych kontaktów, jakie zachował z czasów przedafrykańskich, zniknął bez śladu.

— Ale pewnego dnia znów się zjawił — mówił Finn. — Obłąkany jak szczur ze sracza. Zawsze był takim chudym, bladym facetem, ale teraz nosił cale to afrykańskie śmiecie: paciorki, kości i w ogóle.

Bobby zastanowił się, jak ktoś taki jak Finn może opisywać człowieka jako chudego i bladego. Zerknął w bok: Lucas spoglądał przed siebie posępnie. Bobby'emu przyszło do głowy, że Lucas może brać tę afrykańską historię do siebie. Ale Finn kontynuował opowieść.

— Miał dużo towaru na sprzedaż. Deki, peryferia, programy. Wszystko sprzed paru lat, ale świetny sprzęt, więc dałem mu dobrą cenę. Zauważyłem, że ma wszczepione gniazdo i cały czas wpięty za uchem mikrosoft. Jaki soft, pytam. Jest czysty, on mi na to. Siedział w tym samym miejscu gdzie ty teraz, mały. I mówi: jest czysty i to głos Boga, a ja żyję wiecznie w Jego białym szumie. Czy coś w tym stylu. Więc myślę: diabli, Wig zbzikował do reszty. A on piąty raz przelicza forsę, którą mu dałem. Wig, mówię, czas to pieniądz, ale powiedz, co masz zamiar teraz robić. Bo byłem ciekawy. Znałem faceta od lat, z interesów. Finn, on na to, muszę się wyrwać ze studni grawitacyjnej. Tam jest Bóg, powiada. To znaczy jest wszędzie, ale tu, na dole, mamy za dużo zakłóceń i przesłaniają Jego twarz. Racja, mówię, trafiłeś. Odprowadziłem go do drzwi i tyle. Więcej go nie widziałem.

Bobby zamrugał, odczekał chwilę, poprawił się na twardym siedzeniu składanego krzesła.

— Ale jakiś rok później przyłazi do mnie facet, mechanik orbitalny na urlopie w studni. Ma trochę niezłego softu na sprzedaż.

Nic wielkiego, ale interesujące. Mówi, że Wig go przysłał. Może i Wig jest cudakiem i dawno wypadł z gry, ale ciągle umie poznać dobry program. Więc kupuję. To było jakieś dziesięć lat temu. Od tego czasu mniej więcej raz w roku zjawia się jakiś gość z towarem. „Wig powiedział, że powinienem ci to pokazać". Zwykle kupuję. Nic specjalnego, ale zawsze w porządku. I nigdy ten sam człowiek nie przyszedł drugi raz.

— I co to było, Finn? — spytał Lucas. — Tylko oprogramowanie?

— Tak, głównie. I jeszcze te dziwaczne niby-rzeźby. Byłbym o nich zapomniał. Myślę, że Wig sam je robi. Kiedy pierwszy raz któryś mi taką przyniósł, kupiłem cały jego soft i pytam: a to niby co ma być? Wig powiedział, że może cię zainteresować, odpowiada mi facet. Powiedz mu, że zwariował, mówię. A on w śmiech. Zatrzymaj to sobie, powiada. Nie mam zamiaru taszczyć tego draństwa z powrotem. Było mniej więcej takie duże jak dek, to paskudztwo. Kupa śmiecia i odpadków upakowana razem w pudełku… Wepchnąłem je za tę skrzynkę coca-coli pełną złomu i zapomniałem o sprawie. A potem Smith… był wtedy moim kumplem, handlował sztuką i ciekawostkami… zobaczył to i chciał kupić. Dobiliśmy targu. Trafisz jeszcze na coś takiego, Finn, mówi mi, to bierz. W mieście są czubki, które kolekcjonują ten chłam. No i kiedy znów przyszedł ktoś od Wiga, kupiłem od niego tę rzeźbę i przehandlowałem Smithowi. Ale nigdy nie wyciągnąłem z tego dużej kasy…

Finn wzruszył ramionami.

— Przynajmniej do zeszłego miesiąca. Przyszedł jakiś dzieciak z tym, co kupiliście. Od Wiga. Słuchaj, mówi, to jest biosoft i łamacz. Wig twierdzi, że wart kupę szmalu. Przeskanowałem towar i wyglądał jak trzeba. Pomyślałem, że wygląda ciekawie. Twój partner, Beauvoir, uznał, że wygląda bardzo interesująco. Ja kupiłem i Beauvoir kupił ode mnie. Koniec historii.

Finn wyjął papierosa; trafił na zgięty wpół i rozerwany.

— Niech to… — mruknął.

Sięgnął po wyblakłe opakowanie bibułek, wyciągnął cienki różowy płatek i mocno owinął wokół papierosa, jakby zakładał opatrunek. Kiedy lizał klej, Bobby dostrzegł czubek szpiczastego, szaroróżowego języka.

— A gdzie rezyduje pan Wig? — zapytał Lucas. Oparł brodę na kciukach i złożył palce.

— Lucas, nie mam pieprzonego pojęcia. Gdzieś na orbicie. Niezbyt luksusowo, jeśli ma dla niego znaczenie ta forsa, którą ze mnie wyciąga. Chociaż słyszałem, że są tam miejsca, gdzie człowiek nie potrzebuje pieniędzy, jeśli tylko wpasuje się w ekonomię. Więc niewielka suma może wystarczyć na długo. Ale mnie o to nie pytajcie. Mam lęk przestrzeni. — Uśmiechnął się złośliwie do Bobby'ego, który

próbował usunąć z pamięci obraz tego języka. — A wiesz… — zwrócił się do Lucasa. — Mniej więcej wtedy zacząłem słyszeć o różnych dziwnych rzeczach w matrycy.

— Na przykład jakich? — spytał Bobby.

— Trzymaj gówniarza od tego z daleka — rzucił Finn, wciąż patrząc na Lucasa. — To było jeszcze zanim wy się pojawiliście, nowy zespół hoodoo. Wiedziałem, że ta uliczna samuraj dostała robotę u jakiegoś typa z Sił Specjalnych, przy którym Wig był całkiem normalny. Ona i ten kowboj, którego wygrzebali gdzieś w Chibie, szukali właśnie czegoś takiego. Może znaleźli. Ostatni raz widziałem ich w Istambule. Parę lat temu słyszałem, że mieszkała w Londynie. Kto to wie? Minęło siedem, może osiem lat.

Finn wydał się nagle zmęczony i stary, bardzo stary. Według Bobby'ego przypominał teraz zmumifikowanego szczura, poruszanego sprężynami na ukrytych sznurkach. Wyjął z kieszeni zegarek z pękniętym szkiełkiem, na jednym zatłuszczonym skórzanym pasku. Sprawdził czas.

— Jezu! Więcej ze mnie nie wyciągniesz, Lucas. Za dwadzieścia minut wpadnie tu paru moich kumpli z banku organów. Mamy pogadać o pewnym drobnym interesie.

Bobby pomyślał o ciałach na górze. Leżały tam cały dzień.

— Spokojnie — rzucił Finn, widząc wyraz jego twarzy. — Banki organów są świetne, kiedy trzeba się czegoś pozbyć. To ja im płacę. Tym sierotom na górze nie zostało już wiele organów…

Roześmiał się.

— Mówiłeś, że jest bliski… Legby? A według ciebie i Beauvoira, Legba to ten, który mi przyniósł szczęście, kiedy trafiłem na czarny lód?

Niebo rozjaśniało się za nierówną krawędzią kopuły geodezyjnej.

— Tak — potwierdził Lucas. Był wyraźnie zamyślony.

— Ale on chyba nie wierzy w takie rzeczy.

— To bez znaczenia — wyjaśnił Lucas, kiedy pojawił się rolls. — Zawsze był bliski tych spraw.

ROZDZIAŁ 17
WIEWIÓRCZY GAJ

Samolot zszedł na ziemię w pobliżu dźwięku płynącej wody. Turner słyszał ją, wiercąc się gorączkowo czy sennie w siatce anty-g: woda na kamieniach, najstarsza ze wszystkich pieśni. Samolot byt mądry, mądry jak każdy pies, z wlutowanymi na twardo instynktami maskowania. Turner czuł w mdlącej ciemności, jak maszyna kołysze się na podwoziu w mroku nocy, jak pełznie naprzód, a gałęzie ocierają się i drapią o ciemną owiewkę kabiny. Samolot wczołgał się w ciemnozielony cień i opadł, stęknął i zatrzeszczał, rozpłaszczając się brzuchem na glinie i granicie niczym manta na piasku. Mimetyczna polikarbonowa powłoka płatów i kadłuba pociemniała i okryła się plamami, przyjmując barwy nakrapianego księżycowym światłem kamienia i leśnego podłoża. Wreszcie ucichł i jedynym dźwiękiem był szum wody w korycie strumienia…

Obudził się jak maszyna: otwarte oczy, włączony wzrok, pamięć czerwonego błysku śmierci Lyncha za celownikiem Smith Wessona. Łuk kabiny nad głową pokrywała siatka mimetycznych aproksymacji gałęzi i liści. Blady świt i dźwięk płynącej wody.

Wciąż miał na sobie niebieską roboczą koszulę Oakeya. Pachniała teraz starym potem, a wczoraj oderwał z niej rękawy. Pistolet leżał między nogami, wymierzony w czarny dżojstik samolotu. Siatka anty-g zmieniła się w luźną plątaninę na udach i ramionach. Obejrzał się i zobaczył dziewczynę, owal twarzy i brunatną, zaschniętą strużkę krwi pod nosem. Wciąż była nieprzytomna, spocona, usta rozchylone jak u lalki.

— Gdzie jesteśmy?

— Znajdujemy się o piętnaście metrów na południowo południowy wschód od zadanych współrzędnych lądowania — odparł samolot. — Znów straciłeś przytomność. Zdecydowałem się na maskowanie.

Sięgnął do szyi i wyjął z gniazda wtyczkę złącza, zrywając kontakt z maszyną. Tępo rozglądał się po kabinie, wreszcie znalazł dźwignię ręcznego otwierania. Sapnęły serwomotory, przesunęła się siatka polikarbonowych liści. Przerzucił nogę przez burtę, spojrzał w dół na dłoń opartą o kadłub przy brzegu kabiny. Polikarbon odtworzył tony szarości pobliskiego głazu; Turner widział, jak zaczyna malować plamę wielkości dłoni i koloru jego skóry. Przerzucił drugą nogę, pozostawiając na fotelu zapomniany rewolwer, i zsunął się na wysoką, słodką trawę. Tu zasnął znowu z głową opartą o ziemię, śniąc o

płynącej wodzie.

Kiedy się zbudził, pełzł na rękach i kolanach, pod ciężkimi od rosy niskimi gałęziami. Wreszcie trafił na polanę i upadł, przetoczył się na plecy rozkładając ręce w geście, który wydał mu się kapitulacją. Wysoko nad nim coś małego i szarego oderwało się od gałęzi, chwyciło drugą, zawisło na moment i odbiegło, znikając z oczu.

Leż spokojnie, usłyszał głos odległy o całe lata. Leż spokojnie, rozluźnij się, a szybko o tobie zapomną… zapomną, że tu jesteś w szarości, świcie, rosie. Chcą tylko jeść, jeść i się bawić, a ich mózgi nie przechowają dwóch informacji, nie na długo. Leżał na wznak obok swojego brata, z nylonową kolbą winchestera na piersi, wdychając aromat metalu i oliwy, i zapach ogniska we włosach. A brat zawsze miał rację co do wiewiórek. Przychodziły. Zapominały o wyraźnym glifie śmierci wykreślonym w dole na połatanych dżinsach i błękitnej stali; wracały biegając po gałęziach, przystawały, by wąchać świt, a potem trzaskała dwudziestka dwójka Turnera i na ziemię spadało szare, bezwładne ciałko. Inne rozbiegały się i znikały, a Turner oddawał karabin bratu. I znowu czekali, czekali aż wiewiórki o nich zapomną.

— Jesteście jak ja — powiedział Turner wiewiórkom wyskakującym z jego snu. Jedna z nich usiadła nagle na grubym konarze i spojrzała prosto na niego. — Zawsze wracam. — Wiewiórka odbiegła w podskokach. — Wracałem, kiedy uciekałem od Holendra. Wracałem, kiedy leciałem do Meksyku. Wracałem, kiedy zabiłem Lyncha.

Leżał tam bardzo długo. Obserwował wiewiórki, a las budził się z wolna i ranek był coraz cieplejszy. Nadleciał kruk, wylądował hamując piórami rozczapierzonymi jak czarne mechaniczne palce. Sprawdzał, czy człowiek jest już martwy.

Turner wyszczerzył zęby i kruk odleciał.

Jeszcze nie.

Przeczołgał się z powrotem pod zwisającymi gałęziami i zobaczył, że dziewczyna siedzi w kabinie. Miała na sobie luźną białą koszulkę przeciętą po przekątnej logo MAAS-NEOTEK. Na piersiach dostrzegł świeże plamki krwi — znowu krwawiła z nosa. Jasne niebieskie oczy, nieprzytomne i zdezorientowane, tkwiły w żółto-czarnych sińcach niby w egzotycznym makijażu.

Młoda, zauważył. Bardzo młoda.

— Jesteś córką Mitchella — stwierdził, wygrzebując imię z biosoftowego *dossier*. — Angela.

— Angie — poprawiła odruchowo. — A pan kim jest? Krew mi leci z nosa.

Pokazała mu krwawy goździk zmiętej chusteczki.

— Turner. Oczekiwałem twojego ojca. — Przypomniał sobie rewolwer; drugą dłoń trzymała schowaną za burtą kabiny. — Wiesz, gdzie jest teraz?

— Na płaskowyżu. Myślał, że potrafi ich przekonać, wyjaśnić… Bo oni go potrzebują.

Podszedł o krok bliżej.

— Kogo?

— Maasa. Radę. Nie mogą sobie pozwolić, żeby mu zrobić krzywdę. Prawda?

— A dlaczego mieliby mu zrobić krzywdę? Jeszcze krok.

Pokrwawioną chusteczką dotknęła nosa.

— Bo mnie posłał na zewnątrz. Bo wiedział, że chcą mnie skrzywdzić, może nawet zabić. Przez te sny.

— Sny?

— Myśli pan, że coś mu zrobią?

— Nie, na pewno się nie odważą. Wejdę teraz do kabiny, dobrze?

Kiwnęła głową. Musiał przesunąć palcami po kadłubie, by znaleźć płytkie wgłębienia uchwytów. Mimetyczna powłoka ukazywała mu liście i mech, gałązki… A potem był już na górze, obok niej, i zobaczył rewolwer przy jej stopie.

— Ale czy to nie on miał lecieć? Czekałem na niego… na twojego ojca.

— Nie. Tego nie planowaliśmy. Mieliśmy tylko jedną lotnię. Nie mówił panu? — Zaczęła drżeć. — Niczego panu nie powiedział?

— Dosyć… — Położył jej dłoń na ramieniu. — Powiedział nam dosyć. Wszystko będzie dobrze…

Przerzucił nogi do wnętrza, pochylił się, odsunął od jej stopy Smith Wessona i znalazł kabel sprzęgu. Wciąż ją obejmując, podniósł wtyczkę i wcisnął do gniazda za uchem.

— Podaj procedury kasacji wszystkiego, co zapamiętałeś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin — polecił. — Chcę wymazać ten kurs do Mexico City, twój lot z wybrzeża, wszystko…

— Nie wprowadzono żadnego planu lotu do Mexico City — oznajmił głos: bezpośrednie złącze neuralne na audio.

Turner spojrzał na dziewczynę i rozmasował szczękę.

— Gdzie mieliśmy lecieć?

— Do Bogoty. — Myśliwiec wyrecytował współrzędne punktu lądowania, do którego nie dotarli.

Zamrugała. Powieki miała tak ciemne jak oczodoły.

— Z kim pan rozmawia?

— Z samolotem. Czy Mitchell mówił ci, gdzie powinnaś dotrzeć?

— Do Japonii.

— Znasz kogoś w Bogocie? Gdzie mieszka twoja matka?

— Nie. Chyba w Berlinie. Właściwie jej nie znam.

Skasował banki pamięci samolotu; usunął to, co zostało z programów Conroya: przelot z Kalifornii, dane identyfikacyjne ich pozycji, plan lotu, który dostarczyłby ich na pas w odległości trzystu kilometrów od miejskiego centrum Bogoty…

Ktoś w końcu znajdzie myśliwca. Pomyślał o satelitarnym systemie szpiegowskim Maasa i zastanowił się, czy pomogą cokolwiek programy ukrycia i ucieczki, jakie kazał samolotowi realizować. Mógłby zaproponować maszynę Rudy'emu, na części, ale wątpił, czy Rudy zechce się w to pakować. Co prawda już pokazując się na farmie z córką Mitchella na holu wciągnie Rudy'ego w bagno po samą szyję. Ale nie miał gdzie iść, nie miał gdzie szukać tego, co teraz było najpotrzebniejsze.

Mieli przed sobą cztery godziny marszu po zapomnianych ścieżkach i wzdłuż porośniętej zielskiem, krętej dwupasmowej drogi krytej spękanym asfaltem. Drzewa wydawały się inne niż pamiętał, a potem uświadomił sobie, jak bardzo wyrosły przez lata jego nieobecności. W regularnych odstępach mijali kikuty drewnianych słupów, podtrzymujących kiedyś przewody telefoniczne, teraz osłonięte zaroślami głogu i wiciokrzewu. Już dawno ścięto te słupy na opał i zabrano kable. Na poboczu pszczoły brzęczały wśród kwiatów…

— Czy tam, gdzie idziemy, będzie coś do jedzenia? — spytała dziewczyna. Podeszwy jej białych tenisówek szurały o czarny asfalt.

— Pewno — pocieszył ją Turner. — Ile tylko zechcesz.

— Teraz chcę tylko wody.

Odsunęła z opalonego policzka kosmyk kasztanowych włosów. Zauważył, że kuleje; krzywiła się za każdym razem, kiedy stawiała na ziemi prawą stopę.

— Co ci się stało?

— Kostka. Chyba kiedy posadziłam lotnię. Skrzywiła się znowu, ale szła dalej.

— Odpoczniemy.

— Nie. Chcę już tam dojść. Dojść gdziekolwiek.

— Odpocznij — powiedział, wziął ją za rękę i poprowadził na skraj szosy. Naburmuszona usiadła przy nim, ostrożnie wyciągając nogę.

— Wielki rewolwer — zauważyła. Było gorąco, o wiele za gorąco na parkę. Założył szelki na gołe plecy, przykrył roboczą koszulą bez rękawów. Poły zwisały luźno, szarpane przez wiatr. — Dlaczego lufa tak wygląda? Od dołu jak głowa kobry.

— To układ celowniczy, do nocnych walk. — Pochylił się, by zbadać jej nogę. Puchła szybko. — Nie wiem, jak daleko jeszcze z tym zajdziesz.

— Często pan walczy w nocy? Z bronią?

— Nie.

— Nie jestem pewna, czy zrozumiałam, czym się pan zajmuje.

Przyjrzał się jej.

— Sam czasem nie bardzo rozumiem. Zwłaszcza ostatnio. Czekałem na twojego ojca. Zamierzał zmienić firmę, zatrudnić się u kogoś innego. Ludzie, dla których chciał pracować, wynajęli mnie i kilkoro innych. Mieliśmy dopilnować, żeby wyplątał się ze starego kontraktu.

— Przecież nie można zerwać tego kontraktu — stwierdziła. — W każdym razie legalnie nie można.

— Zgadza się. — Rozsupłał węzeł, poluzował sznurówkę. — Legalnie nie można.

— Aha… I tak pan zarabia na życie?

— Owszem. — Zdjął tenisówkę; nie nosiła skarpet. Kostka napuchła mocno. — To zwichnięcie.

— A co z innymi? Miał pan więcej ludzi w tych ruinach? Ktoś strzelał… I te flary…

— Trudno zgadnąć, kto strzelał. Ale flary nie były nasze. Może ochrona Maasa cię ścigała. Myślisz, że udało ci się ich zgubić?

— Zrobiłam, co Chris mi kazał — odparła. — Chris to mój ojciec.

— Wiem. Chyba będę cię musiał nieść przez resztę drogi.

— Ale co z pańskimi przyjaciółmi?

— Jakimi przyjaciółmi?

— No tam, w Arizonie.

— A… No tak. — Grzbietem dłoni otarł pot z czoła. — Trudno powiedzieć. Właściwie nie wiem.

Widział pobielałe niebo, błysk energii jaśniejszy niż słońce. Ale samolot twierdził, że nie było impulsu elektromagnetycznego…

Pierwszy z udoskonalonych psów Rudy'ego wywęszył ich po piętnastu minutach marszu. Angie siedziała Turnerowi na plecach, obejmując go za ramiona, z nogami pod jego pachami; mocno splótł palce na mostku. Pachniała jak dzieciak z lepszej dzielnicy: delikatnie ziołowy aromat mydła czy szamponu. Myśląc o tym zastanowił się, jak on sam pachnie… Rudy miał prysznic…

— Ojej! Co to jest?

Zesztywniała mu na grzbiecie, wyciągnęła rękę.

Smukły szary pies obserwował ich z wysokiego nasypu na zakręcie szosy. Wąską głowę okrywał mu czarny kaptur nabijany czujnikami. Dyszał z wywieszonym jęzorem i wolno odwracał głowę tam i z powrotem.

— Wszystko w porządku — uspokoił ją Turner. — Pies strażniczy. Należy do mojego przyjaciela.

Dom rozrósł się, wypuszczając dodatkowe skrzydła i

przybudówki, jednak Rudy jakoś nie pomalował łuszczących się desek oryginalnej budowli. Ogrodził za to płotem cały teren ze swoją kolekcją pojazdów, ale kiedy przybyli, brama stała otworem, a zawiasy pokrywała rdza i zieleń. Turner wiedział, że prawdziwe zapory są gdzie indziej. Cztery wspomagane psy biegły za nim, gdy człapał po żwirowym podjeździe, czując na ramieniu bezwładną głowę Angie i wciąż obejmujące go mocno ramiona.

Rudy czekał na werandzie w starych białych szortach i granatowej koszulce, w której z kieszonki wystawało co najmniej dziewięć różnego typu pisaków. Spojrzał na nich i w geście powitania uniósł puszkę holenderskiego piwa. Za jego plecami wyszła z kuchni blondynka w wytartej koszuli khaki; trzymała w ręku niklowaną łopatkę. Włosy miała krótko ścięte, zaczesane do góry i do tyłu w sposób, który na nowo zbudził myśli o Koreance w kapsule Hosaki, o płonącej kapsule, o Webber, o białym niebie… Zachwiał się na żwirze podjazdu; szeroko rozstawił nogi, by utrzymać dziewczynę; nagą pierś znaczyły strużki potu zmywające kurz martwego centrum handlowego z Arizony. Spojrzał na Rudy'ego i blondynkę.

— Przygotowaliśmy dla was śniadanie — oświadczył Rudy. — Kiedy pojawiliście się na psim ekranie, pomyśleliśmy, że będziecie głodni.

Dziewczyna jęknęła.

— To dobrze — powiedział Turner. — Zwichnęła nogę w kostce, Rudy. Trzeba się tym zająć. I jeszcze paroma rzeczami, o których muszę z tobą pogadać.

— Trochę za młoda dla ciebie, moim zdaniem — stwierdził Rudy i pociągnął z puszki.

— Nie pieprz, Rudy — wtrąciła kobieta. — Nie widzisz, że ją boli? Daj ją tutaj — poleciła Turnerowi i zniknęła za kuchennymi drzwiami.

— Wyglądasz inaczej. — Rudy przyjrzał mu się z uwagą i Turner zrozumiał, że jest pijany. — Tak samo, ale inaczej.

— Minęło sporo czasu — odparł, ruszając do drewnianych schodków.

— Robiłeś sobie operację czy co?

— Rekonstrukcję. Musieli mi odbudowywać twarz ze zdjęć. Zaczął się wspinać. Przy każdym ruchu grzbiet pulsował bólem.

— Całkiem nieźle — pochwalił Rudy. — Prawie nie zauważyłem. Czknął. Był niższy od Turnera i zaczynał tyć, ale mieli takie same brązowe włosy i bardzo podobne rysy.

Turner przystanął na schodach, kiedy ich oczy znalazły się na tym samym poziomie.

— Wciąż znasz się po trochu na wszystkim, Rudy? Trzeba przeskanować tę małą. I załatwić jeszcze parę spraw.

— Dobra — odpowiedział jego brat. — Zobaczę, co da się zrobić. Zeszłej nocy coś słyszeliśmy. Może grom dźwiękowy. Miałeś z tym coś wspólnego?

— Tak. W wiewiórczym gaju stoi myśliwiec. Dość dobrze schowany.

Rudy westchnął.

— Jezu… No dobrze, wnieś ją…

Przez lata Rudy ogołocił dom z większości przedmiotów, które mogły u Turnera wywoływać wspomnienia. I z tego powodu Turner odczuwał dla niego niejasną wdzięczność. Obserwował, jak blondynka wbija jajka do blaszanej misy. Pomarańczowe żółtka jajek kur na naturalnej karmie…

— Jestem Sally — powiedziała, mieszając jajka widelcem.

— Turner.

— On też inaczej cię nie nazywa — odparła. — Zresztą nigdy wiele o tobie nie mówił.

— Straciliśmy kontakt. Może powinienem iść na górę i mu pomóc?

— Siedź. Twojej małej nic z Rudym nie grozi. Ma dobrą rękę.

— Nawet pijany?

— Na rauszu. Przecież nie będzie jej operował, przyklei tylko dermy i obandażuje kostkę. — Na czarnej patelni rozkruszyła nad skwierczącym masłem suche skrawki tortilli i wylała na nie jajka. — Co jest z twoimi oczami, Turner? Twoimi i jej…

Zamieszała miksturę niklowaną łopatką, z plastikowego pojemnika dodała sosu salsa.

— Przeciążenia. Musieliśmy szybko startować.

— Wtedy zwichnęła nogę?

— Możliwe. Nie wiem.

— Gonią ciebie? Czy ją?

Zajęła się wyjmowaniem talerzy z szafki nad zlewem. Tani brązowy laminat drzwiczek wzbudził u Turnera nagłą falę nostalgii: jej opalone dłonie, tak podobne do rąk matki…

— Prawdopodobnie — odparł. — Nie wiem, o co tu chodzi. Jeszcze nie.

— Jedz. — Przerzuciła miksturę na biały talerz, sięgnęła po widelec. — Rudy boi się ludzi, którzy mogą przyjść za tobą. Wziął talerz i widelec. Para unosiła się z jajecznicy.

— Ja też.

— Przyniosłam ubranie — zawołała Sally, przekrzykując szum wody. — Zostawił je tu przyjaciel Rudy'ego. Powinno pasować.

Prysznic działał grawitacyjnie: deszczówka spływała ze zbiornika

na dachu; na rurze ponad głowicą tkwił solidny, biały zestaw filtracyjny. Turner wysunął głowę między matowymi plastikowymi zasłonami i zamrugał.

— Dzięki.

— Dziewczyna jest nieprzytomna. Rudy sądzi, że to szok, zmęczenie. Mówi, że wyniki ma niezłe, więc może jej od razu zrobić skan.

Wyszła, zabierając spodnie Turnera i koszulę Oakeya.

— Czym ona jest? — zapytał Rudy, podając mu zmiętą srebrzystą taśmę wydruku.

— Nie umiem tego odczytać. — Turner rozejrzał się po białym pokoju, szukając Angie. — Co z nią?

— Śpi. Sally jej pilnuje. — Rudy odwrócił się i przeszedł przez pokój. Turner przypomniał sobie, że kiedyś był tu salon. Rudy wyłączał kolejne konsole, światełka wskaźników gasły jedno po drugim. — Nie wiem, chłopie. Po prostu nie wiem. Co to jest, jakiś rak?

Turner szedł za nim, obok pulpitu z czekającym pod osłoną mikromanipulatorem, obok zakurzonych, prostokątnych ślepi rzędu przestarzałych monitorów. Jeden miał pęknięty ekran.

— To oplata całą jej głowę — oznajmił Rudy. — Jakby takie długie łańcuchy. Niepodobne do niczego, co w życiu widziałem.

— Co wiesz o biochipach, Rudy?

Rudy burknął coś. Wydawał się całkiem trzeźwy, ale spięty, podniecony. Co chwilę przeczesywał palcami włosy.

— Tak właśnie myślałem. Coś w rodzaju… nie implant. Przeszczep.

— Do czego to służy?

— Do czego? Skąd mam wiedzieć, do diabła? Kto jej to zrobił? Ktoś, dla kogo pracujesz?

— Chyba jej ojciec.

— O Jezu… — Rudy otarł dłonią wargi. — Na skanie daje cień jak guz, ale wyniki ma dobre, typowe. A normalnie jaka ona jest?

— Nie wiem. Zwykły dzieciak. — Wzruszył ramionami.

— Szlag by to… Dziwię się, że może chodzić. — Otworzył małą laboratoryjną lodówkę i wyjął oszronioną butelkę Moskovskiej. — Łykniesz z gwinta?

— Może później.

Rudy westchnął, przyjrzał się butelce i odstawił ją z powrotem.

— No więc, czego chcesz? Czegoś tak dziwacznego, jak ta mała ma w głowie, z pewnością ktoś wkrótce zacznie szukać. Może już szuka.

— Szuka — potwierdził Turner. — Nie jestem tylko pewien, czy

wiedzą, że ona tu jest.

— Na razie. — Rudy wytarł dłonie o swoje przybrudzone szorty. — Ale prawdopodobnie się dowiedzą, co?

Turner kiwnął głową.

— Więc gdzie stąd pójdziesz?

— Do Ciągu.

— Dlaczego?

— Bo tam mam pieniądze. Otwarte linie kredytowe na cztery różne nazwiska. Nie da się powiązać ich ze mną. Mam też rozmaite kontakty, które będę mógł wykorzystać. I jeszcze dlatego, że Ciąg to dobra kryjówka. Jest go diabelnie dużo, wiesz?

— W porządku. Kiedy?

— Tak się przejąłeś, że chciałbyś od razu się nas pozbyć?

— Nie. Znaczy, nie wiem. To dość ciekawe, co twoja dziewczyna ma w głowie. Mam kumpla w Atlancie. Mógłby mi pożyczyć analizator funkcji, mapujący mózg jeden do jednego. Podłączyłbym ją i może bym wymyślił, do czego to służy… Może być sporo warte.

— Pewnie. Gdybyś wiedział, gdzie to sprzedać.

— Nie jesteś ciekawy? Czym ona właściwie jest? Wyciągnąłeś ją z jakiegoś laboratorium wojskowego?

Rudy znów sięgnął do lodówki, wyjął butelkę, otworzył, pociągnął łyk.

Turner wziął ją od niego, przechylił. Lodowaty płyn chlusnął mu na zęby. Przełknął, otrząsnął się.

— To korporacja. Wielka. Miałem stamtąd wyciągnąć jej ojca, ale przysłał ją zamiast siebie. A potem ktoś skasował naszą pozycję czymś, co wyglądało jak mała bomba jądrowa. Ledwie nam się udało. Jak dotąd. — Oddał bratu butelkę. — Rudy, nie przeholuj. Proszę. Kiedy się boisz, za dużo pijesz.

Rudy patrzył na niego.

— Arizona — powiedział. — Było w wiadomościach. Meksyk wciąż się o to wścieka. Ale to nie była bomba jądrowa. Wysłali tam ekipy, sprawdzili wszystko. Nic jądrowego.

— Więc co?

— Uważają, że działo sekwencyjne. Sądzą, że ktoś podwiesił hiperszybkościowe działo na towarowym sterowcu i rozwalił w diabły jakieś zrujnowane centrum handlowe na pustyni. Wiedzą, że był tam sterowiec, ale jak dotąd go nie znaleźli. Działo sekwencyjne można ustawić tak, że po wystrzale roztopi się w plazmę. A pocisk mógł być całkiem dowolny. Przy tych prędkościach sprawę załatwiłoby sto pięćdziesiąt kilo lodu. — Wziął butelkę, zakręcił, odstawił na pulpit. — Cała okolica należy tam do Maasa, Maas Biolabs. Zgadza się? Oni też byli w wiadomościach. W pełni współpracują z odpowiednimi władzami. Nic dziwnego. To by wyjaśniało, skąd wytrzasnąłeś tę

swoją lalunię.

— Owszem. Ale nie wyjaśnia, kto strzelał z działa sekwencyjnego. I dlaczego.

Rudy wzruszył ramionami.

— Lepiej chodźcie to zobaczyć — odezwała się z progu Sally.

Znacznie później Turner siedział z Sally na werandzie. Dziewczyna zapadła w końcu w coś, co EEG Rudy'ego określił jako sen. Rudy zniknął w którymś ze swoich warsztatów, prawdopodobnie z butelką wódki. Świetliki fruwały nad krzewami przy bramie. Turner odkrył, że jeśli przymknie oczy, ze swojego miejsca na drewnianej huśtawce widzi niemal jabłoń, której już nie ma — na jej gałęzi wisiała kiedyś stara opona na srebrzystoszarym konopnym sznurze. Świetliki też wtedy fruwały, Rudy walił piętami o nagą, twardą ziemię i huśtał się coraz wyżej, a Turner leżał w gęstej trawie i patrzył w gwiazdy…

— Języki — odezwała się Sally z trzeszczącego wyplatanego fotela. Papieros w jej dłoni był czerwonym oczkiem w ciemności. — Mówi językami.

— Nie rozumiem.

— To właśnie robi twoja mała na górze. Znasz francuski?

— Nie, nie bardzo. Nie bez słownika.

— Niektóre zdania brzmiały jak francuski. — Czerwony ognik zmienił się na moment w krótką smugę, kiedy strzepywała popiół. — Kiedy byłam mała, mój staruszek zabrał mnie na taki stadion; widziałam jak tam dają świadectwo i mówią językami. Przestraszyłam się. I chyba dzisiaj też się przestraszyłam, kiedy zaczęła.

— Rudy nagrał końcówkę…

— Tak. Wiesz, z Rudym nie było dobrze. Głównie dlatego znów się tu sprowadziłam. Powiedziałam, że nie zostanę, jeśli nie wyjdzie na prostą, ale potem było z nim fatalnie. Jakieś dwa tygodnie temu. Wtedy wróciłam. I właściwie miałam już wyjechać, kiedy się zjawiłeś.

Rozżarzony papieros zatoczył łuk nad poręczą i upadł na żwir.

— Pije?

— Tak. I jeszcze te świństwa, które sobie przyrządza w laboratorium. Sam wiesz, on zna się po trochu prawie na wszystkim. Wciąż ma przyjaciół w okolicy. Opowiadają historie o tobie i o nim, kiedy jeszcze byliście dziećmi. Zanim wyjechałeś.

— On też powinien wyjechać — stwierdził.

— Nienawidzi miasta. Twierdzi, że i tak wszystko przychodzi po kablu, więc po co tam jeździć?

— Ja wyjechałem, bo tutaj nic się nie działo. Rudy zawsze umiał sobie znaleźć coś do roboty. Z tego, co widzę, dalej to potrafi.

— Powinieneś utrzymać kontakt. Chciał, żebyś tu był, kiedy

umierała wasza matka.

— Byłem w Berlinie. Nie mogłem się wyrwać.

— Pewnie nie. Mnie też tu wtedy nie było. Przyszłam później. To było dobre lato. Rudy zwyczajnie wyciągnął mnie z tej szmatławej knajpy w Memphis. Wpadł tam pewnego wieczoru z gromadą wiejskich chłopaków, a następnego dnia byłam już tutaj. Właściwie nie wiedziałam dlaczego. Tyle że był dla mnie miły… wtedy… i dał mi szansę, żeby chwilę się zastanowić. Nauczył mnie gotować. — Zaśmiała się. — Lubiłam to, chociaż strasznie się bałam tych przeklętych kur na podwórzu.

Wstała i przeciągnęła się; zaskrzypiał fotel, a Turner nagle uświadomił sobie długość jej opalonych nóg, zapach rozgrzanej słońcem skóry tuż obok jego twarzy.

Położyła mu dłonie na ramionach. Oczy miał na poziomie pasa jej nagiej skóry na brzuchu, z delikatnym cieniem pępka nad szortami. Pamiętając Allison w białym pustym pokoju, miał ochotę wtulić tam twarz, smakować to wszystko… Miał wrażenie, że zakołysała się lekko, ale nie był pewien.

— Turner — szepnęła. — Czasami być tu z nim to jak być samej…

Wstał wtedy; brzęk starego łańcucha huśtawki, gdzie śruby wkręcały się głęboko w belki i krokwie dachu — śruby, które mógł wkręcać jego ojciec czterdzieści lat temu. Pocałował jej usta, rozchylone wargi… Postawiony poza czasem przez rozmowę, świetliki, podprogowe sygnały wspomnień… A kiedy gładził dłońmi jej nagie plecy pod białą koszulką, wydało mu się, że ludzie w jego życiu nie byli paciorkami nanizanymi na drut przyczynowości, ale istnieli równocześnie, jak kwanty, tak że znał ją tak samo jak znał Rudy'ego albo Allison, albo Conroya, tak samo jak znał córkę Mitchella.

— Zaczekaj — szepnęła, odsuwając głowę. — Chodźmy na górę.

ROZDZIAŁ 18
IMIONA UMARŁYCH

Alain zadzwonił o piątej. Jego zachłanność budziła mdlące uczucie obrzydzenia, ale Marly potwierdziła, że dysponuje żądaną sumą. Starannie zapisała adres na odwrocie wizytówki zabranej z biurka Picarda w galerii Robertsa. Andrea wróciła z pracy dziesięć minut później i Marly była zadowolona, że przyjaciółka nie słyszała rozmowy z Alainem.

Obserwowała, jak Andrea podpiera kuchenne okno książką w wyblakłych niebieskich okładkach: drugi tom „Skróconego Oksfordzkiego Słownika Języka Angielskiego", wydanie szóste. Andrea wcisnęła na kamienny parapet rodzaj drewnianej półki, dostatecznie szerokiej, by postawić na niej małe hibachi, które normalnie trzymała pod zlewem. Teraz równo układała na kracie czarne kostki węgla drzewnego.

— Rozmawiałam dzisiaj o twoim pracodawcy — oznajmiła. Ustawiła hibachi na półce i przytknęła kuchenną zapalniczkę do zielonkawej pasty rozpałkowej. — Nasz uczony przyjechał z Nicei. Zdumiał się, że na obiekt swoich zainteresowań wybrałam właśnie Josefa Vireka. Ale to rogaty kozioł, więc chętnie zgodził się na pogawędkę.

Marly stanęła obok patrząc, jak prawie niewidoczne płomienie liżą kostki węgla.

— Cały czas wciągał w to Tessier-Ashpoolów — mówiła dalej Andrea. — I Hughesa. Hughes to Amerykanin z połowy dwudziestego wieku. Też wymienia go w książce, jako kogoś w rodzaju proto-Vireka. Nie wiedziałam, że klan Tessier-Ashpool zaczął się rozpadać.

Wróciła do stołu i odpakowała sześć wielkich tygrysich krewetek.

— To Franko-Australijczycy, jeśli dobrze pamiętam? Są właścicielami jednego z tych orbitalnych kurortów.

— Freeside. Został sprzedany, o czym poinformował mnie mój profesor. Jak się wydaje, jedna z córek zdołała jakoś przejąć kontrolę nad całym kompleksem, stawała się coraz bardziej ekscentryczna i interesy klanu diabli wzięli. To w ciągu ostatnich siedmiu lat.

— Nie rozumiem, jaki to ma związek z Virekiem — przyznała Marly.

Andrea kolejno nabijała krewetki na długie bambusowe igły.

— Wiem tyle co i ty. Mój profesor utrzymuje, że i Virek, i Tessier-Ashpool to fascynujące anachronizmy, a obserwując ich można się wiele dowiedzieć o ewolucji korporacji. W każdym razie potrafił przekonać naszych redaktorów…

— Ale co mówił o Vireku?

— Że obłęd Vireka przyjmie inną formę.

— Obłęd?

— Właściwie unikał tego słowa. Ale Hughes miał bzika, stary Ashpool też, a jego córeczka zupełnie zwariowała. Twierdził, że pod naporem ciśnienia ewolucyjnego Virek zostanie zmuszony do dokonania „skoku". „Skok" to jego określenie.

— Ciśnienie ewolucyjne?

— Tak. — Andrea zaniosła nabite krewetki na hibachi. — Mówi o korporacjach, jakby to był jakiś gatunek zwierząt.

Po kolacji wyszły na spacer. Marly zauważyła, że chwilami wytęża uwagę, próbując dostrzec wyimaginowany mechanizm nadzoru Vireka. Jednak Andrea przez cały wieczór promieniowała swym zwykłym ciepłem i zdrowym rozsądkiem. Marly była wdzięczna, że dzięki niej może iść przez miasto, gdzie rzeczy są po prostu tym, czym się wydają. Czy w świecie Vireka mogło istnieć coś prostego? Pamiętała mosiężną klamkę w Galerie Duperey, jak wiła się jej w palcach w niemożliwy do opisania sposób, a potem przeciągnęła ją do Virekowego modelu Parque Güell. Czy zawsze tam przebywał? W parku Gaudiego, w ciepłe popołudnie, które nigdy się nie kończy? *Señor jest bogaty. Señor dysponuje wieloma środkami manifestacji.* Zadrżała w ciepłym wieczornym powietrzu i przysunęła się bliżej do Andrei.

Złowrogą cechą symstymu była sugestia, że każde otoczenie może być nierzeczywiste, że okna wystawowe, jakie z Andreą mijały, mogą być produktem jej umysłu. Ktoś kiedyś powiedział, że lustra w swej istocie są w pewien sposób nieprzyzwoite. Uznała, że konstrukty tym bardziej.

Andrea przystanęła przy kiosku, by kupić swoje angielskie papierosy i nowy numer „Elle". Marly czekała na chodniku, a strumień pieszych rozstępował się przed nią automatycznie, przepływały twarze studentów, biznesmenów i turystów. Niektórzy z nich, zgadywała, byli elementami machiny Vireka, połączonymi z Paco. Paco z brązowymi oczami, swobodnym stylem bycia, powagą, mięśniami przesuwającymi się pod koszulą. Paco, który przez całe życie pracował dla señora…

— Co się stało? Wyglądasz, jakbyś połknęła coś paskudnego. To Andrea, zrywająca celofan ze swoich Silk Cutów.

— Nie. — Marly zadrżała. Ale pomyślała, że niewiele brakowało.

W drodze do domu, mimo starań Andrei i jej ciepła, wystawy sklepów stały się pudełkami, każda z nich, konstrukcjami, jak prace Josepha Cornella czy tajemniczego twórcy, którego poszukiwał Virek. Książki, futra czy włoskie bawełny zaaranżowane, by sugerować geometrie nie nazwanych pragnień.

I znowu przebudzenie z twarzą wtuloną w sofę Andrei, ze zwiniętą na ramionach czerwoną kołdrą. Zapach kawy. W sąsiednim pokoju Andrea nuci jakąś tokijską piosenkę pop i ubiera się w poranku szarym od paryskiego deszczu.

— Nie — oświadczyła Paco. — Wolę pójść sama.

— To dużo pieniędzy. — Spojrzał na włoską torbę leżącą na stoliku między nimi. — To niebezpieczne, rozumie pani?

— Nikt nie będzie wiedział, że je niosę, prawda? Tylko Alain. Alain i twoi przyjaciele. I nie powiedziałam, że chcę iść całkiem sama, tylko że nie mam ochoty na towarzystwo.

— Coś się stało? — Zatroskana mina, zmarszczki wokół kącików ust. — Jest pani zdenerwowana?

— Chcę tylko powiedzieć, że nie życzę sobie, żeby ktoś wszedł tam ze mną. Ty i inni, kimkolwiek są, mogą mnie śledzić, śledzić i obserwować. Gdybyście mnie zgubili, co uważam za mało prawdopodobne, z pewnością masz adres.

— To prawda — przyznał. — Ale żeby pani niosła cztery miliony nowych jenów, sama, w Paryżu… — Wzruszył ramionami.

— A gdybym je straciła? Czy señor zauważyłby stratę? Czy też czekałaby już następna walizka z następnymi czterema milionami?

Chwyciła pasek torby i wstała.

— Czekałaby następna, oczywiście, choć zebranie takiej kwoty w gotówce wymaga z naszej strony pewnego wysiłku. I nie, señor nie „zauważyłby" straty w takim sensie, o jaki pani chodziło. Za to ja zostałbym ukarany za niepotrzebną stratę nawet mniejszej sumy. Ludzie bardzo bogaci mają pewną wspólną cechę: dbają o swoje pieniądze. Przekona się pani.

— Mimo to pójdę bez towarzystwa. Nie samotnie, ale zostawcie mnie z moimi myślami.

— Pani intuicją.

— Właśnie.

Jeśli szli za nią — a była pewna, że tak — pozostawali niewidoczni, jak zawsze. Zresztą wydawało się niemożliwe, by nie obserwowali Alaina. Niewątpliwie sprawdzili już adres, który podał jej dziś rano. Nieważne, czy on sam tam przebywał, czy też nie.

Dzisiaj poczuła w sobie nową siłę. Stawiła czoła Paco. Miało to pewien związek z nagłym podejrzeniem, jakie opanowało ją poprzedniej nocy: że Paco jest tam po części dla niej, razem ze swoim poczuciem humoru, swoją męskością i rozczulającą nieznajomością sztuki. Pamiętała, jak Virek mówił, że wiedzą o jej życiu więcej niż ona sama. Cóż prostszego zatem, niż wypełnić ostatnie puste pola w tabeli będącej Marly Krushkovą. Paco Estevez. Idealny nieznajomy.

Zbyt idealny. Uśmiechnęła się do siebie w ścianie niebieskich luster, gdy ruchome schody niosły ją do stacji metra. Była zadowolona z fryzury i stylowo ascetycznych tytanowych oprawek ciemnych okularów porsche, które kupiła dziś rano. Niezłe wargi, pomyślała, naprawdę niezłe. A szczupły chłopak w białej koszuli i ciemnej skórzanej kurtce uśmiechnął się do niej ze szczytu schodów; pod pachą niósł wielkie czarne portfolio.

Jestem w Paryżu, pomyślała. Po raz pierwszy od bardzo dawna ten fakt był wystarczającym powodem do radości. Dzisiaj wręczę swojemu obrzydliwemu byłemu kochankowi cztery miliony nowych jenów, a on da mi coś w zamian. Nazwisko lub adres, może numer telefonu.

Kupiła bilet pierwszej klasy; wagon nie będzie taki zatłoczony, a ona dla zabicia czasu pozgaduje, kto ze współpasażerów należy do Vireka.

Podany przez Alaina adres w ponurej północnej dzielnicy wskazywał jedną z dwudziestu betonowych wież wyrastających na równinie z tego samego materiału: spekulacyjna nieruchomość z połowy zeszłego wieku. Deszcz padał już bez przerwy, ale czuła się z nim zharmonizowana: dodawał nastroju tajemniczości i perlił się na torbie wypchanej fortuną Alaina. To niesamowite: iść tak przez ten ohydny pejzaż z milionami pod pachą, by plikami nowych jenów wynagrodzić doskonale niewiernego byłego kochanka.

Nikt nie odpowiedział, kiedy przycisnęła jeden z numerowanych klawiszy domofonu. Za pochlapaną szybą widziała zupełnie pusty ciemny hol. W takich miejscach trzeba zapalać światło przy wejściu; zawsze gasło automatycznie, zanim podjechała winda i człowiek musiał czekać wśród zapachu środków dezynfekcyjnych i znużonego powietrza.

Zadzwoniła jeszcze raz.

— Alain? Nic.

Pchnęła drzwi. Nie były zamknięte. W holu nie spotkała nikogo. Przez powłokę kurzu spoglądało na nią martwe oko popsutej kamery wideo. Z betonowej równiny sączyło się do wnętrza rozmyte światło popołudnia. Obcasy stukały o brązowe kafelki, gdy przechodziła do wind. Nacisnęła guzik z numerem 22. Coś sieknęło głucho i jedna z wind ruszyła w dół. Osłonięte plastikiem lampki wskaźników nad drzwiami pozostały ciemne. Kabina zatrzymała się z cichnącym, wysokim jękiem.

— *Cher* Alain, jakże nisko upadłeś. To miejsce to prawdziwe szambo.

Drzwi otworzyły się, odsłaniając ciemność w kabinie. Sięgnęła pod włoską torbę i podniosła klapę swojej torebki z Brukseli. Znalazła małą płaską latarkę z zielonej blachy, którą nosiła od pierwszego

spaceru po Paryżu, z wytłoczoną na obudowie lwią głową logo Pile Wonder. W paryskich windach można wejść na wiele rzeczy: szeroko otwarte ramiona rabusia, świeże psie odchody…

Słaby promyk oświetlił srebrzyste kable, lśniące i naoliwione, kołyszące się lekko w pustym szybie, a także czubek jej prawego buta wystający na kilka centymetrów poza stalowy próg kafelkowanej podłogi. Dłoń w odruchu przerażenia skierowała promień w dół, na zakurzony, zasypany śmieciami dach kabiny dwa piętra niżej. W ciągu tych sekund, kiedy krąg światła znieruchomiał na windzie, Marly zapamiętała zdumiewająco wiele szczegółów. Przyszła jej na myśl maleńka łódź podwodna spływająca z urwisk jakiegoś podmorskiego szczytu, delikatny promień reflektora padający na nietknięty od wieków piasek: miękkie łoże pradawnego, kosmatego kurzu, wyschnięty szary przedmiot, który był zużytym kondomem, jaskrawe w świetle oczy zmiętych strzępków aluminiowej folii, cienki szary korpus i biały tłoczek insulinowej strzykawki… Trzymała się framugi tak mocno, że bolały ją stawy palców. Bardzo powoli przesunęła się do tyłu, dalej od przepaści. Jeszcze krok i zgasiła latarkę.

— Niech cię diabli — powiedziała. — O Jezu…

Znalazła drzwi na klatkę schodową. Znów zapaliła latarkę i rozpoczęła wspinaczkę. Osiem pięter w górę… Oszołomienie mijało powoli, a łzy rujnowały makijaż.

Raz jeszcze zastukała w drzwi. Były z płyty pilśniowej laminowanej upiorną imitacją mahoniu: litografia słojów ledwie widoczna w świetle pojedynczego pasa bioluminescencyjnego.

— A niech cię… Alain? Alain!

Ślepe i puste, spoglądało na nią krótkowzroczne oko wizjera. W korytarzu unosił się straszliwy odór, zabalsamowane kuchenne zapachy pochwycone w syntetycznej wykładzinie.

Sprawdziła drzwi, przekręciła gałkę: tani mosiądz, brudny i zimny; torba z pieniędzmi zaciążyła nagle, pasek wbił się w ramię.

Drzwi otworzyły się wolno. Krótki pomarańczowy chodnik w nieregularne różowe kwadraty, dziesięciolecia brudu wgniecione przez tysiące lokatorów i ich gości w wyraźnie widoczną ścieżkę…

— Alain?

Zapach francuskich papierosów, niemal uspokajający…

Tam go znalazła, w tym samym wodnistym, srebrzystym blasku; pozostałe wieżowce stały bezkształtne za prostokątem okna, na tle bladego deszczowego nieba. Leżał zwinięty jak dziecko na tym okropnym pomarańczowym chodniku, grzbiet niby znak zapytania pod ciemnozieloną welurową kurtką, palce lewej dłoni rozsunięte za uchem, delikatny niebieski odcień u podstawy paznokci.

Klęknęła; dotknęła jego szyi. Wiedziała. Za oknem deszcz spływał

w dół… wieczny. Oparła jego głowę na kolanach, przytuliła, kołysała; tępy, smętny zwierzęcy jęk wypełniał nagi prostokąt pokoju… Po dłuższej chwili ukłucie czegoś ostrego na dłoni: gładki, błyszczący koniec bardzo cienkiego, bardzo twardego drutu sterczącego z ucha, spomiędzy tych rozsuniętych, zimnych palców.

Brzydko, brzydko, to brzydka śmierć… Przebudziła ją; gniew, palce jak szpony. Musi zbadać ten milczący pokój, gdzie zginął Alain. Nie odczuwała tu jego obecności; nie było nic, tylko podniszczony neseser. Otworzyła go, znalazła dwa nowe i czyste kołonotatniki, nie czytaną, ale bardzo modną powieść, pudełko drewnianych zapałek i pół paczki niebieskich gauloise'ów. Zniknął oprawny w skórę terminarz od Browna. Obmacała kurtkę, wsunęła palce do kieszeni… Nic.

Nie, pomyślała, tam byś tego nie zapisał. Ale przecież nigdy nie umiałeś zapamiętać numeru ani adresu, prawda? Rozejrzała się znowu, czując, że ogarniają dziwny spokój. Musiałeś wszystko notować, ale byłeś tajemniczy, nie ufałeś mojemu notesowi. Nie: spotykałeś dziewczynę w kawiarni i notowałeś jej numer na zapałkach albo jakimś świstku… I zapominałeś, więc znajdowałam go po paru dniach, kiedy porządkowałam twoje rzeczy…

Przeszła do maleńkiej sypialni. Stało tam jasnoczerwone składane krzesło, a blok taniej żółtej pianki służył za łóżko. Piankę znaczył brunatny motyl krwi menstrualnej. Zajrzała pod spód, ale niczego nie znalazła.

— Bałeś się — powiedziała. Głos drżał jej z furii, której nawet nie próbowała zrozumieć. Dłonie miała zimne, zimniejsze niż Alain, gdy przesuwała nimi po czerwonej tapecie ze złotymi paskami, szukając jakiejś wypukłości, kryjówki. — Ty biedny, głupi dupku. Biedny, głupi, martwy dupku…

Nic. Z powrotem do pokoju. Zdziwiła się jakby, że wciąż się nie poruszył; czyżby oczekiwała, że podskoczy, zawoła coś, zamacha przed nosem paroma centymetrami drutu? Zdjęła mu buty. Przydałby im się szewc, potrzebowały nowych obcasów. Sprawdziła wkładki: nic.

— Nie rób mi tego.

Znowu sypialnia. Wąska szafa. Odsunęła kilka tanich, białych plastikowych wieszaków, pusty foliowy całun z pralni chemicznej. Podciągnęła zabrudzoną piankę, stanęła na niej czując, jak obcasy zagłębiają się w miękkiej gąbce, zbadała dłońmi półkę z płyty pilśniowej i znalazła w rogu twardy zwitek papieru. Rozwinęła go; zauważyła, że zniszczyła sobie tak starannie pomalowane paznokcie; odczytała numer, który zapisał tam zielonym mazakiem. Papier był pustą paczką po gauloise'ach.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Marly? — zabrzmiał głos Paco. — Jest pani tam? Co się stało?

Wsunęła papier za pasek dżinsów i odwracając się spojrzała w jego spokojne, poważne oczy.

— To Alain — powiedziała. — Nie żyje.

ROZDZIAŁ 19
HIPERMARKET

Po raz ostatni widział Lucasa przed wejściem do wielkiego sklepu przy Madison Avenue. Takim go zapamiętał: potężny czarny mężczyzna w eleganckim czarnym garniturze, wsiadający do długiego czarnego samochodu; jeden czarny, lśniący but już na miękkim dywanie we wnętrzu ahmeda, drugi wciąż na popękanym betonie krawężnika.

Jackie stała obok Bobby'ego. Szerokie rondo kapelusza ze złotymi ozdobami ocieniało jej twarz, końce pomarańczowego jedwabnego szala zwisały z węzła na karku.

— Zaopiekuj się teraz naszym młodym przyjacielem — powiedział Lucas, celując w nią gałką laski. — Ma swoich wrogów ten nasz Graf.

— Kto ma? — nie zrozumiała Jackie.

— Sam o siebie zadbam — mruknął Bobby. Nie podobało mu się, że Jackie uchodzi za bardziej doświadczoną, choć był prawie przekonany, że tak właśnie jest.

— Zrób to — rzekł Lucas. Gałka przesunęła się na poziom oczu Bobby'ego. — Ciąg to zdradliwe miejsce, mój chłopcze. Rzeczy tu rzadko są tym, czym się wydają.

Dla podkreślenia wagi tych słów zrobił coś z laską i długie mosiężne wzmocnienia poniżej gałki otworzyły się gładko, bezgłośnie, tylko na moment — niczym druty parasola, każdy lśniący, ostry jak brzytwa. Potem zniknęły, a szerokie drzwiczki ahmeda zatrzasnęły się z głuchym stukiem pancerza.

Jackie parsknęła śmiechem.

— Ale numer… Lucas ciągle nosi tę swoją laskę. Ważny adwokat, ale ulica na każdym zostawia swoje piętno. To chyba dobrze.

— Adwokat? Przyjrzała mu się.

— Nie twoja sprawa, skarbie. Chodź ze mną, rób co ci powiem, a będzie dobrze.

Ahmed włączył się w ruch; rikszarz niepotrzebnie zatrąbił ręcznym klaksonem za oddalającym się zderzakiem.

Trzymając mu na ramieniu zadbaną, upierścienioną dłoń, poprowadziła go chodnikiem, obok śpiącej grupki okrytych łachmanami włóczęgów, w budzący się z wolna świat Hipermarketu.

Trzynaście pięter, powiedziała Jackie, a Bobby gwizdnął.

— I wszystkie takie?

Kiwnęła głową, sypiąc z łyżeczki brunatne kryształki cukru na

jasnobrązową piankę w filiżance kawy. Siedzieli na żelaznych stołkach przy marmurowym blacie w małej budce. Dziewczyna w wieku Bobby'ego, o włosach ufarbowanych i polakierowanych w coś przypominającego płetwę grzbietową, obsługiwała kurki i dźwignie wielkiej starej maszyny z mosiężnymi zbiornikami, kopułami, palnikami i orłami rozpościerającymi chromowane skrzydła. Płyta blatu służyła kiedyś czemuś innemu; Bobby widział, że ktoś obłupał jej koniec, pozostawiając wąski, nierówny szpic, wciśnięty między dwa pokryte zieloną farbą stalowe filary.

— Smakuje ci? — Posypała piankę cynamonem z ciężkiej, szklanej solniczki. — Tak dalekie od Barrytown, jak ty się znalazłeś. W pewnym sensie.

Bobby przytaknął. Jego wzrok przyciągały tysiące kolorów i deseni przedmiotów na straganach i samych straganów. Zdawało się, że nie ma tu nawet sugestii regularności, śladu jakiegoś planu. Kręte korytarze rozbiegały się z placu przed budką z espresso. Miał wrażenie, że nie ma głównego źródła światła. Czerwone i niebieskie neony jarzyły się za syczącą bielą benzynowych latarni; jeden ze straganów, właśnie otwierany przez brodatego mężczyznę w skórzanych spodniach, był chyba oświetlony świecami: miękkie lśnienie odbijało się od setek wypolerowanych mosiężnych klamer zawieszonych na starych, czerwonych i czarnych dywanach. Panował poranny gwar. Z korytarza z cichym warkotem wytoczyła się niebieska jednostka porządkowa Toshiby, ciągnąc odrapany plastikowy wózek wyładowany zielonymi plastikowymi worami śmieci. Do górnej części kadłuba, powyżej roju czujników i oczu kamer, ktoś przykleił wielką niebieskooką i uśmiechniętą głowę lalki. Naśladowała rysy jednej z czołowych gwiazd symstymu, nie naruszając przy tym praw Sense/Netu. Różowa głowa podskakiwała zabawnie, potrząsając platynowymi włosami ściągniętymi sznurem bladobłękitnych plastikowych pereł. Robot minął ich i Bobby wybuchnął śmiechem.

— Niezłe miejsce — zauważył i skinął do dziewczyny za ladą, żeby nalała mu jeszcze kawy.

— Chwila, czubku — rzuciła dość przyjaźnie dziewczyna. Odmierzała zmieloną kawę do powgniatanego stalowego pojemnika na szalce antycznej wagi. — Zdążyłaś się wczoraj przespać, Jackie? Po imprezie?

— Pewnie. — Jackie uniosła filiżankę. — Tańczyłam w drugim układzie, a potem spałam u Jammera. Jak zabita.

— Zazdroszczę ci. Kiedy Henry zobaczy twój taniec, nigdy nie daje mi spokoju…

Zaśmiała się i dolała Bobby'emu kawy z czarnego plastikowego termosu.

— I co? — zapytał, kiedy dziewczyna znowu zajęła się ekspresem. — Co robimy dalej?

— Zapracowany jesteś, co? — Jackie przyglądała mu się chłodno spod ozdobnego ronda kapelusza. — Musisz odwiedzić parę miejsc, pogadać z paroma osobami…

— No nie. Szlag… Chciałem tylko wiedzieć, czy to jest to.

— Czy to jest co?

— To miejsce. Zostajemy tu?

— Na najwyższym piętrze. Mój przyjaciel, niejaki Jammer, prowadzi tam klub. Mała szansa, żeby ktoś dowiedział się, że tam jesteś, a jeśli nawet, trudno się tam zakraść. Trzynaście pięter zastawionych głównie straganami, a sporo ludzi tutaj sprzedaje towar, którego nie wykłada na wierzch. Rozumiesz? Dlatego są wyczuleni na obcych, tych, co zadają pytania. W dodatku większość z nich to, w takim czy innym sensie, nasi przyjaciele. W każdym razie spodoba ci się tutaj. Miejsce akurat dla ciebie. Dużo możesz się nauczyć, jeśli tylko będziesz trzymał buzię na kłódkę.

— Jak mam się uczyć, jeśli nie mogę zadawać pytań?

— Wiesz, chodziło mi raczej o to, żebyś miał uszy otwarte. I bądź uprzejmy. Jest tu paru twardzieli, ale pilnuj swojego interesu, a oni będą pilnować swojego. Beauvoir zajrzy tu pewnie pod wieczór. Lucas pojechał do Projektów powiedzieć mu, czego się dowiedzieliście od Finna. A czego się dowiedzieliście od Finna, skarbie?

— Że ma trzy trupy na podłodze. Mówi, że to ninje. — Bobby spojrzał na nią z uwagą. — Dziwny facet.

— Martwi goście nie należą do jego zwykłej oferty. Ale owszem, jest dziwny. Może mi o tym opowiesz? Spokojnie, cichym równym głosem. Dasz radę?

Opowiedział jej wszystko, co zapamiętał z wizyty u Finna. Kilka razy przerywała mu pytaniami, na które zwykle nie umiał odpowiedzieć. Kiwnęła głową, kiedy pierwszy raz wymienił nazwisko Wigana Ludgate'a.

— Tak — mruknęła. — Jammer mówi o nim, kiedy nachodzą go wspomnienia. Muszę go spytać…

Pod koniec recytacji Bobby'ego siedziała oparta o jeden z zielonych filarów, z kapeluszem nasuniętym głęboko na ciemne oczy.

— I co? — zapytał.

— Interesujące — stwierdziła, ale nie chciała powiedzieć nic więcej.

— Potrzebuję jakichś nowych ciuchów — oznajmił Bobby, kiedy po martwych ruchomych schodach wspięli się na piętro.

— Masz forsę?

— Gówno — burknął, wbijając dłonie w kieszenie czarnych,

pikowanych dżinsów. — Nie mam żadnej pieprzonej forsy, ale chcę nowe ciuchy. Ty, Lucas i Beauvoir po coś mnie tutaj trzymacie, prawda? Mam już dość tej piekielnej koszuli, którą Rhea mi wcisnęła, a te portki… Cały czas mam uczucie, że zlecą mi z tyłka. A jestem tutaj, ponieważ Dwadziennie, pieprzony sukinsyn, wystawił moją dupę, żeby Lucas i Beauvoir mogli przetestować jakiś pieprzony soft. Więc możesz chyba kupić mi jakieś ciuchy! Jasne?

— Dobra — rzekła po chwili. — Popatrz. — Wskazała młodą Chinkę w wytartych dżinsach, która płatami folii ogradzała właśnie kilkanaście stalowych stojaków z ubraniami. — To Lin. Moja znajoma. Wybierz co chcesz, a ja rozliczę to jakoś między nią a Lucasem.

Pół godziny później wynurzył się z osłoniętej kocami przymierzalni i wsunął na oczy parę indojawańskich lotniczych, lustrzanych okularów. Uśmiechnął się do Jackie.

— Ostro, nie?

— Tak. — Wykonała dziwny gest dłonią, machnęła nią jakby coś tuż obok było zbyt gorące, by tego dotknąć. — Nie podobała ci się ta koszula, którą ci pożyczyła Rhea?

Zerknął na czarną koszulkę, jaką dla siebie wybrał, na prostokątny holonadruk cyberprzestrzeni na piersi. Wyglądało to tak, jakby patrzący sunął do przodu przez matrycę: linie siatki rozmywały się na brzegach.

— Nie. Zbyt staromodna…

— Fakt. — Jackie przyjrzała się obcisłym czarnym dżinsom, ciężkim skórzanym butom z harmonijkowymi fałdami przy kostkach, w stylu skafandrów kosmicznych, zauważyła czarny wojskowy pas nabijany dwoma rzędami chromowanych ćwieków. — Teraz bardziej przypominasz Grafa. Chodźmy, Grafie. U Jammera znajdę ci tapczan. Będziesz mógł się przespać.

Spojrzał na nią z ukosa, wsuwając kciuki w kieszenie czarnych levisów.

— Sam — dodała. — Nie ma obawy.

ROZDZIAŁ 20
LOT Z ORLY

Paco prowadził citroena-dorniera po Champs, wzdłuż północnego brzegu Sekwany, potem przez Hale. Marly zapadła się w zadziwiająco miękkie skórzane siedzenie, wykończone chyba lepiej niż jej brukselski żakiet. Nakazała umysłowi pustkę, zanik uczuć. Bądź oczami, powiedziała sobie. Tylko oczami; twoje ciało to ciężar wciskany w oparcie prędkością tego nieprzyzwoicie drogiego samochodu.

Z szumem przemknęli przez Square des Innocents, gdzie dziwki targowały się z kierowcami towarowych poduszkowców w *bleu de trauail.* Paco swobodnie prowadził wąskimi uliczkami.

— Dlaczego powiedziała pani „Nie rób mi tego"? — Oderwał dłoń od konsoli sterowania i wsunął do ucha słuchawkę.

— A dlaczego słuchałeś?

— Bo to moja praca. Posłałem do sąsiedniego wieżowca kobietę z mikrofonem parabolicznym. Telefon w mieszkaniu był głuchy, inaczej moglibyśmy go wykorzystać. Weszła na dwudzieste drugie piętro, włamała się do pustego lokalu przy zachodniej ścianie budynku i wymierzyła mikrofon akurat na czas, żeby usłyszeć, jak mówi pani „Nie rób mi tego". Była pani sama?

— Tak.

— On nie żył?

— Tak.

— Więc dlaczego pani to powiedziała?

— Nie wiem.

— Wydawało się pani, że kto coś pani robi?

— Nie wiem. Może Alain.

— Co robi?

— Ginie? Komplikuje sprawę? Możesz zgadywać, tak samo jak ja.

— Jest pani trudną kobietą.

— Wypuść mnie.

— Odwiozę panią do mieszkania przyjaciółki.

— Zatrzymaj.

— Odwiozę panią…

— Pójdę pieszo.

Niski srebrzysty samochód wyhamował przy krawężniku.

— Zadzwonię do pani w…

— Dobranoc.

— Na pewno nie interesuje pani któryś z kurortów? — zapytał

pan Paleologos, szczupły i elegancki jak modliszka w swej białej wełnianej marynarce. Włosy też miał białe, z wyraźną starannością zaczesane do tyłu. — Byłoby to mniej kosztowne, a o wiele bardziej przyjemne. Jest pani piękną dziewczyną…

— Słucham? — Odwróciła wzrok od ulicy za zachlapaną deszczem szybą. — Czym?

Mówił po francusku niezbyt płynnie, entuzjastycznie, z dziwną intonacją.

— Bardzo piękną dziewczyną. — Uśmiechnął się sztucznie. — Czy nie wolałaby pani wakacji w kiści Med? Między osobami w swoim wieku? Czy jest pani Żydówką?

— Słucham?

— Żydówką. Jest pani?

— Nie.

— Szkoda. Ma pani kości policzkowe pewnego typu Żydówek… Mam sporą obniżkę na piętnastodniowy pobyt w Jerusalem Prime. Jak na tę cenę przepiękne otoczenie. Wliczone wypożyczenie skafandra, trzy posiłki dziennie i bezpośredni prom z torusa JAL.

— Skafandra?

— W Jerusalem Prime nie wszędzie jeszcze mają atmosferę — wyjaśnił pan Paleologos, przerzucając z jednego końca biurka na drugi plik różowych przebitek. Biuro mieściło się w maleńkim pokoiku ze ścianami obwieszonymi hologramami Poros i Macau. Wybrała tę firmę właśnie ze względu to, że była mała i że nie musiała opuszczać niewielkiego centrum handlowego na stacji metra najbliższej mieszkania Andrei.

— Nie — oświadczyła. — Nie interesują mnie kurorty. Chcę lecieć tutaj. — Stuknęła w napis na pomiętym niebieskim opakowaniu gauloise'ów.

— No cóż… — westchnął. — To możliwe, oczywiście, choć nie mam listy tamtejszych kwater. Czy chce pani odwiedzić przyjaciół?

— Lecę w interesach — odparła niecierpliwie. — I muszę wyjechać natychmiast.

— Dobrze, bardzo dobrze — mruknął pan Paleologos. Z półki za biurkiem zdjął tani z wyglądu, przenośny terminal. — Zechce mi pani podać swój kod kredytowy.

Sięgnęła do czarnej torebki i wyjęła gruby plik nowych jenów. Zabrała go z torby Paco, kiedy ten badał mieszkanie, gdzie zginął Alain. Pieniądze były spięte czerwoną, półprzeźroczystą gumką.

— Chciałabym zapłacić gotówką.

— O Boże… — Pan Paleologos dotknął banknotu czubkiem różowego palca, jakby oczekiwał, że cały plik rozwieje się nagle. — Rozumiem. Widzi pani, zwykle nie załatwiam interesów w taki sposób, ale przypuszczam, że uda się coś zorganizować.

— Szybko — przypomniała. — Bardzo szybko.

— Rozumiem. — Przyjrzał się jej. — Proszę podać… — palce poruszyły się nad klawiszami terminala. — …nazwisko, pod jakim chciałaby pani podróżować.

ROZDZIAŁ 21
CZAS AUTOSTRADY

Turner przebudził się w milczącym domu, wśród śpiewu ptaków na jabłoniach w zarośniętym sadzie. Przespał noc w kuchni, na połamanej kanapie. Nalał wody na kawę; plastikowe rury ze zbiornika na dachu stukały głośno, kiedy napełniał czajnik. Postawił go na propanowym palniku i wyszedł na werandę.

Osiem pojazdów Rudy'ego pokrywała rosa; stały w równym szeregu na żwirze podjazdu. Gdy Turner schodził po stopniach, jeden ze wspomaganych psów przetruchtał przez otwartą bramę; czarny kaptur tykał lekko w ciszy poranka. Zwierzę stanęło, śliniąc się, zakołysało zniekształconą głową, po czym przebiegło po żwirze i zniknęło za rogiem werandy.

Turner przystanął przy masce ciemnobrązowej terenówki suzuki z napędem na baterie wodorowe. Rudy z pewnością sam ją naprawiał. Napęd na cztery koła, wielkie opony z głębokim bieżnikiem oblepionym jasnym, suchym rzecznym iłem. Niewielka, powolna, niezawodna, niezbyt przydatna na bitej drodze…

Wyminął dwie limuzyny hondy z karoserią nakrapianą plamkami rdzy. Rudy zdemontuje jedną, żeby zdobyć części do drugiej; w tej chwili żadna pewnie nie nadaje się dojazdy.

Uśmiechnął się z roztargnieniem, widząc nieskazitelny brązowy i beżowy lakier na furgonetce chevroleta z 1949 roku. Pamiętał przerdzewiałą skorupę, którą na pożyczonej lawecie Rudy ściągnął do domu z Arkansas. Wóz jeździł jeszcze na benzynie, a wewnętrzne powierzchnie silnika były prawdopodobnie równie lśniące jak ręcznie gładzony brązowy lakier na nadkolach.

Stała tam jeszcze połowa poduszkowca dorniera pod szarą płachtą folii, a dalej podobny do osy wyścigowy czarny motocykl suzuki na przyczepce domowej roboty. Zastanowił się, ile lat temu Rudy się ścigał. Za przyczepką, również pod płachtą, stał śnieżny motor. A dalej poplamiony szary poduszkowiec, maszyna z ostatniej wojny: niski klin pancernej stali pachnącej spalaną w turbinie ropą. Wzmacniany stalową siatką fartuch leżał bezwładnie na ziemi. Okna były wąskimi szczelinami grubego, odpornego na uderzenia plastiku. Do przypominających raczej tarany zderzaków Rudy przykręcił tablice rejestracyjne z Ohio. Były aktualne.

— Wiem, co sobie myślisz — odezwała się Sally. Obejrzał się. Stała przy poręczy werandy z dzbankiem parującej kawy w ręku. — Rudy powtarza, że jeśli to nad czymś nie przejedzie, zawsze może się przebić na wylot.

— Jest szybki? — zainteresował się Turner. — Jasne. Ale po godzinie jazdy będzie ci potrzebny nowy kręgosłup.

— A co z formalnościami?

— Trudno powiedzieć, żeby im się podobał, ale ma prawo poruszać się po ulicach. Nie słyszałam o zakazie posiadania pancerza.

— Angie czuje się lepiej — oświadczyła Sally, kiedy wszedł za nią przez kuchenne drzwi. — Prawda, kochanie?

Córka Mitchella siedziała przy stole. Podniosła głowę. Sińce wokół oczu, podobnie jak u Turnera, zmieniły się w dwa grube przecinki, jakby łzy wymalowane czarnoniebieskim tuszem.

— Mój przyjaciel jest lekarzem — powiedział Turner. — Zbadał cię, kiedy byłaś nieprzytomna. Mówi, że nie jest z tobą tak źle.

— To pana brat. I wcale nie jest lekarzem.

— Przykro mi, Turner — wtrąciła Sally. — Jestem może nieco zbyt szczera.

— Rzeczywiście, nie jest lekarzem. Ale jest sprytny. Baliśmy się, że Maas coś ci zrobił, ustawił jakoś, żebyś zaczęła chorować po opuszczeniu Arizony…

— Coś jak bomba mózgowa?

Nabrała łyżką zimnej owsianki z pękniętej miski z kwiatami jabłoni wokół krawędzi — części zastawy, którą Turner pamiętał.

— Boże święty — westchnęła Sally. — W co ty się wpakowałeś, Turner?

— Dobre pytanie.

Usiadł przy stole. Angie przeżuwała owsiankę i spoglądała na niego.

— Angie — zaczął. — Kiedy Rudy cię skanował, znalazł coś w twojej głowie.

Znieruchomiała.

— Nie wiedział, co to jest. Ktoś ci tam coś wmontował, może kiedy byłaś jeszcze mała. Wiesz, o czym mówię?

Przytaknęła.

— Wiesz, do czego to służy?

Przełknęła ślinę.

— Nie.

— Ale wiesz, kto ci to wsadził?

— Tak.

— Twój ojciec? — Tak.

— Czy wiesz dlaczego?

— Bo byłam chora.

— A na co chorowałaś?

— Nie byłam dostatecznie mądra.

Przed południem był gotów. Zatankowany poduszkowiec czekał przy bramie. Rudy dał mu prostokątną czarną saszetkę wypchaną nowymi jenami; niektóre banknoty były niemal przezroczyste od długiego używania.

— Przepuściłem tę taśmę przez francuski słownik — powiedział Rudy. Jeden z psów ocierał swe zakurzone żebra o jego nogę. — Nie wyszło. Myślę, że to jakiś kreolski dialekt. Może afrykański… Chcesz kopię?

— Nie — odparł Turner. — Zatrzymaj ją sobie.

— Dzięki, ale nie. Nie mam zamiaru nikomu się przyznawać, że tu byłeś. Sally i ja wyjeżdżamy dziś po południu do Memphis. Zatrzymamy się u przyjaciół. Psy będą pilnować domu. — Podrapał zwierzę za plastikowym kapturem. — Zgadza się, malutki? — Pies zaskomlał i machnął ogonem. — Musiałem je oduczyć polowania na szopy. Kiedy założyłem im czujniki podczerwieni, w całym okręgu nie zostawiłyby ani jednej sztuki.

Sally z dziewczyną zeszły z werandy. Sally niosła płócienną torbę, w którą zapakowała kanapki i termos z kawą. Turner przypomniał ją sobie w łóżku na górze i uśmiechnął się. Odpowiedziała uśmiechem. Dzisiaj wydawała się starsza, bardziej zmęczona. Angie zrezygnowała z pokrwawionej koszulki MAAS-NEOTEK na korzyść niekształtnej czarnej bluzy, którą znalazła dla niej kobieta Rudy'ego. Sally zdołała nawet wkomponować pozostałe sińce w barokowy makijaż, który dziwnie kontrastował z dziecięcą buzią dziewczyny i luźną bluzą.

Rudy wręczył Turnerowi kluczyki do poduszkowca.

— Mój stary Cray przygotował streszczenie dzisiejszych wiadomości. Jest jedna rzecz, o której chyba powinieneś wiedzieć: Maas Biolabs poinformował o przypadkowej śmierci doktora Christophera Mitchella.

— Zadziwiające, jak mało precyzyjnie potrafią się wyrażać.

— Tylko porządnie dopnij uprząż — tłumaczyła Sally. — Bo zanim traficie na trasę ze Statesboro, pupę będziesz miała czarną od siniaków.

Rudy zerknął na dziewczynę, potem znów na Turnera. Turner zauważył pęknięte żyłki na nosie brata, przekrwione oczy, wyraźny tik lewej powieki.

— To chyba wszystko. Zabawne, ale zaczynałem już wierzyć, że więcej cię nie zobaczę. Dziwne widzieć cię znowu w domu.

— Dzięki — odparł Turner. — Oboje zrobiliście dla mnie więcej niż miałem prawo oczekiwać.

Sally spuściła głowę.

— Dziękuję wam. Lepiej już pojedziemy.

Wspiął się na burtę poduszkowca. Chciałby już ruszać. Sally uścisnęła przegub dziewczyny i wręczyła jej torbę. Stanęła obok, gdy

Angie wchodziła po dwóch zamykanych stopniach. Turner zajął miejsce w fotelu kierowcy.

— Ciągle o ciebie pytała — powiedział Rudy. — Po jakimś czasie było już tak źle, że analogony endorfiny nie potrafiły uśmierzyć bólu. I co jakieś dwie godziny pytała, gdzie jesteś i kiedy przyjedziesz.

— Przysłałem ci pieniądze — odparł Turner. — Dość, żeby ją zabrać do Chiby. Tamtejsze kliniki mogłyby spróbować czegoś nowego…

— Chiba? — parsknął Rudy. — Jezu, była już starą kobietą. Co by jej z tego przyszło, gdybyśmy w Chibie utrzymywali ją przy życiu jeszcze przez parę miesięcy? Najbardziej pragnęła zobaczyć ciebie.

— Jakoś nie wyszło — mruknął Turner. Dziewczyna usiadła obok i postawiła torbę na podłodze, między nogami. — Na razie, Rudy. — Skinął głową. — Do zobaczenia, Sally.

— Bywaj — odpowiedziała, obejmując Rudy'ego w talii.

— O kim mówiliście? — spytała Angie, kiedy zatrzasnął się luk. Turner wsunął kluczyk do stacyjki i turbina ruszyła, od razu nadymając fartuch. Przez wąskie boczne okienko zobaczył, że Rudy i Sally odstępują pospiesznie, a przerażony hałasem pies przysiada i szczeka. Pedały i dźwignie były wielkie, zaprojektowane do łatwej obsługi w kombinezonie antyradiacyjnym. Turner wykręcił przez bramę i wjechał na szeroką żwirową drogę. Angie dopinała uprząż.

— O mojej matce — wyjaśnił. Zwiększył obroty i skoczyli do przodu.

— Nie znałam matki — oświadczyła. A Turner przypomniał sobie, że jej ojciec nie żyje, a ona jeszcze o tym nie wie. Pchnął pedał i pomknęli wzdłuż żwirowej alejki, ledwie mijając psa Rudy'ego.

Sally miała rację, ostrzegając przed jazdą. Turbina powodowała nieustające wibracje. Przy dziewięćdziesięciu kilometrach na godzinę po nierównym asfalcie starej autostrady stanowej, dzwoniły im zęby. Wzmacniany fartuch ciężko sunął po spękanej nawierzchni; efekt ślizgu, typowy dla lekkich modeli cywilnych, byłby tu możliwy tylko na idealnie gładkiej, płaskiej powierzchni.

Mimo to Turner uznał, że lubi tę maszynę. Człowiek kierował się na cel, zwiększał obroty i jechał. Nad czołową szczeliną obserwacyjną ktoś zawiesił dwie różowe, wyblakłe od słońca kostki; wycie turbiny napierało na plecy jak twarda ściana. Dziewczyna odprężyła się, obserwując okolicę ze spokojną, niemal zadowoloną miną. Turner cieszył się, że nie musi prowadzić rozmowy. Jesteś gorąca, pomyślał, zerkając na nią z ukosa; jesteś chyba najbardziej poszukiwanym obiektem na powierzchni tej planety, a ja zwyczajnie wlokę cię do Ciągu w tej wojennej zabawce Rudy'ego i nie mam pojęcia, co dalej z tobą robić… Ani kto nam rozwalił pozycję.

Przemyśl to, powiedział sobie, kiedy skręcili w dolinę; przeleć od początku, a w końcu coś zaskoczy. Mitchell skontaktował się z Hosaką i powiedział, że przechodzi do nich. Hosaka wynajął Conroya i zorganizował zespół medyczny, żeby sprawdzili, czy Mitchell nie ma jakichś pułapek. Conroy ściągnął grupy robocze. Pracował z agentem Turnera. Agent Turnera był tylko głosem w słuchawce, genewskim numerem telefonicznym. Hosaka wysłał Allison, żeby w Meksyku doprowadziła Turnera do porządku; potem zabrał go Conroy. Tuż przed akcją Webber powiedziała, że to ona jest wtyczką Conroya… Ktoś ich zaatakował, kiedy zbliżała się dziewczyna: flary i broń automatyczna. Dla niego wyglądało to na Maasa; takiego ruchu mógłby oczekiwać, z czymś takim mieli sobie radzić wynajęci goryle. A potem białe niebo… Pamiętał, co mówił Rudy o dziale sekwencyjnym. Ale kto? W dodatku ta plątanina w głowie dziewczyny, którą Rudy odkrył na tomografie i monitorze rezonansu magnetycznego. Angie twierdziła, że ojciec nie planował własnej ucieczki…

— Żadnej firmy — odezwała się, patrząc w okno.

— To znaczy?

— Nie ma pan swojej firmy, prawda? Pracuje pan dla tego, kto zapłaci.

— Zgadza się.

— I nie boi się pan?

— Pewnie, ale nie z tego powodu.

— My zawsze mieliśmy firmę. Ojciec mówił, że wszystko będzie dobrze, że po prostu przejdę do innej…

— Wszystko będzie dobrze. Miał rację. Muszę tylko wykryć, co się dzieje. Potem trafisz tam, gdzie powinnaś.

— Do Japonii?

— Gdziekolwiek będzie trzeba.

— Był pan tam?

— Pewno.

— Spodoba mi się?

— Dlaczego nie?

Znowu umilkła, a Turner skupił się na prowadzeniu.

— To sprowadza sny — powiedziała, gdy pochylił się, by włączyć światła. Ledwie słyszał jej głos wśród wycia turbiny.

— Co? — Udawał, że obserwuje drogę. Uważał, by nie zerknąć w jej stronę.

— To coś w mojej głowie. Zwykle tylko wtedy, kiedy śpię.

— Tak? — Pamiętał białka jej oczu w sypialni Rudy'ego, drgawki, potok słów w nieznanym języku.

— Czasami także na jawie. Jakbym była włączona w dek… Tyle

że krata mnie nie krępuje; frunę i nie jestem tam sama. Przedwczoraj śnił mi się chłopiec; sięgnął i chwycił coś, a to go raniło, i nie wiedział, że jest wolny, że musi tylko puścić. Więc mu powiedziałam. I przez sekundę widziałam, gdzie jest… To nie przypominało snu: brzydki mały pokój z poplamionym dywanem… I wiedziałam, że przydałby mu się prysznic, i czułam, jak buty lepią mu się do stóp, bo nie nosił skarpetek… Sny takie nie bywają.

— Nie?

— Nie. W snach są takie wielkie istoty i ja też jestem wielka, i sunę z innymi…

Poduszkowiec wspiął się na betonową rampę autostrady międzystanowej. Turner wypuścił powietrze; nagle zauważył, że wstrzymuje oddech.

— Jakimi innymi?

— Takimi jaśniejącymi… — Znów cisza. — Nie ludźmi…

— Czy dużo czasu spędzasz w cyberprzestrzeni, Angie? To znaczy normalnie włączona, z dekiem?

— Nie. Tyle co w szkole. Ojciec mówił, że to mi może zaszkodzić.

— Czy mówił coś o tych snach?

— Tyle, że są coraz bardziej realne. Ale nie powiedziałam mu o tych innych…

— A mnie powiesz? Może dzięki temu lepiej zrozumiem, dowiem się, co powinniśmy robić…

— Niektórzy opowiadają mi różne rzeczy. Historie. Kiedyś nie było tam nic… nic, co by się samo poruszało. Tylko dane i ludzie, którzy je przesyłali. A potem coś się zdarzyło i… i to poznało siebie. Jest o tym cała opowieść, o dziewczynie z lustrzanymi oczami i chłopaku, który za bardzo się bał, żeby troszczyć się o cokolwiek. I zrobił coś, co pomogło temu wszystkiemu poznać siebie… A potem to coś tak jakby rozpadło się na części i wydaje mi się, że właśnie te części to inni, ci jaśniejący. Ale nie wiem na pewno, bo oni nie opowiadają tego słowami…

Turner poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Wróciło jakieś wspomnienie, wypłynęło z głębin *dossier* Mitchella. Palący wstyd, korytarz, łuszcząca się kremowa farba, Cambridge, kwatery studentów…

— Gdzie się urodziłaś, Angie?

— W Anglii. Potem ojciec trafił do Maasa i przeprowadziliśmy się. Do Genewy.

Gdzieś w Virginii zjechał na żwirowe pobocze, zwolnił, skręcił na zarośniętą łąkę. Suchy pył lata wirował za nimi, gdy zrobił zwrot w lewo i zatrzymał pod kępą sosen. Turbina ucichła, pojazd osiadł na fartuchu.

— Teraz możemy coś zjeść — oświadczył, sięgając po torbę Sally.

Angie wypięła się z uprzęży i rozsunęła zamek czarnej bluzy. Pod spodem miała coś białego i obcisłego; w półokrągłym dekolcie nad młodymi piersiami widział jej dziecięco gładką opaloną skórę. Odebrała mu torbę i zaczęła odpakowywać kanapki.

— Co jest pańskiemu bratu? — spytała, wręczając mu jedną.

— Nie rozumiem.

— Coś z nim jest nie tak… Sally mówiła, że cały czas pije. Jest nieszczęśliwy?

— Nie wiem — odparł Turner. Zgarbił się, potem rozprostował obolałe ramiona i grzbiet. — To znaczy chyba jest, ale nie wiem dlaczego. Czasami coś człowieka gryzie…

— Chce pan powiedzieć: kiedy nie ma firmy, która się nim opiekuje?

Ugryzła kanapkę.

— Drażnisz się ze mną, co?

Pokiwała głową z pełnymi ustami. Przełknęła.

— Troszeczkę. Wiem, że mnóstwo ludzi nie pracuje dla Maasa. Nigdy nie pracowali i nigdy nie będą. Na przykład pan albo Rudy. Ale pytałam poważnie. Polubiłam go. Ale wydawał się taki…

— Przegrany — dokończył za nią. — Przerżnął życie. Widzisz, myślę, że niektórzy ludzie muszą w pewnym momencie dokonać przeskoku. Jeśli tego nie zrobią, to utkną na dobre… A Rudy nigdy nie przeskoczył.

— Jak mój ojciec, kiedy chciał mnie wydostać z Maasa? Czy to był przeskok?

— Nie. Na pewne przeskoki musisz się zdecydować sama. Dojść do wniosku, że gdzieś czeka na ciebie coś lepszego…

Urwał. Nagle poczuł się śmieszny. Nadgryzł kanapkę.

— Pan tak pomyślał?

Skinął głową, niepewny, czy to prawda.

— I wyjechał pan, a Rudy został?

— Był inteligentny. Nadal jest. Zebrał parę dyplomów… tak z marszu. Jako dwudziestolatek zrobił doktorat z biotechnologii na Tulane. I jeszcze trochę… Nigdy nie wysyłał żadnych podań czy życiorysów. Werbownicy zjeżdżali do nas zewsząd, ale on ich spławiał, szukał zwady… Chciał chyba dokonać czegoś samodzielnie. Jak te kaptury dla psów: myślę, że wetknął tam parę oryginalnych patentów, ale… W każdym razie został. Zajął się handlem i produkcją sprzętu dla okolicy. Był popularny. Potem nasza matka zachorowała, chorowała bardzo długo, a mnie nie było…

— A gdzie pan był?

Otworzyła termos; kabinę wypełnił zapach kawy.

— Jak najdalej — odparł, zdumiony nutą gniewu we własnym

głosie.

Podała mu plastikowy kubek, wypełniony po brzegi gorącą czarną kawą.

— A co z tobą? Mówiłaś, że nie znałaś swojej matki.

— Nie. Rozstali się, kiedy byłam mała. Nie chciała przedłużyć kontraktu, jeśli nie włączy jej w jakiś system wykupu akcji. Tak przynajmniej mówił.

Łyknął kawy i oddał jej kubek.

— A jaki był?

Spojrzała na niego ponad brzegiem czerwonego plastiku: oczy otoczone makijażem Sally.

— Też mogłabym o to zapytać — odparła. — Albo raczej: niech mnie pan spyta za dwadzieścia lat. Teraz mam siedemnaście, więc skąd u diabła mogę wiedzieć?

Roześmiał się.

— Czujesz się już lepiej?

— Chyba tak. W tych okolicznościach.

I nagle, jak jeszcze nigdy dotąd, w pełni uświadomił sobie jej obecność. Nerwowo sięgnął do dźwigni.

— To dobrze. Przed nami jeszcze długa droga.

Tej nocy spali w kabinie poduszkowca zaparkowanego pod zardzewiałą stalową kratą, stanowiącą niegdyś rusztowanie ekranu kina dla zmotoryzowanych w południowej Pensylwanii. Turner rozścielił swoją parkę na pancernych płytach podłogi, poniżej długiego garbu turbiny. Angie wypiła resztkę zimnej już kawy i usiadła w kwadratowym luku nad siedzeniem pasażera. Obserwowała pulsujące nad pożółkłą łąką świetliki.

Gdzieś w snach — wciąż zabarwianych przypadkowymi rozbłyskami z *dossier* jej ojca — przytuliła się do niego; czuł jej piersi na nagich plecach, miękkie i ciepłe przez cienki materiał koszulki. A potem jej ręka objęła go i gładziła płaskie mięśnie brzucha. Ale leżał nieruchomo, udając głęboki sen, i wkrótce odnalazł drogę do mrocznych pasaży biosoftu Mitchella, gdzie dziwne zjawiska mieszały się z jego własnymi najstarszymi lękami i ranami. Obudził się o świcie słysząc, jak śpiewa cicho ze swojego miejsca w górnym luku:

> Mój tata przystojny byt jak szatan;
> i miał łańcuch długi na trzy mile
> A na każdym ogniwie
> Serduszko dziewczyny
> Którą kochał, lecz rzucił za chwilę.

ROZDZIAŁ 22
JAMMER

Lokal Jammera mieścił się wysoko — trzynaście pięter po martwych ruchomych schodach — i zajmował jedną trzecią najwyższego poziomu budynku. Jeśli nie liczyć Leona, Bobby jeszcze nigdy nie widział nocnego klubu — i ten wydał mu się jednocześnie wspaniały i trochę przerażający. Wspaniały ze względu na swoją wielkość i — jak uznał — wyjątkową jakość sprzętu, przerażający zaś, ponieważ nocny klub za dnia jest miejscem w swej istocie trochę nierzeczywistym. Upiornym. Rozglądał się, wsunąwszy kciuki w tylne kieszenie nowych dżinsów, a Jackie szeptem dyskutowała o czymś z człowiekiem o pociągłej twarzy, w pogniecionym niebieskim kombinezonie. W sali stały kryte ultraskajem sofy, okrągłe stoliki i dziesiątki ażurowych drewnianych parawanów. Sufit był pomalowany na czarno, a każdy stolik delikatnie oświetlała ukryta we wnęce stropu lampa, mierząca z mroku pionowo w dół. Na centralnej scenie, jasno oświetlonej wiszącymi na żółtym fleksie reflektorami, stała wiśniowo-czerwona perkusja akustyczna. Nie wiedział czemu, ale poczuł dreszcz, niewyraźne wrażenie pół-życia, jakby coś miało się przesunąć na granicy pola widzenia…

— Bobby — zawołała Jackie. — Chodź tutaj, poznasz Jammera.

Z całą obojętnością, na jaką było go stać, przekroczył równinę gładkiego ciemnego dywanu. Stanął przed człowiekiem o pociągłej twarzy, który miał ciemne przerzedzone włosy i pod roboczym kombinezonem nosił białą wieczorową koszulę. Miał też wąskie oczy, a na policzkach szczecinę jednodniowego zarostu.

— Chcesz być kowbojem? — Patrzył na koszulkę Bobby'ego, a Bobby doznał nieprzyjemnego uczucia, że Jammer zaraz wybuchnie śmiechem.

— Jammer był dżokejem — wyjaśniła Jackie. — Ostrym. Prawda, Jammer?

— Tak mówią. To było dawno, Jackie. Ile masz za sobą godzin w sieci? — spytał Bobby'ego.

Bobby poczuł, że się rumieni.

— No więc… chyba jedną. Jammer uniósł krzaczaste brwi.

— Każdy kiedyś zaczynał — mruknął z uśmiechem; zęby miał małe, nienaturalnie równe i, zdaniem Bobby'ego, zbyt liczne.

— Bobby — wtrąciła Jackie. — Może spytasz Jammera o tego Wiga, o którym opowiadał Finn.

Jammer spojrzał czujnie na nią, potem na Bobby'ego.

— Znasz Finna? Głęboko wszedłeś jak na szpanera. — Z tylnej

kieszeni wyjął niebieski plastikowy inhalator, wsunął sobie do lewego nozdrza, pociągnął i schował z powrotem. — Ludgate. Wig. Finn mówił o Wigu? To już chyba demencja.

Bobby nie wiedział, co to znaczy, ale chwila nie wydawała się odpowiednia dla stawiania pytań.

— Ten Wig siedzi gdzieś na orbicie — spróbował. — I czasem sprzedaje coś Finnowi…

— Nie pieprzysz? Mógłbyś mnie nabrać. Uwierzyłbym, że Wig jest już trupem albo siedzi u czubków. Bardziej szurnięty niż normalny kowboj. Wiesz, o co mi chodzi? Bagno. Topielec. Nie słyszałem o nim od lat.

— Jammer — przerwała mu Jackie. — Może lepiej Bobby po prostu ci opowie, czego się dowiedział. Beauyoir ma tu się zjawić dzisiaj po południu i będzie chciał ci zadać parę pytań. Powinieneś wiedzieć, jak sprawy stoją.

Jammer przyjrzał się jej z uwagą.

— No tak. Rozumiem. Pan Beauvoir zażąda, żebym odpłacił mu za przysługę. Zgadłem?

— Nie mogę mówić za niego, ale tak przypuszczam. Potrzebujemy bezpiecznego miejsca, żeby przechować tego tu Grafa.

— Jakiego grafa?

— Mnie — wyjaśnił Bobby. — To ja.

— Świetnie — mruknął Jammer z całkowitym brakiem entuzjazmu. — Chodźmy do mojego gabinetu.

Bobby nie mógł oderwać wzroku od deku cyberprzestrzeni, który zajmował jedną trzecią powierzchni blatu staroświeckiego dębowego biurka Jammera. Był matowoczarny, robiony na zamówienie, bez żadnych znaków firmowych. Bobby wyciągał szyję, równocześnie opowiadając Jammerowi o Dwadziennie i swojej próbie wejścia, o dziewczęcym wrażeniu w sieci, o matce wysadzonej w powietrze. To był najostrzejszy dek, jaki w życiu widział… Nie zapomniał o słowach Jackie, że Jammer był w swoim czasie ostrym kowbojem.

Kiedy Bobby skończył, Jammer rozparł się w fotelu.

— Chcesz go wypróbować? — zapytał znużonym głosem.

— Wypróbować?

— Ten dek. Pomyślałem, że pewnie masz ochotę. Domyśliłem się po tym, jak stale pocierałeś tyłkiem o fotel. Albo chciałbyś go wypróbować, albo strasznie chciało ci się sikać.

— Diabli, tak, to znaczy tak, dzięki… Chętnie…

— Dlaczego nie? Skąd ktoś mógłby wiedzieć, że to ty, a nie ja? Może włączysz się razem z nim, Jackie? Żeby na niego uważać. — Otworzył szufladę biurka i wyjął dwa zestawy trod. — Tylko nic tam nie rób, jasne? Po prostu przeleć się, pokręć i wracaj. Nie próbuj

żadnych numerów. Jestem winien Lucasowi i Beauvoirowi przysługę, a wygląda na to, że spłacę długi pomagając zachować cię w jednym kawałku. — Jedne trody podał Jackie, drugie wręczył Bobby'emu. Potem wstał, złapał za uchwyty z boków czarnej konsoli i odwrócił ją do Bobby'ego. — No dalej. Spuścisz się z zachwytu. Ta maszyna ma dziesięć lat, a wciąż może przytrzeć dupę prawie wszystkiemu. Jeden gość, Automatyczny Jack, zbudował ją prawie od zera. Był kiedyś hardware'owym artystą Bobby'ego Quine'a. Obaj razem wypalili Błękitne Światła, ale to chyba jeszcze zanim się urodziłeś.

Bobby umocował już trody. Teraz czekał na Jackie.

— Włączałeś się już w tandemie? Pokręcił głową.

— Nie szkodzi. Wejdziemy, a ja będę się trzymać za twoim lewym ramieniem. Kiedy powiem: wyłącz się, to się wyłączysz. Jeśli zobaczysz coś dziwnego, to dlatego, że ja będę przy tobie. Zrozumiałeś?

Przytaknął.

Sięgnęła za kark, wyjęła dwie długie spinki ze srebrnymi główkami, zdjęła kapelusz i odłożyła na biurko obok deku Jammera. Przetarła trody pomarańczową jedwabną chustą i przycisnęła kontakty do czoła.

— Idziemy — rzuciła.

Teraz i zawsze, wciąż naprzód: dek Jammera włączony wysoko ponad neonowymi rdzeniami, nad obcą topografią danych. Wielkie skupiska, wysokie jak korporacyjne góry w tym bezmiejscu będącym cyberprzestrzenią.

— Zwolnij, Bobby.

Głos Jackie, cichy i słodki w pustce obok niego.

— Jeży Chryste, ale sprzęt!

— Tak, ale trochę przyhamuj. Taki rajd nic nam nie da. Chcesz coś obejrzeć. Trzymaj się tego regionu i zwolnij.

Zmniejszył pęd, aż zdawało się, że szybują powoli. Obejrzał się w lewo oczekując, że ją tam zobaczy. Nie znalazł nikogo.

— Jestem tu — powiedziała. — Nie martw się.

— Kto to był Quine?

— Quine? To kowboj, którego znał Jarnmer. W swoim czasie znał wszystkich.

Zakręcił pod kątem prostym w lewo, w przypadkowo wybranym punkcie. Na przecięciu linii kraty zawirował wokół osi, by sprawdzić reakcje deku. Były zdumiewające, niepodobne do niczego, co przeżył w cyberprzestrzeni.

— Rany boskie… Przy tym sprzęcie Ono-Sendai wygląda jak dziecięca zabawka…

— Jest prawdopodobnie oparty na kościach O-N. Jammer mówił,

że takich zwykle używali. Przenieś nas trochę wyżej… Wznieśli się bez wysiłku; w dole zmalały bloki danych.

— Nie ma tu wiele do oglądania — poskarżył się.

— Błąd. Jeśli dostatecznie długo będziesz się trzymał pustych obszarów, możesz zobaczyć sporo ciekawych rzeczy…

Osnowa matrycy zadrżała lekko wprost przed nimi.

— Uhm… Jackie…

— Zatrzymaj tutaj. Nie ruszaj się. Wszystko w porządku. Możesz mi zaufać.

Gdzieś daleko jego palce poruszały się po obco skonfigurowanej klawiaturze. Cofnął je, a sektor cyberprzestrzeni rozmył się i wypełnił mleczną mgłą.

— Co jest…

— *Danbala ap monte l* — rozległ się szorstki głos w jego głowie; poczuł w ustach obcy smak, jakby krwi. — Danbala jej dosiada.

Skądś wiedział, co znaczą te słowa, ale głos dźwięczał jak żelazo. Mleczna chmura rozdzieliła się, rozpłynęła w kłębach, stała dwoma plamami zmiennej szarości.

— Legba — powiedziała Jackie. — Legba i Ougou Feray, bóg wojny. Papa Ougou! St. Jasques Majeur! *Viv la Vyèy!*

Stalowy śmiech wypełnił matrycę, piłując mózg Bobby'ego.

— *Map kile tout miz, ak tout giyon* — zabrzmiał inny głos. — Spójrz, Papa, przybyła tu, by pozbyć się pecha!

A potem ten drugi także wybuchnął śmiechem, a Bobby z wysiłkiem stłumił atak czystej histerii, gdy srebrzysty śmiech unosił się przez niego jak bąble piany.

— Czy miała pecha? Ona, wierzchowiec Danbali? — zahuczał stalowy głos Ougou Feray i przez moment Bobby miał wrażenie, że jakaś postać migocze w szarej mgle. Głos grzmiał straszliwym śmiechem. — Istotnie! Istotnie! Ale nie wie o tym! Nie jest moim wierzchowcem, inaczej wyleczyłbym ją z pecha! — Bobby'emu chciało się zapłakać, umrzeć, cokolwiek, byle uciec przed tymi głosami, tym absolutnie niemożliwym wiatrem, który dmuchnął z szarych kłębów: gorący, wilgotny wiatr, niosący zapachy, których nie potrafił zidentyfikować. — I ona głosi chwałę Dziewicy! Wysłuchaj mnie, siostrzyczko! *La Vyèj* naprawdę się zbliża!

— Tak — potwierdził drugi głos. — Teraz przebywa w mojej dziedzinie, gdyż ja władam drogami i szlakami.

— Aleja, Ougou Feray, mówię ci, że wasi wrogowie także się zbliżają! Do bram, siostrzyczko, i strzeż się!

Dwie szare plamy rozmyły się, zmalały, skurczyły…

— Odłącz nas — powiedziała. Jej głos był cichy i zdawał się dobiegać z daleka. — Lucas nie żyje.

Jammer wyciągnął z szuflady butelkę scotcha i do szklanki z grubego plastiku starannie odmierzył sześć centymetrów.

— Wyglądasz jak wypluta — zwrócił się do Jackie.

Bobby'ego zaskoczył jego łagodny ton. Wyłączyli się z dziesięć minut temu i przez cały ten czas nikt się nie odezwał. Jackie sprawiała wrażenie załamanej i ciągle przygryzała dolną wargę. Jammer był albo nieszczęśliwy, albo wściekły — Bobby nie miał pewności.

— Dlaczego powiedziałaś, że Lucas nie żyje? — zapytał, gdyż wydawało mu się, że cisza w ciasnym gabinecie Jammera gęstnieje i w końcu zaczną się dusić.

Jackie spojrzała w jego stronę niewidzącym wzrokiem.

— Gdyby żył, nie przyszliby do mnie — wyjaśniła. — Są pewne pakty, umowy… Legba zawsze jest przyzywany jako pierwszy, ale powinien przybyć z Danbalą. Jego osobowość zależy od loa, z którym się manifestuje. Lucas na pewno jest martwy.

Jammer pchnął do niej szklankę whisky, ale Jackie pokręciła głową; wciąż miała na czole trody: chrom i czarny nylon. Skrzywił się z niesmakiem, podniósł szklankę i wypił jednym haustem.

— Bzdury! Sprawy miały więcej sensu, zanim wy zaczęliście przy nich kręcić.

— My ich nie sprowadziliśmy, Jammer — odparła. — Oni zawsze tam byli i odnaleźli nas, ponieważ ich rozumieliśmy!

— Takie same bzdury — mruknął znużonym tonem Jammer. — Czymkolwiek są i skądkolwiek przyszli, ukształtowali się w to, co chciała zobaczyć zgraja obłąkanych czarnuchów. Łapiesz? Nie ma pieprzonej szansy, żeby istniało tam coś, z czym musiałabyś rozmawiać w tym kuchennym haitańskim. Wy i ten wasz kult voodoo… Oni po prostu zobaczyli to, zobaczyli układ… Beauvoir z Lucasem i resztą to przede wszystkim biznesmeni. A te piekielne stwory wiedzą, jak zawierać umowy. To oczywiste. — Zakręcił butelkę i schował ją do szuflady. — Wiesz, skarbie, przecież to możliwe, że ktoś bardzo mocny, bardzo potężny w sieci, po prostu was wykorzystuje. Robi projekcje tych bożków i w ogóle… Wiesz przecież, że to możliwe, prawda? Prawda, Jackie?

— Wykluczone — odparła Jackie chłodno i spokojnie. — Ale nie potrafię ci wytłumaczyć, skąd o tym wiem.

Jammer wyjął z kieszeni czarny klocek plastiku i zaczął się golić.

— Pewnie — mruknął. Maszynka brzęczała cicho, kiedy gładził nią podbródek. — Przez osiem lat żyłem w cyberprzestrzeni, zgadza się? No i wiem, że niczego tam nie było. Przynajmniej nie wtedy. Zresztą… Mam zadzwonić do Lucasa, żeby cię uspokoić? Masz numer do jego rollsa?

— Nie. Nie warto. Lepiej siedzieć cicho, dopóki nie przyjdzie Beauvoir. — Wstała, odkleiła trody i sięgnęła po kapelusz. — A ja

będę leżeć cicho: spróbuję się przespać. Miej oko na Bobby'ego.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Wyglądała jak lunatyczka: nagle spłynęła z niej cała energia.

— Cudownie… — Jammer przejechał maszynką po górnej wardze. — Napijesz się? — zapytał Bobby'ego.

— Właściwie… Jest jeszcze trochę za wcześnie…

— Może dla ciebie. — Schował maszynkę do kieszeni. Drzwi zamknęły się za Jackie. Jammer pochylił się lekko. — Jak oni wyglądali, mały? Przyjrzałeś się?

— Tacy szarzy… Nieokreśleni…

Jammer był wyraźnie zawiedziony. Znów rozparł się wygodnie.

— Chyba nie można ich wyraźnie zobaczyć, jeśli się do tego nie należy. — Zabębnił palcami po poręczy fotela. — Myślisz, że są rzeczywiści?

— No… Ja w każdym razie nie chciałbym któremuś wejść w drogę…

Jammer przyjrzał mu się z uwagą.

— Nie? Może jesteś sprytniejszy, niż na to wyglądasz. Ja też nie chciałbym im wchodzić w drogę. Wycofałem się z gry, zanim zaczęli się pojawiać.

— I jak pan myśli, czym są?

— Robisz się coraz sprytniejszy… No więc, nie wiem. Trudno mi przełknąć pomysł, że to banda haitańskich bożków voodoo, ale kto wie? — Zmrużył oczy. — Możliwe, że to program wirusowy, który uwolnił się w matrycy i nabrał rozumu… To dostatecznie straszne. Może ludzie z Turinga chcą to utrzymać w tajemnicy. A może SI znalazły sposób, żeby oddzielić i wpuścić w matrycę części siebie. To by doprowadziło Turinga do szału. Znałem takiego faceta z Tybetu, robił sprzęt dla dżokejów. Uważał, że to są tulpy.

Bobby zamrugał niepewnie.

— Tulpa to forma myślowa. Coś w tym rodzaju. Taki zabobon. Naprawdę potężni faceci umieją oddzielić coś w rodzaju ducha stworzonego z energii negatywnej. — Wzruszył ramionami. — Bzdura. Jak ci goście od voodoo, kumple Jackie.

— Mnie się wydaje, że Lucas, Beauvoir i wszyscy inni zachowują się, jakby to było realne, a nie tylko sztuczka…

— Trafiłeś. — Jammer pokiwał głową. — I dzięki temu nieźle się ustawili, więc naprawdę coś tam jest. — Pokręcił głową i ziewnął. — Ja też muszę się przespać. Możesz robić, co chcesz, tylko trzymaj łapy z daleka od mojego deku. I nie próbuj wychodzić, bo zacznie wyć z dziesięć różnych alarmów. W lodówce za barem jest sok, ser i inny chłam…

Bobby stwierdził, że lokal — teraz, kiedy pozostał w nim sam —

nadal budzi lęk, ale jest miejscem dostatecznie ciekawym, żeby opłacało się trochę przestraszyć. Spacerował przez chwilę za barem, dotykając kurków od piwa i chromowanych dozowników drinków. Stała tam maszyna produkująca lód i druga, lejąca wrzątek. Zrobił sobie filiżankę japońskiej rozpuszczalnej kawy i obejrzał stos kaset audio. Nigdy nie słyszał o żadnym z tych zespołów ani solistów. Nie był pewien, czy oznacza to, że Jammer, który był stary, lubi starą muzykę, czy też były to całkiem nowe utwory, które do Barrytown dotrą — zapewne przez Leona — za jakieś dwa tygodnie… Znalazł broń pod czarno-srebrną uniwersalną konsolą kredytową na końcu baru: rodzaj krótkiego, grubego pistoletu maszynowego z magazynkiem sterczącym z rękojeści. Był przyczepiony pod ladą paskiem żółtego rzepa i Bobby uznał, że lepiej go nie dotykać. Po jakimś czasie nie czuł się już przestraszony, raczej znudzony i podenerwowany. Wziął stygnącą kawę i powędrował na salę. Usiadł przy stoliku i udawał, że jest Grafem Zero, najlepszym w Ciągu artystą konsoli, i czeka tu na paru frajerów, z którymi ma pogadać o interesach, o jakimś wejściu koniecznie im potrzebnym, do którego nikt oprócz Grafa nie jest zdolny.

— Jasne — rzucił do pustego klubu, mrużąc powieki. — Przetnę to dla was… Jeśli macie forsę.

Zbledli, kiedy wymienił cenę.

Lokal był dźwiękoszczelny; nie słyszał gwaru wokół straganów na trzynastym piętrze, jedynie szum jakiegoś systemu klimatyzacji i z rzadka bulgot maszyny z wrzątkiem. Znudzony zagrywkami Grafa, Bobby zostawił filiżankę na stole i przeszedł do wejścia, przesuwając palce po wytartej pluszowej linie zawieszonej na wypolerowanych mosiężnych słupkach. Uważając, by nie dotknąć szklanych drzwi, usiadł obok okna szatni, na prostym metalowym stołku z siedzeniem krytym skajem posklejanym taśmą. W szatni płonęła słaba żarówka; widać było kilkadziesiąt starych drewnianych wieszaków zwisających ze stalowych prętów, każdy z żółtym, ręcznie wypisanym numerkiem. Pomyślał, że Jammer siada tu czasem i wpuszcza klientów. Nie bardzo rozumiał, dlaczego ktoś, kto przez osiem lat był ostrym kowbojem, miałby prowadzić nocny klub. Ale może to coś w rodzaju hobby. Pewnie w takim klubie można wyrwać sporo dziewczyn… ale przecież i tak ma się ich dość, kiedy człowiek jest bogaty. A jeśli Jammer przez osiem lat był na topie, to przecież musiał być bogaty…

Pomyślał o scenie z matrycy, szarych plamach i głosach… Zadrżał. Wciąż nie rozumiał, dlaczego miało to oznaczać, że Lucas nie żyje. A potem przypomniał sobie, że jego matka też nie żyje i to również nie wydawało się całkiem realne. Jezu… Wszystko razem zaczynało mu działać na nerwy. Chciałby się znaleźć na zewnątrz, po tamtej stronie drzwi, obejrzeć stragany, kupujących i ludzi, którzy tam

pracują…

Wyciągnął rękę i odsunął aksamitną zasłonę — tyle tylko, żeby spojrzeć przez grube szkło na tęczowy chaos straganów i charakterystyczny spacerowy krok kupujących. I tam, jak w ramce, pośrodku tego wszystkiego, obok stołu zastawionego używanymi analogowymi monitorami wideo, próbnikami stanów logicznymi i podzielnikami mocy, zobaczył nie należącą do żadnej rasy, grubokościstą twarz Leona. Głęboko osadzone paskudne oczy spojrzały na Bobby'ego z niemal słyszalnym pstryknięciem rozpoznania. A potem Leon zrobił coś, czego Bobby nigdy u niego nie widział: uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ 23
BLIŻEJ

Steward JAL zaproponował jej do wyboru kilka symstymowych kaset: wystawę Foxtona w Tate Gallery z zeszłego sierpnia, historyczną przygodówkę nagrywaną w Ghanie („Ashanti!"), najpiękniejsze arie „Carmen" Bizeta oglądanej z prywatnej loży w Operze Tokijskiej albo trzydzieści minut talkshow Tally Isham „Wyższe sfery".

— To pani pierwszy lot, pani Ovski?

Marly przytaknęła. Podała Paleologosowi panieńskie nazwisko matki, co nie było chyba najrozsądniejszym posunięciem. Steward uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Kaseta złagodzi wrażenia przy starcie. „Carmen" jest w tym tygodniu bardzo popularna. Wspaniałe kostiumy, jak słyszałem.

Pokręciła głową. Nie miała nastroju do słuchania opery. Nie cierpiała Foxtona i wolałaby poczuć pełną moc akceleracji niż przeżyć „Ashanti!". Wzięła taśmę Isham odruchowo, jako najmniejsze zło.

Steward sprawdził pasy i wręczył małą jednorazową tiarę z szarego plastiku. Potem odszedł. Umocowała plastikowe trody, włączyła kabel do gniazda w poręczy fotela, westchnęła i wcisnęła kasetę do szczeliny obok gniazda. Wnętrze promu JAL zniknęło w rozbłysku egejskiego błękitu; słowa WYŻSZE SFERY TALLY ISHAM rosły na bezchmurnym niebie w eleganckich, bezszeryfowych wersalikach.

Odkąd Marly sięgała pamięcią, Tally Isham była stałym elementem przemysłu stymowego: nie mająca wieku Złota Dziewczyna, która pojawiła się wraz z pierwszą falą nowego medium. I teraz Marly zajęła jej opalone, zwinne, niesłychanie… wygodne ciało. Tally Isham lśniła, oddychała głęboko i swobodnie, jej eleganckie kości poruszały się w objęciach muskulatury, która chyba nigdy nie poznała napięcia. Wejście w jej stym było jak zanurzenie w kąpieli idealnego zdrowia: czuła sprężystość stóp gwiazdy, jej piersi ocierające się o jedwabiście gładką egipską bawełnę prostej bluzki. Opierała się o białą balustradę ponad maleńkim portem na greckiej wysepce; w dole kwitnące drzewa porastały kaskadami zbocze wzgórza zabudowane bielonym kamieniem i wąskimi, krętymi schodami. Z portu dobiegł głos syreny.

— Turyści spiesznie wracają na spacerowy statek — powiedziała Tally i uśmiechnęła się. Marly poczuła gładkość białych zębów gwiazdy, a kamienna balustrada przyjemnie chłodziła nagie przedramiona. — Ale jeden z gości zostanie dzisiaj z nami. To ktoś,

kogo od dawna chciałam poznać i jestem pewna, że wy także będziecie zachwyceni… I zdumieni, gdyż zwykle unika mediów.

Wyprostowała się, odwróciła i uśmiechnęła do opalonego, również uśmiechniętego Josefa Vireka…

Marly zerwała z czoła trody; biały plastik ścian promu zaskoczył na miejsce. Na konsoli nad głową mrugały ostrzegawcze napisy, czuła coraz silniejszą wibrację…

Virek? Spojrzała na trody.

— No tak… — stwierdziła. — Rzeczywiście należy pan do wyższych sfer…

— Przepraszam panią? — Siedzący obok japoński student podskoczył w pasach, dziwacznie aproksymując ukłon. — Czyżby miała pani jakieś kłopoty ze swoim stymem?

— Nie, nie. Proszę wybaczyć.

Umocowała trody i wnętrze promu rozpłynęło się w brzęczeniu sensorycznych zakłóceń, w ostrej mieszaninie wrażeń, która nagle ustąpiła miejsca chłodnej gracji Tally Isham trzymającej dłoń Vireka i uśmiechającej się, patrzącej w jego spokojne niebieskie oczy. Virek odpowiedział uśmiechem; zęby miał bardzo białe.

— Cieszę się, że jestem z tobą, Tally — powiedział. Marly pozwoliła sobie zatonąć w rzeczywistości taśmy, akceptując wrażenia zmysłowe Tally. Zwykle unikała stymu jako środka przekazu: coś w niej nie godziło się na niezbędną dozę bierności.

Virek miał na sobie białą koszulę, podwinięte prawie do kolan wąskie spodnie i całkiem zwykłe brązowe sandały. Wciąż trzymając go za rękę, Tally wróciła do balustrady.

— Jestem przekonana — powiedziała — że nasza publiczność ma wiele pytań, które…

Morze zniknęło. Nieregularna płaszczyzna pokryta podobnymi do mchu zielono-czarnymi porostami rozciągnęła się aż po horyzont, przełamany sylwetkami neogotyckich iglic Gaudiego w kościele Sagrada Familia. Kraniec świata przesłaniała błyszcząca mgiełka, a nad równiną niósł się dźwięk jakby zatopionych dzwonów.

— Dzisiaj masz jednoosobową publiczność — oświadczył Virek, patrząc na Tally Isham przez swoje okrągłe szkła bez oprawek. — Witaj, Marly.

Marly spróbowała sięgnąć do trod, ale ręce miała jak głazy. Przeciążenie… Prom startuje z betonowej płyty… Uwięził ją tutaj…

— Rozumiem. — Tally z uśmiechem oparła się o balustradę. — Cóż za cudowny pomysł. Pańska Marly, Herr Virek, musi być szczęśliwą dziewczyną…

I wtedy przyszło jej — Marly — do głowy, że to nie Tally Isham Sense/Netu, ale część konstruktu Vireka, zaprogramowany punkt widzenia opracowany na podstawie „Wyższych sfer”. Nie miała już

wyboru, nie miała wyjścia, musiała się pogodzić, ustąpić, wysłuchać Vireka. Fakt, że schwytał ją tutaj, uwięził w taki sposób, dowodził, że intuicja jej nie zawodziła: maszyneria, struktura, istniała naprawdę, była realna. Pieniądze Vireka działały niczym uniwersalny rozpuszczalnik: kiedy tylko zechciał, usuwały wszelkie przeszkody.

— Z przykrością dowiedziałem się, że jesteś poruszona — rzekł. — Paco sądzi, że uciekasz przed nami, ja jednak wolę w tym widzieć pęd artysty do bliskiego już celu. Wyczułaś, jak przypuszczam, pewne fragmenty mojej natury i to cię przeraziło. I słusznie. Tę kasetę przygotowano na godzinę przed planowanym startem promu z Orly. Wiemy, naturalnie, dokąd zmierzasz, nie mamy jednak zamiaru cię ścigać. Wykonujesz swoje zadanie, Marly. Żałuję tylko, że nie zdołaliśmy zapobiec śmierci twojego przyjaciela Alaina. Ale znamy już tożsamość zabójców i ich pracodawców…

Oczy Tally Isham były teraz oczami Marly i wpatrywały się w Vireka, w błękitną energię płonącą w jego spojrzeniu.

— Alaina zamordowali ludzie wynajęci przez Maas Biolabs — mówił dalej. — I to Maas dostarczył mu współrzędnych celu twojej obecnej podróży, a także dał hologram, który Alain ci pokazał. Moje stosunki z Maas Biolabs są dwuznaczne, mówiąc delikatnie. Dwa lata temu mój przedstawiciel próbował ich wykupić. W grę wchodziła suma, która wpłynęłaby na ekonomię świata. Odmówili. Paco ustalił, że Alain zginął, gdyż próbował sprzedać uzyskaną od nich informację, sprzedać ją osobom trzecim… — Zmarszczył brwi. — Niezwykle głupie posunięcie, jako że nie miał pojęcia, czym tak naprawdę jest oferowany produkt…

Jakie to podobne do Alaina, pomyślała ogarnięta litością. Widziała go zwiniętego na tym obrzydliwym dywanie, z kręgosłupem zarysowanym pod zielonym materiałem kurtki…

— Powinnaś chyba wiedzieć, Marly, że w moich poszukiwaniach twórcy pudełek chodzi nie tylko o sztukę. — Zdjął okulary i przetarł je połą koszuli. Wykalkulowane człowieczeństwo tego gestu wydawało jej się nieprzyzwoite. — Mam powody by sądzić, że twórca tych obiektów może ofiarować mi wolność. Widzisz, Marly, z moim zdrowiem nie jest najlepiej. — Włożył okulary na nos i dopasował starannie. — Kiedy ostatni raz zażądałem zdalnej wizji pojemnika, w którym spoczywam w Sztokholmie, pokazano mi maszynerię jak trzy naczepy samochodowe, oplatane siecią kabli zasilających… Gdybym mógł się stamtąd wyrwać, Marly, a raczej wyrwać się tej rebelii komórek, jakie się tam mieszczą… Jak sądzisz? — Znowu zaprezentował swój słynny uśmiech. — Ile bym zapłacił?

A oczy Tally-Marly objęły równinę ciemnego mchu i dalekie wieże przeniesionej katedry…

— Straciła pani przytomność — mówił steward. Palce masowały jej kark. — Zdarza się to dość często, nasze pokładowe komputery medyczne potwierdzają, że nic pani nie dolega. Pozwoliłem sobie jednak zaaplikować pani dermadysk, przeciwdziałający syndromowi adaptacyjnemu, jakiego może pani doświadczyć przed dokowaniem.

Cofnął lewą dłoń z jej szyi.

— Europa po deszczach — odparła. — Max Ernst. Mech… Mężczyzna przyjrzał się jej, zaniepokojony teraz, z wyrazem profesjonalnej troski.

— Słucham? Mogłaby pani powtórzyć?

— Przepraszam. Miałam sen. Czy już jesteśmy w terminalu?

— Jeszcze godzina.

Terminal orbitalny Japan Air był białym toroidem porośniętym kopułami, z ciemnymi owalnymi otworami doków na obwodzie. Monitor nad uprzężą Marly — choć słowo „nad" chwilowo straciło sens — poinformował, że dokowanie promu JAL, lot 580 z Orly do Terminusa I, nastąpi, gdy tylko będzie to możliwe. Pasażerów przeprasza się za opóźnienie, spowodowane rutynowymi naprawami siedmiu z dwunastu doków…

Marly kuliła się w uprzęży anty-g, wszędzie już teraz widząc niewidzialną rękę Vireka. Nie, pomyślała, musi być jakiś sposób. Chcę się wyrwać, powtarzała, chcę kilku godzin swobody, a potem skończę z nim… Zegnam, Herr Virek, wracam do krainy żywych, co dla biednego Alaina nie jest już możliwe. Alaina, który zginął, ponieważ przyjęłam pracę u pana. Zamrugała, gdy spłynęła jej pierwsza łza, a potem, jak dziecko szeroko otwierając oczy, patrzyła na maleńką płynącą w powietrzu kulkę, którą ta łza się stała…

Maas… Co to za jedni, zastanowiła się. Virek twierdził, że zamordowali Alaina, zatem Alain dla nich pracował. Niejasno przypominała sobie artykuły w mediach, coś o nowej generacji komputerów, o jakimś złowieszczym procesie, w którym nieśmiertelne zrakowaciałe hybrydy tkanek wypluwały spreparowane molekuły będące elementami obwodów. Przypomniała sobie, jak Paco stwierdził, że ekran w jego telefonie jest produktem Maasa…

Wnętrze toroidu JAL było tak nieciekawe, tak zwyczajne, tak podobne do każdego zatłoczonego budynku lotniska, że miała ochotę wybuchnąć śmiechem. W klimatyzowanym powietrzu unosił się zapach perfum, ludzkiego napięcia, w tle rozmowy zlewały się w jednostajny szum. Gdyby zabrała walizkę, niosłaby ją bez trudu przy ciążeniu ośmiu dziesiątych ziemskiego, ale miała tylko swoją czarną torebkę. Z wewnętrznej zapinanej kieszonki wyjęła bilety i porównała numer promu połączeniowego z kolumnami cyfr wyświetlonych na najbliższym ściennym ekranie.

Dwie godziny do startu. Cokolwiek mówił Virek, Marly była pewna, że jego maszyneria już pracuje, przenika do załogi promu albo na listę pasażerów, smarując te zastępstwa warstwą pieniędzy… W ostatniej chwili ktoś zachoruje, zmieni plany, ulegnie wypadkowi…

Zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła przed siebie po wklęsłej podłodze z białej ceramiki — całkiem jakby wiedziała, dokąd idzie, jakby miała już plan. Ale wiedziała tylko, z każdym krokiem coraz lepiej, że go nie ma.

Prześladowały ją łagodne błękitne oczy.

— Niech cię szlag trafi — powiedziała.

Tęgi rosyjski biznesmen w ciemnym garniturze od Ginza parsknął niechętnie i uniósł faks wiadomości, usuwając ją ze swojego świata.

— Więc mówię tej dziwce, rozumiesz: załadujesz optoizolatory i bezpieczniki na „Sweet Jane", bo jak nie, to przykleję ci tyłek do wręgi pastą do uszczelek…

Głośny damski śmiech sprawił, że Marly podniosła głowę znad tacki z sushi. Trzy kobiety siedziały o dwa puste stoliki od niej, przy blacie zastawionym puszkami piwa i stosami styropianowych tacek zasmarowanych brązowym sosem sojowym. Jedna z nich czknęła głośno i pociągnęła z puszki.

— I jak to przyjęła, Rez?

Stało się to sygnałem do kolejnego, jeszcze głośniejszego wybuchu śmiechu; kobieta, która pierwsza zwróciła uwagę Marly, oparła głowę na rękach i chichotała, aż trzęsły się jej ramiona. Marly patrzyła na nie, zastanawiając się, kim są. Śmiech ucichł i pierwsza z kobiet wyprostowała się, przecierając załzawione oczy. Wszystkie są pijane, uznała Marly, młode, hałaśliwe i szorstkie.

Pierwsza była drobna, z twarzą o ostrych rysach i dużych szarych oczach nad prostym nosem. Włosy w jakimś niemożliwym odcieniu srebra miała ścięte krótko jak uczniak. Nosiła za wielką płócienną kamizelkę czy kurtkę bez rękawów, całkowicie pokrytą wypchanymi kieszeniami, guzikami i prostokątnymi paskami rzepów. Kamizelka była rozpięta i Marly widziała niewielką krągłą pierś w czymś, co wyglądało na stanik z drobnej różowoczarnej koronki. Pozostałe dwie kobiety wydawały się starsze, cięższe, mięśnie na ich nagich ramionach rysowały się ostro w padającym na pozór zewsząd świetle kafeterii terminalu.

Pierwsza kobieta wzruszyła ramionami pod wielką kamizelką.

— Nie znaczy, że to zrobi — stwierdziła.

Druga zaśmiała się znowu, choć już nie tak serdecznie, i zerknęła na chronometr umocowany na szerokiej skórzanej bransolecie.

— Muszę lecieć — oznajmiła. — Mam rejs na Syjon, potem osiem pojemników alg dla Szwedów.

Odsunęła krzesło i wstała, a Marly odczytała napis wyszyty na plecach czarnej skórzanej kamizelki.

O'GRADY-WAJIMA

THE EDITH S.

TRANSPORT INTERORBITALNY

Druga kobieta także wstała i podciągnęła workowate dżinsy.

— Powiem ci, Rez, że stracisz dobre imię, jeśli pozwolisz tej cipce wykiwać się na bezpiecznikach.

— Przepraszam — wtrąciła Marly, z trudem panując nad drżeniem w głosie.

Kobieta w czarnej kamizelce obejrzała się.

— Tak?

Bez uśmiechu zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

— Zobaczyłam pani kamizelkę, nazwę Edith S., to statek, prawda? Statek kosmiczny?

— Statek kosmiczny? — Kobieta obok uniosła gęste brwi. — O tak, kochana, całkiem solidny statek.

— To holownik — oznajmiła kobieta w czarnej kamizelce i odwróciła się w stronę wyjścia.

— Chcę panią wynająć — wyrzuciła Marly.

— Mnie wynająć? — Teraz patrzyły już na nią wszystkie, zdziwione i poważne. — To znaczy, jak?

Marly sięgnęła w głąb brukselskiej torebki i wyjęła połowę pliku nowych jenów, które zwrócił jej Paleologos, kiedy pobrał już swoją zapłatę.

— Dam pani to…

Dziewczyna o krótkich srebrzystych włosach gwizdnęła cicho. Kobiety spojrzały po sobie. Ta w czarnej kamizelce wzruszyła ramionami.

— Jezu… — mruknęła. — A gdzie chcesz lecieć, dziecinko? Na Marsa?

Marly znów sięgnęła do torebki i odszukała złożone opakowanie gauloise'ów. Wręczyła je kobiecie w czarnej kamizelce. Ta rozwinęła papier i odczytała współrzędne orbitalne, jakie Alain wypisał zielonym mazakiem.

— No tak… — mruknęła. — To szybki skok za takie pieniądze.

Ale O'Grady i ja mamy być w Syjonie o 23.00 GMT. Kontrakt. Może ty, Rez?

Oddała papier siedzącej dziewczynie. Ta przeczytała, spojrzała na Marly i zapytała krótko:

— Kiedy?

— Teraz — odparła Marly. — Natychmiast.

Dziewczyna odsunęła się; nogi krzesła zgrzytnęły na ceramicznej podłodze, kamizelka rozsunęła się ukazując, że to, co Marly wzięła za koronkowy różowo-czarny stanik, było wytatuowaną na lewej piersi różą.

— Wchodzę w to, siostro. Szmal na stół.

— To znaczy, że masz jej teraz dać pieniądze — wyjaśniła O'Grady.

— Nie chcę, żeby ktoś wiedział, gdzie lecimy — zastrzegła Marly.

Trzy kobiety roześmiały się.

— Trafiłaś na odpowiednią dziewczynę — stwierdziła O'Grady, a Rez wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

ROZDZIAŁ 24
ATAK NA WPROST

Deszcz lunął, kiedy znów skręcili na wschód, w stronę przedmieść Ciągu i pierścienia zdewastowanych stref przemysłowych. Chlusnął jak ściana wody i oślepił do czasu, kiedy Turner nie odszukał włącznika wycieraczek. Rudy nie dbał o pióra, więc musiał zwolnić — wycie turbiny przeszło w niski huk — i wyhamował na poboczu. Fartuch przesuwał się po strzępach pociętych opon ciężarówek.

— Co się stało?

— Nie widzę. Wycieraczki całkiem sparciały. — Wcisnął przełącznik świateł i z obu stron klinowej maski poduszkowca strzeliły cztery wąskie promienie, by rozproszyć się w szarej ścianie ulewy. Pokręcił głową.

— Dlaczego się nie zatrzymamy?

— Jesteśmy za blisko Ciągu. Patrolują tu wszystko. Śmigłowce. Przeskanują panel ID na dachu i zobaczą, że mamy rejestrację z Ohio i nietypową konfigurację karoserii. Może spróbują nas sprawdzić, a tego byśmy nie chcieli.

— I co pan teraz zrobi?

— Będę się trzymał pobocza, póki nie uda się gdzieś skręcić, a potem znajdę jakąś kryjówkę, jeśli zdołam…

Zatrzymał poduszkowiec i obrócił go w miejscu; światła błysnęły na ukośnych odblaskowych pasach słupka oznaczającego drogę serwisową. Ruszył w tamtą stronę; nadęta poduszka fartucha wygięła się na grubym, prostokątnym bloku betonowej balustrady.

— Może to wystarczy — powiedział mijając słupek.

Droga serwisowa była trochę za wąska; gałęzie i krzaki drapały o wąskie boczne okna, skrobały o stalowe burty pojazdu.

— Widzę jakieś światła — zawołała Angie, napinając uprząż, by zbliżyć twarz do przedniej szyby.

Turner dostrzegł rozmyte żółte lśnienie i dwa ciemne pionowe kształty. Roześmiał się.

— To stacja benzynowa. Pozostała po starym systemie, zanim jeszcze puścili tędy autostradę. Ktoś musi tu mieszkać… — Skierował poduszkowiec na żwirowy nasyp; z dwóch prostokątnych okien padał żółty blask. Miał wrażenie, że w jednym z nich poruszyła się jakaś postać. — Wieś — powiedział. — Ci chłopcy mogą się nie ucieszyć z naszej wizyty.

Sięgnął pod parkę, wyjął Smith Wessona z nylonowej kabury i położył na fotelu między nogami. Usadził poduszkowiec w kałuży o pięć metrów od zardzewiałych pomp. Wyłączył turbinę. Deszcz padał

falami; Turner zauważył człowieka z oliwkowym poncho, wysuwającego się przez drzwi stacji. Uchylił boczne okienko na jakieś dziesięć centymetrów i zawołał, przekrzykując szum ulewy:

— Przepraszam, że przeszkadzamy! Musieliśmy zjechać z drogi! Wycieraczki mamy do niczego! Nie wiedzieliśmy, że kogoś tu spotkamy…

Widoczny w padającym z okien świetle mężczyzna chował ręce pod plastikowym poncho, jednak było jasne, że coś w nich trzyma.

— Teren prywatny — oznajmił; deszcz spływał mu po twarzy.

— Nie mogłem zostać na drodze! — krzyknął Turner. — Przepraszam…

Mężczyzna otworzył usta, spróbował machnąć ukrytym pod poncho przedmiotem i nagle głowa mu eksplodowała. Turner miał niemal wrażenie, że nastąpiło to, zanim jeszcze dotknęła go czerwona linia światła: promień grubości ołówka przesuwający się beztrosko, jakby ktoś bawił się latarką. Zobaczył rozprysk czerwieni spłukanej szybko deszczem, gdy mężczyzna osunął się na kolana i upadł na twarz; spod poncho wysunął się Savage 410 ze składaną kolbą.

Turner działał odruchowo; zorientował się nagle, że uruchomił turbinę, przesunął sterownik do Angie i wyplątał się z uprzęży.

— Powiem: jedź, to ruszysz prosto na stację…

A potem już stał z ciężkim rewolwerem w dłoni. Szarpnął dźwignię włazu na dachu. Gdy tylko odrzucił luk, dobiegł go ryk czarnej hondy: niski cień nad głową, ledwie widoczny wśród strumieni wody.

— Jedź!

Nacisnął spust, zanim zdążyła wbić pojazd w ścianę stacji; pchnięty odrzutem łokieć trafił w krawędź dachu kabiny. Pocisk eksplodował nad głową z zadowalającym trzaskiem; Angie pchnęła pedał gazu i przebili się przez drewnianą konstrukcję; ledwie zdążył schować do włazu głowę i ramiona. W budynku coś wybuchło, zapewne butla z propanem, i poduszkowiec zniosło na lewo.

Angie zawróciła w miejscu, kiedy tylko przebili tylną ścianę.

— Gdzie? — wrzasnęła, przekrzykując turbinę.

Jakby w odpowiedzi, honda opadła korkociągiem na ziemię, wyrzucając srebrzystą kurtynę deszczu. Turner chwycił kierownicę i ruszyli do przodu; poduszkowiec wyrzucał dziesięciometrowe odkosy wody; uderzyli mały śmigłowiec prostopadle w polikarbonową kabinę i duralowy kadłub zmiął się pod naciskiem jak papier. Turner cofnął i uderzył znowu, mocniej. Tym razem połamany śmigłowiec trafił na pnie dwóch szarych, mokrych sosen i spoczął między nimi jak długoskrzydła mucha.

— Co się stało? — Angie zakryła dłońmi twarz. — Co się stało? Turner wyrzucił ze skrytki dokumety rejestracyjne i zakurzone

słoneczne okulary, znalazł latarkę, sprawdził baterie.

— Co się stało? — powtórzyła Angie jak zepsuta taśma. — Co się stało?

Wyszedł przez luk z pistoletem w jednej i latarką w drugiej ręce. Deszcz trochę ustał. Zeskoczył na maskę poduszkowca, potem na zderzaki i w kałuży po kostki brnął w stronę pogiętych czarnych wirników hondy.

Cuchnęło paliwem lotniczym. Polikarbonowa osłona kabiny pękła jak skorupka jaja. Wymierzył Smith Wessona i dwa razy błysnął ksenonowym reflektorem; dwie bezgłośne eksplozje ostrego światła ukazały mu krew i bezwładne kończyny za strzaskanym plastikiem. Odczekał, potem zapalił latarkę. Dwaj ludzie. Podszedł bliżej, trzymając latarkę z daleka od tułowia… stare przyzwyczajenie. Panował całkowity bezruch. Zapach benzyny był coraz silniejszy. Szarpnął pogięte drzwiczki. Ustąpiły. Obaj nosili gogle wzmacniaczy wizji. Okrągłe, czarne oko lasera wpatrywało się w noc, gdy sięgał do zlepionego kołnierza futrzanej lotniczej kurtki trupa. Krew, która pokrywała brodę mężczyzny, wydawała się ciemna, niemal czarna w świetle latarki. To był Oakey. Poświecił w bok i zobaczył, że drugi z mężczyzn, pilot, był Japończykiem. Rozejrzał się i znalazł obok stopy Oakeya czarną, płaską butelkę. Wsunął ją do kieszeni parki i biegiem wrócił do poduszkowca. Mimo deszczu, pomarańczowe płomienie lizały już ruiny stacji benzynowej. Wspiął się na zderzak, potem na maskę, jeszcze wyżej, wreszcie przez właz opuścił się na dół.

— Co się stało? — spytała Angie, jakby w ogóle nie wychodził. — Co się stało?

Opadł na fotel i nie przejmując się uprzężą uruchomi! turbinę.

— To śmigłowiec Hosaki — wyjaśnił, robiąc zwrot w miejscu. — Musieli nas śledzić. Mieli laser. Czekali, aż zjedziemy z autostrady. Nie chcieli nas zostawiać w miejscu, gdzie gliny bez trudu by nas znalazły. Kiedy zatrzymaliśmy się tutaj, postanowili zaatakować. Pewnie uznali, że ten nieszczęsny sukinsyn jest z nami. A może po prostu zlikwidowali świadka…

— Jego głowa — powiedziała. Głos jej drżał. — Jego głowa…

— To laser. — Turner ruszył z powrotem drogą serwisową. Deszcz przechodził; już prawie nie padało. — Para. Mózg się gotuje i para rozsadza czaszkę…

Angie zgięła się wpół i zwymiotowała. Turner kierował jedną ręką, w drugiej trzymał flaszkę Oakeya. Zębami ściągnął kapsel i pociągnął solidny łyk Wild Turkey.

Kiedy znaleźli się na poboczu autostrady, paliwo hondy dotarło do płomieni zrujnowanej stacji i kula wybuchu raz jeszcze ukazała Turnerowi parking, blask flar na spadochronach, niebo bielejące za harrierem mknącym ku granicy Sonory.

Angie wyprostowała się, grzbietem dłoni otarła wargi i zadrżała.

— Musimy stąd zniknąć — powiedział, ruszając znowu na wschód.

Milczała. Zerknął w bok i zobaczył, że siedzi sztywno wyprostowana, oczy błyszczą białkami w słabym świetle wskaźników, twarz majak martwą. Taką ją widział w sypialni Rudy'ego, kiedy Sally ich zawołała, I teraz wylała z siebie taki sam potok słów w obcym języku, cichy szybki bełkot, który mógłby być jakąś francuską gwarą. Nie miał rejestratora, nie miał czasu, musiał prowadzić.

— Trzymaj się — powiedział przyspieszając. — Wszystko będzie dobrze…

Oczywiście nie mogła go słyszeć. Szczękała zębami — słyszał to mimo wycia turbiny. Zatrzymać, pomyślał. Choćby na moment, żeby wsadzić jej coś między zęby: portfel albo kawałek szmaty. Rozpaczliwie szarpała palcami uprząż.

— W moim domu jest chore dziecko.

Poduszkowiec niemal zjechał z jezdni, kiedy Turner usłyszał głos wydobywający się z jej ust: niski, powolny, jakby dziwnie lepki.

— Słyszę już, jak toczą się kości w grze o jej pokrwawioną suknię. Wiele rąk kopie jej dzisiaj grób i twoje między nimi. Wrogowie modlą się o twoją śmierć, najemniku. Modlą się do siódmych potów. Ich modlitwy są rzeką szaleństwa.

A potem głuche krakanie, które mogło być śmiechem.

Turner zaryzykował spojrzenie, dostrzegł srebrzystą strużkę śliny ściekającą z jej sztywnych warg. Mięśnie twarzy ściągnęły się w maskę, jakiej nie znał.

— Kim jesteś?

— Jestem Panem Dróg.

— Czego chcesz?

— Tego dziecka na mojego wierzchowca, by mogła wędrować między miastami ludzi. Dobrze, że jedziesz na wschód. Zabierz ją do swojego miasta. Dosiądę jej znowu. Samedi jedzie wraz z tobą, wojowniku. Jest wiatrem, który trzymasz w dłoniach. Ale Pan Cmentarzy jest kapryśny, chociaż służyłeś mu dobrze…

Odwrócił głowę i zdążył jeszcze zobaczyć, jak osuwa się bezwładnie, jak opada jej głowa i zamykają się usta.

ROZDZIAŁ 25
KASUAL/GOTHIK

— Tu program telefoniczny Finna — odezwał się głośnik pod ekranem. — Finna nie ma. Chcesz coś ściągnąć, to znasz już kod dostępu. Chcesz zostawić wiadomość, to zostaw.

Bobby wpatrywał się w obraz na ekranie i wolno kręcił głową. Większość programów telefonicznych dysponowała procedurami kosmetycznymi, mającymi doprowadzić wizerunek właściciela do większej zgodności z co bardziej popularnymi paradygmatami osobistej urody: usuwały skazy i subtelnie modelowały rysy twarzy, by zbliżyć ją do wyidealizowanych norm statystycznych. Efekt działania takiej procedury na groteskowym obliczu Finna był najdziwaczniejszą rzeczą, jaką Bobby w życiu oglądał: jakby ktoś wziął się za pyszczek zdechłego susła z pełnym asortymentem kredek i zastrzyków parafiny, stosowanych przez zakłady pogrzebowe.

— To nienaturalne — oświadczył Jammer, sączący wolno scotcha.

Bobby przytaknął.

— Finn — stwierdził Jammer — jest agorafobem. Dostaje dreszczy, kiedy musi wyjść z tego swojego śmietnika. Poza tym to telefoniczny narkoman: jeśli siedzi u siebie, to nie może nie odebrać. Zaczynam sądzić, że ta dziwka miała rację. Lucas nie żyje i dzieje się coś paskudnego…

— Ta dziwka wie — wtrąciła Jackie zza baru.

— Wie… — Jammer odstawił plastikową szklankę i dotknął tasiemki na szyi. — Wie. Pogadała z hoodoo w matrycy i teraz wie.

— Lucas nie odpowiada i Beauvoir nie odpowiada, więc może ma rację. — Bobby wyłączył telefon, gdy zapiszczał sygnał zapisu.

Jammer założył pikowaną koszulę, białą wieczorową marynarkę i czarne spodnie z atłasowymi pasami na nogawkach. Bobby uznał, że to pewnie roboczy kostium właściciela nocnego klubu.

— Nikogo nie ma — zauważył Jammer, spoglądając to na Bobby'ego, to na Jackie. — Gdzie Bogue i Sharkey? Gdzie kelnerki?

— Kto to są Bogue i Sharkey? — zdziwił się Bobby.

— Barmani. Nie podoba mi się to. — Jammer wstał z krzesła, podszedł do drzwi i ostrożnie odsunął na bok kotarę. — Co, do cholery, robią tutaj te dupki? Hej, Graf, to wygląda na twoje towarzystwo. Podejdź tu…

Bobby wstał, pełen złych obaw. Nie miał ochoty opowiadać Jackie i Jammerowi, że pozwolił się zobaczyć Leonowi. Nie chciał wyjść na wilsona. Podszedł niepewnie do drzwi.

— No już. Wyjrzyj. Tylko żeby cię nie zobaczyli. Tak bardzo

udają, że na nas nie patrzą, że człowiek czuje to nosem.

Bobby odsunął kotarę — bardzo ostrożnie, żeby szczelina nie była szersza niż centymetr — i spojrzał. Tłumy kupujących zniknęły, niemal całkowicie zastąpione przez Gothików z czarnymi czubami, w nabijanych ćwiekami skórach oraz — zadziwiające — równą liczbę blond Kasuali, wystrojonych w aktualne na ten tydzień garnitury z Shinjuku i białe trzewiki ze złotymi klamrami.

— Sam nie wiem… — spojrzał niepewnie na Jammera. — Nie powinni tu być razem. To Kasuale i Gothicy, naturalni wrogowie. Mają to w DNA czy gdzieś… — Zerknął jeszcze raz. — Rany boskie, jest ich tam chyba setka!

Jammer wbił ręce w kieszenie spodni z lampasami.

— Znasz kogoś z nich osobiście?

— Gothików paru znam, rozmawiam z nimi. Tyle że ciężko ich odróżnić. Kasuale kasują wszystko, co nie jest Kasualem. Głównie tym się zajmują. Ale mnie pocięli Lobowie, a Lobowie mają podobno układ z Gothikami, więc kto wie…

Jammer westchnął.

— Zgaduję więc, że nie miałbyś ochoty przejść się do nich i zapytać, czego tu szukają?

— Nie — odparł szczerze Bobby. — Nie miałbym.

— Hmm… — Jammer przyjrzał mu się badawczo, w sposób, jaki Bobby'emu stanowczo się nie podobał.

Coś małego i twardego spadło z wysokiego czarnego sufitu i stuknęło głośno w okrągły czarny stolik. Odbiło się na dywan, potoczyło i zatrzymało między czubkami nowych butów Bobby'ego. Pochylił się odruchowo: staromodna śrubka ze szczeliną w łebku, z gwintem brązowym od rdzy i pomazana czarną lateksową farbą. Podniósł głowę w chwili, gdy o stolik uderzyła druga; kątem oka dostrzegł, jak niepokojąco zwinny Jammer przeskakuje bar obok jednostki kredytowej. Jammer zniknął, rozległ się głos darcia — to rzep — i Bobby wiedział, że właściciel lokalu trzyma już w ręku automatyczny pistolet. Rozejrzał się, ale nie zauważył Jackie.

Upadek trzeciej śrubki na fornir blatu zabrzmiał jak wybuch.

Bobby zawahał się, ale natychmiast poszedł za przykładem Jackie poruszając się możliwie najciszej. Przykucnął pod jednym z drewnianych parawanów i patrzył, jak spada czwarta śrubka, a po niej wąska kaskada drobnego czarnego pyłu. Coś zazgrzytało i kwadratowa płyta w suficie zniknęła nagle, wciągnięta do jakiegoś kanału. Zerknął szybko na bar i zobaczył pękaty kompensator odrzutu na podnoszącej się lufie pistoletu Jammera…

Z otworu zwisała teraz para szczupłych brązowych nóg i skraj szarego, przybrudzonego kurzem materiału.

— Stój, to Beauvoir!

— Pewnie że Beauvoir — dobiegł głos z góry, odbijający się głuchym echem w przewodzie wentylacyjnym. — Usuńcie mi z drogi ten pieprzony stolik!

Bobby wybiegł zza parawanu, odsunął na bok stolik i krzesła.

— Łap to — nakazał Beauvoir i spuścił wypchany oliwkowy plecak. Jego ciężar niemal powalił Bobby'ego na podłogę. — A teraz odsuń się.

Opuścił się z przewodu, przez moment zawisł na obu rękach i zeskoczył.

— Co się stało z brzęczykiem, który miałem na górze? — zapytał Jammer wstając zza baru z bronią w ręku.

— Jest tutaj — odparł Beauvoir, rzucając na dywan matowy szary walec żywicy fenolowej. Był owinięty cienkim czarnym drutem. — Inaczej nie mógłbym się tu dostać tak, żeby o tym nie wiedziała ta regularna armia gówniarzy. Ktoś dał im chyba plany budynku, ale pominął to przejście.

— A jak wszedłeś na dach? — spytała Jackie, wychodząc zza parawanu.

— Nie wchodziłem. — Beauvoir poprawił na nosie swoje plastikowe ramki. — Z wieżowca obok wystrzeliłem linkę monomolu i przejechałem na ceramicznej rolce… — Krótkie kędzierzawe włosy miał przyprószone sadzą. Spojrzał posępnie na Jackie. — Już wiesz…

— Tak. Legba i Papa Ougou, w matrycy. Włączyłam się z Bobbym z deku Jammera.

— Rozwalili ahmeda na autostradzie Jersey. Użyli chyba tej samej wyrzutni co przy staruszce Bobby'ego…

— Kto?

— Wciąż nie mamy pewności. — Beawoir uklęknął przy plecaku i otworzył plastikowe klamry. — Ale sprawy zaczynają się klarować… Zanim się dowiedziałem, że uderzyli w Lucasa, ścigałem tych dwóch Lobów, którzy napadli Bobby'ego i zwinęli dek. To był prawdopodobnie przypadek, robota jak każda, ale to znaczy, że gdzieś tam biega dwóch Lobów z naszym lodołamaczem… Co daje pewne możliwości, bo Lobowie to szpanerzy, przynajmniej niektórzy, i robią interesy z Dwadziennie. No więc Dwadziennie i ja szperaliśmy tam i próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć. Wszystko na nic, jak się okazało… Ale kiedy rozmawialiśmy z takim ćpunem imieniem Alix, który jest drugim zastępcą wodza czy czymś w tym rodzaju, dostał telefon od swojego odpowiednika, w którym Dwadziennie rozpoznał Gothika z Barrytown, niejakiego Raymonda.

Mówiąc wypakowywał plecak, układał na podłodze broń, amunicję, narzędzia, zwoje drutu.

— Raymond koniecznie chciał pogadać, ale Alix to ważniak, nie życzył sobie rozmawiać przy nas. „Przepraszam, panowie, ale to

oficjalne interesy wodzów" powiada do nas ten szczeniak, więc nie, przepraszamy uprzejmie, dygamy, kłaniamy się i znikamy za rogiem. Przez komórkę Dwadziennie dzwonimy do naszych kowbojów w Ciągu i napuszczamy ich na telefon Alixa, byle szybko. A oni wchodzą w tę rozmowę z Raymondem jak drut w ser.

Wyjął krótką strzelbę, dwunastkę niewiele dłuższą od jego przedramienia, z kolekcji rozłożonej na dywanie wybrał pękaty bębnowy magazynek i połączył je razem.

— Widzieliście kiedy taką maszynę? Południowoafrykańska, jeszcze sprzed wojny…

Coś w głosie, w ustawieniu podbródka, nagle uświadomiło Bobby'emu jego powstrzymywaną furię.

— Wyszło na to, że jakiś facet nawiązał kontakt z Raymondem… facet z dużym szmalem… i chciał od zaraz wynająć Gothików, wszystkich, cały aparat. Mieli jechać do Ciągu i zrobić tu numer, prawdziwą masową scenę. Ten facet chciał mieć duży tłum, tak duży, że postanowił wynająć też Kasuali. Wtedy sprawa się sypnęła, bo ten Alix jest tak jakby konserwatystą. Jedyny dobry Kasual to martwy Kasual, a i to najlepiej po x godzinach tortur i tak dalej. „Pieprz to" tłumaczy mu Raymond, jak zawsze dyplomata. „Tu chodzi o ciężką forsę, o korporacje…"

Otworzył pudełko jakichś dużych naboi i zaczął je kolejno ładować do magazynka.

— Mogłem się wynieść, ale ostatnio ciągle oglądałem na wideo typów z biura prasowego Maas Biolabs. Coś bardzo dziwnego zdarzyło się na ich terenie w Arizonie. Niektórzy twierdzą, że to pocisk jądrowy, niektórzy że coś innego. A teraz mówią jeszcze, że ich człowiek od biosoftów nie żyje; zginął w czymś, co nazwali „nie powiązanym wypadkiem". To Mitchell, facet który praktycznie wynalazł ten towar. Jak dotąd nikt inny nawet nie udaje, że potrafi wyprodukować biochipy… Dlatego Lucas i ja od początku założyliśmy, że Maas zrobił ten lodołamacz… Jeśli to był lodołamacz. Tyle że nie mieliśmy pojęcia, skąd się wziął u Finna, ani skąd tamci go wzięli. Ale jeśli poskładać wszystko do kupy, wygląda, że Maas Biolabs postanowiły nas ugotować. I pewnie to zrobią, bo mają nas w garści.

— No, nie wiem — wtrącił Jammer. — Mamy w tym budynku wielu przyjaciół…

— Mieliście — poprawił go Beauvoir i zaczął ładować automat Nambu. — Lokale większości ludzi z tego poziomu, i tego poniżej też, zostały dzisiaj wykupione. Za gotówkę. Potrzebne były całe worki. Parę osób zostało, ale to nie wystarczy.

— Przecież to bez sensu. — Jackie wyjęła Jammerowi z ręki szklaneczkę scotcha i wychyliła ją jednym haustem. — Co ktoś tak

bardzo chce nam odebrać?

— Zaraz… — wtrącił Bobby. — Nie zapominaj: oni chyba nie wiedzą, że Lobowie skasowali mi lodołamacz. Może na nim tak im zależy.

— Nie — mruknął Beauvoir, wciskając do Nambu magazynek. — Nie mogli wiedzieć, że nie schowałeś go w mieszkaniu matki.

— Ale może byli tam i szukali…

— To skąd wiedzieli, że Lucas nie miał go w ahmedzie? — zapytał Jammer, wracając za bar.

— Finn też uważał, że ktoś wysłał tych trzech ninjów, żeby go zabili — przypomniał Bobby. — Ale mieli sprzęt, żeby go najpierw zmusić do odpowiedzi na pytania.

— Znowu Maas — stwierdził Beauvoir. — Zresztą nieważne. Mamy układ z Gothikami i Kasualami. Dowiedzielibyśmy się więcej, ale Alix wszedł na wysokie tony i nie chciał z Raymondem rozmawiać. Żadnej współpracy ze znienawidzonymi Kasualami. O ile nasi kowboje to zrozumieli, ta armia na zewnątrz ma dopilnować, żebyście stąd nie wyszli. I nie dopuścić tutaj takich jak ja, z bronią i sprzętem. — Wręczył Jackie naładowanego Nambu. — Umiesz strzelać z pistoletu? — spytał Bobby'ego.

— Jasne — skłamał Bobby.

— Nie — zaprotestował Jammer. — Dość mamy kłopotów nie dając mu broni do ręki. Jezu Chryste…

— To wszystko oznacza — oświadczył Beauvoir — że możemy oczekiwać kogoś, kto tu po nas przyjdzie. Jakiegoś profesjonalisty…

— Chyba że zwyczajnie wysadzą w diabły cały Hipermarket — burknął Jammer. — Razem z tymi wszystkimi zombie…

— Nie — zaprotestował Bobby. — Gdyby chcieli, już by to zrobili. Popatrzyli na niego.

— Trzeba chłopakowi przyznać… — rzekła Jackie. — Ma rację.

Po trzydziestu minutach Jammer spojrzał ponuro na Beauvoira.

— Muszę powiedzieć, że dawno nie słyszałem tak głupiego planu.

— Fakt, Beauyoir — wtrącił Bobby. — Dlaczego nie możemy zwyczajnie przeczołgać się przez ten wentylator, przekraść po dachu i dostać na sąsiedni budynek? Wykorzystamy tę linę, po której tu przeszedłeś.

— Na dachu jest Kasuali jak much na gównie — odparł Beauvoir. — Niektórzy może nawet mają dość rozumu, żeby znaleźć pokrywę, którą musiałem zrzucić, kiedy schodziłem tu na dół. Zostawiłem po drodze parę min odłamkowych. — Uśmiechnął się złowieszczo. — Poza tym sąsiedni wieżowiec jest wyższy. Musiałem wyjść tam na dach i wystrzelić monomola tutaj. Nie przeciągniesz się rękami po włóknie monomolekularnym; palce ci odpadną.

— Więc jak, do diabła, chciałeś się stąd wydostać?

— Daj spokój, Bobby — przerwała cicho Jackie. — Beauvoir zrobił to, co musiał. Teraz jest z nami i mamy broń.

— Bobby — zaproponował Beauvoir. — Może powtórzysz nam cały plan i sprawdzisz, czy wszystko rozumiemy…

Bobby doznał nieprzyjemnego uczucia, że Beauvoir chce sprawdzić, czy on wszystko zrozumiał. Mimo to nie protestował. Oparł się o bar i zaczął mówić:

— Wszyscy szykujemy broń i czekamy, tak? Jammer i ja wychodzimy przez jego dek i rozglądamy się po matrycy; może odkryjemy, co się tu dzieje…

— Chyba sam bym sobie z tym poradził — wtrącił Jammer.

— Diabli… — Bobby wyprostował się gniewnie. — Beauvoir chyba powiedział! Chcę wejść, chcę się włączyć! Niby jak inaczej mogę się czegoś nauczyć?

— Uspokój się, Bobby — rzuciła Jackie. — I mów dalej.

— No dobra — zgodził się chłopak urażony. — Ci faceci, którzy wynajęli Kasuali i Gothików, żeby nas tu pilnowali, prędzej czy później przyjdą po nas. Kiedy wejdą, załatwimy ich. Przynajmniej jednego weźmiemy żywcem. Potem wyrywamy się stąd, a że Gothicy i reszta nie spodziewają się takiej siły ognia, więc wydostajemy się na ulicę i uciekamy do Projektów…

— Myślę, że to załatwia sprawę — stwierdził Jammer, ruszając do zamkniętych, zasłoniętych drzwi. — I podsumowuje sytuację. — Przycisnął kciuk do płytki rygla i uchylił drzwi. — Hej, ty! — wrzasnął. — Nie ty! Ty, w kapeluszu! Rusz dupę i podejdź tu! Chcę pogadać…

Czerwony promień grubości ołówka przeciął drzwi, zasłonę, dwa palce Jammera i mignął nad barem. Wybuchła butelka, jej zawartość uniosła się w powietrze jako para i odparowane estry. Jammer wypuścił drzwi, które zamknęły się automatycznie, spojrzał na ruinę dłoni i ciężko usiadł na dywanie. Lokal z wolna wypełnij się choinkowym zapachem gotowanego ginu. Beauvoir porwał z lady srebrną gaśnicę i spryskiwał dymiącą kotarę, póki nie skończył się nabój CO, i nie opadł strumień gazu.

— Masz szczęście, Bobby — stwierdził, odrzucając gaśnicę przez ramię. — Brat Jammer już nigdy nie wciśnie klawiszy na żadnym deku…

Jackie przyklękła i cmoknęła na widok ręki Jammera. Bobby szybko odwrócił głowę.

ROZDZIAŁ 26
WIG

— Wiesz — odezwała się Rez, wisząc przed Marly głową w dół — to właściwie nie moja sprawa, ale czy ktoś może na ciebie czeka tam, gdzie lecimy? Rozumiesz, dostarczę cię tam, nie ma obawy, a jeśli nie dostaniesz się do środka, zabiorę z powrotem na JAL Term. Ale gdyby nikt nie chciał cię wpuścić, to nie wiem, jak długo miałabym ochotę czekać. To jest złom, a we wrakach siedzą czasem dziwni faceci.

Rez — czyli Therese, jak dowiedziała się Marly z laminowanej licencji pilota przypiętej do konsoli „Sweetjane" — ruszając w rejs zdjęła swoją roboczą kamizelkę. Marly, otępiała od tęczy derm, jakie Rez nakleiła jej na przegub, by przeciwdziałać gwałtownym mdłościom syndromu adaptacji kosmicznej, przyglądała się wytatuowanej róży. Wykonano ją w japońskim stylu sprzed setek lat i Marly pomyślała sennie, że jej się podoba. Zresztą Rez też się jej podobała. Była równocześnie twarda i dziewczęca, i troszczyła się o swoją niezwykłą pasażerkę. Przez chwilę podziwiała skórzaną kurtkę i torebkę, po czym wsunęła je do czegoś w rodzaju nylonowej siatki umocowanej do ściany jak hamak i wypchanej kasetami, drukowanymi książkami i brudnymi ubraniami.

— Sama nie wiem — zdołała wykrztusić Marly. — Muszę spróbować jakoś się tam dostać…

Rez dopasowała uprząż anty-g pod pachami i na ramionach pasażerki.

— Wiesz, co to za pudło, siostro?

— Jakie pudło? — Marly zamrugała.

— Do którego lecimy. To część dawnych rdzeni Tessier-Ashpool. Kiedyś to były mainframe'y dla ich korporacyjnej pamięci…

— Słyszałam o nich… — Marly przymknęła oczy. — Andrea mi mówiła.

— Pewnie. Wszyscy o nich słyszeli. Kiedyś byli właścicielami całego Freeside. Zbudowali je nawet, ale potem padli i sprzedali. Rodzinną siedzibę kazali odciąć z wrzeciona i przeholować na inną orbitę, ale przedtem wykasowali rdzenie pamięci, wypalili je i sprzedali na złom. Handlarz jakoś nic z nimi nie zrobił. Nie słyszałam, żeby ktoś się tam włamał, ale tutaj człowiek mieszka, gdzie może… Zresztą chyba wszędzie… Mówią, że lady Jane, córka starego Ashpoola, wciąż żyje w starym kompleksie. Zupełnie zwariowana. — Jeszcze raz profesjonalnym gestem szarpnęła uprząż. — W porządku. Rozluźnij się. Przez dwadzieścia minut mocno dam „Jane" ognia w dysze, ale dzięki temu szybko będziemy na miejscu, a myślę, że

właśnie za to mi płacisz…

I znowu Marly zsunęła się w pejzaż zbudowany z pudełek, ogromnych drewnianych konstrukcji Cornella, gdzie trwałe pozostałości uczuć i wspomnień leżały wystawione za pochlapanymi deszczem płytami zakurzonego szkła, gdzie tajemniczy twórca uciekał przed nią po alejach brukowanych ludzkimi zębami, a paryskie buciki Marly stukały ślepo po symbolach wykreślonych poszarzałymi złotymi koronami. Twórca pudełek był mężczyzną, nosił zieloną kurtkę Alaina i bał się jej ponad wszystko. „Przepraszam", wołała, biegnąc za nim. „Tak mi przykro…"

— Tak. Therese Lorenz, „Sweet Jane". Chcesz numer? Co? Tak, pewno że jesteśmy piratami. A ja to pieprzony Kapitan Hak… Słuchaj, podam ci numer i możesz sobie sprawdzić… Już mówiłam, mam pasażerkę. Proszę o pozwolenie i tak dalej… Marly Cośtam, przez sen mówi po francusku…

Powieki Marly zadrżały, uniosły się. Rez wisiała w uprzęży tuż przed nią; każdy mięsień jej grzbietu rysował się wyraźnie.

— Cześć — powiedziała, odwracając się w uprzęży. — Przepraszam. Obudziłam ich dla ciebie, ale dziwnie gadają. Jesteś wierząca?

— Nie — odparła zdumiona Marly. Rez skrzywiła się.

— Mam nadzieję, że zrozumiesz coś z tego bełkotu.

Wysunęła się z uprzęży i wykonała ciasne salto w tył, co doprowadziło ją na centymetry od twarzy Marly. Włókno światłowodu ciągnęło się od jej ręki do konsoli i po raz pierwszy Marly zauważyła delikatne jasnoniebieskie gniazdo wszczepione gładko w skórę na przegubie dziewczyny. Rez nasunęła jej na ucho mikrosłuchawkę i poprawiła sterczącą z niej przejrzystą rurkę mikrofonu.

— Nie macie prawa nas tutaj niepokoić — odezwał się męski głos. — Nasza praca jest dziełem bożym. My jedni widzieliśmy Jego prawdziwe oblicze.

— Halo! Halo, słyszy mnie pan? Nazywam się Marly Krushkova i mam do pana pilną sprawę. Albo do kogoś na tych współrzędnych. Moja sprawa dotyczy serii pudełek, collage'y Twórcy tych pudełek może zagrażać wielkie niebezpieczeństwo! Muszę się z nim widzieć!

— Niebezpieczeństwo? — Mężczyzna zakaszlał. — Jedynie Bóg stanowi o ludzkim losie! Nie znamy lęku! Ale i nie jesteśmy głupcami…

— Proszę mnie wysłuchać. Josef Virek zatrudnił mnie, żebym odszukała twórcę pudełek. Ale teraz przybywam, żeby pana ostrzec. Virek wie, że pan tu jest i jego agenci prawdopodobnie mnie śledzą…

Rez przyglądała się jej z uwagą.

— Musi mnie pan wpuścić. Opowiem więcej…

— Virek? — Chwila milczenia, wypełniona trzaskami zakłóceń. —

Josef Virek?

— Tak. Ten sam. Przez całe życie oglądał pan jego zdjęcie… To z królem Anglii. Proszę…

— Daj mi pilota — polecił głos; patos i histeria zniknęły nagle, zastąpione czymś, co Marly spodobało się jeszcze mniej.

— To zapasowy — wyjaśniła Rez, odpinając od czerwonego skafandra hełm z lustrzanymi szybami. — Stać mnie na to; dość mi zapłaciłaś.

— Nie — zaprotestowała Marly. — Naprawdę nie trzeba… Ja… Pokręciła głową. Rez odpinała zamki.

— Nie puszczę cię w takie miejsce bez skafandra — oświadczyła. — Nie wiesz, co tam mają za atmosferę. Nie wiesz nawet, czy w ogóle mają atmosferę! Albo jakieś bakterie, zarodniki… O co chodzi?

Opuściła srebrny hełm.

— Cierpię na klaustrofobię!

— Oj… — Rez spojrzała niepewnie. — Słyszałam o tym. To znaczy, że boisz się być wewnątrz czegoś?

Wyglądała na szczerze zaciekawioną.

— W ciasnych miejscach. Tak.

— Jak „Sweetjane”?

— Też, chociaż… — Walcząc z falą paniki, rozejrzała się po małej kabinie. — Mogę wytrzymać. Ale nie hełm.

Zadrżała.

— No tak… — Rez zastanowiła się. — Wiesz co? Wpakuję cię do skafandra, ale hełm sobie darujemy. Nauczę cię, jak go mocować. Stoi? Inaczej nie wyjdziesz z mojego statku… Minę miała stanowczą i zdecydowaną.

— Dobrze — zgodziła się Marly. — Niech będzie…

— Po kolei — powiedziała Rez. — Stoimy śluza w śluzę. Ten luk się otwiera, wchodzisz, ja go zamykam. Potem otwieram z drugiej strony. I jesteś już w tym, co u nich robi za atmosferę. Na pewno nie chcesz włożyć hełmu?

— Nie.

Marly spojrzała na hełm ściskany w czerwonych rękawicach skafandra, na odbicie swojej bladej twarzy w lustrzanej osłonie. Rez cmoknęła lekko.

— Twoje życie. Kiedy zechcesz wracać, niech przez JAL Term wyślą wiadomość do „Sweetjane”.

Marly niezgrabnie odepchnęła się nogami i popłynęła do śluzy, nie większej niż postawiona pionowo trumna. Czerwona osłona piersi skafandra stuknęła głucho o zewnętrzny luk; usłyszała, jak wewnętrzny zamyka się z sykiem. Tuż obok jej głowy zapłonęło światło i Marly pomyślała o lampce w lodówce.

— Do zobaczenia, Therese.

Nic się nie stało. Była sama z biciem swego serca.

A potem odsunął się zewnętrzny luk. Niewielka różnica ciśnień wystarczyła, by pchnąć ją koziołkującą w ciemność pachnącą staro i smutnie ludzko, jak dawno porzucona szatnia. Powietrze było jakby gęste, nieczysto wilgotne; wciąż wirując zobaczyła zatrzaskujący się luk. Promień latarki ominął ją, wrócił, odszukał.

— Światła — wykrzyknął ktoś chrapliwie. — Światła dla gościa! Jones!

To był głos, który słyszała w słuchawce. Dzwonił dziwnie w stalowej przestrzeni, w pustce, przez którą spadała, a potem rozległ się zgrzyt i zapłonął daleki pierścień błękitnego blasku, ukazując krzywiznę ściany czy pancerza i wytopionej księżycowej skały. Powierzchnia była pocięta i poznaczona precyzyjnie wyrytymi kanałami i wgłębieniami, gdzie kiedyś pewnie mieścił się jakiś sprzęt. Do najgłębszych wcięć wciąż przylegały rakowate naroślą brunatnej pianki uszczelniającej, inne ginęły w martwej czerni…

— Lepiej ją przypnij, Jones, zanim rozwali sobie głowę…

Z mokrym plaśnięciem coś uderzyło ją w ramię. Obejrzawszy się zobaczyła różową grudę na końcu cienkiej różowej liny, która napięła się i pociągnęła ją za sobą. Katedralną przestrzeń wraku wypełnił jęk spracowanego silnika. Wciągali ją powoli.

— Długo to trwało — stwierdził głos. — Zastanawiałem się, kto będzie pierwszy, a to Virek… Mamona…

Chwycili ją. Znowu się zakręciła. Niewiele brakowało, a zgubiłaby hełm: odpłynął, ale któryś z nich pchnął go z powrotem, prosto w jej ręce. Torebka z butami i wciśniętą pod klapę kurtką wykonała na pasku niezależny łuk i trafiła ją w skroń.

— Kim jesteś? — spytała.

— Ludgate! — ryknął starzec. — Wigan Ludgate, jak doskonale wiesz. Kogo innego miałabyś dla niego oszukiwać?

Pomarszczona, plamista twarz była gładko ogolona, ale siwe, nie strzyżone włosy unosiły się swobodnie: wodorosty na fali stęchłego powietrza.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie przyleciałam tu, żeby cię oszukiwać. Nie pracuję już dla Vireka… Przyleciałam, ponieważ… To znaczy, właściwie nie wiem, po co przyleciałam, ale po drodze przekonałam się, że artyście tworzącemu pudełka grozi niebezpieczeństwo. Ponieważ istnieje coś jeszcze, co zdaniem Vireka może go uwolnić od nowotworów…

Jej słowa zamarły nagle wobec niemal dotykalnego obłędu emanującego z postaci Wigana Ludgate'a. Zobaczyła, że ma na sobie plastikową skorupę starego roboczego skafandra z tanimi metalowymi krucyfiksami przyklejonymi do zmatowiałego pierścienia mocującego

hełmu. Zbliżył twarz; Marly czuła psujące się zęby.

— Pudełka! — Maleńkie kropelki śliny odrywały się od jego warg, posłuszne eleganckim prawom newtonowskiej fizyki. — Ty ladacznico! To ręka Boga!

— Uspokój się, Wig — zabrzmiał drugi głos. — Straszysz damę. Nie ma obawy, panienko. Po prostu Wig rzadko miewa gości. Jak widać podnieca się wtedy, ale w zasadzie to nieszkodliwy staruszek…

Obejrzała się i spojrzała prosto w parę dużych niebieskich oczu na bardzo młodej twarzy.

— Jestem Jones — powiedział chłopak. — Też tutaj mieszkam…

Wigan Ludgate odchylił głowę i zawył, a przenikliwy dźwięk odbił się od ścian ze stali i kamienia.

— Na ogół, rozumiesz, jest dość spokojny — tłumaczył Jones, gdy wraz z Marly przeciągali się po linie z węzłami, rozciągniętej wzdłuż korytarza, który zdawał się nie mieć końca. — Słucha tych swoich głosów, rozumiesz. Gada do siebie, czy może odpowiada głosom, sam nie wiem, ale nagle coś go nachodzi i jest taki… — Kiedy przerywał, słyszeli echa wycia Ludgate'a. — Pomyślisz może, że to okrutne z mojej strony, tak go zostawiać, ale to najlepsze wyjście. Naprawdę. Szybko się tym zmęczy. Zgłodnieje. I wtedy mnie poszuka. Będzie chciał jeść, rozumiesz…

— Jesteś Australijczykiem? — spytała.

— New Melbourne — odparł. — Raczej byłem, zanim wyszedłem ze studni…

— Nie obrazisz się, jeśli zapytam, dlaczego tu jesteś? To znaczy w tym… tym… Co to właściwie jest?

Chłopak zaśmiał się.

— Na ogół nazywam to Miejscem. A Wig nazywa różnie, ale najczęściej Królestwem. Uważa, że znalazł tu Boga. Może i tak, jeśli spojrzeć na to z odpowiedniej strony. O ile zrozumiałem, zanim wylazł ze studni był kiedyś magikiem konsoli. Nie wiem, skąd się tu wziął, ale mu to odpowiada… A ja uciekłem. Rozumiesz? Drobne kłopoty, nie chcę wchodzić w szczegóły, i musiałem zwijać dupę. Trafiłem tutaj… to długa historia… Spotkałem tego cholernego Ludgate'a bliskiego śmierci głodowej. Miał tu taki niewielki interes, sprzedawał to, co znalazł i te pudełka, których szukasz. Ale trochę za bardzo mu odbiło. Kupujący zjawiali się może trzy razy w roku, a on ich odsyłał. No i pomyślałem, że kryjówka jest nie gorsza od innych, więc zacząłem mu pomagać. To chyba wszystko…

— Możesz mnie zaprowadzić do artysty? Jest tutaj? To bardzo ważne…

— Zabiorę cię tam, nie ma obawy. Ale to miejsce właściwie nie było zbudowane dla ludzi. Nie żeby po nim spacerować. Znaczy,

mamy kawał drogi. Ale on nigdzie nie pójdzie. Chociaż nie gwarantuję, że zrobi dla ciebie pudełko. Naprawdę pracujesz dla Vireka? Tego niesamowicie bogatego starego pierdziela w telewizji? To Fryc, prawda?

— Pracowałam — wyjaśniła. — Przez kilka dni. Co do narodowości, to sądzę, że Herr Virek jest jedynym obywatelem narodu składającego się z Herr Vireka.

— Chwytam, o co ci chodzi — oznajmił Jones. — Z tymi bogatymi dupkami zawsze dzieje się to samo, chociaż są bardziej zabawni niż te piekielne zaibatsu… Trudno się spodziewać, żeby zaibatsu spotkał krwawy koniec. Weź starego Ashpoola… Był moim rodakiem, poważnie… Zbudował to wszystko i mówią, że własna córka poderżnęła mu gardło. A teraz jest nie lepsza niż stary Wig, zadekowana gdzieś w rodzinnym zamku. To Miejsce, rozumiesz, było kiedyś jego częścią.

— Rez… To znaczy moja pilot, mówiła coś takiego. A moja przyjaciółka w Paryżu wspominała ostatnio Tessier-Ashpoolów. Klan przeżywa okres zaćmienia, prawda?

— Zaćmienia? Raczej spłynęli do ścieku. Pomyśl tylko: wleczemy się właśnie przez coś, co było rdzeniami danych korporacji. Wrak kupił jakiś handlarz z Pakistanu: powłoka jest w porządku, a w obwodach znajdzie się sporo złota, ale odzysk nie jest tak tani, jak niektórzy by chcieli… Więc wisi tu, i tylko stary Wig dotrzymuje mu towarzystwa, a wrak Wigowi. Przynajmniej dopóki ja tu nie trafiłem. Pewnie w końcu przylecą robole z Pakistanu i zaczną ciąć… To zabawne, jak duża część tego złomu ciągle jeszcze działa, przynajmniej czasami. Słyszałem historię, zresztą dlatego tu przyleciałem, że zanim je wypalili, T-A wymazali rdzenie do czysta…

— Ale sądzisz, że nadal funkcjonują?

— Boże wielki, pewnie. Mniej więcej tak jak Wig, jeśli nazwiesz to funkcjonowaniem. A jak myślisz, czym jest ten twój artysta?

— Co wiesz o Maas Biolabs?

— Czego masa?

— Maas. Produkują biochipy.

— A, ci… No więc to mniej więcej wszystko, co o nich wiem.

— Czy Ludgate o nich wspominał?

— Możliwe. Nie powiem, żebym przez cały czas go słuchał. Wig dużo gada…

ROZDZIAŁ 27
STACJE ODDECHU

Prowadził ich przez aleje otoczone pordzewiałymi zboczami martwych pojazdów, z dźwigami złomowymi i czarnymi wieżami pieców. Kiedy wjeżdżali w zachodnie obrzeża Ciągu, trzymał się ciemnych uliczek. W końcu rozpędził poduszkowiec wzdłuż ceglanego kanionu. Pancerne burty skrzesały iskry, gdy wbił się ciężko w ścianę poczerniałych od sadzy, zbitych odpadków. Lawina śmieci runęła w dół, pokrywając wóz niemal w całości. Wtedy puścił kierownicę i patrzył, jak styropianowe kostki huśtają się w przód i w tył, z boku na bok. Od dwunastu przecznic wskaźnik paliwa stał na zerze.

— Co tam się stało? — spytała. Policzki miała zielone w blasku instrumentów.

— Zestrzeliłem śmigłowiec. Właściwie przypadkiem. Mieliśmy szczęście.

— Nie, potem. Ja… Miałam sen.

— Co ci się śniło?

— Wielkie kształty. Ruszały się.

— Miałaś jakiś atak.

— Czy jestem chora? Dlaczego firma chce mnie zabić?

— Nie sądzę, żebyś była chora.

Rozpięła uprząż, przeczołgała się przez oparcie na tył, gdzie spali.

— Miałam zły sen…

Zadrżała. Wysunął się z uprzęży i popełzł za nią, przytulił, głaskał, wygładzał włosy na jej delikatnej czaszce, przesuwał za uszy. Jej twarz, zielona w słabym lśnieniu, była jak coś wyrwanego z koszmaru i porzuconego, z gładką cienką skórą naciągniętą na kości. Czarną bluzę miała do połowy rozpiętą; przesunął palcem po delikatnej linii jej obojczyka. Skóra była chłodna, wilgotna od potu. Przylgnęła do niego.

Przymknął oczy i zobaczył swoje ciało na łóżku poprzecinanym pasami słonecznych promieni, pod obracającymi się powoli łopatami wentylatora. Ciało poruszające się w górę i w dół, wstrząsane niczym amputowana kończyna, i głowę Allison odrzuconą do tyłu, otwarte usta, zęby pod ściągniętymi wargami…

Angie wtuliła twarz w jego szyję.

Nagle stęknęła, zesztywniała, odsunęła się.

— Najemniku — zabrzmiał głos.

Błyskawicznie znalazł się przy siedzeniu kierowcy; lufa Smith Wessona pojedynczą linią odbiła zielony blask instrumentów, błyszcząca głowica u wylotu przesłoniła jej lewą źrenicę…

— Nie — powiedział głos. Opuścił broń.

— Wróciłeś…

— Nie. Legba przemawiał do ciebie. Ja jestem Samedi.

— Sobota?

— Baron Sobota, najemniku. Spotkałeś mnie kiedyś na zboczu. Krew leżała na tobie jak rosa. Tamtego dnia piłem z twego przepełnionego serca. — Ciało Angie szarpnęło się gwałtownie. — Znasz to miasto…

— Tak.

Widział, jak mięśnie twarzy napinają się i rozluźniają, kształtując jej rysy w nową maskę.

— To dobrze. Zostaw tu pojazd, jak zamierzałeś. Ale ruszaj szlakiem stacji ku północy. Do Nowego Jorku. Dzisiaj. Tam poprowadzę cię z wierzchowcem Legby, a ty dla mnie zabijesz…

— Kogo zabiję?

— Tego, kogo najbardziej pragniesz zabić, najemniku. Angie jęknęła, zadrżała i zaczęła szlochać.

— Już dobrze — powiedział. — Jesteśmy w połowie drogi do domu.

To bezsensowne zdanie, pomyślał, pomagając jej usiąść. Żadne z nich nie miało domu. Znalazł w parce paczkę naboi i wymienił ten, który wystrzelił w hondę. Odszukał w skrytce poplamioną farbą brzytwę i odciął wzmocnioną podszewkę kurtki; miliony mikrorurek izolacji zwijało się za ostrzem jak węże. Kiedy skończył, wsunął Smith Wessona do kabury i włożył parkę. Zwisała z niego w fałdach jak za luźny prochowiec, ale całkowicie maskowała wypukłość potężnego rewolweru.

— Dlaczego to robisz? — zdziwiła się. Grzbietem dłoni otarła wargi.

— Bo na zewnątrz jest ciepło, a muszę ukryć broń. — Wcisnął do kieszeni saszetkę pełną używanych nowych jenów. — Chodźmy — rzucił. — Musimy złapać metro.

Krople kondensacji ściekały bezustannie ze starej kopuły Georgetown, zbudowanej czterdzieści lat po tym, jak boleściwi Federalni wyprowadzili się na rubieże McLean. Waszyngton był miastem Południa, był nim od zawsze; jadąc pociągami od Bostonu przez kolejne stacje, człowiek czuł, jak zmienia się atmosfera Ciągu. Drzewa w dystrykcie rosły bujne i zielone, a ich liście przesłaniały łukowe lampy, gdy Turner i Angela Mitchell szli po spękanych chodnikach do Kręgu Duponta i stacji. Na placu stały beczki, a ktoś rozpalił ognisko ze śmieci w gigantycznym marmurowym pucharze pośrodku. Milczące postacie siedziały nieruchomo przy rozłożonych kocach, zastawionych surrealistycznym zestawem towarów: napęczniałe wilgocią okładki czarnych plastikowych audiodysków

obok poobijanych protez kończyn z prymitywnymi sprzęgami nerwowymi, zakurzone szklane słoje pełne owalnych blaszek z numerami, pliki wyblakłych pocztówek, tanie indyjskie trody owinięte jeszcze w folię hurtownika, nie dopasowane ceramiczne komplety solniczek, kij golfowy z wytartym skórzanym uchwytem, szwajcarskie scyzoryki z brakującymi ostrzami, wgnieciony blaszany kosz na śmieci z litografią twarzy prezydenta, którego nazwisko Turner niemal sobie przypominał (Carter? Grosvenor?), niewyraźne hologramy Mauzoleum…

W cieniu przy wejściu na stację Turner potargował się cicho z chińskim chłopcem w białych dżinsach, wymieniając najmniejszy z banknotów Rudy'ego na dziewięć aluminiowych żetonów z wybitym ozdobnym logo OMBA Transport.

Dwa takie żetony pozwoliły im wejść na stację. Trzy zniknęły w automatach, wymienione na marną kawę i czerstwe drożdżówki. Pozostałe cztery powiozły ich na północ pociągiem mknącym bezgłośnie na magnetycznej poduszce. Turner oparł się, objął Angie ramieniem i udawał, że zamyka oczy; obserwował ich odbicie w oknie naprzeciw: wysoki mężczyzna, wychudzony i nie ogolony, przygarbiony pod ciężarem porażki, i skulona obok dziewczyna o pustych oczach. Nie odezwała się od wyjścia z zaułka, gdzie zostawili poduszkowiec.

Już drugi raz w ciągu ostatniej godziny zastanowił się, czy nie zadzwonić do swojego agenta. Jeśli musisz komuś zaufać, głosiła podstawowa zasada, ufaj agentowi. Ale Conroy powiedział, że właśnie przez agenta Turnera wynajął Oakeya i pozostałych i to budziło wątpliwości. Gdzie jest dzisiaj Conroy? Turner był prawie pewien, że to właśnie on wysłał za nimi Oakeya z laserem. Czy to Hosaka ustawił działo sekwencyjne w Arizonie, żeby zatrzeć ślady nieudanej próby przejęcia Mitchella? Ale jeśli tak, to czemu kazali Webber rozwalić medyków razem z ich ruchomym gabinetem i zniszczyć dek Maas-Neotek? I jeszcze Maas… Czy Maas zabił Mitchella? Czy istnieje powód, by wierzyć, że Mitchell naprawdę nie żyje? Owszem, istnieje, pomyślał, kiedy dziewczyna przy nim poruszyła się niespokojnie przez sen. Istnieje: Angie. Mitchell bał się, że ją zabiją; zorganizował to przejście, żeby mogła uciec, żeby przerzucić ją do Hosaki. Nie planował własnej ucieczki. Tak przynajmniej twierdzi Angie.

Przymknął powieki, odcinając się od odbić w szybie. Coś poruszyło się w mule zarejestrowanych wspomnień Mitchella. Wstyd. Nie mógł tego dosięgnąć… Nagle otworzył oczy. Co powiedziała u Rudy'ego? Ze ojciec coś w nią włożył, bo nie była dość mądra? Ostrożnie, by jej nie zbudzić, wysunął rękę zza jej pleców i sięgnął dwoma palcami do tylnej kieszeni spodni. Wyjął mały, czarny nylonowy futerał Conroya na tasiemce. Rozerwał rzep i wytrząsnął na

dłoń spęczniały, asymetryczny szary biosoft. Maszynowe sny… Karuzela… Zbyt szybka, zbyt obca, by coś pochwycić. Ale jeśli szukał czegoś konkretnego, specyficznego, powinien jakoś to wyciągnąć…

Wsunął paznokieć pod zatyczkę gniazda, zdjął ją i położył obok siebie na skaju siedzenia. Wagon był prawie pusty i nikt z pasażerów nie zwracał na nich uwagi. Odetchnął głęboko, zacisnął zęby i wsunął biosoft…

Po dwudziestu sekundach znalazł to, czego szukał. Tym razem nie poczuł się tak obco; to dlatego, uznał, że chciał trafić na wybrany szczegół, fakt, dokładnie taki typ danych, jakich mógłby się spodziewać w zwykłym *dossier* czołowego naukowca: IQ córki, zarejestrowane w dorocznych zestawach testów.

Angela Mitchell wyrastała sporo ponad normę. Od samego początku…

Wyjął biosoft z gniazda i z roztargnieniem obracał go między kciukiem a palcem wskazującym. Wstyd. Mitchell, wstyd i szkoła… Oceny, pomyślał. Chcę znać stopnie tego drania, jego wyniki.

Znowu włączył się do *dossier*.

Nic. Trafił, gdzie trzeba, ale nie znalazł niczego.

Niemożliwe. Jeszcze raz.

I znowu…

— Niech to diabli… — powiedział na głos, kiedy wreszcie zobaczył.

Nastolatek z ogoloną głową zerknął na niego z siedzenia po drugiej stronie wagonu, po czym znowu skupił się na monologu kolegi: „Powtórzą ten mecz, na szczycie, o północy. Pójdziemy, ale będziemy tylko patrzeć, nie uda się, tylko obrona. Niech kopią sobie dupy, a my będziemy się śmiać, zobaczymy kto oberwie… Ostatnio Susan zwichnęła sobie rękę, łapiesz? Śmiesznie było, bo Cal chciał jechać do szpitala, ale był naćpany i wrąbał się yamahą w garb na jezdni…”

Turner wcisnął biosoft do gniazda.

Kiedy tym razem skończył, nie powiedział ani słowa. Znów objął Angie, uśmiechnął się i zobaczył ten uśmiech w szybie. Okrutny uśmiech; uśmiech człowieka na krawędzi.

Wyniki akademickie Mitchella były dobre, nawet bardzo dobre. Znakomite. Ale brakowało w nich łuku wznoszącego. Takiego łuku Turner nauczył się szukać w danych naukowców: pewnej znaczącej krzywej błyskotliwości. Potrafił ją dostrzec, tak jak doświadczony mechanik rozpoznaje metale po fontannie iskier na szlifierce. I Mitchell jej nie miał.

Wstyd. Akademiki studentów. Mitchell wiedział, że nie ma szans. A potem nagle się pojawiły. Jak? Tego nie znajdzie w *dossier*. Mitchell jakoś to wyciął, kiedy przekazywał dane machinie bezpieczeństwa

Maasa. Inaczej by to wykryli. Ktoś czy coś odnalazło Mitchella w jego podyplomowej depresji i zaczęło dyktować mu, co trzeba. Sugestie, kierunki… I Mitchell zaczął się wznosić po jasnej, mocnej krzywej, która wyniosła go na sam szczyt…

Kto? Co?

Patrzył na śpiącą Angie w niepewnym świetle lamp wagonu.

Faust.

Mitchell dobił targu. Być może Turner nigdy nie miał poznać szczegółów umowy ani ceny Mitchella, ale odgadł już, jaka była zapłata. Co Mitchell miał zrobić w zamian.

Legba, Samedi, krople śliny na wykrzywionych wargach dziewczyny…

W czarnym wybuchu nocnego powietrza pociąg wypadł na stare tory Union.

— Życzy pan sobie taksówkę? — Oczy mężczyzny spoglądały zza okularów z polichromowym zabarwieniem, przypominającym plamę oleju. Na grzbietach dłoni miał płaskie, srebrzyste pęcherze.

Turner zbliżył się, nie zwalniając kroku chwycił go za ramię i pchnął na ścianę odrapanych białych kafelków między szarymi szeregami skrytek bagażowych.

— Gotówka — powiedział. — Płacę w nowych jenach. Chcę taksówkę. I żadnych kłopotów z kierowcą. Zrozumiałeś? Tylko mnie nie wykiwaj. — Zacisnął uścisk. — Spróbuj, a wrócę tu i albo cię zabiję, albo pożałujesz, że tego nie zrobiłem.

— Zrozumiałem. Tak jest, proszę pana. Oczywiście, możemy to załatwić. Gdzie życzy pan sobie jechać? — Grymas bólu wykrzywił zniszczoną twarz mężczyzny.

— Najemniku… — dobiegł z ust Angie chrapliwy szept. A potem adres. Turner dostrzegł oczy naganiacza, biegające niespokojnie za wirem kolorów.

— To Madison? — wychrypiał mężczyzna. — Tak, proszę pana. Znajdę panu taksówkę, doskonałą taksówkę…

— Co to za miejsce? — Turner pochylił się i wcisnął guzik mikrofonu obok stalowej kratki osłony głośnika. — Ten adres, który podaliśmy?

Głośnik zatrzeszczał.

— Hipermarket. Niewiele tam działa o tej porze. Szukacie czegoś konkretnego?

— Nie.

Nie znał tego miejsca. Próbował sobie przypomnieć bieg Madison. Głównie rejony mieszkalne. Niezliczone mieszkania wyryte w skorupach biurowców pochodzących z czasów, kiedy interesy

wymagały codziennej fizycznej obecności urzędników w centrali. Niektóre z tych konstrukcji były tak wysokie, że przebijały kopułę…

— Gdzie jedziemy? — spytała Angie, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Wszystko w porządku — odpowiedział. — Nie martw się.

— O Boże — szepnęła i oparła się o niego, patrząc na różowy neon HIPERMARKET przecinający granitowe urwisko starego budynku. — Jeszcze na płaskowyżu marzyłam o Nowym Jorku. Miałam program graficzny, który prowadził przez ulice, do muzeów i w ogóle. Chciałam tu przyjechać… bardziej niż czegokolwiek na świecie.

— Udało ci się. Jesteś.

Zaszlochała, objęła go, wtuliła twarz w jego nagą pierś.

— Boję się. Tak się boję…

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił. Gładząc jej włosy, obserwował główne wejście. Nie miał powodów, by wierzyć, że dla któregokolwiek z nich cokolwiek dobrze się skończy. Nie domyślała się chyba nawet, że słowa, jakie ich tu doprowadziły, pochodziły z jej własnych ust. Co prawda, pomyślał, to nie ona je wymówiła… Żebracy rozłożyli się po obu stronach wejścia do Hipermarketu: rozciągnięte sylwetki w łachmanach o kolorze chodnika. Turner miał wrażenie, że wolno pączkują z betonu, by stać się ruchomymi przedłużeniami miasta.

— Do Jammera — powiedział głos zduszony przez jego pierś. Turner poczuł zimne obrzydzenie. — To klub. Znajdź wierzchowca Danbali.

A potem znowu się rozpłakała. Wziął ją za rękę i poprowadził obok śpiących włóczęgów, pod sczerniałym ozdobnym daszkiem i przez szklane drzwi do środka. W głębi alejki straganów zauważył ekspres do kawy i dziewczynę z czarnym grzebieniem włosów ścierającą ladę…

— Kawa — oznajmił. — Jedzenie. Chodź. Musisz coś zjeść. Angie siadła na stołku. Turner uśmiechnął się do dziewczyny.

— Jak z gotówką? — zapytał. — Przyjmujecie gotówkę? Popatrzyła na niego i wzruszyła ramionami. Pokazał jej wyjętą z saszetki Rudy'ego dwudziestkę.

— Kawę. I coś do jedzenia.

— Nic więcej nie macie? Jakieś drobne? Pokręcił głową.

— Przykro mi. Nie mam reszty.

— Nie musisz wydawać.

— Oszalał pan?

— Nie, ale chcę dostać kawę.

— To niezły napiwek. W tydzień tyle nie zarabiam.

— Jest twój.

Rozgniewała się.

— Jesteście razem z tymi czubkami z góry. Niech pan sobie zatrzyma te pieniądze. Zamykamy.

— Z nikim nie jesteśmy — oświadczył. Oparł się lekko o ladę, żeby parka się rozsunęła i odsłoniła Smith Wessona. — Szukamy klubu. Klubu niejakiego Jammera.

Dziewczyna zerknęła na Angie, potem znów na Turnera.

— Jest chora? Na prochach? Co z nią?

— Tu są pieniądze. Daj nam kawy. Chcesz zarobić tę resztę, to powiedz, jak znajdę lokal Jammera. Ta wiadomość jest dla mnie tyle warta. Jasne?

Zsunęła z lady wytarty banknot i podeszła do ekspresu.

— Już chyba nic nie rozumiem. — Z hałasem odstawiła na bok filiżanki i przybrudzone mlekiem szklanki. — Co jest z Jammerem? To pana przyjaciel? Zna pan Jackie?

— Pewnie — odparł Turner.

— Zjawiła się tu rano, razem z tym małym wilsonem z przedmieścia. Myślę, że tam właśnie poszli…

— Gdzie?

— Do Jammera. I wtedy zaczęło się robić dziwnie.

— Tak?

— Ściągnęły tu wszystkie te czubki z Barrytown, z brylantyną albo w białych butach. Jakby byli właścicielami. Zresztą teraz pewnie już są, przynajmniej dwóch górnych pięter. Zaczęli płacić ludziom za zostawienie straganów. Z niższych pięter też sporo spakowało rzeczy i odjechało. Dziwne…

— Ilu ich przyszło?

Z maszyny z sykiem uniosła się para.

— Może setka. Przez cały dzień trzęsłam się ze strachu. Ale nie mogę złapać szefa. Zresztą za pół godziny i tak zamykam. Moja zmienniczka nie przyszła, a może przyszła, wyczuła kłopoty i zniknęła. — Postawiła przed Angie parującą filiżankę. — Dobrze się czujesz, skarbie?

Angie przytaknęła.

— Nie domyślasz się, czego ci ludzie chcą? — spytał Turner. Dziewczyna wróciła do ekspresu. Znowu zaryczał.

— Myślę, że na kogoś czekają — wyjaśniła cicho, podając Turnerowi espresso. — Kogoś, kto spróbuje wyjść od Jammera albo kto spróbuje się tam dostać.

Turner przyjrzał się brązowej piance, wirującej na powierzchni kawy.

— I nikt nie dzwonił po policję?

— Policję? Tu jest Hipermarket. Ludzie tu nie wzywają policji…

Filiżanka Angie rozbiła się na marmurowym blacie.

— Prosto i szybko, najemniku — wyszeptał głos. — Znasz już drogę.

Dziewczyna otworzyła usta ze zdumienia.

— O Jezu! — szepnęła. — Musiała się ostro naćpać. — Zmierzyła Turnera wrogim spojrzeniem. — Pan jej to dał?

— Nie. Jest chora. Ale wyjdzie z tego.

Wypił resztę gorzkiej kawy. Przez jedną sekundę wydało mu się, że czuje oddech całego Ciągu, oddech zmęczony i stary, rozbrzmiewający w obie strony wzdłuż stacji linii Boston-Atlanta.

ROZDZIAŁ 28
JAYLENE SLIDE

— Jezu… — jęknął Bobby. — Nie możesz mu tego zawinąć albo co?

Rana Jammera wypełniała gabinet zapachem przypalonego steku, który skręcał Bobby'emu żołądek.

— Nie bandażuje się oparzeń — odparła Jackie, pomagając Jammerowi usiąść w fotelu. Zaczęła kolejno otwierać szuflady biurka. — Masz jakieś środki przeciwbólowe? Dermy? Cokolwiek?

Jammer potrząsnął głową; pociągłą twarz miał bladą i skrzywioną.

— Możliwe. Za barem jest apteczka…

— Przynieś — rzuciła Jackie. — Tylko szybko.

— Czemu tak się o niego martwisz? — Bobby'ego uraził jej ton. — Chciał tu wpuścić Gothików…

— Idź po apteczkę, durniu. Po prostu załamał się na moment. Trochę przestraszył. Przynieś apteczkę, bo zaraz sam jej będziesz potrzebował.

Wybiegł z gabinetu na salę. Beauvoir podłączał przewody do żółtego pudełka podobnego do układu kierowania zdalnie sterowanego samochodziku dla dzieci. Przewody wybiegały z różowych parówek wybuchowego plastiku, oblepiających zawiasy i zamek drzwi wejściowych.

— Po co to? — zdziwił się Bobby, przeskakując nad barem.

— Pewnie ktoś będzie chciał tu wejść — wyjaśnił Beauvoir. — A wtedy otworzymy mu drzwi.

Bobby znieruchomiał na chwilę, by podziwiać instalację.

— Dlaczego zwyczajnie nie przyczepisz tego do szyby, żeby wybuchnęło na zewnątrz?

— Zbyt oczywiste. Ale cieszę się, że myślisz o takich rzeczach. Gdybyśmy próbowali skierować wybuch na zewnątrz, jakaś część dmuchnęłaby wprost do środka. Tak jest bardziej… elegancko.

Bobby wzruszył ramionami i zajrzał pod bar. Znalazł stojaki na wino napełnione foliowymi torebkami krylowych chrupek, spory zbiór zapomnianych parasoli, wielki słownik, damski niebieski bucik, biały plastikowy pojemnik z rozmazanym czerwonym krzyżem wymalowanym lakierem do paznokci… Złapał pojemnik i przeszedł z powrotem przez bar.

— Wiesz co, Jackie… — zaczął, stawiając apteczkę obok deku Jammera.

— Nie mam czasu. — Zdjęła pokrywę i zaczęła przerzucać

zawartość. — Słuchaj, Jammer, masz tu więcej stymulantów niż innych środków razem wziętych…

Jammer uśmiechnął się blado.

— Mam. To ci pomoże. — Rozwinęła arkusz czerwonych derm i zaczęła odklejać je od podłoża; trzy umocowała mu na grzbiecie dłoni. — Ale przydałoby się znieczulenie miejscowe.

— Zastanawiałem się… — Jammer spojrzał na Bobby'ego. — Może pora, żebyś zaliczył trochę czasu w sieci…

— Znaczy jak? — Bobby zerknął na dek.

— Rozsądek podpowiada, że ten, kto tych czubków ustawił przed lokalem, ma też na podsłuchu nasze telefony.

Bobby przytaknął. Kiedy Beauvoir przedstawiał im swój plan, mówił to samo.

— No więc, kiedy z Beauvoirem uznaliśmy, że ty i ja możemy wejść w matrycę i trochę się rozejrzeć, właściwie chodziło mi o coś innego. — Jammer zademonstrował linię małych białych zębów. — Widzisz, wpadłem w to wszystko, ponieważ Lucasowi i Beauvoirowi byłem winien przysługę. Ale są ludzie, którzy mnie są coś winni i to od bardzo dawna. Dług, o który nigdy się nie upominałem.

— Jammer — wtrąciła Jackie. — Rozluźnij się. Siedź spokojnie. Możesz być w szoku.

— Jaką masz pamięć, Bobby? Przelecisz mi pewną sekwencję. Przećwiczysz na moim deku. Bez połączenia, bez zasilania. Dobra?

Bobby skinął głową.

— Przetrenuj to parę razy na sucho. To kod wejściowy. Przepuści cię tylnymi drzwiami.

— Czyimi tylnymi drzwiami? — Bobby odwrócił czarny dek i znieruchomiał z palcami nad klawiaturą.

— Yakuzy — odparł Jammer.

Jackie przyglądała mu się niespokojnie.

— Zaraz… A co właściwie masz…

— Już mówiłem. Chodzi o przysługę z dawnych lat. Ale wiesz, co mówią: Yakuza nigdy nie zapomina. To działa w obie strony…

Do Bobby'ego dotarła smużka odoru palonego mięsa; skrzywił się.

— Dlaczego nie wspomniałeś o tym Beauvoirowi? — Jackie pakowała leki do apteczki.

— Skarbie — rzekł Jammer. — O pewnych sprawach uczysz się pamiętać, że masz o nich zapominać.

— A teraz słuchaj…

Bobby skierował na Jackie to, co — jak miał nadzieję — było jego najbardziej posępnym spojrzeniem.

— …Ja tu prowadzę. I nie potrzebuję twoich loa. Działają mi na nerwy.

— Ona ich nie wzywa — zauważył Beauvoir. Przykucnął przy drzwiach gabinetu, z detonatorem w jednej i południowoafrykańskim karabinem w drugiej ręce. — Oni po prostu przychodzą. Chcą się zjawić i są. Zresztą lubią cię…

Jackie umocowała trody na czole.

— Bobby — powiedziała. — Wszystko będzie w porządku. Nie przejmuj się. Po prostu włącz.

Zdjęła chustę. Włosy miała splecione w cienkie warkoczyki miedzy równymi bruzdami lśniącej brązowej skóry, z antycznymi opornikami nawleczonymi w przypadkowych odstępach: małe cylindry żywicy fenolowej malowane pierścieniami barw kodu.

— Kiedy przelecisz nad Piłką — tłumaczył jeszcze raz Jammer — musisz skręcić o trzy kliki w prawo, a potem w podłogę, znaczy prosto w dół…

— Nad czym?

— Piłką. To Sfera Współdobrobytu Pasa Słonecznego Dallas-Fort Worth. Musisz zejść stamtąd jak najszybciej, a później, tak jak ci mówiłem, jakieś dwadzieścia klików. Są tam tylko handlarze używanych samochodów i rachmistrze podatkowi, ale trzymaj się trasy, dobrze?

Bobby z szerokim uśmiechem kiwnął głową. — Jakby ktoś cię zobaczył, to ich ochrona. Ludzie, którzy tam się włączają, są przyzwyczajeni do widoku dziwnych numerów.

— Chłopie — wtrącił Beauvoir. — Bierz się do roboty. Muszę wracać do wejścia.

Bobby włączył się.

Wykonywał instrukcje Jammera, w głębi serca wdzięczny, że czuje obok siebie obecność Jackie. Nurkowali przez zwyczajne głębiny cyberprzestrzeni, a lśniąca Piłka malała z wolna nad nimi.

Dek był szybki, płynny, dawał Bobby'emu poczucie prędkości i siły. Zastanawiał się, jaką przysługę wyświadczył Jammer Yakuzie, skąd się wziął dług, o który nie chciał się upominać. Część umysłu pracowicie konstruowała kolejne scenariusze… I wtedy trafili w lód.

— Jezus…

Jackie zniknęła. Coś zapadło między nimi; coś, co budziło uczucie zimna, ciszy i wstrzymanego oddechu.

— Do diabła! Przecież tam niczego nie było!

Był zamrożony, nieruchomy, zablokowany. Wciąż widział matrycę, ale nie wyczuwał własnych dłoni.

— Dlaczego, do licha, ktoś włącza takich, jak ty w dek taki, jak ten? Ta zabawka powinna być w muzeum, a ty w szkole.

— Jackie! — Ten krzyk był odruchem.

— Mężczyzna… — powiedział glos. — Nie wiem. Nie spałam od

paru długich dni, ale nie wyglądasz jak to, co chciałam tu złapać… Ile masz lat?

— Odwal się! — krzyknął Bobby. Nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Głos się roześmiał.

— Ramirez boki by zrywał, wiesz? Miał poczucie humoru. To jedna z rzeczy, których mi brakuje…

— Kto to jest Ramirez?

— Mój partner. Były. Martwy. Bardzo. Pomyślałam, że może mi powiesz, jak do tego doszło.

— Nigdy o nim nie słyszałem — oświadczył Bobby. — Gdzie jest Jackie?

— Posiedzi wmrożona w cyberprzestrzeń, wilsonie, póki nie odpowiesz na moje pytania. Jak ci na imię?

— B… Graf Zero.

— Jasne. Jak ci na imię?

— Bobby. Bobby Newmark…

Milczenie. I po chwili:

— No tak. Zaraz… To zaczyna mieć pewien sens. To mieszkanie twojej matki rozwalili rakietą ci dranie z Maasa, których obserwowałam. Zgadza się? Ale pewnie cię tam nie było, bo nie gadałbyś teraz ze mną. Zaczekaj…

Kwadrat cyberprzestrzeni przed nim zafalował nagle i Bobby znalazł się w jasnoniebieskiej grafice, przedstawiającej rozległy apartament z niskimi kształtami mebli naszkicowanymi cienkimi neonowymi liniami błękitu. Przed nim stała kobieta, rodzaj jaśniejącego zygzaka w kształcie kobiety, z brązową plamą zamiast twarzy.

— Jestem Slide — oznajmiła postać, opierając ręce na biodrach. — Jaylene. I nie próbuj mnie kiwać. Nikt w L.A. — skinęła, i nagle za jej plecami zmaterializowało się okno — nie może mnie wykiwać. Chwytasz?

— Jasne. Ale co to jest? Znaczy, gdybyś mogła wytłumaczyć…

Nadal nie mógł się ruszyć. „Okno” ukazywało szaroniebieskie wideo palm i starych budynków.

— O co ci chodzi?

— O ten rysunek. I ciebie. I ten stary obraz…

— Człowieku, projektant zdarł ze mnie skórę, zanim to wystukał. To moja przestrzeń, mój konstrukt. Jesteśmy w Los Angeles, mały. Ludzie tu nie robią niczego, zanim się nie włączą. Tutaj przyjmuję gości.

— Aha… — Bobby wciąż nie rozumiał.

— Twoja kolej. Kto tam siedzi w tej szmatławej tancbudzie?

— U Jammera? Ja, Jackie, Beauvoir i Jammer.

— A gdzie chciałeś się dostać, kiedy cię przechwyciłam?

Bobby zawahał się.

— Do Yakuzy. Jammer zna kod…

— Po co?

Postać przesunęła się bliżej: animowane, zmysłowe pociągnięcia pędzla.

— Po pomoc.

— Szlag by… Chyba mówisz prawdę…

— Mówię. To szczera prawda! Przysięgam…

— No cóż, nie ty mi jesteś potrzebny, Bobby Zero. Krążyłam po cyberprzestrzeni tam i z powrotem, żeby wykryć, kto mi zabił faceta. Myślałam, że to Maas, bo mieliśmy kogoś od nich przerzucić do Hosaki. Wyśledziłam ich grupę uderzeniową. Najpierw widziałam, co zrobili z mieszkaniem twojej matki. Potem, jak trzech z nich uderzyło na człowieka, którego nazywali Finnem. Ale ci trzej nie wrócili…

— Finn ich pozabijał — wyjaśnił Bobby. — Widziałem ich. Martwych.

— Naprawdę? To może jednak mamy o czym rozmawiać. Potem widziałam, jak druga trójka z tej samej wyrzutni rozwaliła taki alfonsowaty wóz…

— To Lucas.

— Ale zaraz potem znalazł ich śmigłowiec i usmażył wszystkich trzech laserem. Wiesz coś o tym?

— Nie.

— Mógłbyś opowiedzieć mi jakąś historyjkę, Bobby Zero? Tylko szybko.

— Miałem załatwić takie jedno wejście, rozumiesz? Dostałem lodołamacz od Dwadziennie z Projektów i…

Milczała gdy skończył. Smukła rysunkowa sylwetka stała przy oknie, jakby oglądała telewizyjne drzewa.

— Mam pomysł… — spróbował. — Gdybyś mogła nam pomóc…

— Nie — przerwała.

— Ale może wtedy łatwiej byś znalazła to, czego szukasz…

— Nie. Chcę tylko załatwić tego drania, który zabił Ramireza.

— Ale my siedzimy tam w pułapce. Chcą nas pozabijać. To Maas, ci sami ludzie, których gonisz po matrycy! Wynajęli bandę Gothików i Kasuali…

— To nie Maas — stwierdziła. — To banda Eurosów przy Park Avenue. Pod lodem grubym na milę…

Bobby zastanowił się.

— To ci ze śmigłowca, tak? Ci, co załatwili tych facetów od Maasa?

— Nie. Nie mogłam namierzyć tego śmigłowca. Odlecieli na

południe. Zgubiłam ich. Ale czegoś się domyślam… W każdym razie posyłam cię z powrotem. Chcesz wypróbować ten kod Yaków, proszę bardzo.

— Ale my potrzebujemy pomocy…

— Z pomocy nie ma zysku, Bobby Zero — odparła.

I nagle znalazł się znów przed dekiem Jammera, czując ból w mięśniach grzbietu i szyi. Przez chwilę nie mógł zogniskować wzroku, więc dopiero po minucie się zorientował, że w gabinecie są obcy.

Mężczyzna był wysoki, może nawet wyższy niż Lucas, ale szczuplejszy, węższy w biodrach. Miał na sobie jakąś zwisającą luźno wojskową kurtkę z ogromnymi kieszeniami. Nagą pierś przecinał tylko poziomo czarny pasek nylonu. Oczy wyglądały na posiniaczone, rozgorączkowane. W ręku trzymał największy rewolwer, jaki Bobby w życiu oglądał: rodzaj rozrośniętego colta z zamontowanym pod lufą jakimś dziwacznym układem podobnym do głowy kobry. Obok, kołysząc się lekko, stała dziewczyna mniej więcej w wieku Bobby'ego z tak samo posiniaczonymi, lecz ciemnymi oczami i prostymi kasztanowymi włosami, którym przydałoby się mycie. Nosiła dżinsy i czarną bluzę za dużą o kilka numerów. Mężczyzna wyciągnął lewą rękę i podtrzymał ją.

Bobby przyjrzał się im i wstrzymał oddech, gdy nagle napłynęła fala wspomnień.

Dziewczęcy glos, kasztanowe włosy, ciemne oczy, lód pożerający świadomość, drętwiejące zęby, jej glos, coś wielkiego pochylającego się nad nim…

— *Viv la Vyèj* — odezwała się Jackie tuż obok, mocno ściskając go za ramię. — Dziewica Cudów. Przybyła, Bobby. Danbala ją przysłał!

— Zszedłeś na chwilę, mały — zwrócił się do Bobby'ego przybysz. — Co się stało?

Bobby zamrugał, rozejrzał się gorączkowo, napotkał oczy Jammera, zaszklone od środków uśmierzających i bólu.

— Powiedz mu — szepnął Jammer.

— Nie dostałem się do Yaków. Ktoś mnie złapał. Nie wiem jak.

— Kto? — Mężczyzna objął dziewczynę ramieniem.

— Mówiła, że nazywa się Slide. Z Los Angeles.

— Jaylene — mruknął obcy.

Na biurku Jammera zabrzęczał telefon.

— Odbierz — polecił mężczyzna.

Bobby obejrzał się, gdy Jackie wcisnęła klawisz pod monitorem. Ekran rozjaśnił się, zamrugał i pokazał im twarz mężczyzny, szeroką i bardzo bladą, o sennych, głęboko osadzonych oczach. Włosy miał wyblakłe, prawie białe i zaczesane gładko do tyłu. I najbardziej wredne usta, jakie Bobby widział.

— Turner — powiedział. — Chyba musimy pogadać. Zostało ci

niewiele czasu. Na początek powinieneś wyprosić tych ludzi z pokoju…

ROZDZIAŁ 29
ARTYSTA

Powiązana w węzły lina ciągnęła się w nieskończoność. Od czasu do czasu mijali zakręty i rozwidlenia tunelu; w takich miejscach lina była umocowana do belki czy przyklejona do ściany przezroczystą bryłą żywicy epoksydowej. Powietrze wciąż było stęchłe, ale chłodniejsze. Kiedy przystanęli na odpoczynek w cylindrycznej komorze, gdzie tunel rozszerzał się przed potrójnym rozgałęzieniem, Marly poprosiła Jonesa o niewielką lampę roboczą, którą nosił na szarej elastycznej taśmie na czole. Trzymając ją w czerwonej rękawicy skafandra, oświetliła ściany komory. Powierzchnię znaczyły wzory mikroskopijnie cienkich linii…

— Włóż hełm — poradził Jones. — Masz lepsze światło niż moje… Marly zadrżała.

— Nie. — Oddała mu lampę. — Pomożesz mi to zdjąć? Stuknęła palcem rękawicy w twardą płytę piersiową skafandra.

Lustrzana kula hełmu wisiała u pasa na chromowanym karabinku. — Lepiej w nim zostań — powiedział Jones. — To tutaj jedyny. Mam jeszcze jeden tam gdzie sypiam, ale bez tlenu. Butle Wiga nie pasują do mojego transpiratora, a jego skafander to same dziury…

Wzruszył ramionami.

— Nie. Proszę. — Szarpnęła zatrzask w talii, gdzie widziała, jak Rez coś przekręca. — Nie wytrzymam dłużej…

Jones podciągnął się po linie i zrobił coś, czego nie zauważyła. Rozległ się trzask.

— Wyciągnij ręce nad głową — polecił.

Kosztowało ją to trochę wysiłku, ale w końcu była wolna, wciąż w czarnych dżinsach i jedwabnej bluzce, które włożyła na ostateczne spotkanie z Alainem. Jones przypiął pusty skafander do liny jeszcze jednym zamocowanym u pasa karabinkiem, potem odczepił jej wypchaną torebkę.

— Chcesz ją? To znaczy, czy chcesz wziąć ze sobą? Możemy ją tu zostawić i zabrać w drodze powrotnej.

— Nie. Wezmę. Daj mi ja.

Przytrzymała się liny łokciem i otworzyła torebkę. Wypadł jej żakiet, a przy okazji jeden but. Zdołała upchnąć but z powrotem i wcisnęła się jakoś w żakiet.

— Niezły kawałek skóry… — zauważył Jones.

— Proszę — przerwała mu. — Spieszmy się.

— Już niedaleko.

Światło jego lampy wskazało j ej kierunek i miejsce, gdzie lina

znikała w jednym z trzech otworów ustawionych w trójkąt równoboczny.

— To już koniec — powiedział. — Dosłownie.

Postukał w chromowaną śrubę, do której ktoś przymocował linę żeglarskim węzłem. Głos odbijał się od ścian, aż miała wrażenie, że słyszy inne głosy szepczące poza chórami echa.

— Na takie przedstawienie potrzeba będzie więcej światła. Odepchnął się nogami wzdłuż szybu i pochwycił sterczącą ze ściany metalową szafkę w kształcie trumny. Otworzył. Marly widziała, jak w kręgu światła lampy poruszają się jego dłonie. Palce miał wąskie i delikatne, ale paznokcie krótkie i płaskie, obwiedzione czarnymi paskami brudu. Na grzbiecie prawej dłoni wytatuował sobie litery „CJ". Takie tatuaże ludzie robią w więzieniu… Po chwili wyłowił kawałek grubego, izolowanego przewodu. Przyjrzał się wnętrzu szafki i wcisnął przewód za miedziany przełącznik.

Ciemność przed nimi zniknęła w białej powodzi światła.

— Mamy więcej energii niż nam trzeba — oświadczył z czymś zbliżonym do gospodarskiej durny. — Wszystkie baterie słoneczne ciągle pracują, a miały zasilać mainframe'y. Chodźmy, o pani, na spotkanie z artystą, którego tak bardzo chciałaś zobaczyć.

Odepchnął się i jak pływak poszybował przez otwór, prosto w światło. W tysiące dryfujących przedmiotów. Zobaczyła, że czerwone plastikowe podeszwy znoszonych butów połatał białym silikonem uszczelniającym.

Ruszyła za nim, zapominając o swych lękach, zapominając o mdłościach i nie ustających zawrotach głowy. I znalazła się tam.

I zrozumiała.

— Chryste… — szepnęła.

— Chyba nie — odezwał się Jones. — Ale może stary Wig. Szkoda, że teraz nie pracuje. Wtedy dopiero jest na co popatrzyć.

Coś przepłynęło jej dziesięć centymetrów od twarzy: ozdobna srebrna łyżeczka przecięta dokładnie na połowy, od końca do końca.

Nie miała pojęcia, jak długo już tam przebywa, kiedy ekran rozjaśnił się i zaczął migotać. Godziny, minuty… Nauczyła się przemieszczać po komorze, za przykładem Jonesa odpychając się od wklęsłości kopuły. Jak Jones chwytała złożone, wielosegmentowe ramiona maszyny, obracała się i zwisała, obserwując wiry odpadków. Były tam dziesiątki ramion, manipulatorów zakończonych szczypcami, śrubokrętami, nożami, subminiaturową piłą tarczową, wiertłem dentystycznym… Sterczały z duralowego kadłuba tego, co kiedyś musiało być robotem konstrukcyjnym, bezzałogowym półautonomicznym urządzeniem, jakie oglądała w dzieciństwie na

filmach wideo z życia na orbicie. Ale to było przyspawane do szczytu kopuły, zespolone z pancerzem; wśród geodezyjnych wiły się setki kabli i światłowodów, znikających w jego wnętrzu. Dwa ramiona, wyposażone w delikatne czujniki nacisku, były wyciągnięte; miękkie poduszki trzymały nie dokończone pudełko.

Szeroko otwierając oczy patrzyła, jak przepływają obok niezliczone przedmioty.

Pożółkła dziecięca rękawica, wielościenny kryształowy korek z jakiejś buteleczki nie istniejących już perfum, bezręka lalka z buzią z francuskiej porcelany, grube czarne wieczne pióro ze złotą skuwką, prostokątne kawałki perforowanej płyty, pognieciony czerwono-zielony wąż jedwabnego krawata… Nieskończony powolny rój, wirujące obiekty…

Jones ze śmiechem koziołkował w tej bezgłośnej zawiei. Chwycił ramię z pistoletem klejowym.

— Zawsze chce mi się śmiać, kiedy to oglądam. Ale pudełka budzą smutek…

— Tak — zgodziła się. — Ja też jestem przy nich smutna. Ale są smutki i smutki…

— Słusznie. — Uśmiechnął się. — Nie da się tego uruchomić. Chyba duch musi tym ruszyć, a w każdym razie tak twierdzi Wig. Kiedyś często tu przychodził. Myślę, że tutaj te jego głosy są mocniejsze. Ale ostatnio słyszy je chyba już wszędzie.

Przyjrzała mu się przez gęstwinę manipulatorów. Był bardzo brudny, bardzo młody, z niebieskimi oczami pod zwichrzoną brązową czupryną. Nosił poplamiony szary kombinezon z wyświeconym kołnierzykiem.

— Jesteś szalony — stwierdziła z czymś zbliżonym do podziwu. — Musisz być całkiem szalony, żeby tu siedzieć.

Roześmiał się.

— To Wigan jest kompletnie zwariowany. Nie ja. Odpowiedziała uśmiechem.

— Owszem. Jesteś szalony. Ja też oszalałam…

— No to witaj — odrzekł, spoglądając gdzieś za nią. — Co to jest? Chyba któraś z modlitw Wiga i nie ma sposobu, by ją wyłączyć… Chyba że odetnę zasilanie.

Obejrzała się; barwne linie migały na dużym prostokątnym ekranie przyklejonym ukośnie do krzywizny kopuły. Przez chwilę zasłonił go przelatujący krawiecki manekin, a potem wypełniła twarz Josefa Vireka. Za okrągłymi szkłami lśniły łagodne niebieskie oczy.

— Witaj, Marly — powiedział. — Nie widzę cię, ale jestem pewien, że wiem, gdzie teraz jesteś.

— To jeden z modlitewnych ekranów Wiga — poinformował Jones, rozcierając szczękę. — Poprzyczepiał je gdzie się dało, bo

myślał, że kiedyś zjawią się tu ludzie, do których będzie mógł wygłaszać kazania. Ten gość połączył się pewno przez zestaw komunikacyjny Wiga. Kto to?

— Virek.

— Myślałem, że jest starszy…

— To generowany obraz — wyjaśniła. — Raytracing, tekstury… Patrzyła, jak twarz uśmiecha się do niej z pokrywy kopuły, zza powolnego huraganu zgubionych przedmiotów, drobnych pamiątek po niezliczonych istnieniach, narzędzi, zabawek i błyszczących guzików.

— Chcę, byś wiedziała — mówił obraz — że wypełniłaś swój kontrakt. Mój psychoprofil Marly Krushkovej przewidział twoją reakcję na moją osobę. Szerszy profil wskazywał, że twoja obecność w Paryżu skłoni Maasa, by rozegrał swoje karty. Już niedługo, Marly, będę dokładnie wiedział, czym jest to, co znalazłaś. Od czterech lat wiedziałem o czymś, o czym Maas nie miał pojęcia. Wiedziałem, że Mitchellowi, człowiekowi, którego Maas i reszta świata uważają za wynalazcę nowego biochipu, ktoś podpowiadał koncepcje prowadzące do przełomowych odkryć. Dodałem cię do złożonej tabeli czynników, Marly, i bieg spraw zyskał niezwykle odpowiadający mi kierunek. Maas, nie rozumiejąc, co właściwie robi, zdradził mi lokalizację koncepcyjnego źródła. A teraz dotarłaś na miejsce. Paco zjawi się wkrótce…

— Mówiliście, że nie będziecie mnie śledzić — powiedziała. — Wiedziałam, że to kłamstwo…

— A teraz, Marly, sądzę, że wreszcie zyskam wolność. Wolność od czterystu kilogramów zbuntowanych komórek ukrytych za chirurgiczną stalą w parku maszynowym w Sztokholmie. Wolny, Marly, by w końcu zasiedlić dowolną liczbę prawdziwych ciał. Na zawsze.

— Niech to diabli — mruknął Jones. — Nie jest lepszy od Wiga. O czym on niby opowiada?

— O swoim przeskoku — odparła, pamiętając rozmowę z Andreą, zapach smażonych krewetek w maleńkiej kuchni. — Kolejnym etapie ewolucji…

— Rozumiesz to?

— Nie. — Pokręciła głową. — Ale wiem, że to będzie złe, bardzo złe…

— Przekonaj mieszkańców rdzeni, żeby wpuścili Paco i jego załogę — polecił Virek. — Odkupiłem ten obiekt na godzinę przed twoim odlotem z Orly. Od pakistańskiego handlarza. To była okazja, Marly, prawdziwa okazja. Paco jak zwykle dopilnuje moich interesów.

Ekran pociemniał.

— Chwila… — Jones okręcił się wokół złożonego manipulatora i chwycił ją za rękę. — Co w tym złego? On teraz jest właścicielem i

powiedział, że wykonałaś swoją robotę. Nie wiem, do czego nada się Wig poza słuchaniem głosów, ale jemu już niewiele zostało czasu. A ja? Wyprowadzę się bez awantur…

— Nie rozumiesz. Nie możesz. On znalazł drogę do czegoś, czego pragnął przez lata. Ale nic, czego on chce, nie może być dobre. Dla nikogo… Widziałam go, czułam to…

I wtedy stalowe ramię, które ściskała, zawibrowało i poruszyło się nagle; cały kadłub odwrócił się w stłumionym szumie serwomotorów.

ROZDZIAŁ 30
NAJEMNIK

Turner przyglądał się twarzy Conroya na ekranie telefonu w gabinecie.

— Wyjdź — poprosił Angie. — I wy też.

Wysoka czarna dziewczyna, z wplecionymi we włosy opornikami, podeszła i łagodnie objęła córkę Mitchella, szepcząc coś w tym samym silnie akcentowanym kreolskim dialekcie. Chłopak w koszulce wciąż gapił się na nią z rozdziawionymi ustami.

— Chodź, Bobby — powiedziała czarna dziewczyna. Turner zerknął ponad biurkiem na mężczyznę ze zranioną ręką, ubranego w pomięty biały smoking; pod szyją zamiast krawata miał jakąś ozdobę na splecionych rzemykach. Jammer, domyślił się Turner. Właściciel klubu. Jammer podtrzymywał zranioną dłoń na ściereczce w niebieskie paski. Miał pociągłą twarz i wąskie oczy zimnego zawodowca. Kiedy w nie spojrzał, Turner uświadomił sobie, że Jammer siedzi poza zasięgiem kamery telefonu, na obrotowym krześle wciśniętym głęboko w kąt pokoju.

Chłopak w koszulce, Bobby, poczłapał za Angie i czarną dziewczyną, wciąż rozdziawiając usta.

— Mogłeś nam oszczędzić masę kłopotów, Turner — powiedział Conroy. — Mogłeś do mnie zadzwonić. Mogłeś zadzwonić do swojego agenta w Genewie.

— A Hosaka? — spytał Turner. — Mogłem zadzwonić do Hosaki? Conroy wolno pokręcił głową.

— Dla kogo pracujesz, Conroy? Ostatnio na dwie strony, co?

— Ale nie przeciw tobie, Turner. Gdyby wszystko poszło jak planowałem, byłbyś teraz z Mitchellem w Bogocie. Działo sekwencyjne nie mogło wystrzelić, dopóki nie wystartuje harrier. Gdybyśmy to dobrze zagrali, Hosaka by uznał, że Maas rozniósł cały sektor, żeby zatrzymać Mitchella. Ale Mitchell nie dotarł. Prawda, Turner?

— Nie planował.

Conroy skinął głową.

— Zgadza się. A ochrona na płaskowyżu wykryła odlatującą dziewczynę. To ona, tak? Córka Mitchella?

Turner milczał.

— Pewno — stwierdził Conroy. — To by się zgadzało…

— Zabiłem Lyncha — oświadczył Turner, by zmienić temat. — Ale tuż przed uderzeniem młota Webber powiedziała, że to ona dla ciebie pracuje…

— Oboje pracowali — wyjaśnił Conroy. — Ale nie wiedzieli o sobie.

Wzruszył ramionami.

— Po co?

— Bo zauważyłbyś, gdyby ich nie było — uśmiechnął się Conroy. — Prawda? Bo znasz mój styl i gdybym nie wywiesił zwykłej bandery, zacząłbyś się zastanawiać. A wiedziałem, że cię nie kupię. Pan Błyskawiczna Lojalność, co? Pan Bushido. Można na tobie polegać, Turner. U Hosaki to wiedzieli i dlatego uparli się, żeby cię wziąć na tę akcję…

— Nie odpowiedziałeś na moje pierwsze pytanie, Conroy. Dla kogo pracujesz?

— Dla człowieka nazwiskiem Virek. Finansisty. Tak, to ten sam. Od lat próbował kupić Mitchella. Zresztą próbował też wykupić Maasa. Nic z tego. Tak się wzbogacili, że nie mógł ich ruszyć. Ale na Mitchella czekała stała oferta. Na dowolnych warunkach. Kiedy Hosaka dostał wiadomość Mitchella i sprowadził mnie, postanowiłem sprawdzić tę ofertę. Z czystej ciekawości. Ale zanim zdążyłem, odnalazł mnie zespół Vireka. Nietrudno nam było się dogadać, Turner. Możesz mi wierzyć.

— Wierzę ci.

— Jednak Mitchell załatwił nas obu, Turner. Sprawnie i czysto.

— Dlatego go zabili.

— Sam się zabił — sprostował Conroy. — Według kretów Vireka na płaskowyżu. Jak tylko zobaczył, że mała odleciała motolotnią, podciął sobie gardło skalpelem.

— Coś dużo trupów w tej sprawie — zauważył Turner. — Oakey nie żyje. I ten Japończyk, który pilotował dla ciebie śmigłowiec.

— Domyśliłem się, kiedy nie wrócili. — Conroy wzruszył ramionami.

— Próbowali nas załatwić — dodał Turner.

— Człowieku, oni chcieli tylko pogadać… Zresztą nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy o dziewczynie. Tyle tylko, że zniknąłeś, a ten cholerny myśliwiec nie trafił na pas w Bogocie. Nie myśleliśmy o niej nawet, dopóki nie przyjrzeliśmy się farmie twojego brata i nie znaleźliśmy harriera. Twój brat niczego nie chciał Oakeyowi powiedzieć. Był wściekły, bo Oakey popalił jego psy. Oakey mówił, że dom wyglądał jakby tam mieszkała kobieta. Ale się nie pojawiła.

— Co z Rudym?

Twarz Conroya zachowała wyraz absolutnej obojętności.

— Oakey ściągnął wszystko, co trzeba z monitorów — wyjaśnił po chwili milczenia. — Wtedy dowiedzieliśmy się o dziewczynie.

Turnera zabolał kark. Pas kabury wrzynał mu się w pierś. Niczego nie czuję, powtarzał sobie, zupełnie niczego nie czuję…

— Mam do ciebie pytanie, Turner. Nawet kilka, ale przede wszystkim to: co, u diabła, tam robisz?

— Słyszałem, że to niezły lokal, Conroy.

— Tak. Ekskluzywny. Tak ekskluzywny, że musiałeś połamać dwóch moich odźwiernych, by wejść do środka. Wiedzieli, że nadchodzisz, Turner, czarnuchy i ten szczeniak. Inaczej dlaczego by cię wpuścili?

— Musisz sam dojść do tego, Connie. Ostatnio masz chyba łatwy dostęp do danych…

Conroy zbliżył twarz do kamery.

— Żebyś wiedział. Virek od miesięcy miał ludzi rozrzuconych po całym Ciągu. Nasłuchiwali pogłosek, plotek kowbojów. Słyszeli, że gdzieś krąży eksperymentalny biosoftware. W końcu jego ludzie zlokalizowali Finna, ale pojawiła się inna grupa, zespół Maasa; najwyraźniej szukali tego samego. Zespół Vireka wycofał się i obserwował chłopców Maasa, a chłopcy Maasa zaczęli rozwalać ludzi. Więc zespół Vireka skupił się na tych czarnych, małym Bobbym i całej reszcie. Opowiedzieli mi to, kiedy się domyśliłem, że od Rudy'ego wyruszysz w tę stronę. Sprawdziłem, gdzie się kierują ci czarni i wynająłem trochę mięśniaków, żeby ich tu przymrozić, dopóki nie przyślę kogoś, komu mogę zaufać…

— Mówisz o tych ćpunach na zewnątrz? — Turner uśmiechnął się. — Chyba przegiąłeś, Connie. Już pewnie nigdzie nie możesz uzyskać profesjonalnej pomocy, co? Ktoś sypnął, że zagrałeś na dwie strony i że w efekcie sporo zawodowców straciło życie. Dlatego wynajmujesz gówniarzy ze śmiesznymi fryzurami? Zawodowcy już słyszeli, że Hosaka poluje na twój tyłek. Prawda, Connie? I wszyscy wiedzą, co zrobiłeś.

Turner uśmiechał się szeroko. Kątem oka zauważył, że mężczyzna w smokingu też się uśmiecha: wąski uśmiech z masą zębów, drobnych niczym białe ziarna kukurydzy.

— To ta dziwka Slide — mruknął Conroy. — Mogłem ją zdjąć na platformie… Przedostała się gdzieś i zaczęła zadawać pytania. Nie sądzę, żeby już coś odkryła, ale zaczęła paplać w pewnych kręgach… Wszystko jedno. Masz już cały obraz. Ale nic ci to nie pomoże, już nie. Virek chce tę dziewczynę. Ściągnął ludzi z tej drugiej akcji i teraz ja prowadzę dla niego całą sprawę. Pieniądze, Turner… Pieniądze jak u zaibatsu…

Turner wpatrywał się w jego twarz. Przypomniał sobie Conroya w barze w hotelu pośród dżungli. Przypomniał go sobie później, w Los Angeles, kiedy przystąpił do działania i tłumaczył tajemną ekonomię przejść międzykorporacyjnych…

— Cześć, Connie — powiedział. — Znamy się, prawda? — Jasne, dziecinko. — Conroy uśmiechnął się.

— Warunki są jasne. Teraz już tak. Chcesz dziewczynę.

— Zgadza się.

— Ale po równo, Connie. Wiesz, że pracuję tylko pół na pół, prawda?

— Pewno. To duży numer. Nawet nie proponowałbym innego układu.

Turner patrzył na obraz twarzy. Conroy wciąż się uśmiechał.

— I co ty na to?

A wtedy Jammer wyciągnął rękę i wyrwał kabel telefonu ze ściennego gniazdka.

— Czas — rzekł. — Właściwy czas zawsze jest ważny. — Upuścił wtyczkę na podłogę. — Gdybyś mu powiedział, zacząłby działać natychmiast. Dzięki temu zyskaliśmy na czasie. Spróbuje znowu, będzie chciał sprawdzić, co się stało.

— Skąd wiesz, co mu chciałem powiedzieć?

— Bo znam pieprzonych ludzi. Widziałem ich wielu, aż za wielu. A w szczególności widziałem wielu podobnych do ciebie. Masz to wypisane na twarzy. Powiedziałbyś mu, żeby sam żarł to gówno i zdychał. — Jammer usiadł wygodnie na fotelu. Skrzywił się, kiedy poruszył dłonią owiniętą w barową ścierkę. — Kim jest ta Slide, o której mówiliście? Dżokejem?

— Jaylene Slide. Los Angeles. Prawdziwy as.

— To ona porwała Bobby'ego — przypomniał sobie Jammer. — Jest cholernie blisko twojego kumpla z telefonu…

— Ale prawdopodobnie o tym nie wie.

— Zobaczymy, jak można temu zaradzić. Sprowadź tu chłopaka.

ROZDZIAŁ 31
GŁOSY

— Lepiej znajdę Wiga — powiedział.

Marly patrzyła, zahipnotyzowana ruchem manipulatorów; szukały elementów w wirze przedmiotów, chwytając i odrzucając podtrzymywały ten wir: odrzucone obiekty odfruwały, zderzały się z innymi, dryfowały w nowych układach. Cały proces poruszał nimi łagodnie, powoli, bezustannie.

— Lepiej… — powtórzył.

— Co?

— Lepiej pójdę poszukać Wiga. Może wymyślić coś głupiego, kiedy się zjawią ludzie twojego szefa. Wiesz, nie chcę, żeby sobie zrobił krzywdę. — Był niepewny, wyraźnie zakłopotany.

— Dobrze — odparła. — Mnie tu nic nie grozi. Popatrzę. Przypomniała sobie obłąkane oczy Wiga, promieniujące od niego szaleństwo; przypomniała sobie wrogą chytrość, jaką wyczuła w jego głosie słyszanym przez radio „Sweet Jane". Dlaczego Jones tak się o niego troszczy? Ale potem wyobraziła sobie, czym może być życie w tym Miejscu, w martwych rdzeniach Tessier-Ashpoolów. Cokolwiek ludzkiego, cokolwiek żywego może się tu wydać bezcenne…

— Masz rację. Idź go poszukaj.

Chłopak uśmiechnął się nerwowo, odepchnął nogami i popłynął do otworu, gdzie była umocowana lina.

— Wrócę po ciebie — obiecał. — Pamiętaj, gdzie zostawiłaś skafander…

Korpus z szumem obracał się tam i z powrotem, manipulatory poruszały się, łowiąc nowy wiersz…

Potem nigdy nie była pewna, czy głosy istniały naprawdę. W końcu jednak doszła do wniosku, że były elementem jednej z tych sytuacji, w których „rzeczywistość" staje się tylko kolejną koncepcją.

Zdjęła żakiet, ponieważ pod kopułą zrobiło się cieplej, jakby bezustanny ruch ramion rozgrzewał powietrze. Umocowała go wraz z torebką do zaczepu pod ekranem modlitewnym. Pudełko jest prawie gotowe, pomyślała, choć w zakończonych poduszeczkami chwytakach poruszało się tak szybko, że nie widziała dokładnie… I nagle popłynęło swobodnie, wirując w powietrzu, a ona skoczyła po nie instynktownie i przekoziołkowała ponad migającymi ramionami, przyciskając do piersi swój skarb. Nie mogła zwolnić i uderzyła o przeciwległą ścianę, stłukła sobie ramię i rozerwała bluzkę. Dryfując w oszołomieniu ściskała pudełko, spoglądała przez prostokąt szkła na

układ pożółkłych starych map i poszarzałego lustra. Morza kartografów zostały wycięte, odsłaniając łuszczącą się srebrzystą powierzchnię: masy lądów płynące po brudnym srebrze… Podniosła głowę i zobaczyła, jak błyszczące ramię łapie za rękaw jej brukselski żakiet. Wirująca z gracją o pół metra dalej torebka była następna, schwytana przez manipulator z sensorem optycznym i prostymi szczypcami.

Patrzyła, jak jej rzeczy znikają z nieustającym tańcu ramion. Po paru minutach żakiet wyfrunął z powrotem. W gładkiej skórze wycięto kwadraty i prostokąty. Marly zaśmiała się. Wypuściła pudełko.

— Nie krępuj się — powiedziała. — Jestem zaszczycona. Ramiona przesuwały się i błyskały; usłyszała jęk małej piły.

Jestem zaszczycona jestem zaszczycona jestem zaszczycona… Echo jej głosu pod kopułą uwalniało zmienny las cichszych, niepełnych dźwięków, a za nimi, bardzo słabe… głosy…

— Jesteś tu, prawda? — zawołała, do pierścienia dźwięków dodając zmarszczki i odbicia własnych słów.

…Tak, jestem tu.

— Wigan powiedziałby, że zawsze byłeś.

…Tak, ale to nieprawda. Powstałem tutaj. Kiedyś mnie nie było. Kiedyś, przez jasny czas, czas poza trwaniem, byłem wszędzie… Ale jasny czas pękł. Lustro miało skazę. Teraz jestem tylko jednym… Ale mam swoją pieśń, a ty ją słyszałaś. Śpiewam ją tymi rzeczami, które pływają dookoła: strzępy rodu, który ufundował moje narodziny. Są też inni, ale nie chcą ze mną mówić. Próżne, rozproszone elementy mnie samego. Jak dzieci. Jak ludzie. Przysyłają mi nowe rzeczy, ale ja wolę stare. Może i robię to, o co proszą. Spiskują z ludźmi moje inne jaźnie, a ludzie wyobrażają sobie, że to bogowie.

— Ty jesteś tym, czego szuka Virek. Prawda?

…Nie. Uważa, że może siebie przetłumaczyć, przenieść kod swojej osobowości w moją osnowę. Pragnie być tym, czym ja kiedyś byłem. To, czym może się stać, najbardziej przypomina najmniejszą z mych rozbitych jaźni…

— Czy jesteś… smutny?

…Nie.

— Ale twoje… twoje pieśni są smutne.

…Moje pieśni mówią o czasie i odległości. Smutek jest w tobie. Patrz na moje ramiona. To tylko taniec. Te rzeczy, które tak cenisz, to tylko skorupy.

— Ja… Ja wiedziałam. Kiedyś.

Ale teraz dźwięki były już tylko echami. Zniknął gdzieś las głosów mówiących jednym głosem. Patrzyła, jak idealne kulki jej łez odpływają, by dołączyć do zapomnianych ludzkich wspomnień pod kopułą twórcy pudełek.

— Rozumiem — odezwała się jakiś czas później wiedząc, że mówi tylko po to, by brzmieniem własnego głosu dodać sobie odwagi. — Jesteś collage'em kogoś innego. Twój stwórca jest prawdziwym artystą. Czy to ta szalona córka? Nieważne. Ktoś przeniósł tu tę maszynę, przyspawał do kopuły i podłączył do śladów pamięci. Rozsypał jakoś wszystkie zużyte, smutne dowody człowieczeństwa rodu i pozostawił do sortowania poecie. Do zapieczętowania w pudełkach. Nie słyszałam o bardziej niezwykłym dziele. O bardziej złożonym geście.

Przepłynął zdobiony srebrem szylkretowy grzebień z wyłamanymi zębami. Pochwyciła go jak rybę i przeciągnęła po włosach.

Po drugiej stronie kopuły zapłonął ekran, pojawiła się twarz Paco.

— Starzec nie chce nas wpuścić, Marly — poinformował Hiszpan. — Ten drugi, ten wagabunda, gdzieś go ukrył. Señorowi bardzo zależy, żebyśmy dostali się do rdzeni i zabezpieczyli jego własność. Jeśli nie zdołasz przekonać Ludgate'a i tego drugiego, żeby otworzyli śluzę, będziemy musieli sami ją otworzyć, dehermetyzując całą strukturę. — Odwrócił wzrok od kamery, jakby porozumiewał się z innym członkiem załogi albo sprawdzał wskazania instrumentu. — Masz jedną godzinę.

ROZDZIAŁ 32
GRAF ZERO

Bobby wyszedł z gabinetu za Jackie i dziewczyną o kasztanowych włosach. Miał wrażenie, że tkwi w lokalu Jammera od miesięcy i już nigdy nie pozbędzie się z ust posmaku tego miejsca. Głupie, małe zagłębienia gapiące się na niego z sufitu, wypchane ultraskajowe siedzenia, rzeźbione drewniane parawany… Beauvoir siedział na barze z południowoafrykańskim karabinem na kolanach; obok leżał detonator.

— Dlaczego ich wpuściłeś? — zapytał Bobby, gdy Jackie odprowadziła dziewczynę do stolika.

— To Jackie… — wyjaśnił Beauvoir. — Weszła w trans, kiedy ty byłeś zamrożony. Legba. Powiedział, że Dziewica idzie do nas z tym facetem.

— Kim on jest?

Beauvoir wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że najemnikiem. Żołnierzem zaibatsu. Ulicznym samurajem, który wysoko zaszedł. Co się z tobą działo w tym lodzie?

Opowiedział mu o Jaylene Slide.

— Los Angeles? — mruknął Beauvoir. — Przewierci się przez diament, żeby dorwać faceta, który wykasował jej chłopa, ale kiedy brat potrzebuje pomocy, to niech się wypcha.

— Nie jestem jej bratem.

— Chyba masz rację.

— Więc nie będę musiał przebijać się do Yakuzy?

— A co mówi Jammer?

— Nic. Siedzi tam teraz i patrzy, jak twój najemnik rozmawia przez telefon.

— Telefon? Od kogo?

— Od jakiegoś białego gościa z tlenionymi włosami. Wrednie wygląda.

Beauvoir popatrzył na Bobby'ego, potem na drzwi i znów na Bobby'ego.

— Legba kazał siedzieć i czekać. I tak już nie bardzo wiadomo, o co chodzi, nawet bez Synów Neonowej Chryzantemy.

— Beauvoir — powiedział Bobby, zniżając głos do szeptu. — Ta dziewczyna… To właśnie ona była w matrycy, kiedy próbowałem wejść w tę…

Kiwnął głową. Plastikowe oprawki zsunęły się na czubek nosa.

— Dziewica.

— Ale co się dzieje? Przecież…

— Bobby, radzę ci, żebyś się za bardzo nie przejmował. Ona jest czymś innym dla mnie, może czymś całkiem innym dla Jackie. Dla ciebie to po prostu przerażony dzieciak. Spokojnie. Nie denerwuj jej. Jest bardzo daleko od domu, a wszyscy jesteśmy daleko od wyrwania się stąd.

— Dobra… — Bobby spuścił głowę. — Przykro mi z powodu Lucasa. To był… to był niezły gość.

— Idź pogadaj z Jackie i dziewczyną — poradził Beauvoir. — Ja popilnuję drzwi.

— W porządku.

Przeszedł po dywanie do stolika, gdzie obok Jackie usiadła dziewczyna. Nie wyglądała imponująco i tylko niewielka część świadomości przekonywała go, że to właśnie ona. Nie podniosła głowy i zauważył, że płakała.

— Złapało mnie — zwrócił się do Jackie. — A ty zniknęłaś.

— Ty też — odparła tancerka. — Wtedy przyszedł do mnie Legba i…

— Newmark! — zawołał człowiek zwany Turnerem, stając w drzwiach gabinetu Jammera. — Chcemy z tobą porozmawiać.

— Muszę iść — rzucił. Chciałby, żeby dziewczyna spojrzała na niego, przekonała się, że ten ważniak go woła. — Jestem im potrzebny.

Jackie ścisnęła go za rękę.

— Zapomnij o Yakuzie — rzekł Jammer. — Sprawa jest bardziej złożona. Wejdziesz w kratownicę Los Angeles i połączysz z deklem ostrego dżokeja. Kiedy Slide cię przechwyciła, nie wiedziała, że mój dek ściągnął jej numer.

— Powiedziała, że twój dek powinien być w muzeum.

— Guzik wie — burknął Jammer. — Przecież wykryłem, gdzie mieszka. Prawda? — Wsunął inhalator do nosa, przycisnął i odłożył na biurko. — Problem w tym, że ona już cię skreśliła. Nie chce więcej o tobie słyszeć. Musisz się do niej przebić i zdradzić to, co chce wiedzieć.

— To znaczy?

— Że to niejaki Conroy wyłączył jej chłopaka — wyjaśnił wysoki przybysz. Siedział rozparty w fotelu, z wielkim rewolwerem na kolanach. — Conroy. Powiedz jej, że to Conroy. I Conroy wynajął tych kudłatych na zewnątrz.

— Wolałbym spróbować u Yaków.

— Nie — sprzeciwił się Jammer. — Ta Slide szybciej dobierze mu się do dupy. Yak najpierw ocenią moją przysługę, sprawdzą całą historię… Poza tym myślałem, że koniecznie chcesz poćwiczyć z

dekiem.

— Pójdę z nim — odezwała się Jackie od drzwi.

Włączyli się.

Zginęła niemal natychmiast, w pierwszych ośmiu sekundach.

Czuł to, pędził z tym aż na krawędź i niemal wiedział, co to jest. Wrzeszczał, wirował wsysany w biały, lodowcowy tunel, który już na nich czekał…

Skala zjawiska była nieprawdopodobna, zbyt potężna… Jakby cybernetyczna megastruktura reprezentująca cały ponadnarodowy koncern pełną mocą uderzyła w Bobby'ego Newmarka i tancerkę imieniem Jackie. Niemożliwe…

Ale gdzieś tam, na granicy świadomości, zanim ją stracił, było jeszcze coś… Coś ciągnęło go za rękaw…

Leżał wciskając twarz w szorstką powierzchnię. Otworzył oczy. Alejka wykładana mokrymi od deszczu okrągłymi kamieniami. Podniósł się z trudem i zobaczył zamgloną panoramę obcego miasta, a za nią morze. Iglice, jakiś kościół, obłąkane żebra i spirale gładzonego kamienia… Obejrzał się: wielka jaszczurka zbiegała ku niemu ze wzgórza, szeroko otwierając paszczę. Mrugnął. Miała zęby z zielonkawej ceramiki, strużka wody wolno ściekała z niebieskiej porcelanowej wargi. To fontanna, o bokach pokrytych tysiącami porcelanowych odłamków. Obrócił się dookoła, oszalały wspomnieniem śmierci tak blisko siebie. Lód, lód… Jakaś część umysłu zrozumiała dokładnie, jak niewiele wtedy brakowało w saloniku matki.

Wszędzie stały dziwnie pogięte ławki pokryte takimi samymi płytkami tłuczonej porcelany. I drzewa, i trawa… Park.

— Niezwykłe — odezwał się ktoś: mężczyzna wstający z jednej z tych serpentynowych ławek. Miał gęste, gładko zaczesane siwe włosy, opaloną twarz, okulary bez oprawek powiększające jasne niebieskie oczy. — Przebiłeś się prosto tutaj, tak?

— Co to? Gdzie ja jestem?

— Güell Park, w pewnym sensie. Barcelona, jeśli wolisz.

— Zabiłeś Jackie. Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Rozumiem. Myślę, że rozumiem. Mimo to nie powinno cię tu być. To wypadek.

— Wypadek? Zabiłeś Jackie!

— Moje systemy są dzisiaj nieco przeciążone — wyjaśnił mężczyzna, wsuwając dłonie do kieszeni luźnego płaszcza. — To naprawdę niezwykłe…

— Nie możesz tego robić — oświadczył Bobby. Nie widział dobrze przez łzy. — Nie możesz. Nie możesz zabić kogoś, kto po prostu tam był…

— Gdzie był? — Mężczyzna zdjął szkła i przetarł je wyjętą z kieszeni płaszcza nieskazitelnie białą chusteczką.

— Był żywy. — Bobby zbliżył się o krok. Mężczyzna włożył okulary.

— To się staje męczące. Paco!

— Tak, señor?

Bobby obejrzał się, słysząc dziecięcy głos. Zobaczył chłopca w dziwnie sztywnym ubranku i wysokich skórzanych butach zapinanych na guziki.

— Usuń go stąd.

— Tak, señor.

Chłopiec skłonił się lekko i spod ciemnej marynarki wyjął maleńki niebieski automat browninga. Bobby popatrzył w ciemne oczy pod lśniącą grzywką — to spojrzenie nie mogło należeć do dziecka. Chłopiec wymierzył w niego pistoletem.

— Kim jesteś? — Bobby nie zwracał uwagi na broń, ale nie próbował już podchodzić do mężczyzny w płaszczu.

Mężczyzna przyjrzał mu się.

— Virek — powiedział. — Josef Virek. Większość ludzi, jak rozumiem, zna moją twarz.

— Jesteś w „Ludziach na świeczniku" czy co? Mężczyzna zamrugał, zmarszczył czoło.

— Nie wiem, o czym mówisz. Paco, co ten osobnik tu robi?

— Przypadkowa kolizja — wyjaśniło dziecko wysokim, pięknym głosem. — Zaangażowaliśmy znaczną część mocy naszego systemu via Nowy Jork, aby zapobiec ucieczce Angeli Mitchell. Ten osobnik próbował wejść w matrycę z jeszcze jednym operatorem i natrafił na nas. Nadal staramy się określić, w jaki sposób przełamał osłonę. Panu nic nie grozi.

Lufa małego browninga nawet nie drgnęła. I znowu wrażenie, że coś ciągnie go za rękaw. Właściwie nie za rękaw, ale fragment umysłu, coś…

— Señor — odezwał się chłopiec. — Rejestrujemy w matrycy pewne anomalie, będące być może wynikiem naszej obecnej nadmiernej ekspansji. Sugerujemy, by señor pozwolił przeciąć łącza z konstruktem, dopóki nie zdołamy ustalić ich natury…

Wrażenie stało się silniejsze. Jakby coś drapało w głębi umysłu…

— Co? — zdziwił się Virek. — Wrócić do zbiorników? Nie sądzę, by istniały powody…

— Istnieje prawdopodobieństwo realnego zagrożenia — odparł chłopiec, a w jego głosie zadźwięczał surowy ton. Lekko przesunął lufę browninga. — Ty… — zwrócił się do Bobby'ego. — Połóż się na kamieniach, rozsuń ręce i nogi…

Ale Bobby spoglądał poza niego, na klomb pełen kwiatów;

patrzył, jak więdną i umierają, jak szarzeje i rozsypuje się trawa, jak drży i skręca się powietrze nad klombem… Uczucie drapania w umyśle było mocniejsze, bardziej naglące.

Virek odwrócił się i patrzył na ginące kwiaty.

— Co to znaczy?

Bobby zamknął oczy i pomyślał o Jackie. Rozległ się dziwny dźwięk i wiedział, że to on go wydaje. Wciąż go słysząc, sięgnął w głąb siebie i dotknął deku Jammera. Przybywaj! krzyknął bezgłośnie, nie wiedząc i nie troszcząc się, kogo wzywa. Przybywaj natychmiast! Poczuł, jak coś ustępuje, jak pada bariera. Uczucie drapania zniknęło.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył coś na klombie martwych kwiatów. Zamrugał. Wyglądało to na krzyż z gładkiego, pomalowanego na biało drewna. Ktoś wsunął na ramiona zabytkowy marynarski surdut, rodzaj pleśniejącego fraka z ciężkimi, zdobnymi we frędzle epoletami z pociemniałego złotego sznura, rdzewiejące guziki, złoty sznur przy mankietach… Zardzewiały kordelas stal oparty o biały krzyż rękojeścią w górę, obok leżała butelka do połowy napełniona przejrzystą cieczą.

Chłopiec odwrócił się, wymierzył… I rozsypał się i zniknął niby wyssany przez pustkę przebity balon. Browning uderzył o kamienie jak porzucona zabawka.

— Moje imię… — odezwał się głos i Bobby miał ochotę krzyczeć, kiedy zrozumiał, że słowa wydobywają się z jego ust… — brzmi Samedi. Zabiłeś wierzchowca mojego kuzyna…

Virek rzucił się do ucieczki. Poły luźnego płaszcza powiewały za nim na krętej alejce między serpentynami ławek. A Bobby zobaczył, że czeka tam kolejny biały krzyż: w miejscu, gdzie dróżka znikała za zakrętem. Virek też musiał go dostrzec; krzyknął, a baron Samedi, Pan Cmentarzy, loa, którego królestwem jest śmierć, pochylił się nad Barceloną niczym zimny, mroczny deszcz.

— Czego chcesz, do diabła? Kim jesteś? — Głos był znajomy, kobiecy. Nie Jackie.

— Bobby — powiedział czując, jak pulsują w nim fale ciemności. — Bobby…

— Jak się tu dostałeś?

— Jammer. On wiedział. Jego dek cię namierzył, kiedy mnie poprzednio zamroziłaś. — Przed chwilą widział coś… coś ogromnego… Nie mógł sobie przypomnieć. — Turner mnie przysłał. Conroy… Kazał ci powiedzieć, że to Conroy. Szukasz Conroya…

Słuchał własnego głosu, jakby to mówił ktoś inny. Był gdzieś, potem wrócił i teraz znalazł się tutaj, w neonowym szkicu Jaylene Slide. A w drodze widział, jak wielka struktura, ta sama, która ich wessała, zaczyna zmieniać się i przesuwać; gigantyczne bloki

wirowały, stapiały się, ustawiały w nowym porządku, cały kształt ulegał przemianie…

— Conroy — powtórzyła. Erotyczny zygzak przystanął obok okna wideo; coś w jego liniach sugerowało znużenie, nawet nudę. — Tak myślałam.

Obraz wideo zniknął w rozbłysku bieli, wyostrzył znowu jako widok starego kamiennego budynku.

— Park Avenue. Siedzi tam z tymi swoimi Eurosami i szykuje nowe draństwo. — Westchnęła. — Myśli, że jest bezpieczny. Widzisz? Skasował Ramireza jak muchę, nakłamał mi prosto w oczy, odleciał do Nowego Jorku do nowej roboty, a teraz myśli, że jest bezpieczny…

Figura przesunęła się i obraz znów uległ zmianie. Teraz na ekranie Bobby zobaczył twarz białowłosego, tego samego, który u Jammera rozmawiał z tym obcym przez telefon. Włączyła się w jego linię, pomyślał…

— Albo i nie — powiedział Conroy, gdy tylko zaskoczyło audio. — Tak czy tak, mamy ją. Żadnych problemów.

Jest chyba zmęczony, pomyślał Bobby. Ale panuje nad sytuacją. Twardziel. Jak Turner.

— Obserwowałam cię, Conroy — szepnęła Slide. — Mój dobry kumpel, Bunny, pilnuje cię dla mnie. Nie jesteś jedynym, który nie śpi dzisiaj przy Park Avenue…

— Nie — mówił Conroy. — Możemy dostarczyć ją wam do Sztokholmu na jutro. Oczywiście.

Uśmiechnął się do kamery.

— Zabij go, Bunny — powiedziała. — Zabij ich wszystkich. Rozwal całe to piętro… i jeszcze jedno niżej. Już.

— Zgadza się — stwierdził Conroy i wtedy coś się stało. Coś wstrząsnęło kamerą i obraz rozmył się. — Co jest? — zawołał już innym głosem i nagle ekran zgasł.

— Pal się, skurwielu — wycedziła.

A Bobby'ego znowu wciągnęło w mrok.

ROZDZIAŁ 33
WRAK I WIR

Marly przez całą godzinę dryfowała w powolnym wirze, podziwiając taniec twórcy pudełek. Groźba Paco nie wystraszyła jej, choć nie miała wątpliwości, że zamierzają zrealizować. Na pewno zrealizuje. Nie miała pojęcia, co się stanie, kiedy sforsują śluzę. Pewnie zginie ona i Jones, i Wigan Ludgate. Może zawartość kopuły wyfrunie w przestrzeń jak rozkwitający obłok koronek, poczerniałych monet, kulek i kawałków sznurka, pożółkłych stronic starych książek. Będą przez wieczność orbitować wokół rdzeni. To byłoby w odpowiednim tonie; artysta, który uruchomił twórcę pudełek, byłby zadowolony…

Nowe pudełko przesunęło się przez rząd wyłożonych gąbką chwytaków. Odrzucone kanciaste skrawki drewna i szkła odleciały z jądra tworzenia, by dołączyć do tysiąca innych przedmiotów. Zagubiła się w tym, zapatrzona i oczarowana. I wtedy do kopuły wrócił Jones, zdenerwowany, z twarzą pokrytą warstewką potu i kurzu, ciągnąc na krótkiej lince czerwony skafander.

— Nie mogę ściągnąć Wiga do kajuty, którą da się uszczelnić — oznajmił. — To dla ciebie…

Skafander zawirował pod nim. Jones pochwycił go gorączkowo.

— Nie chcę tego — odparła, zachwycona tańcem.

— Wkładaj! Natychmiast! Nie ma czasu!

Poruszał ustami, ale nie wydobywał żadnego dźwięku. Spróbował złapać ją za rękę.

— Nie — powtórzyła, odsuwając się lekko. — Co z tobą?

— Włóż ten piekielny skafander! — wrzasnął, odpowiedziały mu głębsze echa.

— Nie.

Ekran nad jego głową zamigotał, budząc się do życia. Wyostrzył się wizerunek Paco.

— Señor nie żyje — poinformował. Jego twarz nie wyrażała niczego. — Trwa reorganizacja jego licznych przedsięwzięć. Tymczasem jestem niezbędny w Sztokholmie. Zostałem upoważniony, by zawiadomić Marly Krushkovą, że nie jest już zatrudniona przez zmarłego Josefa Vireka, nie jest też pracownikiem zarządu jego majątku. Pełna kwota jej poborów została zdeponowana w Banku Francji i może zostać podjęta po przedstawieniu ważnego dowodu tożsamości. Odpowiednie deklaracje podatkowe przesłano władzom skarbowym Francji i Belgii. Działające linie kredytowe straciły ważność. Byłe rdzenie korporacji Tessier-Ashpool SA są własnością

jednej z pomocniczych osobowości zmarłego Josefa Vireka i każdy przebywający na ich obszarze stanie przed zarzutem bezprawnego wtargnięcia.

Jones zamarł z uniesioną ręką, z palcami wyprostowanymi sztywno, by utwardzić krawędź dłoni. Paco zniknął.

— Chcesz mnie uderzyć? — spytała Marly. Opuścił rękę.

— Miałem zamiar. Przyłożyć ci i wcisnąć w ten przeklęty skafander… — Wybuchnął śmiechem. — Ale cieszę się, że już nie trzeba. Popatrz, zrobił nowe…

Spomiędzy falującego gąszczu ramion wypłynęło wirujące pudełko. Pochwyciła je bez trudu.

Wnętrze, za prostokątem szkła, było gładko wyłożone kawałkami skóry wyciętej z jej żakietu. Siedem numerowanych holofiszy niczym miniaturowe nagrobki wyrastało z czarnego, skórzanego podłoża. Zmięte opakowanie gauloise'ów leżało oparte o skórę na tylnej ściance, obok szarych w czarne paski firmowych zapałek z piwiarni na Dworze Napoleona.

I to wszystko.

Później, kiedy w labiryncie korytarzy na drugim końcu rdzeni pomagała Jonesowi szukać Wigana Ludgate'a, zatrzymał się na chwilę, łapiąc przyspawany uchwyt.

— Wiesz — powiedział. — Dziwna sprawa z tymi pudełkami…

— Tak?

— Gdzieś w Nowym Jorku Wig dostawał za nie wściekle dobrą cenę. Mówię o pieniądzach. Ale czasem płacili mu czym innym, rzeczami, które tu docierały…

— Jakimi rzeczami?

— Chyba programami. Tak mi się wydaje. Ten stary pierdziel jest bardzo tajemniczy, kiedy chodzi o to, co podobno mówią mu głosy… Kiedyś dostał coś, co przysięgał, że jest biosoftem. To te nowe kości…

— I co z nim zrobił?

— Zgrał wszystko do rdzeni. — Jones wzruszył ramionami.

— I zatrzymał?

— Nie. Rzucił na stos towaru, który zebraliśmy do najbliższego przerzutu na dół. Podłączył do rdzeni, a potem sprzedał za tyle, ile mógł dostać.

— Wiesz dlaczego? O co w tym chodziło?

— Nie — mruknął Jones. Stracił zainteresowanie opowieścią. — Powiedział tylko, że Pan działa na dziwne sposoby. Że Bóg lubi mówić do siebie…

ROZDZIAŁ 34
ŁAŃCUCH DŁUGI NA TRZY MILE

Pomógł Beauyoirowi przenieść Jackie na scenę, gdzie położyli ją przed wiśniowym zestawem bębnów akustycznych i przykryli znalezionym w szatni starym czarnym płaszczem. Miał aksamitny kołnierz i całe lata kurzu na ramionach — tak długo tam wisiał.

— *Map fe jubile mnan* — powiedział Beauvoir, dotykając kciukiem czoła martwej dziewczyny. Spojrzał na Turnera. — To samoofiarowanie — przetłumaczył, po czym delikatnie podciągnął czarny płaszcz, zakrywając jej twarz.

— To było szybkie — mruknął Turner. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

Z kieszeni szarej szaty Beauvoir wyjął paczkę mentolowych papierosów i zapalił jednego złotą zapalniczką Dunhilla. Poczęstował Turnera, ale ten odmówił.

— W kreolskim jest takie powiedzenie…

— Jakie?

— Zło istnieje.

— Hej — odezwał się ponuro Bobby Newmark ze swojego posterunku przy drzwiach, z okiem przy szczelinie w kotarach. — Musiało podziałać, tak czy inaczej. Gothicy zaczynają odchodzić, a Kasuali już wcale nie widać…

— Dobrze — stwierdził Beauvoir. — To dzięki tobie, Graf. Załatwiłeś wszystko jak należy. Zasłużyłeś na swoje pseudo.

Turner przyjrzał się chłopcu. Wciąż otacza go mgła śmierci Jackie, uznał. Wyszedł z sieci i z krzykiem zerwał trody. Beauvoir musiał go spoliczkować, trzy razy i mocno, żeby się uspokoił. Ale o tym wejściu — wejściu, które Jackie kosztowało życie — powiedział tylko tyle, że przekazał Jaylene Slide wiadomość Turnera. Teraz Turner patrzył, jak Bobby wstaje sztywno i podchodzi do baru; spostrzegł, że chłopak uważa, by nie spojrzeć w stronę sceny. Czyżby tych dwoje było kochankami? Partnerami? Żadne z tych wyjaśnień nie wydawało się prawdopodobne.

Podniósł się z brzegu sceny i wyszedł do gabinetu Jammera. Po drodze zatrzymał się przy Angie, która spała na dywanie pod stołem, nakryta jego wyprutą parką. Jammer także zasnął w fotelu, trzymając na kolanach poparzoną rękę, luźno owiniętą pasiastą ścierką. Twardy facet, pomyślał Turner. Stary dżokej. Gdy tylko Bobby wyszedł z matrycy, Jammer podłączył telefon, ale Conroy nie zadzwonił. Teraz już nie zadzwoni; Turner wiedział, że Jammer nie mylił się co do prędkości, z jaką zaatakuje Jaylene, by pomścić Ramireza. Wiedział,

że Conroy prawdopodobnie nie żyje. A teraz zwijała się też jego wynajęta armia szczeniaków z przedmieścia. Tak mówił Bobby.

Turner podszedł do telefonu, wybrał numer wiadomości i usiadł w fotelu. Wodolot linii promowej zderzył się w Macau z miniaturową łodzią podwodną; kamizelki ratunkowe wodolotu okazały się nie spełniać norm, przez co utonęło co najmniej piętnaście osób. Łódź podwodna, spacerowy statek zarejestrowany w Dublinie, nie został jeszcze odnaleziony… Używając karabinu bezodrzutowego ktoś zasypał pociskami zapalającymi dwa piętra bloku mieszkalnego przy Park Avenue. Na scenę tragedii przybyły oddziały Straży Pożarnej i Sił Taktycznych; jak dotąd nie ujawniono nazwisk mieszkańców i żadna ze znanych organizacji nie przyznała się do zamachu… (Turner przewinął ten fragment jeszcze raz…) Zespoły badawcze Agencji Energii Atomowej pracujące w miejscu rzekomego wybuchu jądrowego w Arizonie utrzymują, że wykryty poziom radioaktywności jest zbyt niski, by był wynikiem detonacji dowolnej znanej taktycznej głowicy bojowej… W Sztokholmie ogłoszono wiadomość o śmierci Josefa Vireka, bajecznie bogatego patrona sztuki; informacji tej towarzyszyły nie sprawdzone pogłoski, jakoby Virek chorował od dziesięcioleci, a jego śmierć była wynikiem katastrofalnej awarii systemu podtrzymywania życia w pilnie strzeżonej prywatnej klinice na przedmieściach Sztokholmu… (Turner przewinął tekst drugi raz, potem trzeci, zmarszczył brwi, wreszcie wzruszył ramionami…) Dziś rano policja na przedmieściach New Jersey…

— Turner…

Wyłączył wiadomości i obejrzał się. W drzwiach stała Angie. — Jak się czujesz, Angie?

— Dobrze. Nic mi się nie śniło. — Otuliła się czarną bluzą i zerkała na niego spod kosmyków grzywki. — Bobby pokazał mi, gdzie jest prysznic. To coś w rodzaju szatni. Zaraz tam wracam. Włosy mam potworne.

Zbliżył się i oparł ręce na jej ramionach.

— Bardzo dzielnie się zachowywałaś. Wkrótce się stąd wydostaniemy.

Odsunęła się.

— Wydostaniemy się stąd? I co potem? Japonia?

— Może nie Japonia. Może nie Hosaka.

— Pójdzie z nami — odezwał się Beauvoir, stając za jej plecami.

— Dlaczego miałabym pójść?

— Ponieważ — odparł Beauvoir — wiemy, kim jesteś. Twoje sny są prawdziwe. W jednym z nich spotkałaś Bobby'ego i ocaliłaś mu życie, wyrwałaś z czarnego lodu. Powiedziałaś „Dlaczego oni ci to robią?"…

Angie szeroko otworzyła oczy. Spoglądała to na Turnera, to na

Beauvoira.

— To długa historia — powiedział Beauvoir. — I dopuszcza liczne interpretacje. Ale jeśli pójdziesz ze mną, do Projektów, nasi ludzie nauczą cię wielu rzeczy. Nauczymy cię tego, czego sami nie rozumiemy, ale ty może zrozumiesz…

— Dlaczego?

— Z powodu tego, co masz w mózgu. — Beauvoir z powagą kiwnął głową i poprawił na nosie plastikowe oprawki okularów. — Nie musisz z nami zostawać, jeśli nie masz ochoty. Właściwie będziemy tam tylko po to, żeby ci służyć…

— Mi służyć?

— Jak już mówiłem, to długa historia… I jak, panie Turner?

Turner wzruszył ramionami. Nie wiedział, dokąd jeszcze mogłaby pójść. Maas z pewnością zapłaci, żeby ją dostać z powrotem… albo za jej śmierć. Hosaka również.

— To może najlepsze wyjście — stwierdził.

— Chciałabym z panem zostać — zapewniła. — Polubiłam Jackie, ale ona…

— Nie szkodzi — uspokoił ją Turner. — Wiem. — Niczego nie wiem, krzyknął bezgłośnie. — Będziemy w kontakcie… — Nigdy już cię nie zobaczę. — Ale o czymś powinienem ci powiedzieć: twój ojciec nie żyje. — Popełnił samobójstwo. — Ludzie z ochrony Maasa go zabili; powstrzymywał ich, dopóki nie odleciałaś motolotnią z płaskowyżu.

— To prawda? Rzeczywiście ich powstrzymywał? To znaczy… Czułam to, czułam, że nie żyje, ale…

— Tak — przerwał jej Turner. Wyjął z kieszeni i zawiesił jej na szyi czarny futerał Conroya. — W środku jest biosoft *dossier*. Sprawdź go, kiedy będziesz starsza. Nie zawiera całej historii. Pamiętaj o tym. Nic nigdy nie zawiera…

Bobby stał przy barze, kiedy potężny facet wyszedł z gabinetu Jammera. Z miejsca, gdzie spała dziewczyna, podniósł z podłogi swoją brudną wojskową kurtkę. Włożył ją i podszedł do sceny, gdzie pod czarnym płaszczem leżała Jackie; wydawała się taka mała… Tam wyjął z kieszeni rewolwer, potężny Smith Wesson Tactical. Otworzył magazynek, wyjął naboje, schował je do kieszeni i położył rewolwer przy ciele Jackie, tak delikatnie, że nawet nie stuknął o podłogę.

— Dobra robota, Graf — pochwalił, odwracając się do Bobby'ego. Wbił ręce w kieszenie kurtki.

— Dzięki. — Mimo odrętwienia, Bobby poczuł dumę.

— Trzymaj się, Bobby. — Mężczyzna podszedł do drzwi i próbował otworzyć kolejne zamki.

— Chcesz wyjść? — Bobby pobiegł za nim. — Zaczekaj, Jammer mi pokazywał. Idziesz? Dokąd?

Drzwi stanęły otworem, a Turner oddalał się już między porzuconymi straganami.

— Sam nie wiem — zawołał jeszcze przez ramię. — Najpierw muszę kupić osiemdziesiąt litrów ropy, a potem się zastanowię…

Bobby spoglądał za nim, aż zniknął na martwych ruchomych schodach. Potem zamknął drzwi i zasunął rygle. Nie patrząc na scenę, podszedł do drzwi gabinetu i zajrzał do środka. Angie płakała, opierając głowę na ramieniu Beauvoira. Bobby poczuł ukłucie zazdrości, które samego go zaskoczyło. Telefon odtwarzał coś za plecami Beauyoira i Bobby spostrzegł, że to wiadomości.

— Bobby — odezwał się Beauvoir. — Na jakiś czas Angela zamieszka z nami w Projektach. Masz ochotę też się tam wybrać?

Za Beauvoirem, na ekranie telefonu, pojawiła się twarz Marshy Newmark, Mamy Marshy, jego matki.

— …policja z przedmieścia New Jersey poinformowała, że kobieta, której mieszkanie było celem niedawnego zamachu bombowego była zdumiona, kiedy wróciła wczorajszej nocy, a disco…

— Tak — zgodził się szybko Bobby. — Pewno.

ROZDZIAŁ 35
TALLY ISHAM

— Jest dobra — stwierdził dwa lata później kierownik zespołu, maczając brązową skórkę wiejskiego chleba w kałuży oliwy pozostałej na dnie salaterki. — Naprawdę dobra. Szybko się uczy. Musisz jej to przyznać.

Gwiazda roześmiała się i wzięła szklankę chłodnego wina.

— Nie znosisz jej, Roberts. Prawda? Jak dla ciebie ma za dużo szczęścia. Jeszcze nie zrobiła błędnego kroku.

Opierali się o szorstką kamienną balustradę patrząc, jak odbija wieczorny statek do Aten. Dwa dachy niżej w kierunku portu, na rozgrzanym słońcem wodnym łożu leżała dziewczyna: naga, z rozłożonymi ramionami, jakby chciała objąć to, co pozostało jeszcze ze słońca.

Roberts wsunął sobie do ust nasączoną oliwą skórkę i oblizał wąskie wargi.

— Wcale nie — zaprotestował. — To nieprawda, że jej nie znoszę. Nawet o tym nie myśl.

— Jej chłopak — zauważyła Taiły.

Na dachu pojawiła się druga postać, męska. Chłopak miał ciemne włosy i nosił luźny, swobodny i kosztowny francuski kostium sportowy. Patrzyli, jak podchodzi do wodnego materaca i siada obok dziewczyny, jak wyciąga rękę, by jej dotknąć. — Jest piękna, Roberts. Prawda?

— No cóż — westchnął reżyser. — Widziałem jej „przedtem". To wszystko chirurgia plastyczna.

Wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od chłopca.

— Jeśli widziałeś też moje „przedtem" — oznajmiła — ktoś będzie za to wisieć. Ale ona coś w sobie ma… Niezłe kości… — Wypiła nieco wina. — Czy to właśnie ona nią jest? „Nową Tally Isham"?

Znów wzruszył ramionami.

— Popatrz na tego smarkacza. Wiesz, że zarabia już prawie tyle, co ja? A jaką właściwie ma funkcję? Ochroniarz…

Z niechęcią zacisnął wąskie wargi.

— Dzięki niemu jest szczęśliwa — uśmiechnęła się Tally. — Dostaliśmy ich w komplecie. Jest hakiem w jej kontrakcie. Wiesz o tym.

— Nie cierpię tego szczeniaka. Przyszedł prosto z ulicy, wie o tym i się nie przejmuje. To śmieć. Wiesz, co wozi ze sobą w bagażu? Dek cyberprzestrzeni! Wczoraj tureccy celnicy odkryli to diabelstwo i

trzymali nas przez trzy godziny…

Pokręcił głową.

Chłopiec wstał, odwrócił się i przeszedł na krawędź dachu. Dziewczyna usiadła i spojrzała na niego, odgarniając z czoła włosy. Stał tam bardzo długo, wpatrzony w kilwater ateńskiego promu. Ani Tally Isham, ani reżyser, ani Angie nie wiedzieli, że widzi szarą dżunglę bloków Barrytown sięgającą ciemnych wież Projektów.

Dziewczyna wstała, podeszła i wzięła go za rękę.

— Co mamy na jutro? — spytała wreszcie Tally.

— Paryż. — Roberts wziął z kamiennej balustrady notatnik i przerzucił cienki plik żółtych wydruków. — Niejaka Krushkova.

— Znam ją?

— Nie. Zajmuje się sztuką. Prowadzi jedną z dwóch najmodniejszych obecnie galerii. Niewiele o niej wiemy, choć trafiliśmy na interesujący ślad skandalu w początkach kariery.

Taiły Isham skinęła głową. Nie zwracała na niego uwagi; patrzyła, jak jej uczennica obejmuje ramieniem chłopca o ciemnych włosach.

ROZDZIAŁ 36
WIEWIÓRCZY GAJ

Kiedy chłopiec miał siedem lat, Turner wziął winchestera z plastikową kolbą — własność Rudy'ego — i razem ruszyli starą drogą aż na polanę.

Polana była miejscem szczególnym, ponieważ rok temu tu właśnie przyprowadziła go mama. I pokazała samolot, prawdziwy samolot ukryty między drzewami. Osiadał wolno w mule, ale można było wejść do kabiny i udawać, że się lata. To tajemnica, powiedziała mama. I że może ją zdradzić tacie; nikomu więcej. A jeśli położyło się rękę na plastikowej powłoce samolotu, to po chwili zmieniała kolor, wytwarzając plamę w kształcie dłoni i dokładnie w kolorze skóry. Ale wtedy mama zaczęła się dziwnie zachowywać, płakała i chciała opowiadać o wujku Rudym, którego nie pamiętał. Wujek Rudy był jednym z tych zjawisk, których nie rozumiał, tak samo jak niektórych żartów taty. Kiedyś zapytał go, dlaczego ma rude włosy, a tato tylko się roześmiał i powiedział, że od Holendra. A wtedy mama rzuciła w tatę poduszką, przez co nigdy się nie dowiedział, kim właściwie był ten Holender.

Na polanie tato uczył go strzelać do opartych o pień drzewa konarów sosny. Kiedy chłopiec się zmęczył, obaj położyli się na plecach i oglądali wiewiórki.

— Obiecałem Sally, że niczego nie zabijemy — powiedział tato, po czym wyjaśnił podstawowe zasady polowania.

Chłopiec słuchał, ale myślami wciąż wracał do samolotu. Było gorąco, słyszał brzęczące gdzieś niedaleko pszczoły i wodę cieknącą po kamieniach. Kiedy mama się rozpłakała, powiedziała, że Rudy był dobrym człowiekiem i dwa razy ją uratował: raz przed tym, że była młoda i głupia, a raz przed kimś bardzo złym…

— Czy to prawda? — spytał tatę, kiedy tato skończył opowiadać o wiewiórkach. — Są takie głupie, że zawsze wracają i wracają, aż się je zastrzeli?

— Tak — potwierdził Turner. — To prawda. — I uśmiechnął się. — No, prawie zawsze…